

ELIZABETH WINDER



# Marilyn na Manhattanie

NAJRADOŚNIEJSZY ROK ŻYCIA

*Elizabeth Winder*

**Marilyn  
na Manhattanie**

**NAJRADOŚNIEJSZY  
ROK ŻYCIA**

PRZEŁOŻYŁA  
Katarzyna Makaruk

Wydawnictwo Literackie

## Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Osoby

### **Wstęp**

**Jeden:** Miss Samotnych Serc

**Dwa:** Uciekinierka

**Trzy:** Zgaszona blondynka

**Cztery:** Libacje, literaci i Lee Strasberg

**Pięć:** Zauroczenie

**Sześć:** Efekt ciała

**Siedem:** Debiutantka

**Osiem:** Strasbergowie

**Dziewięć:** W rozkwicie

**Dziesięć:** Shangri-La

**Jedenaście:** Fire Island

**Dwanaście:** W szuwarach

**Trzynaście:** Sutton Place

**Czternaście:** Baby Doll

**Piętnaście:** Cherie

**Szesnaście:** Gwiazdy

**Siedemnaście:** Powrót

**Osiemnaście:** Mazzie

### **Epilog**

Bibliografia

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: MARILYN IN MANHATTAN. HER YEAR OF JOY

Opieka redakcyjna: KATARZYNA KRZYŻAN-PEREK

Redakcja: EWELINA KOROSTYŃSKA

Konsultacja merytoryczna: ROMAN WŁODEK

Korekta: EWA KOCHANOWICZ, KATARZYNA HUMENIUK, ANNA RUDNICKA

Projekt okładki: © Karen Horton

Fotografia na okładce: © Ed Feingersh/Michael Ochs Archives/Getty Images

Opracowanie graficzne wersji papierowej: MAREK PAWŁOWSKI

Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ

Skład i łamanie: Infomarket

Text copyright © 2017 by Elizabeth Winder

Published by arrangement with Flatiron Books.

All rights reserved

© Copyright for the Polish translation by Katarzyna Makaruk

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2017

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-06621-8

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*dla Mary Angelo*

## Osoby

(w kolejności pojawiania się na scenie)

**MILTON GREENE** – fotograf mody, w latach 1954–1956 najlepszy przyjaciel Marilyn i jej partner w interesach

**AMY FRANCO GREENE** – bliska przyjaciółka Marilyn, żona Milтона Greene’a

**SHELLEY WINTERS** – hollywoodzka przyjaciółka Marilyn, członkini Actors Studio; razem uczęszczały na warsztaty aktorskie w 1955 roku

**DARRYL F. ZANUCK** – producent wykonawczy i szef wytwórni Twentieth Century Fox

**JANE RUSSELL** – przyjaciółka Marilyn, która razem z nią zagrała w filmie *Mężczyźni wolą blondynki*

**JOE DIMAGGIO** – zawodnik Major League Baseball, w 1954 roku przez dziewięć miesięcy mąż Marilyn

**CHARLIE FELDMAN** – w 1954 roku agent Marilyn

**BILLY WILDER** – wyreżyserował *Słomianego wdowca* z udziałem Marilyn

**JAY IRA KANTER** – agent Marilyn w latach 1955–1956

**FRANK DELANEY** – prawnik Marilyn w latach 1955–1956

**MICHAŁ CZECHOW** (MICHAEL CHEKHOV) – w latach 1953–1954 uczył Marilyn aktorstwa metodą Stanisałwskiego

**SAMMY DAVIS JR.** – aktor, piosenkarz, artysta estradowy i przyjaciel Marilyn

**ELSA MAXWELL** – dziennikarka pisująca do rubryki towarzyskiej, organizatorka wystawnych przyjęć i przyjaciółka Marilyn

**KITTY OWENS** – kucharka Greene’ów; zaprzyjaźniła się z Marilyn pod koniec 1954 roku

**GEORGE NARDIELLO** – projektant mody; poznał Marilyn pod koniec 1954 roku

**NORMAN NORELL** – projektant mody; poznał Marilyn pod koniec 1954 roku

**ELI WALLACH** – członek Actors Studio; zaprzyjaźnił się z Marilyn w 1955 roku i pozostali bliskimi przyjaciółmi aż do jej śmierci

**BEN GAZZARA** – członek Actors Studio, w 1955 roku uczęszczał na warsztaty aktorskie razem z Marilyn

**DEAN MARTIN** – aktor, piosenkarz, artysta estradowy i przyjaciel Marilyn

**JERRY LEWIS** – aktor, piosenkarz, artysta estradowy i przyjaciel Marilyn

**MILTON BERLE** – aktor i gospodarz programów telewizyjnych, przyjaciel Marilyn i jej

dawny kochanek

**CARSON MCCULLERS** – amerykańska pisarka; zaprzyjaźniła się z Marilyn w 1955 roku

**TRUMAN CAPOTE** – nowojorski pisarz; zaprzyjaźnił się z Marilyn w 1955 roku

**CONSTANCE COLLIER** – angielska aktorka i pedagogka teatralna, pierwsza nauczycielka Marilyn w Nowym Jorku

**CHERYL CRAWFORD** – producentka i reżyserka teatralna; zaprzyjaźniła się z Marilyn w 1955 roku

**LEE STRASBERG** – aktor i reżyser, dyrektor artystyczny Actors Studio i mentor Marilyn

**LEO LYONS** – nowojorski dziennikarz; zaprzyjaźnił się z Marilyn w 1955 roku

**EARL WILSON** – nowojorski dziennikarz, przyjaciel Marilyn

**ROBERT STEIN** – dziennikarz; kompan Marilyn w marcu 1955 roku

**ED FEINGERSH** – fotograf; kompan Marilyn w marcu 1955 roku

**EDWARD R. MURROW** – wybitny dziennikarz i gospodarz programów telewizyjnych; w marcu 1955 przeprowadził z Marilyn wywiad

**ELLEN BURSTYN** – członkini Actors Studio, w 1955 roku uczęszczała razem z Marilyn na warsztaty aktorskie

**DELOS V. SMITH JR.** – członek Actors Studio, w 1955 roku uczęszczał razem z Marilyn na warsztaty aktorskie

**MARLON BRANDO** – przyjaciel Marilyn i członek Actors Studio, w 1955 roku uczęszczał razem z nią na warsztaty aktorskie

**JACK GARFEIN** – reżyser, członek Actors Studio, w 1955 roku uczęszczał razem z Marilyn na warsztaty aktorskie

**CARROLL BAKER** – członkini Actors Studio, w 1955 roku razem z Marilyn uczęszczała na warsztaty aktorskie

**MAUREEN STAPLETON** – członkini Actors Studio, w 1955 roku uczęszczała razem z Marilyn na warsztaty aktorskie

**LOUIS GOSSETT JR.** – członek Actors Studio, w 1955 roku uczęszczał razem z Marilyn na warsztaty aktorskie

**KIM STANLEY** – członkini Actors Studio, w 1955 roku uczęszczała razem z Marilyn na warsztaty aktorskie

**JACK LORD** – członek Actors Studio, w 1955 roku uczęszczał razem z Marilyn na warsztaty aktorskie

**MARGARET HOHENBERG** – psychoanalityczka Marilyn w 1955 roku

**PAULA STRASBERG** – była aktorka teatralna, żona Lee Strasberga, przybrana matka Marilyn i jej powiernica

**SUSAN STRASBERG** – aktorka, córka Lee Strasberga i przyjaciółka Marilyn

**JOHN STRASBERG** – aktor, syn Lee i Pauli Strasbergów

**SAM SHAW** – nowojorski fotograf i przyjaciel Marilyn; poznali się w 1954 roku podczas kręcenia *Słomianego wdowca*

**NORMAN ROSTEN** – nowojorski poeta, przyjaciel Arthura Millera; w 1955 roku zaprzyjaźnił się z Marilyn

**HEDDA ROSTEN** – żona Normana; w 1955 roku zaprzyjaźniła się z Marilyn

**MAURICE ZOLOTOW** – dziennikarz, który wiosną i latem 1955 roku przeprowadzał z Marilyn wywiady

**JIMMY HASPIEL** – nastoletni wielbiciel, który zaprzyjaźnił się z Marilyn w 1955 roku

**THE MONROE SIX (SZÓSTKA MONROE)** – sześciu nastoletnich wielbicieli, którzy zaprzyjaźnili się z Marilyn w 1955 roku

**ARTHUR MILLER** – amerykański dramaturg, od 1955 roku kochanek, a w latach 1956–1961 mąż Marilyn

**ELIA KAZAN** – reżyser teatralny i filmowy, przyjaciel i były kochanek Marilyn

**JOHN GILMORE** – członek Actors Studio, w 1955 roku uczęszczał razem z Marilyn na warsztaty aktorskie

**JOSHUA LOGAN** – amerykański reżyser teatralny i filmowy; nakręcił *Przystanek autobusowy* (1956), w którym zagrała Marilyn

**JAYNE MANSFIELD** – aktorka i blond piękność, z której chciano uczynić rywalkę Marilyn

**TERENCE RATTIGAN** – brytyjski dramaturg, autor sztuki *The Sleeping Prince*, na podstawie której został nakręcony film *Księżę i aktoreczka* (1957); poznał Marilyn w styczniu 1956 roku

**LAURENCE OLIVIER** – brytyjski aktor, reżyser i partner Marilyn w filmie *Księżę i aktoreczka*

**CECIL BEATON** – brytyjski fotograf mody i portrecista; w lutym 1956 roku fotografował Marilyn

**DON MURRAY** – aktor, partner filmowy Marilyn w *Przystanku autobusowym*



## Wstęp

We śnie zobaczyłaś drogę ocalenia i poczułaś wielką radość.

*Jenny Holzer*

Pod koniec listopada 1954 roku kobieta, która przedstawiła się jako Zelda Zonk, zjawiała się bez rozgłosu na lotnisku w Los Angeles i wsiadła na pokład samolotu – ostatniego, który tego dnia odlatywał do Nowego Jorku. Towarzyszył jej młody fotograf Milton Greene. Kobieta miała na sobie długie do kostek czarne futro z norek, a pod nim męską koszulę z bawełny oksfordzkiej i obcisłe spodnie capri marki Jax. Była nieumalowana, nosiła czarną, obciętą na pazia perukę i – choć zbliżała się północ – okulary przeciwsłoneczne Wayfarer. Paliła papierosy i obgryzała paznokcie jak każda zdenerwowana dwudziestoosmiolatka porzucająca męża, dom i karierę. Gdy silnik zwiększył obroty, uspokoiła się i ściągnęła perukę, odsłaniając gęstwinę blond loków.

W rzeczywistości była to Marilyn Monroe.

Samolot wystartował, a ona patrzyła na coraz słabiej migoczące w dole światła miasta i myślała o tym wszystkim, co porzuciła: o Joem DiMaggio i bajkowym małżeństwie, które się rozpadło, o kontrakcie z Twentieth Century Fox, o swoim agencie Charliem Feldmanie, nauczycielce aktorstwa Natashy Lytess, o apartamencie w Hollywood z szafami pełnymi gabardynowych spódnic i gorsetów z Juel Park. Gdy w końcu Los Angeles skurczyło się do rozmiarów małego świetlistego punkciku, poczuła, że się odprężyła. Milton zrobił jej drinka i zaczęli omawiać ekscytujący nowy projekt – chcieli stworzyć niezależną wytwórnię filmową o nazwie Marilyn Monroe Productions (MMP).

Nim jednak zdążyli wylądować, zaczerwienieni od szkockiej i z emocji, prawdziwa tożsamość Zeldy Zonk przedostała się do publicznej wiadomości. Mimo że temperatura spadła poniżej zera, na lotnisku Idlewild roiło się od rozwrzeszczanych wielbicieli i fotografów. Wśród oczekujących była też Amy Greene, żona Milтона. Opatuliwszy Marilyn w koc, pośpiesznie zapakowała ją do bagażnika czarnego cadillaca. Leżąc na boku w mroźnych ciemnościach, Marilyn słuchała cichnących okrzyków, kiedy Amy, odpaliwszy silnik, wyruszyła w dwugodzinną podróż wzdłuż porośniętych lasem skalistych urwisk do swojego wiejskiego domu w Connecticut.

Było już jasno, gdy Marilyn wślizgnęła się pod fioletową koldrę, przytuliła policzek do śliwkowych poduszek w gościnnym pokoju Greene'ów i zasnęła, śniąc o przyszłości. Wreszcie bezpieczna. Z przyjaciółmi. W Nowym Jorku.

Rok, który Marilyn spędziła w Nowym Jorku, był magicznym czasem artystycznej dyscypliny i odkrywania siebie. Czasem, który pozwolił jej zajrzeć do własnego wnętrza, odzyskać kontrolę nad życiem i wyznaczyć dalszy kierunek kariery. Znowu zaczęła się uczyć – w Actors Studio poznawała tajniki Metody<sup>[1\*]</sup>. Kształciła się, rozwijała smak literacki,

muzyczny i artystyczny. Nawiązała przyjaźnie z pisarzami i intelektualistami, takimi jak Carson McCullers czy Truman Capote. Wtedy również zaczęła się spotykać z Arthurem Millerem.

W przeciwieństwie do typowego wizerunku aktorki postrzeganej przez pryzmat trudnego dzieciństwa i nawracających stanów depresyjnych ta Marilyn nie jest ofiarą. Nie jest też hollywoodzką gwiazdą, którą tak dobrze znamy – obwieszoną diamentami i otuloną futrem z norek. To bardziej zagadkowa i mglista, a przy tym szczęśliwsza postać – w okularach przeciwsłonecznych, z chustką na głowie, w czarnym, chłopięcym płaszczu polo.

Niniejsza książka unosi tę zasłonę tajemnicy, by pokazać prawdziwą Marilyn, Marilyn z krwi i kości – silną, bystrą kobietę, która odzyskała kontrolę nad swoim życiem. Nowojorską Marilyn, która swobodnie biegała po Central Parku i wpadała do salonu Red Door Spa Elizabeth Arden, żeby wydepilować nogi. Podziwiała *Rękę Boga* Rodina w Metropolitan Museum of Art. Miauczała i przeciągała się na podłodze, udając kociaka na zajęciach z aktorstwa. Jadała w Gino's razem z Frankiem Sinatrą, a potem piła tanią szkocką kawalek dalej w Subway Inn. Gryzmoła wiersze na szeleszczącej hotelowej papeterii, leżąc w szlafroku na dywanie w hotelu Waldorf-Astoria.

Nowy Jork pozwolił jej się skupić. Tchnął w nią nowe siły i okazał się inspirującym schronieniem – miejscem samopoznania, przystanią, gdzie mogła na nowo stworzyć siebie. Po raz pierwszy żyła własnym życiem, żyła dla siebie. Każdy dzień niósł ze sobą przygodę – książkę, spacer, coś, czego wcześniej nie widziała. Nowy Jork oznaczał dla Marilyn wolność od etykietek: „gwiazdki”, „symbolu seksu” i „dziwki”. Oto opowieść o Marilyn na Manhattanie – o wrażliwej kobiecie, mieście, które kochała, i o tym, jak nauczyła się kochać siebie.

*Jeden*  
**Miss Samotnych  
Serc**



Od lewej: aktor Jacques Sernas, muzyk i aktor Sammy Davis Junior, Marilyn Monroe, fotograf Milton H. Greene i jazzman Mel Tormé. Klub Crescendo, Los Angeles, 1954 rok.

FOT. ARCHIVE PHOTOS/GETTY IMAGES



Kto w tym żałosnym mieście w ogóle może myśleć  
o sztuce?

*Kathy Acker*

## Lato 1953

**N**a pozór wszystko wydawało się pociągające – przyjęcia przy Doheny Drive, kieliszek martini (bez oliwek) w dłoni, wilgotne czerwone usta, chmura platynowych włosów, biały, wiązany na szyi top, spodnie capri, czerwone czółenka bez palców i dobrany do nich lakier na paznokciach. Zawsze blada, skóra niczym mleko wśród opalenizny prosto z plaż Malibu.

W wieku dwudziestu siedmiu lat Marilyn Monroe była u szczytu popularności. Jej najbardziej jak dotąd kasowy film – *Mężczyźni wolą blondynki* (1953) – wyniósł ją na wyżyny i uczynił z niej prawdziwą gwiazdę. W ciągu niecałych pięciu lat wychowanka sierocińca, która jako podłotek wyszła za mąż, przeszła drogę od pracownicy fabryki, modelki reklamującej samochody, dziewczyny z plakatów dla żołnierzy, statystki w studiu, kochanki potentata filmowego, bohaterki rozkładówki „Playboya” aż do aktorki (nominowanej później do nagrody BAFTA). Była: pierwszą Playmate, Królową Karczocha, Miss Sernika, Dziewczyną Zdolną Roztopić Alaskę, Najszybciej Wschodzącą Gwiazdą według „Photoplay”, Najbardziej Dochodową Młodą Osobowością zdaniem magazynu „Redbook”, Najbardziej Obiecującą Debiutantką według „Look” i Najlepszą Przyjaciółką, Jaką Kiedykolwiek Miały Diamenty. Zagrała w dwudziestu jeden filmach, znalazła się na trzystu okładkach czasopism, przed nią było zdobycie trzech Złotych Globów. Była teraz najbardziej kasową aktorką w Hollywood. Gałkiem nieźle jak na ubogą półsierotę, która wychowywała się w domach dziecka i rodzinach zastępczych, a w wieku szesnastu lat rzuciła szkołę.

Ale napięty grafik, trwające do świtu próby i nieustanne podróże zaczęły dawać się jej we znaki. Śniadanie z surowych jajek wbitych do ciepłego mleka z dodatkiem mnóstwa sherry; przerwy na sok marchwiowy w Stan’s Drive-In; Giuseppa, jej chihuahua, załatwiająca się na dywan; surowe hamburgery i krakersy jedzone samotnie w porze lunchu; kłótnie z agentem w Schawab’s Pharmacy; awantury z kolejnymi chłopakami w restauracjach La Scala i Romanoff’s; walka z bezsennością, w której ulgę tylko czasem przynosiły seconal i nembutal.

Po ceremoniach rozdania nagród wymykała się z imprezy i znikła przed północą jak Kopciuszek. W garderobie zrzucała szpilki, ściągała rękawiczki i rozpiniała suknię, która do niej nie należała. Odklejała sztuczne rzęsy i ścierała makijaż chusteczką zanurzoną w tłustym kremie marki Pond’s. Boso, w džinsach i koszulce polo szła do swojego samochodu, wrzucała szpilki Ferragamo na tylne siedzenie i jechała na zachód pustym Wilshire Boulevard, rozpędzając się do niemal 130 kilometrów na godzinę. Wreszcie bezpieczna w domu wypijała szklaneczkę sherry, połykała kilka tabletek i zapadała w otępiający sen.

Na planie uchodziła za słodką idiotkę, nieprzytomną lalę, która między ujęciami ucieka

na bok z książką. Ilekroć ktoś wykonywał w jej kierunku przyjacielski gest, Marilyn zamykała się w sobie. Była zbyt poważna na błahe pogaduszki i uważała je za stratę czasu. Co się zaś tyczy plotek, aż za dobrze wiedziała, jakich szkód mogą narobić. Siedząc w charakteryzatorni, starała się ignorować szepty o tym, kto ma brzydką cerę, kto z kim sypia i kto właśnie miał aborcję. Wszelkie próby wyciągnięcia z niej smakowitych kąsków natychmiast ucinała. „Nic nie wiem – mówiła z westchnieniem – bo nigdzie nie bywam”.

W Hollywood ploteczki ze studia i imprezowe pogawędki stanowiły filary przyjaźni zawieranych często podczas zamkniętych przyjęć w prywatnych domach. Marilyn tego nienawidziła – niby o czym miałyby mówić? Przecież nikogo nie interesowało, jaką powieść Turgieniewa właśnie czyta. „Nie bywałam, bo nie potrafiłam prowadzić salonowej konwersacji – powiedziała kiedyś. – Byłam kiepska w *small talkach* i nie umiałam rozmawiać o niczym, stwierdziłam więc: «A do diabła, po prostu zostanę w domu»<sup>[1]</sup>. Ilekroć miała ochotę na towarzystwo, wołała się wybrać do któregoś z nocnych klubów, takich jak Crescendo czy Mocambo, gdzie mogła zjawić się niezauważona i wymknąć się, kiedy chciała, unikając złośliwych żarcików i salonowych gier.

Takie nastawienie skazywało na wyjątkową samotność w Hollywood, gdzie wszelkie relacje opierały się na koteriach, powiązaniach i przyjaciółach przyjaciół. Na Manhattanie można było bez problemu powłóczyć się w pojedynkę po barach, zajrzeć do ulubionych miejsc, żeby zobaczyć, na kogo się wpadnie. W Los Angeles ludzie spotykali się w domach Charliego Chaplina w Calabasas czy Jacka Warnera przy Doheny Drive. Wyglądało na to, że wszyscy mają własne grupki – wszyscy oprócz Marilyn, której raz zdarzyło się nawet samotnie spędzić sylwestra: „Každy jest dziś z kimś umówiony, tylko nie ja. Jeśli nie masz żadnych planów, może zjedlibyśmy razem kolację?”.

„Osobę tak absolutnie niepewną siebie jak Marilyn, skłonną do podejrzliwości wobec ludzi z powodu tego, co w przeszłości wycierpiała, niełatwo jest poznać” – pisała Rita Malloy w „Motion Picture”. Rzeczywiście tak było. W Hollywood zawsze nieco się dziwiono, że ucieka z przyjęć organizowanych przez wytwórnię, żeby pojeździć na kolejce górskiej, albo w przerwie na lunch rozmarzonym głosem czyta *Proroka* Khalila Gibrana. Kim była ta istota nie z tej planety, która taszczyła ze sobą słowniki, paplała niczym naćpany szczeniak i wyglądała jak francuskie ciastko? Zresztą, kto by tam zrozumiał dziewczynę, która gubi się po drodze do łazienki, potrzebuje sześćdziesięciu ujęć, żeby nauczyć się kwestii, a potem wraca sama do domu, by poczytać Heinego.

**T**ak jak wielu innych nieśmiałych, obdarzonych bujną wyobraźnią odmieńców Marilyn uciekała w świat książek. W 1949 roku otworzyła swój pierwszy rachunek w księgarni Martindale’s – osobliwy wybór jak na gwiazdkę. Książki dotrzymywały jej towarzystwa podczas długich popołudni w Schwab’s Pharmacy, gdzie ostatnią pięciocentówkę wydawała na koktajl słodowy, który jadła łyżeczką, żeby starczył na dłużej. Przerzucała stronicę *Waldena* czy *Damy kameliowej*, czekając, aż zwróci na nią uwagę jakiś łowca talentów, a potem wracała taksówką do swojego obskurnego pokoiku, włączała lampkę i szukała pociechy na kartach *Spójrz ku domowi, aniele*.

Zyskawszy status gwiazdy, karmiła swój umysł najlepiej jak umiała. Brała lekcje jogi u Indry Devi, jako wolna słuchaczka na Uniwersytecie Kalifornijskim (UCLA) uczęszczała na

zajęcia z literatury starożytnej i sztuki renesansu. Rozpaczliwie próbując znaleźć swoją niszę, chodziła na warsztaty do Actor's Lab przy Crescent Heights Boulevard. Nawet wtedy jednak była outsiderką – siadała z tyłu z nosem w książce, głodna, z sięgającymi ramion rozczochranymi, rozjaśnionymi w domu włosami. Pozostali uczestnicy warsztatów rzadko zapraszali ją na kawę do Barney's Beanery czy na drinka do Musso & Frank Grill przy Hollywood Boulevard. Być może pisarz William Saroyan miał rację, wieszcząc tonem kostuchy: „Jesteś samotnicą, Marilyn, i zawsze będziesz sama”.

Tylko jeden, może dwoje przyjaciół wyczuwało w Marilyn głębię. Należała do nich aktorka Shelley Winters, z którą mieszkała w 1951 roku. Wiosną w mieście bawił Dylan Thomas i Shelley zaproponowała, że przygotuje dla niego kolację. Upiekła schab z czosnkiem, zrobiła purée ziemniaczane z dymką i kwaśną śmietaną, przyrządziła sałatę z sosem z roqueforta. Nie oczekiwała pomocy od współlokatorki: „Gdyby dać jej łopatkę jagnięcą, tylko by się na nią gapiła”. Marilyn miała zająć się deserem – otworzyć słoik musu jabłkowego, przelać zawartość do rondelka, podgrzać i dodać odrobinę cointreau. Wszystko się jej jednak poplątało i zamiast kropli wlała całą zawartość butelki.

Gdy Shelley robiła kolację, Marilyn zerwała białe polne kwiaty rosnące po sąsiedzku na pustej działce, wstawiła je do wysokich szklanek i ustawiła na stoliku karcianym, który wyniosła na maleńki balkon. Zawiesiła japońskie lampiony, zapaliła świece, przygotowała dzin z martini w butelkach po mleku i rozstawiła szklaneczki do soku.

Marilyn i Shelley skosztowały po jednym drinku – całą resztę wypił Dylan Thomas prosto z butelki. Osuszył także butelkę czerwonego wina, butelkę białego i sześć piw, które kupił w sklepie spożywczym. (W jego rodzinnej Walii w spożywcach nie sprzedawano papierosów ani alkoholu – już choćby z tego powodu mógłby się przeprowadzić do Los Angeles). Oczywiście nie narzekał, kiedy gospodynie podały mus jabłkowy zaprawiony alkoholem, tak jakby to był koktajl.

„Chociaż pan Thomas przekomarzał się ze mną i nie szczędził mi pikantnych walijskich docinków – pisała Shelley – w stosunku do Marilyn był ostrożny i traktował ją z szacunkiem. Widocznie zdawał sobie sprawę, że platynowe włosy i boskie ciało kryją kruchą, wrażliwą istotę (...). Owszem, był napalonym Walijszym, ale w żaden sposób nie próbował przystawiać się do Marilyn, nawet słownie (...). Myślę, że wyczuwał, jak bardzo potrzebowała, żeby nie traktowano jej jak słodkiej cizi”<sup>[2]</sup>.

Pod koniec kolacji Marilyn była już zadurzona, choć odmówiła, gdy zaproponował, by wskoczyli do jego zielonego horneta i pojechali razem do domu Chaplina w Calabasas. Zanim poeta opuścił oświetlony świecami balkon z widokiem na roziskrzoną hollywoodzką noc, zaśpiewał w tonacji molowej walijską piosenkę, która poruszyła Marilyn do łez: „Come all ye fair and tender maids, who flourish in your prime / Beware, beware, keep your garden fair, let no man steal your time / A woman is a branch, a tree – a man a clinging vine / And from her branches carelessly he takes what he can find, find, he takes what he can find”<sup>[2\*]</sup>  
<sup>[3]</sup>.

**R**ok 1953 był dla Marilyn przełomowy – to właśnie wtedy zaczęła się buntować. Na planie filmu *Mężczyźni wolą blondynki* musiała błagać o własną garderobę, poza tym dostała znacznie mniejszą gażę niż partnerująca jej Jane Russell. Rygory pracy w wytwórni kiepsko

wpływały na jej zdrowie, i to zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Właśnie skończyła zdjęcia do komedii *Jak poślubić milionera* – trzeciego filmu w ciągu dziewięciu miesięcy, w którym zagrała główną rolę. Wyraźnie było widać, że nękana migrenami, bezsennością, infekcjami wirusowymi i zapaleniem oskrzeli słabnie. Budziła się roztrzęsiona, z nerwami w strzępach, i łykała tabletkę przeciwbólową, zanim w ogóle zwlekła się z łóżka. Nieodmiennie towarzyszyły jej także mdłości: często wymiotowała, nie mogąc utrzymać w żołądku niczego poza mieszanką soku pomarańczowego i żelatyny. Tak jak u reszty Hollywood zdiagnozowano u niej anemię, co oznaczało konieczność przyjmowania zastrzyków z witaminy B i picia obrzydliwych w rodzaju soku pomidorowego z dodatkiem sproszkowanej wątroby („Nawet limonka i sos worcestershire z trudem maskują smak”). „W ogóle nie miałam poczucia satysfakcji, ani trochę – mówiła w wywiadzie dla «Modern Screen». – I byłam przerażona”.

Marilyn, najpopularniejsza aktorka na świecie, była osobliwie ubezwłasnowolniona. Ukochana seksbomba Ameryki stanowiła własność Twentieth Century Fox, a w owym czasie, czyli na początku lat pięćdziesiątych, wytwórnia decydowała o wszystkim: jaką rolę dostaniesz, z którym reżyserem będziesz pracować, jak często możesz iść do toalety, a czasami nawet za kogo wyjdiesz za mąż lub z kim się ożenisz. Szefowie studia nie darzyli swoich aktorów, a zwłaszcza aktorek, zbyt dużym szacunkiem i próbowali wywoływać między nimi nakręcające rozgłos kłótnie. Reżyserzy często czuli się zbędni i swoją frustrację wyładowywali na wykonawcach. Na porządku dziennym było zastraszanie, Marilyn zaś stanowiła wyjątkowo łatwy cel. „Każą ci uronić jedną łzę – skarżyła się – a jeśli czujesz, że powinnaś dwie, i ronisz dwie, okazuje się, że to błąd. Poprawiają cię, kiedy zamienisz «jaki» na «który». Aktorka nie jest robotem, a oni traktują ją, jakby nim była”.

Marilyn wiedziała, że zasługuje na więcej. Tylko w tym roku zarobiła dla wytwórni górę pieniędzy. Była jej słońcem, kurą znoszącą złote jajka, tymczasem Fox traktował ją jak tępą dojną blond krowę. Stojący na czele studia Darryl Zanuck twierdził, że „pod względem uczuciowym przypomina dziecko” i „brakuje jej umiejętności”, żeby zadbać o własną karierę (nie brakowało jednak, by zapewnić wytwórni połowę dochodu).

Fox dołączył ją do obsady *Rzeki bez powrotu* (1954), głupawego westernu ze scenariuszem kiepskim nawet jak na standardy Zanucka. Marilyn miała zagrać Kay, łatwą panienkę, saloonową pieśniarkę. Od tego typu ról robiło jej się niedobrze – musiała biegać w butach na wysokich obcasach, potykając się na śliskiej od potu podłodze, i znosić złośliwe przytyki kamerzystów, którzy spoglądali na nią złym okiem. Nienawidziła, gdy zmuszano ją, by grała lalunie. Najbardziej zaś nienawidziła Zanucka, który za plecami nazywał ją Strawhead<sup>[3\*]</sup>, a potem szybko inkasował kasę za filmy z jej udziałem, żeby utrzymać Foxa na powierzchni. Niestety, kontrakt wiązał Marilyn ręce. Zacisnęła zęby i przyjęła kolejną propozycję poniżej własnych możliwości.

Marzyła o czymś bardziej treściwym, o roli Heddy Gabler albo Gruszeńki z *Braci Karamazow*. Niedawno skończyła czytać *Nanę* Emila Zoli i zakochała się w zmysłowej francuskiej kurtyzanie. Podekscytowana zadzwoniła do George’a Cukora, żeby spytać, czy nie zechciałby nakręcić filmowej adaptacji z jej udziałem. Ale Cukor, zwany reżyserem kobiet, odmówił. Stwierdził, że to zbyt ryzykowne, bo czy rzeczywiście znalazłaby się publiczność gotowa wybrać się do kina na ekranizację dekadentkiej francuskiej powieści z XIX wieku?



Marilyn potrzebowała kogoś, kto by w nią wierzył. Jej prawnicy i agenci zasypywali ją komplementami przy sałatce i Dom Pérignon i mieli łzy w oczach, gdy wspominała o bitwach staczanych z wytwórnią. Zaczęła tracić nadzieję. Nikt nie chciał zaryzykować, nikt nie wierzył w jej talent. Fox, Paramount, MGM, nawet samo Los Angeles nie pozwalały jej oddychać. Dusiła się w oparach mizoginii, nie mogła dłużej znieść artystycznej konfekcji i cuchnących pieniędzy.

Potrzeba było drugiego outsidera, artysty o łagodnym głosie, fotografa z szalikiem w czerwonej kratę i akcentem z Brooklynu, żeby rozniecić w Marilyn płomień buntu, dać jej siłę, by mogła się przeciwstawić Darrylowi Zanuckowi i na zawsze odmienić stosunki panujące w Hollywood.

**M**arilyn od początku zdawała sobie sprawę z potęgi wizerunku, od pierwszych zdjęć, do których pozowała jako modelka pod koniec lat czterdziestych. Od dziecka była wzrokowcem. W sierocińcu godzinami leżała w łóżku na brzuchu, przeglądając czasopisma filmowe z końca lat trzydziestych i czterdziestych: „Movie Mirror”, „Photoplay” i „Screen Gems”. Przez lata studiowała podobizny gwiazd – rozchylone usta, wyskubane brwi i powłóczyście spojrzenie spod półprzymkniętych powiek. Kiedy więc obiektyw zwrócił się w jej stronę, była gotowa.

W przeciwieństwie do innych modelek i aktorek Marilyn blisko współpracowała z fotografami, charakteryzatorami i kostiumologami, a co więcej, zwykle to oni uczyli się od niej. Wiedziała, że jej podbródek kiepsko wygląda z boku, lewy profil ma ładniejszy od prawego i meszek na jej brodzie tworzy poświatę, dzięki której twarz zyskuje miękki rysunek à la Greta Garbo. Ćwiczyła wydymanie ust, żeby nie pokazywać dziąseł w uśmiechu. Jeśli nie podobało jej się jakieś zdjęcie, dziurawiła je szpilką do włosów.

W 1953 roku postanowiła skończyć z wymuskanymi fotosami bez wyrazu, potrzebowała tylko odpowiedniego fotografa. Przeglądając stosy rozmaitych portfolio, natknęła się wreszcie na zdjęcia, które przykuły jej uwagę. Zrobił je młody fotograf mody Milton Greene. Były zmysłowe i spontaniczne – zwłaszcza te Marlene Dietrich. Ze śnieżnobiałą szyją i wygiętymi w łuk plecami aktorka wyglądała na nich jak łabędź. „Jakie piękne – westchnęła Marilyn. – Chcę, żeby mnie sfotografował”. Wykonała kilka telefonów i niebawem Milton siedział na pokładzie samolotu do Los Angeles.

Zblazowany i krytyczny Greene nie był szczególnym wielbicielem gwiazd. W wieku trzydziestu jeden lat miał na koncie fotografie Liz Taylor, Avy Gardner, Cary’ego Granta i obu pań Hepburn. Jego zdjęcia pojawiały się na łamach „Harper’s Bazaar” i „Vogue’a”. Lubił kobiety eleganckie, z klasą i europejskim sznytem – wyzywające królowe ekranu nie robiły na nim wrażenia: „Tak naprawdę Marilyn nie należała do kobiet, za którymi bym się oglądał, choć wielu facetów kręciła. Widziałem kilka filmów z jej udziałem, wyglądała interesująco, ale mnie nie powaliła. W moim stylu są raczej Dietrich, Garbo, Audrey i Katharine Hepburn, a nawet pod pewnymi względami Judy Garland”. Gdy jednak poznał Marilyn, wszystko się zmieniło: „Od samego początku dobrze się ze sobą czuliśmy. Jakbyśmy mieli się umówić na randkę. Wyciągnęła rękę i powiedziała: «Jaki z pana chłopak», a ja na to: «A z pani dziewczyna». Właściwie od razu między nami zaiskrzyło”.

Milton Greene pojawił się w życiu Marilyn w odpowiedniej chwili, niosąc ze sobą powiew

rzeńskiego powietrza ze Wschodniego Wybrzeża. Wszystko, co się z nim wiązało, stanowiło obietnicę ożywczej alternatywy wobec Los Angeles z jego ostentacją i duszną atmosferą: kocie ruchy, marynarki, które zamawiał w Rzymie, a nawet akcent – brooklyńskie staccato. W przeciwieństwie do zwalistego, niechlujnego Darryla Zanucka Milton nie rzucał się w oczy – w czarnym golfie, czarnej lnianej marynarce, czarnych dżinsach i butach wyglądał jak bitnik wśród hollywoodzkich pawi. Urodzony w Nowym Jorku żył niemal po europejsku. Jego studio, które miał na środkowym Manhattanie przy Lexington Avenue 480, wyglądało jak żywcem wyjęte z filmów Felliniego. Pisarze, aktorzy i charakteryzatorzy bawili się tam, robili makijaż i pili sherry. Milton imprezował w towarzystwie muzyków jazzowych, a nie modeli, toteż zdarzało się, że nocą Max Roach albo Gene Krupa „wpadali do studia na jam session”. Nie był ani oślizgłym typkiem (wyjątek wśród fotografów mody), ani rutyniarzem. Nie robił wielkiego halo wokół oświetlenia („Jeśli nie potrafisz oświetlić czegoś za pomocą jednego światła, to po prostu nie potrafisz tego oświetlić”). Zamiast strzelać fotki bez opamiętania i dyrygować modelami, wyłączał telefon, nalewał sherry i bez pośpiechu wybierał płytę dla danej osoby i na daną okazję (w przypadku Marlene Dietrich był to zawsze Strawiński).

Na potrzeby pierwszej sesji Milton stał z Marilyn hollywoodzki make-up i zmył lakier z włosów, odsłaniając jej nową twarz. „Pozbyłem się mnóstwa tapety, była jak skorupa – wspominał. – Zrobiłem dużo delikatniejszy makijaż, żeby cera wyglądała świeżo. Marilyn nie była do tego przyzwyczajona, bo zwykle mocno się malowała. Może w filmach Felliniego aktorzy używali tylko odrobiny podkładu albo pudru, większość jednak przywykła do bardzo wyrazistego makijażu”. Zdjęcia zostały zrobione w Laurel Canyon, ale Marilyn, w bluzce z kołnierzykiem bebe, spódnicy w kwiatki i z fryzurą prawie na pazia, wyglądała jak dziewczyna z college’u Vassar<sup>[4\*]</sup> – promienna i książkowo zmysłowa w niczym nie przypominała panienki ze świerszczyka. Fotografie Milтона podbiły jej serce i natychmiast wysłała mu dwa tuziny róż.

Do czasu drugiej sesji Marilyn i Milton zdążyli się zakumplować. Ulokowawszy się na tyłach wytwórni, przetrząsnęli garderoby i znaleźli spódnicę z grubego płótna, a do tego chodaki, które Jennifer Jones nosiła w *Pieśni o Bernadecie* (1943) („To był absolutny szczyt – wspominała potem ze śmiechem Amy Greene – żeby symbol seksu ubrać w strój świętej”). Francuska wioska z *What Price Glory* (1952) stanowiła idealne tło do zdjęć, które nazywali potem *The French Peasant Sitting* (sesją francuskiej chłopki). W grubych czarnych pończochach i ciężkich klasztornych sabotach Marilyn zdawała się świecić wewnętrznym światłem, jasnowłosa hollywoodzka święta, olśniewająca, a zarazem zmęczona i wcale nie tak różna od samej Bernadetty. Niczym Kopciuszek na opak z pomocą Milтона w roli wróżki Marilyn zamieniła biżuterię Van Cleef na zgrzebne płótno.

Miltonowi jakimś cudem udało się to, czego nie zdołał osiągnąć żaden inny fotograf przed nim: wy dobył najgłębsze pokłady osobowości Marilyn. Jego zdjęcia były żartobliwe i figlarne – zupełnie inne niż okrutnie wymuskane hollywoodzkie fotosy. „Chciałabym, żeby mnie fotografował zawsze – mówiła Marilyn. – Mam mnóstwo zdjęć, ale dopiero Milton dał mi nadzieję i otworzył przede mną nową perspektywę. Tak naprawdę nie podobał mi się sposób, w jaki mnie fotografowano – dopóki nie zobaczyłam jego zdjęć. Jest nie tylko fotografem, ale też prawdziwym artystą. Nawet ze zdjęć mody, zwykle nudnych, potrafi wy dobyć coś pięknego”.

Marilyn była także pod wrażeniem sposobu pracy Greene'a: „Pierwszy raz w życiu nie musiałam pozować. Pozwolił mi po prostu myśleć, choć ani na chwilę nie przestawał robić zdjęć (...). Zupełnie nie byłam tego świadoma”. Milton wydawał kojące pomruki, słuchał swoich modeli i dyskretnie dostosowywał się do ich potrzeb. Promieniował spokojem i opanowaniem – nawet Judy Garland odprężała się w jego towarzystwie. „Niektórzy fotografowie albo przesadzają ze wszystkimi tymi «skarbie», «kochanie» – pisał wiele lat później jeden z rzeczników prasowych Marilyn – albo zachowują rezerwę. Milton potrafił sprawić, że gwiazdy czuły się przy nim swobodnie, a osoba taka jak Marilyn musiała mieć wrażenie, że ktoś się o nią troszczy, że może się rozluźnić”<sup>[4]</sup>.

Marilyn potrzebowała także poczucia bezpieczeństwa, a o to było trudno w mieście, gdzie dziewczyn było na pęczki. Przez lata milczała, opróżniała popielniczki i eksponowała swoje wdzięki na imprezach przy Doheny Drive. Zawsze znajdowali się mężczyźni – najpierw łowcy talentów, teraz producenci – którzy się na nią gapili i pożerali ją wzrokiem niczym łakomy kąsek. „Traktowali mnie jak rzecz – wyznała Miltonowi. – Nienawidzę, kiedy traktuje się mnie jak rzecz”.

Milton Greene miał do niej zupełnie inny stosunek. Gdy się przebierała, grzecznie odwracał się tyłem („Byłem zaskoczony, kiedy usłyszałem, że wszyscy na planie ją zaliczali – mówił. – Nie mogłem w to uwierzyć. Dotąd zresztą nie wierzę”). Odnosił się do Marilyn z szacunkiem, traktował ją jak równą sobie – byli nie tyle fotografem i modelką, ile współpracownikami. Milton zresztą myślał bardziej jak filmowiec, reżyser. Za każdym zdjęciem stała jakaś historia, dynamiczna opowieść, którą układał w trakcie pracy. Takie podejście zapewniało Marilyn twórczą przestrzeń do zabawy. Bawiła się więc, wyciągając z garderób, wypożyczalni kostiumów, a czasami z własnej szafy chłopskie koszule i saboty. Oto na jednym zdjęciu siedzi z bosymi stopami na tle czarnego aksamitu, wśród astrów i strusich piór barwionych na biało, śliwkowo i zielono, w luźnym szarobrązowym swetrze zarzuconym na błyszczącą brzoskwiniową koszulkę nocną, trącając struny bałałajki. Na innym ma etolę z lisa i rybacki kapelusz. Na kolejnym leży w nieposłanym łóżku przyjaciela, popijając sok ze szklanki. *The Dutch Girl Sitting* (sesja holenderska), *The Pekingese Dog Sitting* (sesja z pekińczykiem), *The Gypsy Sitting* (sesja cygańska) – wszystkie tchną wrażliwością, szczerością, dyskretnym humorem charakterystycznym dla rzadkiej odmiany przyjaźni, przyjaźni między dwojgiem artystów.

Tego lata Milton i Marilyn zawarli sojusz, który później odmieni ich życie. Spotykali się nieregularnie na tyłach wytwórni, gdzie wśród skrawków tkanin i nieużywanych kostiumów bawili się jak dzieci, porozumiewali w sobie tylko znanym języku, za pomocą drobnych gestów, jak brat i siostra. Oboje zmagali się z ranami odniesionymi w dzieciństwie (a także z dziecięcym jękaniem), oboje unikali tłumów, ale tęsknili za towarzystwem, oboje byli chimeryczni, ale łatwo wybuchali śmiechem, a jeszcze częściej po prostu się uśmiechali. Oboje byli nieco oderwani od rzeczywistości – żyli raczej wyobraźnią niż chwilą obecną. Przyjaciele Milтона mawiali, że rozmowa z nim przypominała oglądanie abstrakcyjnego obrazu. Potrafił rozprawiać na temat włosów Grety Garbo albo koloru śniegu w Rosji, by zaraz potem wymknąć się do swojego studia i pracować. Oczarowana sztuką i talentem Milтона Marilyn zorientowała się, że znalazła pokrewną duszę: „On jest taki wrażliwy, taki refleksyjny – mówiła z zachwytem. – Pracowałam z innymi fotografami, ale ten jest wielkim artystą”.

Marilyn przez całe życie pociągali mężczyźni dwojakiego rodzaju: osobowości twórcze, uczuciowe, z którymi się przyjaźniła, i osobnicy stanowczy, poważni i poważani, za których wychodziła za mąż. Milton Greene należał do pierwszej kategorii. Ze swoją zawadiacką nonszalancją i oczami jak węgle sam jednak roztaczał subtelny czar, na który kobiety nie pozostawały obojętne. W przypadku Marilyn granica między przyjaźnią a romanssem zawsze była płynna. Może i nie byli w swoim typie, ale iskrzyło z obu stron. „Chyba wydawało mi się – wspominał Greene po śmierci aktorki – że coś z tego będzie. Teraz łatwo tak mówić, ale wśród tych spojrzeń i ściskania się za ręce miałem wrażenie, że zaczniemy się spotykać. Choć to było tylko wrażenie”.

Przeczcucie Milтона potwierdziła sesja na zlecenie magazynu „Look”, którą zorganizował latem 1953 roku. Milton pokrył ciało Marilyn makijażem, dzięki czemu jej blada, matowa skóra w kolorze wanilii nabrała cieplejszego, miodowego odcienia. Marilyn pozowała nago, ubrana jedynie w pożyczony czarny kardigan, który dyskretnie się rozchyłał, odsłaniając fragmenty jedwabistej skóry. Sweter należał do Amy Franco, kubańskiej modelki i narzeczonej Milтона, która w tym czasie w Nowym Jorku planowała na wrzesień ich wesele.

Wciąż zarumienieni od intymnej atmosfery sesji zjedli kolację przy świecach w cichym bistro z prywatnymi salami przy Sunset Boulevard. Gawędzili o sztuce, Nowym Jorku, Marlene Dietrich – o tym, co zwykle, choć tym razem dawało się wyczuć pewną niecierpliwość. Tego wieczoru Milton odlatywał na wschód, a Marilyn zaproponowała, że odwiezie go na lotnisko. „Kiedy już miałem odejść, pocałowała mnie – przyznał. – A potem przyciągnęła do siebie i pocałowała jeszcze raz. Powiedziałem wtedy: «Poczekaj, teraz moja kolej». Pocałowałem ją i dodałem: «Rany, wcale nie mam ochoty lecieć». Na co ona, no wiesz, tym swoim głosem, stwierdziła: «Naprawdę chciałabym, żebyś nie musiał». Ja na to: «Ja też, ale wróć». Myślałem o niej całą drogę do Nowego Jorku”.

Dwa tygodnie później Milton przyleciał do Los Angeles na zupełnie inne zlecenie magazynu „Look”. Tym razem spędzał z Marilyn każdą wolną chwilę, ukryty w jej dwupokojowym mieszkaniu na południe od Sunset Strip. Pili szkocką, słuchali muzyki i wylegiwali się w łóżku razem z jej neurotycznym czarnym kotem. „Zacząłem ją naprawdę poznawać i to była już zupełnie inna sytuacja – tłumaczył. – Inne wrażenie, inny mechanizm. Polubiliśmy się. Nic na to nie potrafiłem poradzić”.

W ostatni weekend przed wyjazdem Milтона z Los Angeles wybrali się do Palm Springs, całą drogę robiąc zdjęcia. „Poszliśmy tam razem spać – mówił Milton – a potem wróciliśmy do niej i znów położyliśmy się do łóżka. Wreszcie ubraliśmy się i pojechaliśmy na przyjęcie. Byli tam wszyscy, łącznie z Frankiem Sinatrą. Chodziły słuchy, że Marilyn bierze lekcje śpiewu, i ludzie chcieli ją usłyszeć, zaśpiewała więc piosenkę z *Rzeki bez powrotu*. Poszło jej świetnie, bo była bardzo seksowna. Nie śpiewała jak Judy Garland, nie robiła też takiego show jak Sinatra, ale miała głos, który mówił: «Mam na ciebie chrapkę» – wznosił się wysoko i lśnił, i to było naprawdę seksowne. Nie był to może najwspanialszy głos na świecie, ale za to bardzo pociągający”.

Pociągający czy nie, Milton miał wrócić do Nowego Jorku i poślubić Amy, która była w drugim miesiącu ciąży. Marilyn rozpaczała: „Była smutna, bardzo przygnębiona. Powiedziałem jej: «Słuchaj, zawsze będziemy przyjaciółmi, zawsze będziemy się kochać»”. Nie wierzyła w to, nic jednak nie mogła zrobić. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek

go zobaczy.

Milton dał jej nadzieję, kiedy jej najbardziej potrzebowała. Zbliżała się do trzydziestki – tego straszego wieku, który dla aktorki oznaczał przemianę z kociaka w staruchę, zebranie o epizodyczne rólkę stukniętych starych panien i ciotek morderczyń. Marilyn przestała wierzyć w Hollywood – ale nie w siebie. Cały czas uśmiechała się do kamery, ukrywając pod tekstem scenariusza *Prawa człowieka* Thomasa Paine’a, wylegiwała się przy basenie w Beverly Hills, w rzeczywistości czytając książki, które wszyscy uważali za głupie rekwiizyty. Przez lata trzymała na nocnym stoliku *Żdźbła trawy*, marząc, że jej życie w końcu się zmieni. Jak Walt Whitman wiedziała, że „zawiera miliony”.

**K**iedy Marilyn poznała Milтона w 1953 roku, była związana z Joem DiMaggio. Przez osiemnaście miesięcy Joe zalecał się do niej, odwiedzał ją na planie, zabierał na drinka do Villa Capri albo na chińszczyznę do Bruce’a Wonga. Spędzał weekendy u niej w mieszkaniu, rozwalony przed telewizorem, a niedopałki cameli wysypywały się z ogromnej kryształowej popielniczki. Ich związek był gwałtowny, oparty na czułości i szacunku. Z manierami rodem ze Starego Świata i cichym oddaniem Joe chronił Marilyn przed wulgarnością fabryki snów – jej paskudnym narcyzmem i taną sławą.

Marilyn wiedziała, że Joe chce się z nią ożenić, coś ją jednak przed tym powstrzymywało. Martwiła się, że nie łączy ich zbyt wiele, że nie mają o czym rozmawiać. Milczenie Joego ją nudziło, a nawet budziło w niej lęk. Uzależniony od telewizora i całkowicie obojętny na sztukę DiMaggio rzadko otwierał książki, które wciąż od niej dostawał – Saint-Exupéry’ego, Juliusza Verne’a. A ponieważ do kariery aktorskiej Marilyn miał stosunek raczej ambiwalentny, jej walkę o twórczą przestrzeń w Hollywood zbywał lekceważeniem. „Nie wiem, czy będę potrafił znieść cały ten hałas wokół ciebie”, powiedział na początku ich znajomości. Marilyn odparła, że wcale nie musi, że jego to nie dotyczy. „Owszem, dotyczy – odparował – i to mi przeszkadza”<sup>[5]</sup>.

8 sierpnia 1953 roku Marilyn poleciała do Kanady, by kręcić *Rzekę bez powrotu*. Od samego początku wiedziała, że to nie jej bajka. Nie dosyć że kazano jej śpiewać i grać na gitarze, to jeszcze musiała brać udział w niebezpiecznych ujęciach – jeździć konno, strzelać i pływać tratwą po górskich rzekach. Reżyser Otto Preminger tyranizował ją, klepał po pupie i wyśmiewał się z jej zmagania z koszmarnymi scenami akcji. Podczas jednej z nich, kręczonej na rzece Athabaska, tratwa się wywróciła i do butów Marilyn wlała się lodowata woda. Aktorka skręciła nogę, niemal utonęła i resztę lata poruszała się o kulach. Gdy DiMaggio dowiedział się o jej wypadku, natychmiast przyleciał do Kanady i już do końca pracy nad filmem nie spuszczał Marilyn z oka. Zaraz po zakończeniu zdjęć zabrał ją do San Francisco, gdzie poznała jego matkę, gotowała makaron razem z jego siostrą i patrzyła, jak Joe łowi okonie z molo w Fisherman’s Wharf. Nie chciała od razu wracać do Los Angeles, wołała zostać w San Francisco, co ogromnie ucieszyło Joego. Kiedy wreszcie przybyła do Hollywood, towarzyszył jej DiMaggio – razem wynajęli dom przy North Palm Drive.

4 listopada 1953 roku w Wilshire Theatre w Beverly Hills odbyła się premiera filmu *Jak poślubić milionera*, który okazał się hitem zarówno w opinii krytyków, jak i publiczności – przyniósł wytwórni 8 milionów dolarów, zajmując drugie miejsce w rankingu najbardziej dochodowych produkcji Foxa tego roku. Co ważniejsze, przypieczętował status Marilyn jako

utalentowanej aktorki komediowej. Miała nadzieję, że wytwórnia w końcu zacznie traktować ją z szacunkiem, na jaki zasługiwała.

Zanuck jednak już wybrał dla niej nowy film – *The Girl in Pink Tights* (1954) – z idiotyczną fabułą i kolejną rolą głupiej laluni. Gdy wysłał jej scenariusz, Marilyn natychmiast go odesłała – z koszem na śmieci nagryzmołonym flamastrem na stronie tytułowej. Zanuck przypomniał jej o kontrakcie i poradził, żeby była grzeczną dziewczynką i nauczyła się roli.

Przy wsparciu DiMaggia Marilyn kategorycznie odmówiła. Gdy 15 grudnia miały się rozpocząć zdjęcia z jej udziałem, nie pojawiła się na planie. Zgodnie z zapowiedzią Zanuck zawiesił ją za pogwałcenie warunków umowy. Zdezorientowana i bezrobotna Marilyn musiała kolejne święta spędzić samotnie w hotelu Beverly Hills.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia Joe zrobił jej jednak niespodziankę: ogień w kominku, choinka, steki z łaty wołowej i Dom Pérignon w kubelku z lodem. Zarzucił jej na ramiona czarne futro z norek i w dowód wiecznej miłości podarował pierścionek z trzydziestoma pięcioma diamentami. Gdy tym razem poprosił ją o rękę, powiedziała: tak.

**W**iosną 1954 roku Marilyn odnowiła kontrakt z Foxem, zachowując przy tym ostrożność. Jej agent Charlie Feldman wynegocjował znacznie większą gażę i udział w ekscytującym nowym projekcie – komedii Billy’ego Wildera *Słomiany wdowiec* (1955). Najpierw jednak Marilyn musiała ostatni raz zagrać w musicalu – *Nie ma jak show*. Krzywiła się na myśl o tym, że znów trzeba będzie poruszać ustami do playbacku i podrygiwać w rytm muzyki, ale związana kontraktem musiała się zgodzić.

Wystarczyło kilka tygodni, żeby pożałowała swojej decyzji. Wytwórnia narzuciła takie tempo, że znowu musiała harować jak wół – po piętnaście godzin dziennie siedem dni w tygodniu – nad kolejnym bzdurnym musicalem, który miał uczynić Zanucka jeszcze bogatszym. Marilyn wstawiała o świcie, wciskała się w zdobione cekinami i sztucznymi kwiatami kostiumy i paradowała w kapeluszu z piórami niczym jakaś obłąkana papuga. Gubiła krok w kiczowatym tańcu, pocąc się w świetle silnych lamp łukowych, niezbędnych do kręcenia filmów w technikolorze, aż makijaż z niej spływał. W skrytości ducha wściekała się na Feldmana za to, że ją namówił, by przystała na warunki Zanucka.

Joe nie pomagał. Z oddanego mężczyzny zamienił się w mruka, który całe wieczory spędzał przyklejony do telewizora, oglądając westerny, albo znikał na noc, żeby pograć w pokera. Nawet nie próbował zakolegować się z jej hollywoodzką paczką – gdy Marilyn przyprowadzała przyjaciół, siedział ponury po ciemku, mamrocząc pod nosem coś na temat „bandy pozerów”. A kiedy w końcu raczył się zjawić na planie *Nie ma jak show*, sprawiał wrażenie, jakby wołał dziarskość i energię Ethel Merman od irytującego aktorstwa Marilyn. Widziano ją poza planem, jak otulona w futro z norek w ponad trzydziestostopniowym upale błąka się po Sunset Boulevard, cicho płacząc. Minęło zaledwie pięć miesięcy, a jej małżeństwo już się rozpadało. Myślała, że Joe zawsze będzie się o nią troszczył, że nigdy mu się to nie znudzi – wszystkie te nocne loty, rady dotyczące finansów. Przecież udawał nawet, że lubi jej łazanie. Kiedy skrzyła nogę w kostce, przyleciał do niej na drugi koniec kraju, a teraz nie odzywał się przy kolacji ani słowem.

Dwadzieścia cztery godziny po zakończeniu zdjęć do *Nie ma jak show* Marilyn poleciała do Nowego Jorku, żeby rozpocząć pracę nad *Słomianym wdowcem*. Błagała Joego, żeby razem

zwiedzali miasto: Metropolitan Museum, miejsca, gdzie grano jazz, czy choćby Central Park. On jednak zignorował te prośby i całe dni spędzał w knajpie Tootsa Shora, omawiając z przyjaciółmi walkę o mistrzostwo z 1952 roku. Było oczywiste, że ich małżeństwo się sypie. Wszędzie kręcili się pismacy, którzy z notatnikami w dłoniach tylko czekali na kolejne trzaśnięcie drzwiami czy pyskówkę w garderobie.

Ostateczny cios nadszedł 15 września o drugiej rano. Cztery tysiące osób zgromadziło się na rogu Lexington i Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, żeby popatrzeć, jak pęd powietrza z kratki wentylacyjnej metra unosi sukienkę Marilyn Monroe. Waniliowa suknia bez pleców, wielbiciele czekający w napięciu, błyskające flesze, krzyczący mężczyźni, którzy stanowili znakomitą reklamę, i gwałtowna scena między Marilyn a Joem. Z każdym wizgiem przejeżdżającego metra w DiMaggiu coraz bardziej gotowała się krew. Walter Winchell, bezlitosny tropiciel plotek, uśmiechnął się znacząco, szturchnął go w bok i spytał: „Co ty na to, Joe?”. Kipiąc gniewem, Joe zabrał się do Tootsa Shora, żeby utopić smutki w kieliszku, a następnego ranka złapał najwcześniejszy samolot do San Francisco. Marilyn wróciła do Los Angeles sama.

Zrozpaczona poprosiła wówczas o radę „starą dobrą Jane” Russell. Czy małżeństwo oznacza konieczność wyrzeczenia się siebie? Jak Jane udało się pogodzić karierę z byciem żoną i matką? Russell poradziła Marilyn, żeby problemów z pracy nie wносиła poza wytwórnię i w domu całą uwagę poświęcała Joemu. Marilyn jednak ani nie potrafiła ot tak się przełączyć, ani też nie chciała. Potrzebowała do tego otępiającego nembutalu i płyt Sinatry, żeby wyciszyć umysł. Zaczęła dostrzegać rozbieżności nie do pogodzenia – nie tylko między sobą a Joem, ale też między rodziną a karierą.

Niektóre aktorki, kiedy mówiły, że chcą się skupić na rodzinie, że teraz pragną tylko gotować, zajmować się dziećmi i zmieniać pieluchy, naprawdę tak myślały. Ale nie Marilyn. Owszem, wkładała wiele wysiłku w swój związek i chciała uszczęśliwić męża. Tylko że dla Joego – podobnie jak dla większości mężczyzn żyjących w Stanach Zjednoczonych w połowie XX wieku – to było za mało. Jak stwierdziła pewna dobrze poinformowana osoba z wytwórni: „Jeśli chodzi o wybór: małżeństwo czy kariera, w przypadku Marilyn małżeństwo mogło iść w diabły”<sup>[6]</sup>. I tak się stało. 22 października 1954 roku Marilyn, z zapuchniętymi oczami, ubrana w garsonkę LeMaire z czarnej gabardyny i naszyjnik z pereł Mikimoto, stanęła na schodach sądu w Santa Monica i ogłosiła rozstanie z Jankeską Błyskawicą.

**M**arilyn, której kariera od pewnego czasu nieco się chwiała, w wyniku rozwodu trafiła w sam środek medialnej burzy. Ścigana przez fotografów, osaczona przez dziennikarzy, wykończona emocjonalnie przez rozstanie stulecia potrzebowała ramienia, na którym mogłaby się oprzeć.

Jakiś czas po rozstaniu z Joem zadzwonił do niej Milton Greene. Był w mieście razem z Amy. Może Marilyn chciałaby się z nimi spotkać u Gene’a Kelly’ego? Marilyn milczała. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była branżowa impreza ze wszystkimi tymi dętymi żarcikami i złośliwościami. U Gene’a królowały szarady – już sama myśl o tym ją paraliżowała. Wyczuwając jej wahanie, Milton wysunął inną propozycję: zabierze ją najpierw na kolację, dzięki czemu będą mogli wślizgnąć się później na imprezę

niezauważeni. (Sam też nigdy nie nauczył się grać w szarady – dla obojga była to rozrywka pozbawiona polotu).

Gdy się zjawili, zabawa trwała w najlepsze. Amy zamachała do Marilyn i przywitała się z nią ciepło. Bez makijażu, w beżowym płaszczu zarzuconym na czarny trykot Capezio i z włosami wciąż wilgotnymi po kąpieli Marilyn zupełnie nie przypominała syreny, której Amy się spodziewała: „Nigdy nie widziałam nikogo tak przemoczonego. Wyglądała jak zmokła kura”<sup>[7]</sup>.

Marilyn zaszyła się w kącie razem z Miltonem. Po blisko roku rozłąki od razu odnaleźli wspólny język i szeptali do siebie z pochylonymi głowami. Ten chłopak w jaskrawej chustce na szyi i nieśmiała zmokła kura planowali coś naprawdę wielkiego.

**W** strząsy w życiu zawodowym i osobistym sprawiły, że Marilyn potrzebowała planu. Od ponad roku walczyła z Foxem i wciąż nie udało jej się uzyskać tego, na czym zależało jej najbardziej: kontroli artystycznej. Nawet ktoś tak energiczny jak Feldman nie zdołał jej tego zapewnić. Wycisnął z wytwórni więcej pieniędzy, ale jeśli chodzi o decyzje artystyczne, poległ z kretesem. Milton rozumiał, jak ważny jest wybór scenariusza, reżysera i operatora. Dlaczego Marilyn nie miałyby się wybić na niezależność, przeprowadzić do Nowego Jorku i założyć własnej wytwórni? Wokół tego pomysłu krążyli od miesięcy. Teraz mgliste koncepcje nabrały wyraźniejszych kształtów. W ciągu kilku dni Marilyn przeprowadziła się do apartamentowca Voltaire przy Sunset Boulevard, gdzie razem z Miltonem palili papierosy, podjadali przekąski i potajemnie planowali rewolucję. „Chodziło o to, żeby stworzyć niezależną firmę producencką, dzięki której Marilyn będzie mogła zerwać z dotychczasowym emplotem i nareszcie robić filmy, jakie zawsze chciała – wspominała Amy, od początku biorąca udział w spisku. – Uważała, że to cudowny pomysł. Aż puchła z dumy. Mówiła: «Będę szefową!»”<sup>[8]</sup>.

Urok tego planu po części wiązał się z Nowym Jorkiem. „W Los Angeles brakuje tego intelektualnego i kulturalnego fermentu, który można znaleźć w każdym innym wielkim mieście na świecie” – pisał Maurice Zolotow. Ten przyjaciel Marilyn nienawidził Los Angeles tak jak ona i twierdził, że do największych osiągnięć kulturalnych Miasta Aniołów należą „szczęsne supermarkety, jedno- i wielopiętrowe domy w stylu ranczerskim, grill na podwórku, pralnie samoobsługowe i burgerownie dla zmotoryzowanych”<sup>[9]</sup> (które Marilyn też lubiła). Do tej pory jej horyzont wyznaczały tutejsze grotty z chlorowaną wodą i fontanny udające te z Florencji. Wyprawy Marilyn do Nowego Jorku były jak dotąd raczej nijakie: nocne podróże pociągiem Twentieth Century Limited, kiedy skulona na kuszetce czytała *W stronę Swanna*, zamiast uczyć się roli do *Szczęśliwej miłości*. Szczoteczka do zębów, pudry i szminki upchnięte w taniej plastikowej torbie podróżnej, bluzki i staniki wciśnięte do białego kuferka z niewyprawionej skóry, który kupiła na kredyt, żeby wyglądać sztywnie i elegancko. Przez lata widziała Manhattan tylko w irytująco małych fragmentach. Teraz miał się stać jej domem.

Milton natychmiast zabrał się do dzieła. „Ustaliliśmy, że porozmawiamy z prawnikami – tłumaczył wiele lat później – dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi, przygotujemy nową umowę i będziemy walczyć z Foxem”. Przesłał kontrakt Marilyn swojemu prawnikowi Frankowi Delaneyowi, a ten z oburzeniem stwierdził, że wytwórnia narzuciła aktorce



„niewolnicze warunki pracy”. Co więcej, Delaney dostrzegł kilka furtek, które mogli wykorzystać. Milton był zachwycony, Marilyn jednak martwiła się możliwymi konsekwencjami. „W końcu się poddadzą – przekonywał ją Greene. – Tak to działa”.

Niebawem hollywoodzką załogę Marilyn zastąpiła drużyna z Nowego Jorku. Frank Delaney został jej prawnikiem. Superagenta Charliego Feldmana zwolniono, a jego miejsce zajął Jay Kanter, przyjaciel Milтона. Jeśli chodzi o mieszkanie, ustalono, że Marilyn zatrzyma się u Greene’ów w ich wiejskim domu w Connecticut, poza zasięgiem ludzi Zanucka. Wszystkim miał się zająć Milton – jemu zostawiła prowadzenie interesów. Nie przeszkadzał jej brak doświadczenia przyjaciela. W końcu tryskał entuzjazmem, miał znakomity gust, był opanowany, a zarazem cwaniacko pewny siebie, pomysłowy i dowcipny. „Marilyn była zagubiona i samotna – stwierdził. – Komu mogła zaufać? Przecież nie Zanuckowi, nie Charliemu Feldmanowi ani nie DiMaggiowi. Nie miała nikogo oprócz mnie. Tylko ja byłem gotów dać jej prostą odpowiedź. Tylko ja nie zamierzałem się opierdalać”. Milton wierzył w Marilyn: „Wcale nie była głupia – była inteligentna i miała swój rozum. Zawsze uważałem, że jest bystra. Czasami coś mnie przerastało, aż nie mogłem w to uwierzyć, a wtedy ona wyskakiwała z jakimś pomysłem albo uwagą i nagle wszystko było jasne, a ja mówiłem sobie: «O psiamać, dlaczego sam na to nie wpadłem?»”.

Pod koniec listopada Milton zrezygnował ze stanowiska w „Look” i zaczął pracować wyłącznie dla Marilyn. Oboje wierzyli w swoją sztukę i byli gotowi postawić wszystko na jedną kartę. „Mamy tylko tyle, co przy sobie – wspominała aktorka kilka miesięcy później. – Satysfakcję daje nam to, co i jak robimy”. Marilyn całkowicie ufała Miltonowi i wierzyła w jego umiejętności. „Nie miałem zbyt wielkiego doświadczenia – przyznawał Greene – ale myślę, że gdybym miał to wszystko zrobić jeszcze raz, nie zrobiłbym tego lepiej”.

**W** grudniu już w całym mieście huczało od plotek o tych dwojgu enfants terribles i ich nieskładnym planie. Przyjaciele wydzwaniali, próbując przemówić Marilyn do rozsądku, błagając, żeby nie ryzykowała i nie powierzała swojej przyszłości jakiemuś młodzikowi bez doświadczenia. Jak mogła być tak nieroztropna, działać tak pochopnie? Ona jednak wcale nie podjęła decyzji, by opuścić Los Angeles, pod wpływem impulsu. Jej przyjaciele nie zdawali sobie sprawy, że planowała ucieczkę od lat.

W życiu osobistym bywała zmienna i kapryśna, w sprawach sercowych cierpiała bowiem na chroniczną krótkowzroczność. Gdy jednak w grę wchodziła kariera – czyli sprawa dla niej najważniejsza – Marilyn nigdy nie traciła z oczu szerszego tła. Role w musicalach *Girl in Pink Tights* i *Nie ma jak show* nie należały do pierwszych, które ją znudziły. Zamiast robić awantury i płakać rzewnymi łzami jak jakaś diwa, buntowała się cichaczem, nosząc w czerwonej torebce Gucciego książki Lincolna Steffensa<sup>[5\*]</sup> ukryte wśród ciasteczek z orzechami i plastikowych wałków do włosów. Po cichu podejmowała decyzje, które pozwalały jej się rozwijać i wzrastać w siłę – zwolniła swoją nauczycielkę aktorstwa i zapisała się na lekcje do Michaiła Czechowa. U niego znalazła potwierdzenie tego, co zawsze intuicyjnie wyczuwała – że ważne jest, aby spoglądać w głąb siebie. Czechow nie walczył z jej „słabościami”, pokazał natomiast, w jaki sposób może rozwijać swoje umiejętności. Pod jego okiem uczyła się wykorzystywać inteligencję, zamiast grać niczym tresowana małpka. „Możesz robić wszystko – powiedział jej Czechow. – Nie pozwól, żeby

złapali cię w pułapkę formy, której potrzebują”.

Ale choć bardzo chciała uciec, była wystarczająco sprytna, żeby poczekać na odpowiedni moment. Zdjęcia do *Słomianego wdowca* skończyły się jesienią i Marilyn przeczuwała, że to będzie coś wielkiego. Nakręciła właśnie dla Foxa czternasty film i gdyby sprawy potoczyły się zgodnie z jej oczekiwaniami, byłby to też ostatni obraz dla tej wytwórni.

Zanuck i jego kumple nie mieli pojęcia, co się kroi. Marilyn przez lata grała słodką idiotkę, tłukąc dla nich pieniądze, a równocześnie przez cały ten czas w tajemnicy walczyła z własnym wizerunkiem.

Świadomość, że niebawem uwolni się od Hollywood, pozwoliła jej wreszcie rozluźnić się i zrelaksować podczas ostatnich tygodni spędzonych w Los Angeles. W mieście panował niezwykle radosny nastrój. Po wypadku samochodowym, w którym omal nie stracił wzroku, do klubu nocnego *Ciro's* wrócił Sammy Davis Junior – wszyscy pili jego zdrowie w *Mocambo* i *Crescendo*, a w ramach wsparcia nosili zdobione błyszczącymi kamieniami przepaski na jednym oku i wymachiwali szklaneczkami niczym piraci. Marilyn po raz pierwszy od lat cieszyła się życiem i bawiła razem z paczką Sammiego. Można ją było zobaczyć, jak siedzi na obitej pasiastą tkaniną ławie i karmi ciasteczkami Tony'ego Curtisa albo razem z Miltonem bawią się na podłodze z czymś psiakiem rasy bichon frise, którego sierść zdobiła spinka wysadzana kryształami górskimi. Na imprezach trzymali się razem jak para nastoletnich bitników – Milton w czarnej marynarce z Rzymu, a Marilyn w jednej ze swoich obcisłych czarnych sukienek, które zwykle nosiła. „Tylko chichotali – wspomina przyjaciół pary. – Wyglądali niemal jak rodzeństwo. Nie sądzę, żeby coś między nimi było”.

Ostatniego dnia w Los Angeles Marilyn otworzyła dwa kuferki Louis Vuitton i zebrała te wszystkie okruchy dotychczasowego życia, które wciąż miały dla niej znaczenie: portret Abrahama Lincolna, tryptyk przedstawiający Eleonorę Duse, biustonosz Vassarotte i sonety Edny St. Vincent Millay. To miasto było całym jej światem od czasów sierocińca, który znajdował się obok siedziby RKO Pictures. Ze swojego okna widziała Mount Lee z literami układającymi się w napis HOLLYWOOD. Całe jej wypłowiłe dzieciństwo to była Kalifornia – koksownicy na ropę i slumsy, chałupy z desek i blachy, podwórka otoczone siatką i upstrzone białym plastikiem. Domorośli kaznodzieje, którzy w małych smutnych gajach pomarańczowych rozniecali w sercach płomień, strasząc ogniem piekielnym<sup>[6\*]</sup>. Przerażali ją ci wszyscy czarnowidze i wróżbici ze spizarkami pełnymi zielonej pszenicy, niechęcią do paracetamolu, długimi rozmowami o Bogu i o tym, co tak naprawdę dla Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki znaczy jeść winne jagody.

Mimo to w Los Angeles było coś surowego i czarującego – migoczące światła Catalina Island, woń przejrzałej owocowej pulpy, amfetaminy i spalin w zachodnim Hollywood. Wyjazd zwala się na człowieka z wielką mocą, sprawia, że zwyczajne codzienne sprawy zyskują głębszy wymiar. Nagle odgłos windy, błysk łyżeczki na tacy czy ostatnia przekąska kupiona w ulubionym sklepiku poruszają do łez i oto zaczyna się tęsknić za miejscem, którego się jeszcze nie opuściło, choć nigdy dotąd nie sądziło się, że może go brakować.

Co myślała Marilyn, kiedy w końcu zatrzasnęła wieka kuferków, zatrzymała taksówkę i po raz ostatni ruszyła Sunset Strip na lotnisko? Oto Villa Nova z witrażowymi oknami i belkowaniem w stylu hacjendy – to tu umówiła się na pierwszą randkę z Joem DiMaggio.

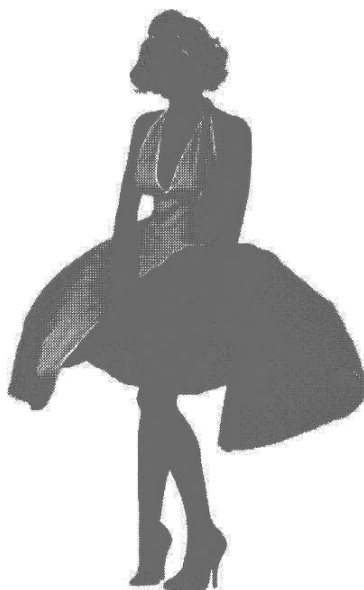
Oto Polo Lounge, gdzie oprócz koktajlu o nazwie Tom Collins można sobie zażyczyć wróżenia z dłoni, i hotel Garden of Allah, w którym z utęsknieniem czekała, aż Joe Schenck albo Sydney Chaplin postawią jej drinka. I wreszcie Schwab's Pharmacy, gdzie w towarzystwie Sidneya Skolsky'ego łykała tabletki i sączyła mrożoną kawę, gapiąc się na „naprawdę śliczne call girls”, a powietrze było aż gęste od nikotyny, rozwodnionych lodów i perfum.

„Trzeba było wielkiej odwagi, żeby opuścić Hollywood, porzucić cały ten luksus, pieniądze i wpływy, zwłaszcza jeśli ktoś był w przeszłości tak biedny jak ty” – stwierdziła Elsa Maxwell kilka miesięcy później. „Nie – odparła cicho Marilyn. – Nie, Elso, to zupełnie nie tak. To żeby zostać, potrzebowałam więcej odwagi, niż miałam”.



*Dwa*  
**Uciekinierka**

Marilyn Monroe podczas przechadzki po Nowym Jorku, marzec 1955 rok.  
FOT. ED FEINGERSH/ARCHIWUM MICHAELA OCHSA/GETTY IMAGES



Niedawno ktoś mnie zapytał: „Co zamierzasz robić w Nowym Jorku? Kim tak naprawdę chcesz być”. Odpowiedziałam: „Chcę być artystką”.

*Marilyn Monroe*<sup>[10]</sup>

**G**reene'owie mieszkali w wiejskim domu na szczycie wzgórza w sielskiej mieścinie o nazwie Weston w stanie Connecticut. Dom, który powstał po przebudowie osiemnastowiecznej stajni, był wysoki i przestronny, z wielkim kominkiem otoczonym robionymi na zamówienie kanapami. Milton go zmodernizował, wymienił ciężkie drzwi na przeszklone, dobudował ciemnie i pracownie. W budynku było szesnaście pomieszczeń, łącznie z pełną roślinną oranżerią, która przylegała do ogromnej kuchni w stylu kolonialnym, wyposażonej w nowoczesne sprzęty. Pokój gościnny został przearanżowany i odnowiony na potrzeby Marilyn. „Urządziliśmy pokój gościnny specjalnie dla niej – mówiła Amy Greene magazynowi «Photoplay». – Cały w fioletach, różach i bieli. Firanki i falbanki na łóżku są z białej organdy. Na ścianach położyliśmy lawendowe tapety w drobny fioletowy wzorek, a na podłodze dywan w podobnym odcieniu. Łóżko przykrywa kapa w różową kratę, są też ciemnofioletowe aksamitne jaśki. Wstawiliśmy starą komodę z marmurowym blatem, a na niej postawiliśmy różową porcelanową lampę. Wystrój jest więc prosty i nieco staromodny, ale zarazem delikatny tak jak Marilyn i bardzo do niej pasuje. Jest zachwycona”.

Jedenaście akrów. Ogrody warzywne. Dziki las rodem z baśni albo jednej z tych rosyjskich ksiązek, które tak lubiła. Nigdy dotąd nie znajdowała się równie blisko natury jak tu, niecałe siedemdziesiąt kilometrów od Nowego Jorku. Owinięta w płaszcz Milтона codziennie chodziła na spacer do lasu, brnąc w śniegu razem z terierami niczym Gruszeńka czy Lara. To był jej pierwszy śnieg – uwielbiała, jak trzeszczy pod nogami. Nigdy wcześniej nie widziała drzew bez liści czy nawet tak wyraźnego następstwa pór roku. „Pamiętam, że pewnego dnia – wspominała Amy – kiedy wracałyśmy do domu od przyjaciół, Marilyn spojrzała na wzgórze i stwierdziła, że drzewa wyglądają jak gołe, martwe patyki. A potem, w następnym tygodniu, zaczęły się zielenić. Dla niej to było coś na kształt cudu”.

Tej magicznej zimy, kiedy koncentrowała się na swoim wnętrzu, Marilyn wstawiała, gdy miała ochotę, i szła prosto z łóżka na balkon z widokiem na lasy brzozy i góry. Właściwie nie zdejmowała białego szlafroka, a poza tym godzinami moczyła się w kąpieli z pianą, ze spiętrzonymi na czubku głowy namydlonymi blond włosami, zaróżowiona niczym cherubinek z obrazów Bouchera. „Wyglądasz jak napój truskawkowy” – stwierdziła zachwycona Amy.

Marilyn, o dziwo, natychmiast przystosowała się do rytmu życia rodziny. Amy, która wcześniej nieco obawiała się wyskoków primadonny, była oczarowana gościem. „Ścieliła łóżko, utrzymywała porządek w pokoju, przynosiła ubrania w dzień, kiedy wypadało pranie. Jeśli wstawiała późno, sama sobie robiła śniadanie, spłukiwała naczynia i wstawiała je do zmywarki. Ani nasza służąca, ani ja nigdy nie musiałyśmy jej obsługiwać”.

Kitty Owens, kucharka Greene'ów, od razu polubiła Marilyn, nie dostrzegła w niej bowiem żadnych skłonności do gwiazdorzenia. Aktorka co wieczór zaglądała do kuchni, żeby obrać ziemniaki albo pokroić fasolkę szparagową („Dobra wielkość?”). Gawędziły o mężczyznach i Marilyn zwierzyła się Kitty ze swojej słabości do Abrahama Lincolna. „To był wspaniały facet – westchnęła, jakby miał ją zabrać na randkę do Clambake Club. – Gdy

widzę takiego mężczyznę, mam ochotę natychmiast usiąść mu na kolanach”.

Ponieważ w najbliższym czasie nie czekał jej żaden nowy projekt filmowy, Marilyn mogła rozkoszować się domową kuchnią Kitty bez obawy, że odrobinę przytyje. Po latach żywienia się koktajlami z surowych jaj i wątróbką podsmażaną na hotelowych kuchenkach w końcu jadła z przyjemnością. Woląла smaki wytrawne od słodkich i kochała warzywa – duszone pomidory i kukurydzę, fasolkę szparagową, czerwoną kapustę z jabłkami i dynie. W zimne wieczory rozgrzewała się gorącą miską chilli albo ulubioną nocną przekąską – jajecznicą z anchois i kaparami. Kitty zawsze trzymała na podorędziu mnóstwo szpinaku, bo dieta gościa musiała być bogata w żelazo. Pewnego razu zastała Marilyn na kuchennym blacie – stała na palcach i zdrapywała szpinak z sufitu („Kitty, zdarzył mi się mały wypadek...”). Okazało się, że za wcześnie otworzyła szybkowar.

Domownicy z wyrozumiałością traktowali jej dziwaczne nawyki. Każdego ranka Clyde, mąż Kitty, zanosił na górę worek lodu, który wsypywał do miski. Marilyn miała w zwyczaju na nim stać: „Dzięki temu będę miała mocne nogi!”.

Milton bał się, że Marilyn zacznie się niecierpliwic, dlatego zabierał ją na długie przejażdżki swoim niemieckim motocyklem. Czasami jechali razem na Manhattan, by spędzić w mieście szykowny wieczór. Marilyn spotkała się nawet z Joem. „Pamiętam – mówiła Amy – jak po raz pierwszy w Connecticut zadzwonił telefon i okazało się, że to DiMaggio. Dzwonił, żeby zaprosić nas na kolację. Zupełnie mi odbiło. Poszliśmy do starego El Morocco. Siedziałam tam i gadałam z Joem o baseballu, a on był zachwycony. Marilyn nigdy to nie interesowało. Trzymał mnie za rękę – miałam wrażenie, jakbym włożyła dłoń do ogromnej mufki. To był cudowny wieczór”.

Przez większość czasu jednak Marilyn chętnie siedziała w domu. Ubieranie choinki, pieczenie marchewek z Kitty, poranny jogging z Amy – wszystkie te rytuały były dla niej czymś nowym i zachwycającym. Uwielbiała Joshuę, synka Greene’ów, i zawsze była gotowa nakarmić go albo wykąpać, owinąć w jeden ze swoich szlafroków frotté i umościć w gniazdku wśród poduszek. Zasypywała go prezentami – dostał od niej między innymi worek na pizamę w formie maskotki imieniem Ethel i ogromnego pluszowego misia o imieniu Socko. „Kiedy jesteśmy zajęci – mówiła Amy «Photoplay» – Marilyn zawsze siada na podłodze, żeby się z nim pobawić”. Po raz pierwszy w życiu aktorki pojawiła się stabilizacja, a co ważniejsze – miała czas.

Prasa jednak nadal nie mogła się otrząsnąć po rozpadzie jej małżeństwa. Wciąż pojawiały się nagłówki w rodzaju „Zawsze będę sama” albo „Marilyn, nie obwiniaj się”, opublikowano nawet list otwarty do aktorki. Zaniepokojeni jej życiowymi wyborami dziennikarze zmienili strategię i zaczęli napomyskać o „nieokreślonym strachu, który rządził całym jej życiem”. Gwałtowny wzrost popularności psychoanalizy zaowocował modnymi diagnozami i obudził na nowo zainteresowanie trudną przeszłością Marilyn. Skaza, jaką stanowił rozwód, sprawiła, że światła reflektorów skierowały się na mroczne korzenie bożyszczka Amerykanów. Nagle Marilyn znów była sierotą pozbawioną „prawdziwego poczucia własnej wartości”, „przestraszoną, samotną i niepewną siebie młodą kobietą”. Dziennikarze wykorzystywali stare klisze – biedna mała ślicznotka samotnie spędza święta.

Podczas gdy w prasie pojawiały się opowieści o jej ponurym Bożym Narodzeniu, Marilyn poznała właśnie nowe towarzystwo, do którego należało wiele twórczych osobowości.

Greene'owie w weekendy prowadzili dom otwarty – gościli reżysera Josha Logana i jego żonę, aktorkę Neddę Harrigan Logan, producenta Mike'a Todda, agentkę literacką Audrey Wood, kompozytorów Leonarda Bernsteina i Richarda Rodgersa. Marilyn początkowo unikała wspólnego śpiewania przy pianinie i plotek ze świata teatru. Godzinami kryła się w łazience i dopiero po jakimś czasie schodziła cicho, ubrana w spodnie i sweter, żeby z lekkim uśmiechem na nieumalowanych ustach zwinąć się w kłębek w fotelu. Czasami siadała na schodach z nogami dyndającymi nad szaroniebieskim dywanem, a mały Josh przystawiał jej szklaneczkę burbona do ust. Zdarzało się też, że nie pojawiała się wcale: „Nie będziesz miała mi za złe, jeśli dziś wieczorem nie zejdziesz na dół?” – szeptała do Amy przez drzwi łazienki.

„Na przyjęciu nigdy nie siadała w kącie, udając królową i czekając, aż podejda do niej goście – pisała Amy Green. – Widywałam ją raczej, jak opróżnia popielniczki albo zbiera puste kieliszki. W tej okolicy mieszka dużo osób związanych z show-biznesem, reklamą i branżą wydawniczą, a ona była po prostu jedną z nas. W dodatku umiała słuchać. I to zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Dziewczyny szybko się zorientowały, że Marilyn nie poluje na niczyjego męża. Pasowała do nas, ot co, i wszyscy ją pokochali”.

Amy natychmiast ucinała wszelkie kąśliwe uwagi związane z reputacją Marilyn: „Ludzie myśleli, że Marilyn to takie połączenie Thedy Bary i Maty Hari – niebezpieczna kobieta wamp. Nieraz słyszałam: «Jak mogłaś wpuścić ją do swojego domu, do swojego życia, bla, bla». Całkowicie jej ufałam. Ufałam jej jako kobieta. Mojemu małżeństwu z jej strony nic nie groziło”.

Widok ulubionej seksbomby Ameryki wylegującej się w szlafroku u niej w domu nie sprawił, że Amy zaczęła czuć się niepewnie: „Wręcz przeciwnie, to ja ją onieśmiałam. Powiedziała mi raz: «Peszysz mnie». A ja odparłam, że to dobrze, bo każdy powinien się kogoś bać”. Amy jeszcze nie odkryła, że Marilyn bała się wszystkich.

Wiele osób, które twierdzą, że czują się pewnie, w rzeczywistości odczuwa coś wręcz przeciwnego, Amy jednak mówiła prawdę. Ze swoim rzeczowym tonem i nawykami kogoś znacznie starszego była wyjątkowo twardo stąpająca po ziemi, choć miała dopiero dwadzieścia pięć lat. Na pewno pomagało jej to, że prezentowała się równie olśniewająco jak Marilyn, choć była brunetką i miała bardziej wytworny styl. Przy stu pięćdziesięciu dwóch centymetrach wzrostu, czterdziestu trzech kilogramach wagi, zadartym nosku i twarzy usianej piegami wyglądała na piętnastolatkę. Prawie w ogóle się nie malowała – Marilyn musiała ją dopiero nauczyć, jak używać kredki do oczu. Co więcej, Amy żyła w świetle, o jakim Marilyn mogła tylko pomarzyć. Dorastała w Upper West Side, pozowała dla Richarda Avedona, chodziła do szkoły prowadzonej przez zakonnice, znała Anne Klein, mieściła się w egzemplarze próbne nowych kolekcji, a jej mamka była kubańską czarownicą.

„Masz szczęście, że ktoś taki jak Milton pokochał cię i się z tobą ożenił” – powiedziała pewnego razu Marilyn ze smutkiem w oczach. „Wiem – odparła Amy – ale on też jest szczęściarzem, bo ma mnie”. Marilyn zachichotała. Nigdy dotąd nie słyszała, by kobieta mówiła coś takiego.

Ponieważ Milton pracował w mieście, Marilyn i Amy spędzały popołudnia na wyszukiwaniu antyków albo jechały do Westport na kawę i eklerki w Daily Corner, kawiarni należącej do Heny, siostry Milтона. „Marilyn lubiła jazdę samochodem – wspominała Amy. –



Brałyśmy auto z opuszczanym dachem i mknęłyśmy autostradą. Obie uwielbiałyśmy czuć wiatr na twarzy i ciepłe powietrze z nawiewu na nogach”<sup>[1]</sup>.

To nie tak, że Amy tylko „tolerowała” Marilyn – ona naprawdę ją lubiła. „Rozmawiałyśmy na wszystkie możliwe tematy – od ubrań przez prowadzenie domu, wychowywanie dzieci aż po nagłówki w prasie. Czasami chichotałyśmy jak pensjonarki. Kiedy indziej obmyślałyśmy niezawodny sposób, by ocalić świat. No wiesz, jak to kobiety... Uważałam, że to wspaniale, że do nas przyjechała. Tak dobrze mieć w domu dziewczynę. Dorastałam w szkole z internatem i choć mamy z Miltonem mnóstwo przyjaciół, to jednak dzieli nas spora odległość i wszyscy jesteśmy tacy zajęci. Rzadko mam okazję usiąść i porozmawiać z innymi kobietami”. Ta sympatia była obustronna. W swoich hollywoodzkich czasach Marilyn miała kilka bliskich przyjaciółek – wszystkie były gwiazdkami, które w Beverly Hills Hotel zajmowały się plotkami.

Ze swoimi wykrochmalonymi białymi kołnierzykami i kucykami w stylu pensjonarki Amy należała do kobiet, które nieodmiennie określa się mianem „poukładanych” czy też „dobrze wychowanych” – jej styl stanowił całkowite przeciwieństwo stylu Marilyn, którego znakiem rozpoznawczym były niedbale opadające ramiączka. Marilyn jednak podziwiała jej opanowanie i podczas zimowych wakacji spędzonych u Greene’ów sama zdołała go sobie nieco przyswoić. „Każda sprawna i kompetentna osoba ogromnie jej imponowała” – pisała Jane Russell, jeszcze jedna bliska kobieta, której mimo praktycznego stosunku do życia udało się zachować olśniewający blask. Troskliwe przyjaciółki obdarowywały Marilyn adresownikami i kalendarzami na biurko, ona jednak prowadziła w nich dzienniki, zapisywała wiersze albo pomysły na scenariusz. Ważne numery telefonów i kontakty często notowała na pogniecionych chusteczkach higienicznych, które rzucała na tylne siedzenie samochodu razem z pasami wyszczuplającymi, kartami pokładowymi, butami nie do pary i mandatami.

Pozostawiona sama sobie Marilyn była wcieleniem niedbałości, tymczasem pod dachem Amy okazała się „schludna, porządna i absolutnie bezproblemowa”. Amy z wielką chęcią zajęła się gościem, poczynając od kwestii praktycznych, takich jak garderoba. Podobnie jak większość Kalifornijczyków Marilyn właściwie nie miała żadnych zimowych ubrań. „Moja przyjaciółka Annie Klein, cudowna projektantka, w swoim biurze przy Siódmej Alei miała «magiczną» szafę. Trzymała w niej tkaniny, których klienci bali się kupować, bo na przykład były zbyt awangardowe. Tylko trzy osoby miały dostęp do tej szafy: Annie, ja i jej modelka imieniem Reggie. Marilyn zjawiła się u nas na Gwiazdkę. Powiedziałam Annie: «Słuchaj, mam przyjaciółkę, jest aktorką – nie wspominałam kto to – i potrzebuję dla niej trochę ciuchów. Nie zna się na modzie, a ja muszę ją ubrać». Na to Annie odparła: «Przychodź i bierz, co chcesz». Przyszłam więc do niej do biura, wybrałam jakieś osiem kreacji i kazałam je wysłać do Connecticut. Marilyn znalazła je rano w Boże Narodzenie pod choinką i osłupiała. Nikt wcześniej niczego takiego dla niej nie zrobił. Nikt”.

„W Wigilię zabrałem ją do Nowego Jorku – wspominał Milton. – Zobaczyła wszystkie te sklepy, choinki, światelka. To było jej pierwsze Boże Narodzenie tutaj. Zaczęliśmy od Lord & Taylor i dalej poszliśmy w górę Piątej Alei. Zachowywała się jak mała dziewczynka, to było bardzo poruszające. Miała na sobie palto i szalik, była bez makijażu. Wyglądała cudownie”.

Rankiem w dzień Bożego Narodzenia Marilyn, powłócząc nogami, zeszła na dół

w futrzanych zimowych kapciach, workowatym swetrze pod szyję i spodniach Milтона. Pod obwieszonym świecidełkami drzewkiem pełno było pudełek, wstążek i błyszczącego papieru. Telefon dzwonił bez przerwy – to Frank Sinatra, Sidney Skolsky, Billy Wilder i Bob Hope wydzwaniali z Los Angeles. Amy odbierała, udając niewiniątko, a Marilyn i Milton chichotali z tyłu. „Panie Hope, proszę mi powiedzieć – pytała ze spokojem Amy – czy Marilyn zaginęła?”. Odwiesiła słuchawkę i rzuciła się na podłogę, zwijając się i wyjąc ze śmiechu razem z Marilyn i mężem.

Telefon wciąż wydzwaniał, gdy 1 stycznia 1954 roku Milton sformalizował działalność Marilyn Monroe Production. Od tej pory już oficjalnie było wiadomo, że aktorka się ukrywa.

**A**my była po Miltonie największą sojuszniczką Marilyn. Milton nie tylko zostawił stałą posadę w „Look”, ale też obciążył hipotekę ich domu i wyczerpał całą swą zdolność kredytową, by wspomóc przyjaciółkę i nowe przedsięwzięcie. A ponieważ miał na utrzymaniu żonę i rocznego synka, ryzykował wszystko, Amy zaś nigdy nie mrugnęła nawet okiem. Marilyn Monroe Production oznaczało przyszłość i była gotowa zrobić, co mogła, by pomóc.

Jej pierwszym zadaniem była zmiana wizerunku Marilyn. Milton od dawna kręcił nosem na garderobę przyjaciółki, ograniczającą się w zasadzie do rzeczy bardzo obcisłych albo niechlujnych. „Wygląda jak szmata” – jęczał za każdym razem, gdy pokazywała mu nową sukienkę. Błagał, żeby przestała spać w makijażu, i namawiał ją, by używała pozłacanej szczotki do włosów, którą dostała na urodziny od Sinatry. „Nie bądź flejtuchem i zacznij się zachowywać jak kobieta”.

„Słuchaj – mówił – masz coś, co wygląda fantastycznie na ekranie, a chodzisz ubrana jak kocmołuch. Chcesz być wielką aktorką, właściwie już nią jesteś, ale musisz się zacząć nosić w określony sposób. Spójrz na Katharine Hepburn, ma własny styl. Ty też potrzebujesz czegoś innego niż tandetna blond seksbomba. Dlatego marsz do sklepu po ciuchy”.

Zawiózł Marilyn na Manhattan do luksusowych domów towarowych Bergdorf, Bonwit Teller i Saks. „W Bergdorfie kupiła wspaniałą przezroczystą sukienkę, ale właściwie nigdy jej nie włożyła. Po prostu wróciła do starych ciuchów – zbyt kusych, niedopasowanych spodni i zawsze źle skrojonych bluzek”.

Zirytowany tą rozrzutnością Milton poprosił żonę o pomoc. Jako była modelka – która nosiła perły blisko szyi na długo przed Jackie Kennedy – Amy znakomicie nadawała się na wyrocznię mody. Jak na typową fashionistkę przystało, zaczęła od butów: „To ja zmusiłam ją, żeby wreszcie pozbyła się tych okropnych trepów, które stale nosiła – z okrągłym noskiem, zabudowaną piętą i pięciocentymetrową przerwą z boku, na wysokości podbicia. Miały je wszystkie gwiazdy w Twentieth Century Fox. Kupiłam jej pięćdziesiąt par włoskich butów w Dalco – klasyczne pełne czółenka na wysokim, prawie dziewięciocentymetrowym obcasie. Zapłaciłam dwadzieścia dolarów za parę, a ona nosiła je do końca życia”.

Z ubraniami sprawa była nieco bardziej skomplikowana. Zawartość kuferka, który Marilyn zabrała ze sobą do Nowego Jorku, nie zrobiła na Amy wrażenia – dzinsy z sieciówki J.C. Penney albo ze sklepów z nadwyżkami dla wojska, sukienki z bufiastymi rękawkami i dziecięcym karczkiem, opięte sweterki, a do tego beżowe garsonki Dona Lopera i wyszywana koralikami sukienka Ceil Chapman, którą Marilyn nosiła na scenie w Korei.

Dla wyrafinowanej, wychowanej na Wschodnim Wybrzeżu Amy cała ta kolekcja była nieomal żalosna, szybko jednak zorientowała się, jaka była tego przyczyna – Marilyn właściwie nie modyfikowała swojej garderoby od początków kariery. „Za każdym razem, kiedy miała gdzieś wyjść, szła do przyjaciółki, która pracowała w dziale kostiumów Foxa, pożyczła coś, a następnego ranka odnosiła razem z pięćdziesięciodolarowym banknotem”. Taniej byłoby kupować sukienki, Marilyn jednak nie wybiegała aż tak daleko w przyszłość, a poza tym wiedziała, że pewnie i tak by je straciła.

Amy uznała, że najlepiej będzie zacząć od podstaw. „Chciałam jej kupić kilka kaszmirowych swetrów, zabrałam ją więc do butik Separates Shop, który mój przyjaciel Bootsy Moffat prowadził w Westport. Bardzo cichutko poprosiła: «Przynieś mi coś w rozmiarze 34, 36 i 38». Ten w rozmiarze 38 miał być miękki i bezkształty, ten w 36 – na wieczorowe wyjścia, a ten w 34 – do telewizji. Powiedziałam: «Chryste, weź wszystkie w rozmiarze 38». Obcisłe sweterki Marilyn nazywała ciuchami do pracy. Uważałam, że to idiotyzm”.

Marilyn od lat ubierała się w ten sposób – wciskała się w za małe rzeczy i wszywała kulki do stanika. „Przymierzała sukienkę w rozmiarze dwanaście i jeśli jej się podobała, kupowała taką samą, ale w rozmiarze dziesięć” – pisała Shelley Winters, która chodziła z nią w Hollywood na zakupy. Shelly błagała przyjaciółkę, żeby wzięła odpowiedni rozmiar, ona jednak mówiła: „Wzdęło mnie” albo: „Właśnie wypiłam trzy cole”.

Teraz w Westport w stanie Connecticut zamierzała uciec się do tych samych sztuczek. „Patrzyła na mnie z ukosa i pytała: «Co ci się nie podoba?». A ja na to: «Za ciasna w biodrach» albo: «Spódnica jest za krótka». Przyjmowała do wiadomości moje komentarze, ale traktowała je z pewną rezerwą i brała pod uwagę tylko do pewnego stopnia. Po chwili znów wypływała kwestia «ciuchów do pracy»”.

„Jesteś gwiazdą – tłumaczyła Amy. – Możesz nosić, co chcesz. Ale nie musisz pokazywać tyłka ani cycków”. Marilyn jednak czuła się obco w świecie „uznanej” mody dla elit, która pasowała raczej dobrze ułożonym wiotkim dziewczynom takim jak Amy. Wiedziała, że nigdy nie będzie „elegantką”. Zdawała sobie sprawę, że nie trafi do „Vogue’a”. Poza tym zupełnie nie interesowało jej podążanie za trendami – była niemal zbyt piękna, żeby stać się ikoną mody. W połowie XX wieku, kiedy nowe kierunki wyznaczały Diana Vreeland, Wallis Simpson, Babe Paley, a początkowo nawet Jackie Kennedy, najpierw zwracano uwagę na strój, a dopiero potem na kobietę. Marilyn instynktownie wiedziała, jak odwrócić tę sytuację. Sukienka, choćby nie wiadomo jak piękna, zawsze była tylko oprawą. To twarz, ciało, włosy i skóra były przedmiotem ekspozycji. Dlatego właśnie Marilyn zawsze wołała neutralne kolory – nawet jej najszykowniejsze suknie były czarne, białe albo beżowe z nutami brązu. Biżuteria też odwracała uwagę od tego, co najważniejsze. „Nie mam ani jednego diamentu, nawet wielkości łebka szpilki” – chwaliła się na łamach „Modern Screen”. W czasach, kiedy krótkie naszyjniki były niemal obowiązkowe, Marilyn nie nosiła na szyi żadnych ozdób. Tak więc podstawy własnego stylu już miała, Amy musiała go tylko wydobyć.

Z typową dla siebie bezpośredniością Amy zwróciła się do źródeł, czyli do projektantów. Zaprosiła na kolację George’a Nardiella i Normana Norella i wspólnie stworzyli Marilyn nową garderobę.

Kiedy Norman Norell poznał Marilyn Monroe, był już jednym z czołowych projektantów w kraju, cenionym na równi z Cassinim, Diorem i Balenciagą. Jego projekty były zmysłowe, ale subtelne – szmizjerki, dopasowane sukienki bez dekolty, suknie syreny i morskie desenie – zupełnie inne niż głęboko wycięte kreacje z lamy, do których przywykła Marilyn. Początkowo Norell był przerażony jej ulicznym gustem. „Chciała, żeby wszystko wyglądało jak halka – mówił. – Każda rzecz miała być opięta. Trzeba było wzmocnić wszystkie szwy, bo inaczej by popękały”. Połączyła ich jednak wspólna pasja – teatr. W latach trzydziestych Norell ubierał Gertrude Lawrence i Ilkę Chase. „Opowiadał jej o tych wszystkich kreacjach, rozmawiali o teatrze – mówiła Amy. – Gadali godzinami, przepadali za sobą”. George Nardiello też lubił ubierać Marilyn: „Jeszcze bardziej olśniewająco wyglądała bez makijażu, kiedy tak sobie siedziała w znoszonym szlafroku frotté. Robiłem jej naleśniki z kawiozem i kwaśną śmietaną”<sup>[12]</sup>.

Co sobota spotykali się przy ogniu trzaskającym w kominku u Greene’ów i pracowali nad czymś, co będzie znakiem rozpoznawczym Marilyn, jej wizerunkową sygnaturą. Najpierw zajęli się figurą aktorki – Marilyn nie przeszkadzało, że rozmawiali na ten temat otwarcie. „Miała bardzo długie plecy i talię – mówiła Amy. – Co było o tyle ciekawe, że właściwie nie miała szyi. Za to jej uda były śliczne, naprawdę długie i smukłe. Norell powiedział mi raz: «Ma cudowne ciało, ale zupełnie nie z tej epoki». Miał rację, reprezentowała typ kobiety z przełomu wieków”. Potrzebowała jednak nowoczesnej garderoby – czegoś opiętego, ale szykownego, co by się łatwo prało, pakowało i pozwalało na spontaniczność.

W rezultacie powstała kapsułowa kolekcja czarnych futerałowych sukienek i halek, zmysłowych, ale prostych i znakomicie wpisujących się w gust Marilyn. Wszystkie były opięte, tak jak lubiła, ale dzięki temu, że zostały uszyte z Norellowskiej „atlasowej satyny”, czarnej, ze stonowanym matowym wykończeniem, aktorka wyglądała w nich świeżo i naturalnie – raczej jak ponętna selkie niż wyuzdana kokota. Polubiła je tak bardzo, że kazała sobie uszyć kopie i do luksusowej kolekcji dołączyła wersje tańsze, uszyte przez krawcowe z Siódmej Alei. Uwielbiała proste rozwiązania i choć mogła włączyć do swojej garderoby spodnie trzy czwarte i spódnice Anne Klein, przez kilka kolejnych miesięcy chodziła wyłącznie w identycznych czarnych sukienkach-halkach.

O ile w kwestii mody Marilyn może i potrzebowała porad Amy, o tyle w sztuce makijażu była prawdziwą ekspertką. Pierwsze szlify zdobywała w czasach, gdy przymierała głodem jako modelka – sama dbała o włosy, układała je i rozjaśniała wodą utlenioną, a nieforemny nos maskowała za pomocą szarego pudru do konturowania. Podpatrywała pracę stylistów za kulisami i udoskonalała ich metody, idąc pod prąd modzie. Zamiast nakładać na twarz matujący podkład zgodnie z najnowszymi trendami, smarowała kości policzkowe wazeliną, lanoliną albo oliwą z oliwek. Podchodziła do makijażu jak wytrawna artystka z ogromnymi technicznymi umiejętnościami – nic dziwnego, że jej ulubiony reżyser był malarzem. Sposób, w jaki Marilyn podkreślała oczy, ma więcej wspólnego z *Madonną w grocie* Leonarda da Vinci niż z poradami dotyczącymi makijażu w „Vogue”.

Tej zimy Marilyn i Amy skracaly sobie długie godziny, wspomagając się nawzajem w przemianie. Siadały po turecku na podłodze i grzebały wśród kosmetyków i akcesoriów Marilyn – szminek Max Factor, wsuwek do włosów, buteleczek kleju do rzęs Heleny Rubinstein, rozświetlaczy w sztyfcie, cieni do powiek Elizabeth Arden w gamie Autumn Smoke i Pearly Blue, lakierów do paznokci Revlon w odcieniach Hot Coral i Cherries à la

Mode i szczeniastych szcoteczek do brwi w kolorze jajek drozda wędrownego. W bursztynowym świetle przenośnej lampy, przeznaczonej właśnie do takiego celu, Marilyn obrysowywała oczy Amy kredkami w odcieniach umbry i rozdzielała jej rzęsy małym złotym grzebykiem. A zajmując się żoną Milтона, dopracowywała własny wizerunek.

Z dala od sztywnego lakieru Hollywood Marilyn rozwijała swój naturalny styl. Szminkę w kolorze Russian Red zastąpiła pomadką w odcieniu bladioróżowym. Rzęsy muśnięte maskarą i delikatny brzoskwinowy róż na policzkach zamiast konturowania sprawiły, że jej uroda błyszczała. Rozjaśniła włosy jeszcze bardziej, ale dzięki prostym czarnym golfom wyglądała poważniej. Swobodny szyk Amy, przywodzący na myśl *Wichrowe wzgórza*, połączyła z fryzurą w stylu Jean Harlow. Teraz Marilyn była pewna siebie i jaśniała.

Podczas gdy zespół stylistów pracował nad jej wyglądem i garderobą, Milton zajął się wizerunkiem medialnym. Jego domowe studio zalewało naturalne światło, które pasowało do zrelaksowanej, kwitnącej Marilyn. To tam w blasku zimowego słońca odnalazła wolność – nareszcie nie musiała być ani seksowna, ani powściągliwa. Nie musiała się pilnować – pozwoliła, by jej emocje rozświetliły ją od wewnątrz. Ujawniła się dzięki temu swawolna, delikatna zmysłowość, dużo bardziej pociągająca niż diamenty i pawie pióra. Milton sfotografował Marilyn ubraną tylko w luźny pulower Amy, z czerwonej wiskozy, naciągnięty na kolana. I jak udaje, że śpi w sweterku tenisowym, złożywszy dłonie jak dziecko. Pozowała też między dwoma kozłami w prążkowanej, rozpinanej koszulce, z rękami założonymi za kark.

Zdarzało się, że pracowali w studiu na Manhattanie, mieszczącym się w dziewiętnastowiecznym biurowcu, w otoczeniu budynków firmy Condé Nast i snobistycznych hoteli. Jeden z przyjaciół nazwał kiedyś pracownię Milтона marzeniem włamywacza – wysoka na sześć metrów, z balkonami, sztukaterią na suficie i sięgającymi do podłogi oknami, które otwierały się na tętniące życiem śródmiejskie ulice. Studio przy Lexington Avenue 480 przywodziło na myśl raczej Rzym niż Nowy Jork, panowała w nim romantyczna atmosfera Starego Świata, można było sączyć koktajle na balkonie albo urządzać niekończące się lunche w wiejskim stylu (Milton robił i jedno, i drugie). Ściany obklejone fotosami Greene'a z „Vogue'a” i „Looka”, kufry pełne kostiumów i rekwizytów tchnących starą magią stanowiły idealne otoczenie dla twórczych działań z Marilyn.

Do pierwszej sesji w nowojorskiej pracowni, zatytułowanej *The Ballerina Sitting* (sesja w stroju baletnicy), doszło przez przypadek. Marilyn walczyła z suwakiem sukienki z organzy – jednej z tych Anne Klein, za ciasnych, które dostała od Amy. Zainspirowany tym widokiem Milton posadził ją na wiklinowym krzeselku między dwiema rurami przypominającymi poręcze dla tancerek. Marilyn, przyciskająca do mlecznego ciała stanik zwiewnej sukienki, przypominała zaspaną baletnicę.

Tak wyglądała współpraca Marilyn i Milтона w najlepszej fazie – improwizowany glamour, brawurowy, ale uroczy. Bosa Marilyn w niezapiętej sukience uosabiała zmysłowość nieufadzonej, zakulisowej strony baletu: różowe wstążki i skóra, rajstopy, stare trykoty, zakurzone sale ćwiczeń. Jej bosa stopy sprawiają wrażenie nieco opuchniętych, skulone ramiona wskazują na fizyczne zmęczenie ciała. Czerwone ślady suwaka na wyeksponowanych plecach wyglądają prowokująco. W czasach idealnie schludnych kobiet taki wizerunek tchnął swobodą, był podniecający i całkowicie nowoczesny.

Milton i Marilyn dobrze wiedzieli, że wyprzedzają swoją epokę. Ile czasu będzie potrzebował świat, żeby ich dogonić?

Z pomocą Milтона i Amy Marilyn przeobraziła swój publiczny wizerunek. Po kolacji siadali przy kominku ze szklaneczką szkockiej w dłoni, planując pierwszą konferencję prasową. Co Marilyn ma na siebie włożyć? Kogo powinni zaprosić? Były też kwestie biznesowe i wszystkie techniczne szczegóły. „Niemal co wieczór spotykali się z prawnikami – pisała Amy. – Marilyn dobrze znała się na interesach, ale ja nic z tego nie rozumiałam. Dlatego po prostu wychodziłam z pokoju”<sup>[13]</sup>.

Milton odwał naprawdę brudną robotę – odpowiadał na telefony prawników i agentów, trzymał z dala od aktorki wściekłych magnatów z Foxa. Marilyn często zostawała w Connecticut, gdy on jechał do Nowego Jorku, i odbierała od niego telefon w kąpieli, kiedy chciał skonsultować z nią oferty reklamowe albo załatwić sprawę zaległych mandatów. W domu Greene’ów pełno było aparatów telefonicznych – Milton lubił chodzić podczas rozmowy, ciągnąc za sobą kilkunastometrowy sznur. Marilyn z kolei uwielbiała załatwiać sprawy w wannie. Codziennie wydzwaniał Charlie Feldman, bez przekonania obrzucając ją pogroźkami. Reporterzy i zawodowi plotkarze żądali odpowiedzi: Gdzie jest Marilyn i co robi? Gdzie się podziała ich śliczna uciekinierka i kiedy dostaną ją z powrotem?

Na razie wolą pozostać na zaśnieżonej wsi. Jej umysł, uwolniony z pęt wytwórni i Hollywood, mógł nareszcie swobodnie błędzić – i to właśnie robił. Korzystając z bogatej biblioteki Greene’ów, Marilyn zatopiła się w lekturze. Zaczęła od listy, którą sporządził Michał Czechow, szybko jednak zaczęła się kierować własnymi preferencjami. Pochłaniała zwłaszcza biografie: Józefiny Bonaparte, lady Emmy Hamilton, Marii Antoniny i Eleonory Duse – dzielnych kobiet, które stworzyły same siebie i przejęły kontrolę nad własnym wizerunkiem. Kobiet, których osobowość zdefiniowała czasy, w jakich żyły, i które mrugały do niej z przeszłości.

„Była zafascynowana kobietami, którym się udało” – mówiła Amy<sup>[14]</sup>. Zdarzało się, że znajdowała przyjaciółkę siedzącą na schodach i wpatrującą się w portret lady Hamilton, córki kowala, która o własnych siłach wdrapała się na sam szczyt osiemnastowiecznej drabiny społecznej. Następnie Marilyn odkryła Józefinę i sięgała po każdą książkę, jaką mogła znaleźć na jej temat, a przy kolacji wciąż trajkotała o cesarzowej i jej przyjaciółach. Opowiadała też o Juliette Récamier, błyskotliwej piękności, która sama zamówiła swój nagi posąg. Pewnego razu, gdy jej biust zaczął się starzeć, roztrzaskała marmurową podobiznę – kontrolowała swój wizerunek podobnie jak Marilyn.

„Była łasa na historii jak dziecko – wspominała Amy. – Mówiła, że nikt jej nic nie opowiadał, kiedy była mała, więc teraz słuchała jak urzeczona”<sup>[15]</sup>. Pewnego dnia, szykując się na przejażdżkę samochodem, owinęła szyję długim białym szalem. Amy to spostrzegła i zażartowała, żeby uważała, bo udusi się własnym szalikiem jak Isadora Duncan. „Kto to taki?” – spytała już zachwycona Marilyn. „W ten sposób – opowiadała Amy, zaśmiewając się po latach – mieliśmy w Connecticut tydzień Isadory Duncan”<sup>[16]</sup>.

Podobnie jak jej pierwszy kobiecy wzór do naśladowania, Eleonora Duse, której podobiznę trzymała w ramce przy łóżku, Marilyn nie miała formalnego wykształcenia i kompulsywnie czytała, żeby to nadrobić. „Książki były jej uniwersytetem” – mówiła Amy,

która za dziewczęcym entuzjazmem Marilyn dostrzegła głęboką potrzebę. Greene'owie zdumiewali się osobliwym gustem swojego gościa i zrozumieli, że ich dziewczyna z plakatu to w istocie stara dusza. Z płyt wybierała Bacha, Mozarta i Szostakowicza, ślęczała nad dziełami o sztuce renesansu. „Lubiła dawne, naprawdę dawne malarstwo – mówił Milton – Michała Anioła, Rubensa, van Dycka, ten okres. Nie Moneta, Renoira, Cézanne'a czy Picassa. Wolą rzeczy stare. Mam na dole rycinę, którą od niej dostałem. To głowa, wygląda, jakby pochodziła z czasów Michała Anioła. Kupiła ją na aukcji. Pewne starocie, o których słyszała i które lubiła, wyszukiwała osobiście”. Przez lata doskonaliła swój kuratorski instynkt i teraz nadszedł wyczekiwany dar spokoju i czasu.

W Nowym Jorku Marilyn nałogowo pisała, zresztą temu zajęciu oddawała się przez całe życie. Uwielbiała książki o klasycznej strukturze i zawsze czytała kilka naraz – czarno-białe żyłkowane okładki leżały rozrzucone po całym domu Greene'ów. Wiele kończyło nieopodal wanny.

W śnieżnym kokonie wiejskiego domostwa Marilyn kształtowała swój wizerunek – i siebie. Wiezorami Greene'owie słyszeli, jak idzie na górę, włącza radio, otwiera książkę, a potem głośno ją zamyka. Siedziała do późna, w jej głowie wciąż się kłębiło – odpływała w sen dopiero wraz z nadejściem mroźnego różowego poranka.

Grudzień przeszedł w styczeń, a w Hollywood wciąż nie wiadomo, gdzie się ukrywa Marilyn. Dwadzieścia dziewięć dni po tym, jak wsiadła na pokład nocnego samolotu do Nowego Jorku, była gotowa się ujawnić. Fox potrzebował miesiąca, żeby się zorientować, że jego gwiazda faktycznie zniknęła.

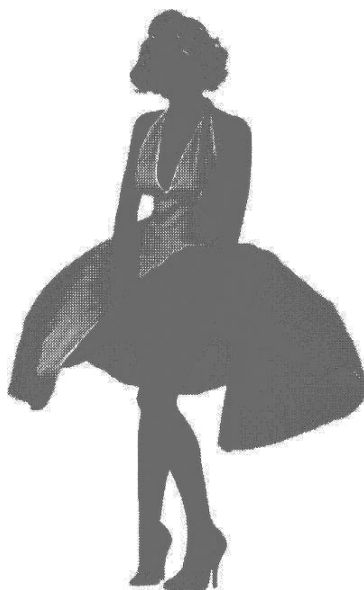


*Trzy*  
**Zgaszona  
blondynka**

Marilyn za kulisami teatru na Broadwayu z aktorką i tancerką Carol Haney oraz Miltonem Greenem, Nowy Jork, 1954 rok.

FOT. SAM SHAW/ARCHIWA RODZINY SHAW/GETTY IMAGES





Jestem po stronie jednostki przeciwko korporacji. Tak to już jest, że jednostka jest słabsza i za każdym razem, kiedy korporacja czegoś chce, jednostka dostaje po łbie. Artysta jest niczym. To prawdziwa tragedia.

*Marilyn Monroe*

7 stycznia Frank Delaney, prawnik Marilyn, otworzył drzwi przy Zachodniej Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy gromadzie fotografów. Tego wieczoru Marilyn miała się ujawnić publiczności i ogłosić powstanie swojej wytwórni filmowej. Jak zwykle się spóźniała. Reporterzy i fotografowie blokowali chodnik. W środku tłum dziennikarzy kłębił się od siedemnastej, sącząc koktajle w towarzystwie Marlene Dietrich i Tony'ego Curtisa, zerkając na zegarek i wyciągając szyję, żeby zobaczyć „nową Monroe”.

Zdążyła wybić dziewiętnasta, kiedy Marilyn wparowała do środka niczym niesiona wiatrem śnieżynka. Miała na sobie białą sukienkę futerałową na cienkich ramiączkach, białe satynowe pantofelki bez pięt, białe pończochy (Milton musiał wybrać się po nie do sklepu z akcesoriami dla pielęgniarek), białe gronostaje i długie diamentowe kolczyki wypożyczone od Van Cleef & Arpels.

Z Delaneyem po jednej i Greene'em po drugiej stronie usiadła gotowa na pytania prasy. „Stworzyłam własną firmę, żeby móc grać to, co zechcę – oznajmiła. – Mam już dość ról seksbomby. Wiecie, ludzie mają różne umiejętności... A ja marzę, żeby kiedyś zagrać w *Braciach Karamazow* Dostojewskiego”.

Padły pytania osobiste i obowiązkowe odpowiedzi: „Joe i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Zawsze będziemy...”. Jakiś zadziorny dziennikarz krzyknął, że Marilyn wiąże kontrakt z Foxem, ale Delaney szybko zripostował, że aktorka jest „panią samej siebie”.

O północy, kiedy Milton próbował zgarnąć Amy i Marilyn do domu, tłum wciąż kłębił się przy drzwiach. „Sinatra występował w Copie<sup>[7\*]</sup> – wspominała Amy Greene – a ja byłam w nim zakochana i naprawdę chciałam tam pójść. Wiedziałam jednak, że nie mam szansy dostać się do środka. Gdy wsiadaliśmy do limuzyny, żeby wrócić do domu, Marilyn powiedziała: «Naprawdę chcesz iść do Copy?». Odparłam: «Tak». A ona na to: «No to chodźmy»”.

Marilyn, która przez większość czasu czuła się jak utrapienie, kochała być pomocna. Zaprowadziła ich przez kuchnię (klubowe wejście dla VIP-ów) do zadymionego pomieszczenia, gdzie Sinatra występował przed pełną salą. Niezadowolony, że ktoś mu przerwał piosenkę, uciszył orkiestrę, ale gdy podniósł wzrok, zobaczył swoją przyjaciółkę w białych gronostajach – wyglądała jak jakiś polarny anioł. „To była scena jak z filmu – wspominała Amy. – Znikąd pojawił się nagle stolik z trzema krzeselkami. Postawiono go z przodu, tuż pod nosem Sinatry. Kiedy usiedliśmy, Marilyn spytała: «Coś jeszcze mogę dla was zrobić?»”.

Po koncercie Sinatra zaprosił ich do garderoby. „Miałam wrażenie, jakby cała widownia postanowiła się tam wybrać – wspominała Amy, która bała się, że w razie paniki ją zdeptają. – Korytarz nie był przystosowany do takich tłumów. A na schodach nie było gdzie wcisnąć nawet szpilki”. Marilyn ochoczo wzięła sprawy w swoje ręce, przepchnęła przyjaciółkę w stronę bramkarza i kazała go złapać za szyję. Bramkarz przeniósł bezpiecznie Amy przez tłum, uwieszoną niczym wisiołek. „To było wspaniałe. W dodatku podczas tej przepychanki Marilyn wciąż się uśmiechała i rozmawiała z ludźmi. W ogóle się

nie bała. W takiej ciżbie to ja panikuję”. Milton tymczasem zabezpieczał tyły, asekurując przyjaciółkę.

Zjedli późną kolację z Sinatrą w 21 Club, a potem zapakowali się do limuzyny i pojechali na drinka do Marlene Dietrich przy Park Avenue. Było już dobrze po trzeciej rano, kiedy Marilyn, potykając się, wkroczyła do jej mieszkania odrobinę pijana, ze smugą szminki w odcieniu Rouge Diabolique Guerlaina na gronostajowym kołnierzu. Dietrich uznała tę czerwoną plamę za „szalenie erotyczną” i tej nocy śniła o lekko wstawionej figlarnej kocicze, której białe futro i platynowe wąsiki przypominały jej Jean Harlow.

Słońce już wstawało, gdy zataczając się, dotarli na Lexington Avenue 480. Wciąż pijana Marilyn poprosiła Amy o seconal (oddała przyjaciółce swoje zapasy leków i poprosiła, żeby nimi administrowała). Zasłużyła sobie na głęboki sen – zresztą należał się im wszystkim.

Ani Marilyn, ani Milton nie zdawali sobie sprawy, jak źle poszło spotkanie z prasą. Pomysł, żeby omamić reporterów platynowymi krągłościami à la Jean Harlow, okazał się błędem. Co gorsza, bombardowana pytaniami Marilyn powróciła do zwyczaju zasłaniania się żarcikami. Kto by zresztą tego nie zrobił wobec nieprzyjaznych i głupich zaczepek?

PRASA: Marilyn, słyszeliśmy o jakichś nowościach. O co chodzi?

MARILYN: No cóż, mam nowy kolor włosów. Kiedyś były platynowe, ale je ufarbowałam. I teraz jestem zgaszoną blondynką.

PRASA: Chcesz zagrać braci Karamazow?

MARILYN: Nie braci. Chcę zagrać Gruszeńkę. To dziewczyna.

Jednym z życzliwych sceptyków był Billy Wilder, który uwielbiał jej ciepło, ale uważał Marilyn za ślicznotkę z kalendarza z doskonałym zmysłem komediowym. „Powiedziałbym, że próbują ją wywindować na poziom, do którego nie może aspirować – stwierdził. – Mae West wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Tymczasem Monroe ktoś wmówił, że jest znacznie lepsza i może dać ludziom bardzo wiele. Człowiek musi znać swoje ograniczenia. Marilyn powinna wiedzieć, jaki ma limit prędkości, i nie dociskać gazu do stu siedemdziesięciu, jeśli potrafi wyciągnąć tylko sześćdziesiąt. To tak jak śledź z lodami – dodał. – Jeśli nałożysz lody czekoladowe na śledzia, będzie niesmaczny, tak samo zresztą jak lody”.

Nawet Elsa Maxwell wyczuwała, że Marilyn ciągle się wstrzymuje: „Często przywodzi mi na myśl dziewczynę, która stoi w toalecie i wciąż się ociąga – wygląda sukienkę, poprawia fryzurę i makijaż, żeby odwlec moment, kiedy trzeba będzie wyjść do towarzystwa i polec albo zwyciężyć”. Elsie nie podobał się też strój, w jakim Marilyn wystąpiła przed prasą, zdumiewał ją wybór białej, obcisłej satynowej sukienki. „Dlaczego Milton Greene, pytałem się poirytowana, który jest jej dobrym przyjacielem, a w dodatku fotografem mody, nie pomógł Marilyn dobrać czegoś na tę okazję? Szybko jednak zapomniałam, że była tak koszmarnie ubrana, bo, o dziwo, wcale nie wyglądała wulgarnie. Mimo swoich dwudziestu ośmiu lat sprawiała wrażenie dziewczynki, która próbuje być wytworna i dojrzała. Przypomina jelonka, choć wcale tak nie wygląda. Promieniuje zdrowiem i energią. Dostrzegam też w jej oczach cień smutku i natychmiast przypomina mi się, że przez tyle lat trafiała do różnych domów zastępczych i tyle razy traktowano ją jak niewolnicę”.

„Głupio robisz, że pozwalasz się fotografować z Monroe – ostrzegła Elsę po tej fatalnej pierwszej konferencji jedna z szych Foxa. – I że wciąż o niej piszesz w swojej kolumnie! Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, że ona jest na wylocie. Rok poza ekranem i będzie

skończona! Takich dziewczyn możemy mieć na pęczki!”.

Elsa roześmiała się rozmówcy w twarz: „Nigdy nie będziecie mieć na pęczki takich jak ona! Może i uda wam się znaleźć z tuzin śliczniutkich plastikowych lał z blond włosami. Ale żadna nie będzie Marilyn Monroe. Poczekaj, jeszcze będziesz się cieszył, jeśli zechce wrócić na własnych warunkach”.

**G**dy ukazały się niedzielne gazety, Marilyn poczuła się upokorzona. Wytwórnia oznajmiła: „Panna Monroe podpisała z nami kontrakt na wyłączność, który obowiązuje do 8 sierpnia 1958 roku”. Typowe nagłówki głosiły: „Inna? Skąd, wciąż ta sama...”. „Marilyn Monroe to głuptas, któremu ktoś głupio doradził” – szydził „Hollywood Reporter”. W dodatku, jeśli odważy się i zacznie przyjmować „intelektualne, artystyczne role teatralne”, takie jak Gruszeńka, „straci część atrakcyjności”.

Milton i Marilyn jak zwykle przecenili inteligencję swojej publiczności. Marilyn zawsze była nieco za bystra dla prasy zbyt zajętej drwinami, żeby faktycznie usłyszeć to, co artystka mówiła. Dziennikarze nie mieli pojęcia, kim była Gruszeńka – może gdyby przeczytali *Braci Karamazow* i gdyby ta książka znaczyła dla nich coś więcej niż tylko mgliste skojarzenie z czymś intelektualnym i rosyjskim, wiedzieliby, że Marilyn idealnie pasowała do tej roli. Znów nikt nie potraktował jej serio – została zlekceważona jak słodki dowcip. (Lata później będzie obwiniała prasę, że zniszczyła jej szansę zagrania Gruszeńki – roli, która zawsze ją pociągała).

Od chwili, gdy spóźniona zjawiła się na konferencji, prasa była gotowa ją ukarać i tylko czekała na jej kolejne potknięcie. Wciąż głupiutka, wciąż niepunktualna, wciąż „ta sama stara Marilyn”, słodka laleczka z pretensjami do wielkości. Jakim prawem ta smarkata tleniona gwiazdka ośmieliła się opuścić Hollywood – czyż Fox nie mógł zniszczyć jej równie szybko, jak wyniósł na piedestał? Dziennikarze jeszcze nie zrozumieli, co się stało. Zasłuchani we własną paplaninę, przeoczyli magię. Niczym motyl ukryty w jedwabnym kokonie Marilyn, ciasno owinięta w białą satynę, wciąż się zbroiła. A Nowy Jork czekał.

**P**o tej konferencji sytuacja stała się niepewna. Marilyn zaproponowano główną rolę w *Guys and Dolls* (1955)<sup>[8\*]</sup>, ale problemy z Foxem sprawiły, że nie mogła jej przyjąć. Aktorka była bez pracy i bez pieniędzy, całkowicie zależna finansowo od Milтона. Dręczyły ją wątpliwości i brak poczucia bezpieczeństwa. Może „Hollywood Reporter” miał rację, może rzeczywiście była tylko głupią aktoreczką.

Milton tymczasem zaczął zdawać sobie sprawę z tego, ile wzięł na swe barki – bez przerwy dzwoniły telefony, nadchodziły telegramy i propozycje od dziennikarzy i czasopism, o których nigdy nie słyszał. Kości zostały rzucone i teraz reporterzy bombardowali go pytaniami: Jakie mają plany? Czy Fox rzeczywiście zwolnił Marilyn? Milton był fotografem, a nie rzecznikiem prasowym, tymczasem znalazł się w oku medialnego cyklonu.

Szybko zatrudnił osobę do kontaktów z mediami, dwóch pomocników i sekretarkę – wszyscy oni kosztowali więcej, niż mógł sobie pozwolić. Marilyn Monroe Production wciąż czekało na fundusze, a Fox groził pozwami, odstrasżając potencjalnych inwestorów. Jedyłą nadzieją był milioner Henry Rosenfeld, producent ubrań, którego nazywano Diorem

Bronksu. Henry i Marilyn od dawna flirtowali – Rosenfeld przysyłał jej listy miłosne i czekał. Milton błagał przyjaciółkę, żeby wybrała się w końcu do domu Rosenfelda w Bostonie i roztoczyła przed milionerem swe wdzięki. Ale myśl o tym, że miałyby kręcić tyłkiem, aby wyciągnąć od Henry’ego pieniądze, przyprawiała Marilyn o mdłości. To było jak powrót do Hollywood, skąd z takim trudem udało jej się uciec.

Jej wiara w Milтона na moment osłabła, zwróciła się więc do Joego, który wciąż był i przez następne sześć miesięcy nadal miał pozostać jej powiernikiem. Na niego zawsze mogła liczyć – ufała ostrożnej opiekuńczości DiMaggia, jego rozsądnym radom w kwestii finansów i szarym flanelowym garniturom „potentata z branży stalowej”. Uparł się, że pojedzie z nią do Bostonu. Joe lubił Milтона, ale w interesach wołał być ostrożny. Kto wie, co ten Rosenfeld będzie próbował zrobić, żeby ich zatrzymać?

Joe sam zawiózł Marilyn do Bostonu, wstępując po drodze na kolację do swojego brata Dominica. Niebawem maleńką restaurację Wellesley obległ tłum reporterów. Jednemu udało się przedostać na zaplecze. „Czy to pojednanie?” – zapytał, podtykając DiMaggiowi mikrofon pod nos. Joe zwrócił się do Marilyn: „Tak, kochanie?”. Marilyn szybko go ostudziła: „Nie, nazwijmy to po prostu odwiedzinami”. Tak więc Joe schował dumę do kieszeni i skoncentrował się na noszeniu nerek, walizek i czerwonych skórzanych toreb Gucciego oraz osłanianiu Marilyn przed wścibskimi reporterami i błyskiem fleszy.

Następnego ranka Marilyn spotkała się z Rosenfeldem, który przyjął ją ubrany w granatowy garnitur i klasyczny czerwony krawat. Choć dał się oczarować, odmówił zainwestowania w MMP. (Marilyn nadal jednak dostawała od niego czekał i listy miłosne, raz nawet osobliwą brylantową bransoletkę, a poza tym miała wolny dostęp do przyfabrycznego sklepu na Bronksie, który beztrudno najeżdżała z przyjaciółkami, unosząc stamtąd narecza sukienek i garsonek). Joe odwiózł ją z powrotem do Nowego Jorku pełną wątpliwości. Zostawiła swoje dotychczasowe życie i ryzykowała naprawdę wiele, by znów poniżyć się w hollywoodzkim stylu – kokieteryjnie trzepotać rękami i obnosić się ze swoją figurą przed bogaczem.

Mimo to nie straciła pozytywnego nastawienia, energii i determinacji. Ani razu nie żałowała decyzji, by połączyć swe siły z Miltonem Greene’em, i z całą pewnością nie miała ochoty biec do Foxa z podkulonym ogonem. Dwa dni po powrocie z nieudanej wyprawy do Bostonu odrzuciła kolejny kiepski scenariusz, wysyłając do Darryla Zanucka telegram na różowym papierze: „OGROMNIE MI PRZYKRO, ALE MI SIĘ NIE PODOBA STOP Z POWAŻANIEM MARILYN MONROE”.

Poza tym pieniądze były ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślała. Przeprowadziła się na Wschodnie Wybrzeże, żeby się uczyć, odkrywać, zanurzyć się w nowojorski świat sztuki i teatru. Dla Marilyn teatr stanowił największe wyzwanie. Aktorzy, których podziwiała, tacy jak Marlon Brando czy Eli Wallach, zgrabnie prześlizgiwali się między srebrnym ekranem a sceną, hartując się przy tym i rozwijając. We wrześniu zeszłego roku, po ukończeniu zdjęć do *Słomianego wdowca*, Marilyn udało się zobaczyć spektakl *Herbaciarnia Pod Księżycem* (1956). Za kulisami poznała Wallacha, którego natychmiast ochrzciła przydomkiem Teacake (Bułeczka).

„Po przedstawieniu – pisał Wallach – pewien agent prasowy wprowadził ją do mojej garderoby i pamiętam, że w ogóle nie wyglądała jak gwiazda, którą widywałem w kinie.

Miała prostą sukienkę i krótkie blond włosy, była blada, nieśmiała i miała nieumalowane usta. Pierwsze słowa, jakie wypowiedziała, brzmiały: «Jak się panu udaje zagrać całą sztukę od początku do końca?». Choć była już wówczas prawdopodobnie najśłynniejszą gwiazdą filmową na świecie, nigdy nie grała w teatrze i wydawała się zarazem zdumiona i zaintrygowana. Odniosłem wrażenie, że może nawet nigdy nie widziała żadnego spektaklu na scenie. Rozmawialiśmy chwilę, a potem ona zapytała, czy mogłaby przyjść i obejrzyć przedstawienie jeszcze raz zza kulis. Odparłem, że kierownictwo może się na to nie zgodzić, na co powiedziała, że w takim razie usiądzie na balkonie. I rzeczywiście, zrobiła tak potem kilka razy<sup>[17]</sup>.

Ośmielona Marilyn zaczęła częściej zaglądać do teatru i niekiedy sama zapuszczała się za kulisy. Tam poznała innego adepta Metody, na którym zrobiła wrażenie, aktora Bena Gazzare: „Kiedy przychodziła za kulisy, była bez makijażu i miała potargane włosy. Była dziewczęcą, śliczną i zachwyconą tym, co widziała”<sup>[18]</sup>. Wśród aktorów wydmuchujących dym za okno garderoby, tak że goździkowa woń charakterystycznej mieszala się z chłodnym miejskim powietrzem, Marilyn czuła się swobodnie. Potrafiła sobie wyobrazić, jak rozkwita w podobnej grupie – grupie, w której kobietom przypadały równie wspaniałe role jak mężczyznom i świętowali wspólnie w Sardi’s przy kieliszku chianti.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego występy na scenie tak ją pociągały. W połowie lat pięćdziesiątych na Broadwayu wciąż trwała złota epoka teatru, który uważano za bliższy sztuce wysokiej niż film. Co ważniejsze, aktorzy sceniczni cieszyli się całkiem sporą wolnością twórczą – wolnością, której tak brakowało Marilyn w Hollywood. „Aktorzy filmowi mają znacznie mniejsze pole manewru – wyjaśniał reżyser Josh Logan, który pracował zarówno na deskach teatru, jak i na planie filmowym. – Są sztywno przypisani do miejsca ze względu na ograniczenia kamery. Jeśli przesuną się za bardzo w bok, wypadną z kadru albo operator utnie im rękę. Na planie wciąż trzeba się zastanawiać: «Czy jestem tam, gdzie trzeba? Mieszczę się w kadrze?»”. Marilyn przyglądała się spektaklom teatralnym z rosnącym zainteresowaniem. Wiedziała, że wolna od rygorów budżetowych i konieczności ciągłego przebywania na planie mogłaby się wspiąć na niewyobrażalne wyżyny. Kto wie, jak wiele udało by się jej osiągnąć, ile mogłaby zrobić?

Tymczasem Milton ciężko pracował. Dogłądanie spraw Marilyn okazało się zajęciem na pełen etat – ciągle spotkania, przymiarki, farbowanie odrostów. Zawsze trzeba było zapłacić jakieś rachunki, zrealizować recepty, odpowiedzieć na listy. Wieczory spędzał u boku aktorki na premierach i przyjęciach, które kończyły się późno w nocy. W dodatku wciąż prowadził własną działalność fotograficzną jako jedyny żywiciel rodziny, Marilyn i MMP.

„Zawsze mieliśmy plan – mówiła Amy. – Kiedy wspominałam o jakiejś sztuce i pytałam: «Kiedy chciałabyś ją zobaczyć», Marilyn odpowiadała: «Może w przyszłą środę albo czwartek». Bardzo pilnowałam jej grafiku. Nakłaniałam, żeby przynajmniej raz w tygodniu poszła do teatru. Co najmniej raz w tygodniu zabierałam ją też do kina i na odpowiednie przyjęcia”.

Marilyn przez całe życie przyciągała ludzi, którzy w nią wierzyli – zagonionych, zajętych ogromem własnych spraw, a mimo to gotowych wesprzeć ją, choćby mieli paść ze zmęczenia – nikt jednak nie mógł się równać z Greene’em. Milton, jeśli miał szczęście, spał zwykle trzy godziny. Potrafił pracować długo w noc lub bawić się w Copie, zawsze jednak

budził się o świcie. Jeśli razem z Amy kładli się w pracowni, budził ją i wysyłał do Kanterów w palcie narzuconym na piżamę. Jay, który również zajmował się sprawami Marilyn, golił się już w łazience, Amy zaś pakowała się do łóżka Judy, żeby złapać jeszcze kilka godzin snu.

„W owym czasie, kiedy szliśmy na imprezę, do teatru albo po prostu zostawaliśmy w mieście, spaliśmy w studiu – mówiła Amy. – Milton miał wielką, cudowną pracownię, ale Marilyn nie mogła tam z nami zostawać, bo było tylko jedno łóżko. Powiedziałam: «Musimy jej znaleźć jakieś lokum w Nowym Jorku. To młoda dziewczyna, a mieszka ze statecznym małżeństwem. Potrzebuje własnego życia»”. Skuszona przez ciepłe posiłki, pomocną obsługę i bliskość pracowni Milтона (a także Red Door Spa Elizabeth Arden) Marilyn zdecydowała, że zamieszka w hotelu Gladstone.

Rankiem 19 stycznia dostrzeżono Joego DiMaggio, jak przez szklane obrotowe drzwi wciąga kufry Louis Vuitton do hotelu przy Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej. W latach dwudziestych mieszkała tu Gloria Swanson, teraz jednak można było znaleźć nietoperze, korytarze ze skrzypiącymi podłogami i małe, duszne apartamenciki, trudno więc było nazwać ów hotel szczytem szyku. Apartament Marilyn był ciemny, ciasny i zastawiony sfatygowanymi meblami w stylu wiktoriańskim. Miała jednak własny salonik i aneks kuchenny zaopatrzony w dzin, burbona i sherry. Na niskim stoliku dumnie wyeksponowała biografię Abrahama Lincolna pióra Carla Sandburga. (Marilyn często traktowała książki jako główny element wystroju, ważniejszy i cenniejszy niż wazon Tiffany’ego).

Fotografowie czatowali przed drzwiami, żeby zrobić jej zdjęcie, jak wkłada rękawiczki albo rozmawia przez telefon w małym ponurym holu. Udawało im się uchwycić migawki – jak wymyka się w zimowym futrze z norek i kapeluszu w stylu Greta Garbo, który zasłaniał jej twarz, jakby nie była gotowa pokazać się światu. Na razie Marilyn chciała chronić swe nowo wyklute, nieopierzone jeszcze życie – kruche, delikatne i zupełnie inne niż to, które wiodła w świetle reflektorów na Sunset Boulevard. Uwielbiała siedzieć przy kominku, sącząc sherry z Miltonem, albo umknąwszy wścibskiemu obiektywom, spacerować późną nocą po Central Parku.

Ze znacznie większą wspaniałością traktowała swoich nastoletnich wielbicieli, którzy uciekali ze szkoły i godzinami czekali przed Gladstone z aparatami marki Kodak Brownie, trzęsąc się z zimna. Żeby dostarczyć im dreszczyku emocji, wypadała na dwór i robiła obrót jak na wybiegu, przesyłając im całusy.

Czasami można było zobaczyć Joego przemierzającego hotelowy hol. To prawda, że byli w separacji, ale to jemu wciąż ufała najbardziej. Nadal też jeździła z nim do Bostonu, chodziła na kolacje z Dominicem i na drinka do hotelu Sherry-Netherland. Widok DiMaggia zatrzymującego niebieskiego cadillaca przed hotelem, Marilyn wybiegającej przez obrotowe drzwi i tłumy paparazzich gotowych do skoku nie należał do rzadkości. „Co dalej, Marilyn?”, „Wróciłaś do Joego?” Wszystko było tak niepewne – Marilyn nie miała żadnych odpowiedzi, nawet dla siebie. Tak samo zresztą Joe. Umykając niczym zbieg przed błyskami fleszy, mógł mieć tylko nadzieję.

**T**eraz, kiedy Marilyn wreszcie się ujawniła, potrzebowała kierowcy, woskowania nóg u Elizabeth Arden, rozjaśniania włosów u Enrica Carusa i kogoś, kto zabierałby ją na spotkania czy imprezy. Na razie znaczna część jej ubrań wciąż pozostała w Connecticut,

Milton więc jak szalony krążył w tę i z powrotem, przewożąc sukienki, futra, wieczorowe rękawiczki i torebki porozrzucane na tylnym siedzeniu samochodu.

W te pierwsze chłodne miesiące roku Marilyn nadal kurczowo trzymała się Greene'a – z dłonią w rękawiczce wsuniętą pod jego ramię dawała się prowadzić do Astor Theatre lub Elmo<sup>[9\*]</sup>. Miała też jednak w Nowym Jorku kilku starych przyjaciół, głównie z grupy Rat Pack, którzy zresztą znali Milтона Greene'a. Należał do nich Milton Berle, jej kochanek, a potem przyjaciel z początków kariery. W czasach, kiedy Marilyn była tylko jeszcze jedną blond cizią, Berle wyczuwał, że „nie było w niej nic tandetnego. Nie należała do tych dziewczyn, którym wystarczyło postawić obiad, żeby od razu wskoczyły ci do łóżka... Szanowała się. Marilyn była damą”<sup>[19]</sup>.

W mieście byli też Jerry Lewis i Dean Martin, którzy co tydzień występowali w Copie. „Za każdym razem, kiedy mnie widzieli, robili mnóstwo hałasu – mówiła, chichocząc, Marilyn. – Uwielbiałam ich za to. Inni ludzie krytykują mnie za ubranie i za to, jak chodzę, a Dean i Jerry nigdy”. Był też Sammy Davis Junior, jeszcze jedna serdeczna, wesola dusza, która traktowała ją po bratersku, z mieszaniną dokuczliwości i troski. W Los Angeles chodziły słuchy, że Marilyn i Sammy spiąją ze sobą, co oboje uznawali za dobry dowcip. Dla członków paczki była po prostu Marilyn – żadną starletką, a już na pewno nie kawalkiem mięsa od Foxa.

Ale choć otrzymywała od nich mnóstwo wsparcia, te przyjaźnie bladły w porównaniu z jej oddaniem dla Milтона Greene'a. Nic nie kładło się cieniem na ich współpracy. Tej zimy niemal każdy dzień spędzali razem, przekopując sterty czasopism i przeczesując wieszaki z ubraniami w studiu przy Lexington Avenue, gdzie knuli plany kolejnych ekscentrycznych sesji zdjęciowych. Na stołach wokół nich piętrzyły się fotosy, popielniczki, stare numery „Looka” i czarne bakelitowe telefony, które nie przestawały dzwonić. Gramofon grał Franka Sinatrę, Sammy Davis Junior wpadał na drinka. Marilyn i Milтона można było zobaczyć pochylonych nad stołem, jak głowa przy głowie przyklejają kwiatki z bibuły do białego kartonu, omawiając plany współpracy przy albumie. On kuczał, żeby wyprostować szwy na jej pończochach, pstrykał swoim nikonem, nucąc do wtóru bebopowej płyty, a ona roztaczała swe wdzięki w różańcu na szyi albo bawiła się z miotem maleńkich pekińczyków. Z każdym pstryknięciem migawki pewność siebie Marilyn rosła. „Dawało się między nimi wyczuć magię, widać było, jak między nimi iskrzy – pisał Jay Kanter. – Zabawnie było to obserwować”<sup>[20]</sup>.

W ciągu tych zimowych miesięcy byli zawsze Marilyn i Milton, Milton i Marilyn. Zdjęcia z tego okresu ukazują ich zażyłość – oto przytulają się do siebie w Astor Theatre albo wyciągnięci na podłodze w studiu przy Lexington Avenue robią sobie drinka po premierze jakiegoś filmu. Wchodzili sobie w słowo i jedno za drugie kończyli zdanie albo pili z tej samej szklanki niczym rodzeństwo. Według Normana Mailera ich relację nękała „jakaś smutna tęsknota z przeszłości”, a jeśli Marilyn kiedykolwiek zakochała się w kimś od pierwszego wejrzenia, tą osobą z pewnością był Milton. Bez względu na to, czy przypinali błyszczące spinki psom, czy też turlali się ze śmiechu w związku z oświadczynami księcia Rainiera, łącząca ich więź sięgała dużo głębiej. „Tych dwoje miało swój sekret – mówiła Amy. – Kiedy coś planowali, siadali na kanapie i choć ja byłam na krześle obok, natychmiast zamykali się w swoim świecie, do którego nikt inny nie miał dostępu”.



Tej zimy Amy i Marilyn zaplanowały przyjęcie niespodziankę na trzydzieste trzecie urodziny Milтона. Marilyn i Jay Kanter umówili się z Greene'em o piętnastej w hotelu Gladstone, a w tym czasie Amy ściągała gości, szykowała drinki i dekoracje („Zatrzymajcie go do osiemnastej trzydzieści” – poinstruowała przyjaciół). „Mieliśmy z nim ciężką przeprawę – wspominał później Jay. – W dwie godziny załatwiliśmy wszystkie sprawy, tymczasem trzeba go było zatrzymać o godzinę dłużej. Marilyn zawołała: «Och, to mi przypomniało o jeszcze jednej sprawie!». Uporaliśmy się z tym w kilka minut i Milton odparł, że musi już iść. Na co ja powiedziałam: «Jest jeszcze jeden powód do zmartwień»”.

Przetrzymali Milтона do osiemnastej trzydzieści, po czym odprowadzili go do pracowni, gdzie zgromadzeni goście powitali go okrzykiem: „Niespodzianka!”. Marilyn promieniała, widząc, jak twarz Milтона jaśnieje z radości. „Była przeszczęśliwa – mówiła Amy – bo czuła, że jej się udało. I rzeczywiście tak było. Po raz pierwszy w życiu urządziła komuś przyjęcie niespodziankę”.

Miłość naszego życia nie zawsze jest miłością spełnioną i wielkie uczucie Marilyn nie skończyło się małżeństwem. Joe DiMaggio i Arthur Miller kochali ją, ale to Milton ją rozumiał. Dla Marilyn, która twierdziła, że czuje się jak „ryba bez wody”, zrozumienie było najważniejsze. Ze wszystkich osób, jakie знаła, to właśnie Milтона najprędzej mogłaby określić mianem pokrewnej duszy, w której ideę wierzyła aż do śmierci.

**M**arilyn aż do tej pory przez wiele miesięcy unikała prasy. George'owi Carpoziem Juniorowi udało się jednak namówić ją na wywiad dzięki temu, że zaproponował jej przechadzkę po Central Parku – czytał, że uwielbiała długie spacery wśród drzew. Zjawił się w hotelu Gladstone razem z fotografem George'em Millerem późnym popołudniem 27 stycznia. Miller dyrygował Marilyn jak jakiś reżyser – kazał jej dotykać palców u stóp, kłaść się na plecach i machać nogami, a nawet zrobić dziesięć pompek. Ośmielony burbonem poprosił, żeby zdjęła tenisowy sweter i założyła halkę.

MILLER: Marilyn, czy możesz opuścić ramiączko?

MARILYN (*skrzępowana, szeptem*): Nie sądzę, żeby ramiączko opadło...

MILLER: Oj, daj spokój, Marilyn, przecież potrafisz to zrobić. Potrząśnij ramieniem.

To było tak, jakby znów znalazła się w wytwórni Foxa, zmuszona podrygiwać niczym striptizerka, dopóki ramiączko się nie zsunęło.

Wyczuwając, że Marilyn potrzebuje pomocy, Carpozi wtrącił, że może pójść wreszcie na spacer. Jego buick czekał na zewnątrz. Marilyn przebrała się w czarną sukienkę („Potrzebne mi palto?”), a na potargane włosy włożyła melonik. Złapała futro z norek i Carpoziego za rękę.

W Central Parku było bardzo ciemno. Wiatr warczał wśród bezlistnych drzew, smagając nagie nogi Marilyn. Uśmiechała się szeroko, nie zważając na lodowate podmuchy. To był jej nowy dom, Nowy Jork w swej migotliwej ciemności. Uwolniwszy się od towarzystwa obleśnego fotografa, Carpozi spróbował nakłonić Marilyn, żeby się otworzyła. Tym razem nie skryła się za trzepotem rzęs i żarcikami. Wzięła go pod ramię i zaczęła mówić: „Urodziłam się jako Norma Jean Mortenson w szpitalu hrabstwa Los Angeles...”<sup>[21]</sup>.

arpozi był zdumiony optymizmem Marilyn. Jak to możliwe, że wydawała się taka szczęśliwa? Zostawiła Hollywood dla zimnego, nędznego apartamenciku w hotelu C rojącym się od szczurów, paparazzich i pryszczatych nastolatków. Prasa była jej nieprzychylna, wisiała nad nią groźba procesów i wciąż czuła oddech Darryla Zanucka na karku. Wobec niepewnej sytuacji MMP i braku inwestorów na horyzoncie jej położenie było nie do pozazdroszczenia – nawet ubrania zostawiła w Los Angeles. Nie miała pieniędzy, mężczyzny, widoków na przyszłość, w każdym razie tę najbliższą. Była za to wolna, z Miltonem, i na razie tylko to się dla niej liczyło.

Pewnego styczniowego poranka wyszła z hotelu Gladston pod ramię z Miltonem i George'em Nardiellem. Przy drzwiach dygotał z zimna ciemnooki czternastolatek Peter Mangone, bawiąc się kamerą marki Revere, którą pożyczył od brata. Marilyn odwróciła się na pięcie i przesłała mu pocałunek, a Milton mężnie zgodził się, by chłopiec poszedł za nimi. Może Peter, nieśmiały nastolatek z Bronksu, który urwał się ze szkoły, żeby zobaczyć swoją ulubioną gwiazdę, przypominał mu jego samego ze szczenięcych czasów?

Przez kilka następnych godzin Peter podążał za tą trójką przechadzającą się po Piątej Alei. Zatrzymali się przy salonie Elizabeth Arden i sklepie I. Miller & Sons. Marilyn czasami przystawała, żeby poprawić futrzany kołnierz albo szepnąć coś ze śmiechem Miltonowi na ucho. Niekiedy spoglądała w niebo i ziewała, przymykając oczy jak kot. W mgiele, którą utworzyło światło późnego poranka, przywodziła na myśl blond brzoskwinie.

Przez pierwsze miesiące 1955 roku Marilyn wyglądała wyjątkowo pięknie, jej potargane loki muskały czekoladowy kołnierz, skóra opalizowała na tle matowej szarości miasta. Swoją figurę w kształcie idealnej klepsydry podkreśliła dopasowanym czarnym kaszmiem i tym razem wyglądała elegancko, ale nie krzykliwie. Samochody z piskiem opon zatrzymywały się przy krawężniku. Gdzieś w pobliżu Pięćdziesiątej Czwartej taksówka, checker, wjechała w tył samochodu dostawczego, a półprzytomny kierowca, szerząc zęby w uśmiechu, krzyknął przez okno: „Marilyn!!!”.

Ścisnęła mocniej ramię Miltona, uśmiechając się na mrozie. Maszerowali dziarskim krokiem – Lexington Avenue wciąż błyszczała od lodu, ale w powietrzu czuć już było odurzający zapach odwilży. Zima minęła półmetek i teraz wystarczyłby jeden ciepły podmuch, żeby uwolnić wiosenną bez troskę. Może i skończą jako skompromitowani bankruci, ale oto nadchodziła wiosna – niefrasobliwa, pełna życia, w kolorze blond, niosąc ze sobą nadzieję. Jak dobrze schłodzona butelka szampana – ta, którą trzymasz na niedzielę, ale wyciągasz z lodówki już we wtorek, bo w końcu przestajesz się martwić i marznąć – czujesz się lekko i przejrzyście. Bo w oknie Liz Arden widzisz białe kamelie. Bo zamierzasz napić się szampana z przyjacielem – tym, który sprawia, że zamieniasz się w ciekawską nastolatkę. I chcesz, żeby ta euforia trwała całą noc, cały tydzień. Chcesz, żeby trwała już zawsze.

Czy to była głupota? Odwaga tej dwójki na wielu robiła wrażenie, ale tylko kilka osób wierzyło, że im się uda. „Nie sądzę, żeby Milton naprawdę zdawał sobie sprawę, jak potężni byli ci ludzie – stwierdził Jess Rand, przyjaciel obojga. – Z takimi można wygrać bitwę, ale nigdy wojnę”<sup>[22]</sup>.

*Cztery*  
**Libacje, literaci  
i Lee Strasberg**



Marilyn nad lekturą książki Michaiła Czechowa o sztuce aktorskiej, nowojorski hotel Ambassador, marzec 1955 rok.

FOT. ED FEINGERSH/ARCHIWUM MICHAELA OCHSA/GETTY IMAGES



Po przybyciu do Nowego Jorku dostrzegła, że naprawdę może zrealizować swoje marzenie.

*Lee Strasberg*

**T**ej zimy Marilyn zawarła niezwykłą przyjaźń, która okazała się miłą odmianą w jej nowojorskim życiu. W hotelu Gladstone od miesięcy ukrywała się pisarka Carson McCullers, żywiąc się kawą, alkoholem i papierosami. W wieku trzydziestu siedmiu lat Carson ważyła niecałe trzydzieści dziewięć kilogramów, była w połowie sparaliżowana, a także uzależniona od alkoholu i „rózynek” (tabletek). Rok temu jej mąż popełnił samobójstwo, a ona wylądowała na jakiś czas w klinice psychiatrycznej Payne Whitney, do której sześć lat później trafi Marilyn i przejdzie własną drogę przez mękę.

Carson tak jak Marilyn była roztargniona i niezaradna, z trudem radziła sobie ze sprawami praktycznymi, takimi jak gotowanie czy pranie, zupełnie jakby urodziła się po to, by żyć w hotelu z zapewnioną kuchnią i pełną obsługą. A ponieważ tegoroczna zima była mroźna, obie z Marilyn przesiadywały w holu, rozgrzewając się podwójną whisky lub koniakiem. Carson zawsze miała pod ręką swojego Sonny’ego Boya – termos z herbatą z dodatkiem sherry – a do tego, na wszelki wypadek, piersiówkę z whisky, która chlupotała w jej torebce. Na imprezach słynęła z wyjątkowych popisów. Wymachiwała laseczką, w picciu biła na głowę każdego, a potem nagle zabierała się do domu, żeby pić dalej, zostawiając nowojorskich intelektualistów, którzy chwiejnym krokiem szli spać.

Dzięki Carson Marilyn poznała innych wybitnych pisarzy, takich jak Tennessee Williams i Truman Capote. W owym czasie Capote był maskotką grupki zamożnych dam plotkujących nad sałatką z krewetkami w hotelu Plaza. Babe Paley, Gloria Guinness i C.Z. Guest garnęły się do niego, chociaż pochodził z głuchej prowincji. Marilyn jednak nie należała do elity – tak jak Truman opuszczona przez rodziców, tułała się po krewnych i sierocińcach. Była równie urocza jak Gloria czy Babe, ale przy tym zuchwała i namiętna jak prawdziwa artystka.

Marilyn i Truman nie znosili Los Angeles i oboje szybko połączyła miłość do Manhattanu. Przechadzali się Trzecią Aleją, zaglądając do sklepów z antykami, gdzie oglądali pierścionki i stojące zegary. Raz pod wpływem impulsu wstąpili do sklepiku chiromantki, ale uciekli na widok kobiety z haczykowatym nosem robiącej na drutach buciki dla dzieci. Capote zabierał Marilyn do Oak Room na drinka i żeby porozmawiać o swoim nowym projekcie – *Śniadaniu u Tiffany’ego*. Albo szli do hotelu Waldorf-Astoria, ale nigdy do pubu P.J. Clarke’s, bo tam zawsze siedziała Dorothy Kilgallen<sup>[10\*]</sup>, „dając w gaz”, jak to ujęła Marilyn.

Truman oczywiście uwielbiał Marilyn – jej radosny śmiech, mleczną skórę podkreśloną przez czarne sukienki na ramiączkach, które szybko stały się jej nowojorskim uniformem. Oboje byli gadułami, czarusiami, wielbicielami szampana i potajemnymi pracoholikami. Capote, który sam siebie nazywał pisarzem horyzontalnym, podzielał jej na pozór złe nawyki. Całe dnie spędzał, leżąc na wznak z martini w dłoni, i walił w swoją maszynę marki Corona niczym pijany mały lord. Dobrze rozumiał bałaganiarski perfekcjonizm Marilyn, wszystkie te nieodebrane telefony, pomadki zbierające kłaczki w torebce. Kiedy człowiek aż tak kocha swoją pracę, przesłania mu ona całe życie – zapomina o tabletkach, umówionych spotkaniach, kochankach i przyjaciółach.

W przeciwieństwie do Marilyn Truman był niepoprawnym plotkarzem, rozpowiadał, który żonaty producent ma na boku kochankę, a całkiem możliwe, że również kochanka. Pogłoski, które powtarzał, często dotyczyły jego „przyjaciół” czy nawet samej Marilyn. Babe Paley była przekonana, że jej mąż William S. Paley, szef CBS News, sypia z aktorką. „Jest okropnie o ciebie zazdrosna” – drażnił się z Marilyn, pochylając się ze złośliwym uśmiechem nad stolikiem zastawionym krabimi nogami i daiquiri.

Marilyn jednak nie interesowały tego rodzaju przekomarzanki. Intrygowało ją raczej, co kryje się w głębi jednostki; ciekawiła ją zwłaszcza Elizabeth Taylor („No ale jaka jest naprawdę”, naciskała). Machała ręką, żeby uciszyć Trumana, gdy próbował skreślać w stronę paskudnych szczegółików. „Jeśli nie możesz o kimś powiedzieć czegoś miłego, lepiej nie mów wcale” – napominała go z absolutną szczerością. (Capote sporządził portret Marilyn, w którym ukazał ją jako wulgarną, rozmemlaną, pustą ćpunkę. Wiele lat później chwalił się, że to najlepsza sylwetka gwiazdy, jaka wyszła spod jego pióra. Czy miał świadomość, że w ten sposób sprzedawał ją, tak jak Arthur Miller, Darryl Zanuck i wielu innych mężczyzn później?).

Dzięki Trumanowi Marilyn poznała swoją pierwszą nowojorską nauczycielkę, wybitną szekspirowską aktorkę Constance Collier. Urodzona w 1878 roku Constance debiutowała na scenie w wieku trzech lat jako Groszek w *Śnie nocy letniej*. Zanim przeniosła się na deski teatru dramatycznego, występowała jako jedna z Gaiety Girls. W latach trzydziestych zamieszkała w Nowym Jorku, wydawała lesbijskie obiady i brylowała niczym paryska gwiazda salonów, opowiadając o zaręczynach z brytyjskim aktorem sir Herbertem Beerbohm Tree albo o nocnych hulankach z Oscarem Wilde’em. W pannie Collier wszystko, począwszy od zaprawionego drwiną humoru, aż po czarne wiedźmowate szale i welwetowe toczki, było przesiąknięte atmosferą edwardiańskiego Londynu – jakby trafiła na Madison Avenue prosto ze sceny w teatrze Apollo.

Przez dwa ostatnie dziesięciolecia panna Collier dawała lekcje aktorstwa Vivien Leigh, Grecie Garbo oraz Katharine i Audrey Hepburn. Marilyn nigdy w życiu nie zdołałaby się upodobnić do tych kobiet o wydatnych kościach policzkowych i arystokratycznych podbródkach, kobiet o odpowiednich wymiarach, z niewidocznym rowkiem między piersiami, kobiet, na których widok zapadała pełna podziwu cisza, gdy podczas ceremonii wręczenia nagród aksamitnym głosem dziękowały za Oscara. Im nigdy nie brakło tchu, nigdy nie zdradzały nadmiernego podniecenia, nigdy nie musiały płukać sobie okrężnicy, żeby wcisnąć się w sukienkę, nigdy Zsa Zsa Gabor nie patrzyła na nie krzywym okiem, a Joan Crawford nie zawstydziała ich z powodu ich seksualności. (Nigdy też Jerry’emu Lewisowi nie przyszłoby do głowy, żeby podczas gali Redbook Film Awards zakraść się na scenę i zawyc niczym małpa, gdyby którejś z nich przyznano nagrodę). Z twarzą jak naleśnik i uroczym seplenieniem Marilyn nie mogłaby zagrać arystokratki, nawet gdyby się starała. Miała zbyt krągłą, zbyt soczystą figurę, żeby wciskać się w angielskie bryczesy. Lepiej wyglądała w poliestrowej sukience, gdy nalewała kawę w barze Howard Johnson’s albo gdy spowita w boa jak girlsa wręczała żetony do pokera w hotelu Lido. Czy panna Collier mogła włączyć kogoś takiego do swojego doborowego towarzystwa?

„Nie widziała żadnego z filmów Marilyn – pisał Truman, który lubił łączyć ze sobą przeciwieństwa i patrzeć, jak wybuchają nienawiścią albo zaczynają pałać do siebie miłością – i w zasadzie nie wiedziała o niej nic oprócz tego, że to jakaś platynowa

seksbomba okryta światową niesławą; krótko mówiąc, Monroe nie wydawała się ulepiona z odpowiedniej gliny, by formowały ją surowe, przywykłe do klasycznych metod dłonie panny Collier. Ja jednak uważałem, że współpraca obu pań może być stymulująca”<sup>[23]</sup>.

Tym razem Truman się nie pomylił – to była miłość od pierwszego wejrzenia. Może zdecydowała o tym jej musicalowa przeszłość, w każdym razie Constance natychmiast polubiła Marilyn (według Amy Greene raz nawet próbowała ją uwieść na zabawie). Nadskakiwała jej, nazywała ją swoim specjalnym przypadkiem i porównywała talent aktorki do trzepoczącego się motyla. Uważała, że jeśli chodzi o Marilyn to ćwiczenia techniczne są nieistotne, liczy się „inteligencja migocząca (...) jak koliber w locie”. Panna Collier, która w owym czasie dobiegała osiemdziesiątki, wzrok miała słaby – gdy patrzyła na Marilyn, widziała jedynie niewyraźną blond aureolę, rozmytą plamę żółci błyszczącą w mroku.

Marilyn z kolei kochała Constance, tak jak wszystkie inne „twarde staruszki”. A nawet jej ponury salon – ciemny i nasycony jak płótna Tintoretta, którego uwielbiała. Pomiedzy lekcjami u panny Collier a drinkiem w towarzystwie Carson znajdowała pociechę w tym wiktoriańskim mroku, który po przesłodzonym hollywoodzkim blasku był dla niej prawdziwym balsamem.

Pracowały nad rolą Ofelii – Constance uznała, że Marilyn jest do niej stworzona: „W zeszłym tygodniu rozmawiałam z Gretą, wspomniałam jej o Ofelii w wykonaniu Marilyn i Greta powiedziała, że owszem, wyobraża to sobie, ponieważ widziała z nią dwa filmy, co prawda oba liche i wulgarne, ale dostrzegła potencjał tej dziewczyny. Greta ma nawet zabawny pomysł. Czy wiesz, że ma ochotę nakręcić ekranizację *Portretu Doriana Graya*? Z sobą samą w roli Doriana, oczywiście. Chciałaby, żeby Marilyn zagrała jedną z dziewcząt, które bohater uwodzi i doprowadza do zguby. Greta!”<sup>[24]</sup>.

Marilyn marzyła, żeby poznać słynne uczennice panny Collier, zwłaszcza Katharine Hepburn. „Chętnie bym do niej zadzwoniła” – wyznała Capote’owi. Brakowało jej jednak pewności siebie – wciąż była tylko gwiazdą filmową, a nie prawdziwą aktorką. Jeszcze nie. Wkrótce to się miało zmienić.

**1** lutego Carson McCullers zabrała Marilyn na kolację do Paula Bigelowa. Ten „zawodowy katalizator”, jak o sobie mówił, znany był z tego, że potrafił puścić maszynę w ruch – gdyby polubił Marilyn, zyskałaby potężnego sprzymierzeńca. Na przyjęciu miała być również producentka teatralna Cheryl Crawford, jeszcze jedna potencjalna sojuszniczka i bliska przyjaciółka Carson. Nieugięta, o wąskich wargach, należała do grona najtwardszych kapitanów na Broadwayu. Wyprodukowała *Tatuowaną różę* Tennessee Williamsa, *Porgy i Bess* oraz *Brigadoon*. A co ważniejsze, była założycielką Actors Studio, stowarzyszenia prowadzącego warsztaty aktorskie oparte na systemie Konstantina Stanisławskiego. W warsztatach brali udział Shelley Winters, Marlon Brando i Maureen Stapleton, a Marilyn miała nadzieję, że uda jej się do nich dołączyć.

Obawiając się spotkania z tak wpływowymi osobistościami, Marilyn ubłagała Miliona, żeby z nią poszedł i udzielił jej moralnego wsparcia. Po serii nieprzychylnych komentarzy w mediach czuła się niepewnie i była wrażliwa na każdy przejaw krytyki. Broadway zaś często spoglądał z góry na przybyszów z Hollywood, a zwłaszcza na blond komediantki poruszające się kiczowato uwodzicielskim krokiem. Jak na taką gwiazdkę jak ona zareaguje

krótkowłosa Cheryl w męskim fularze i praktycznych butach? Co gorsza, Cheryl była bliską przyjaciółką Charliego Feldmana, agenta, z którym Marilyn rozstała się w grudniu. Marilyn miała ochotę wykręcić się od tego spotkania, ale Carson McCuller dodała jej otuchy podwójną whisky przy kominku. Rozgrzani alkoholem i ciepło opatuleni wyruszyli do domu Paula przy Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej, w wąziutkiej kamienicy wciśniętej pomiędzy Elmo a sklep z protezami kończyn.

Traf chciał, że Marilyn znalazła się przy stole na wprost Cheryl Crawford, która natychmiast zaczęła ją wypytывать o stosunki z Feldmanem. Kiedy Milton próbował wystąpić w jej obronie, Cheryl natychmiast go usadziła, nazywając diabelskim nasieniem i nicponiem.

W tej sytuacji Marilyn musiała mówić za siebie: Feldman nie dość walczył o jej twórczy wkład, choć dla niej to było najważniejsze, i obraził się, kiedy wyszło na jaw, że ona nie zadowolili się niczym innym. Jako kobieta, która musiała rozpychać się łokciami, żeby zrobić karierę na polu zdominowanym przez mężczyzn, Cheryl potrafiła ją zrozumieć.

I oto zdarzył się cud – Marilyn udało się zmiękczyć nieustępliwą Cheryl Crawford. Po kolacji obie pograżyły się w rozmowie na temat aktorstwa. Producentka obiecała, że pomoże Marilyn pchnąć dalej karierę. Umówiły się na następny dzień – Cheryl miała zabrać Marilyn na warsztaty do Actors Studio Lee Strasberga.

O wpół do dziesiątej rano spotkały się w hotelu Gladstone, skąd pojechały taksówką na drugi koniec miasta – na Zachodnią Czterdziątą Szóstą. Cheryl w szytym na miarę wełnianym płaszczu, Marilyn w swoim futrze z norek, okularach przeciwsłonecznych i czarnej chustce wślizgnęły się do studia tylnym wejściem. Marilyn zsunęła okulary, patrząc z podziwem – miała wrażenie, że wkroczyła do nieukończony katedry. Ta grupka, która wypełniała salę, siedząc zasłuchana na rozklekotanych krzesłach, przywodziła na myśl raczej francuski ruch oporu niż hotel Chateau Marmont. Był tu Marlon Brando w swojej białej koszulce z podwiniętymi rękawkami i mokasynach, był Jack Lord w ciemnym pulowerze i z włosami zaczesanymi do góry, były Kim Stanley i Anne Jackson w prostych spódniczkach i bluzkach, całe w beżu i czerni. Wszyscy siedzieli w nabożnym skupieniu, paląc papierosy i popijając kawę, zasłuchani w słowa swojego mentora Lee Strasberga.

Z papierosów osypywał się popiół, a kawa stygła, gdy Lee przemierzał salę w wydętej niczym żagiel marynarce. Wyglądał jak uwodzicielski mnich, który wabi swą trzódkę obietnicą oświecenia. Mówił o „wyborze” sztuki i o „najwyższej istocie uczucia”. Aktorka tworzy własną rzeczywistość wyobrażoną; musi niejako zamieszkać w swej roli, żeby tchnąć w nią życie. To aktorzy, nie reżyserzy, powołują do życia sceny, i to oni tworzą je własnymi ciałami i krwią. Strasberg podkreślał wyższość czucia nad rozumem i namawiał swoich uczniów, żeby bez końca spoglądali w głąb siebie. „Jeśli zaczniecie kierować się logiką – ostrzegął – równie dobrze możecie rzucić wszystko w diabły”. Właśnie takiej argumentacji Marilyn rozpaczliwie potrzebowała. W małej zimnej salce przy Zachodniej Czterdziestej Szóstej, z dala od hollywoodzkiej śmietanki, nareszcie znalazła swój raj na ziemi.

Natychmiast umówiła się z Lee na spotkanie i zaledwie kilka dni później jedli kolację w jego domu przy Central Park West. Wyszła stamtąd, mając jasno wytyczone cele i – co być może ważniejsze – określony plan w głowie. Jednym z wymagań, jakie Lee stawiał swoim uczniom, było poddanie się psychoanalizie, na co Marilyn ochno przystała, od lat bowiem



interesowała się Freudem. Pięć razy w tygodniu spotykała się z doktor Margaret Hohenberg, węgierską psychiatrą, która swe blond warkocze upinała na czubku głowy w koronę. Trzy razy w tygodniu, wieczorami, Strasberg dawał jej prywatne lekcje w swoim mieszkaniu w Midtown – wciąż była zbyt nieśmiała, żeby brać udział w warsztatach. Dni, wcześniej tak chaotyczne, zostały podporządkowane ścisłemu rozkładowi i nieokreślony lęk, który towarzyszył jej przez minione tygodnie, zaczął się ulatniać.

Zagubiona dziewczyna, którą była w Los Angeles, została daleko. Marilyn mieszkała na Manhattanie, miała wspierających przyjaciół, dwoje wybitnych nauczycieli aktorstwa i dobrotliwą psychoanalityczkę, która wyglądała jak dorodna mleczarka. Fryzjer Richard Caruso przychodził czesać Marilyn w domu, Chanel No 5 dostarczano jej skrzynkami, a krawcowe z Siódmej Alei szyły jej mnóstwo sukienek-halek. Chodziła na kolacje do Sardi's, na drinka z Trumanem Capote, a w mroźne wieczory wychylała kieliszek w towarzystwie Carson McCullers. Planowała zagrać Ofelię i miała wstęp do Actors Studio. Otworzyła własną wytwórnię. Miała Milтона Greene'a i twórczy sojusz, o jakim zawsze marzyła.

Prasa jednak wciąż prześladowała ją z powodu tego, czego nie miała, to znaczy męża. Jeszcze w marcu dziennikarzy bardziej interesowały wizyty DiMaggia w hotelu Gladstone niż plany zawodowe Marilyn. „Nie oszukujmy się – pisał «Photoplay» – nic nie zastąpi miłości. Pasjonująca praca nie wystarczy”. W Hollywood Marilyn traktowano jak rozdokazywane dziecko. Ludzie na usługach wytwórni umniejszali jej znaczenie, ukrywając fakt, że w rzeczywistości byli wstrząśnięci. Marilyn doprowadzała ich do białej gorączki – nie mieli pojęcia, co zamierza zrobić ani co knuje na Wschodnim Wybrzeżu. Może i postawiła wszystko na jedną kartę, ale to Zanuck i jego kumple byli bardziej przerażeni od niej.

Kobiety, które zbaczają z ustalonego kursu, są niebezpieczne. Naruszają status quo, wstrząsają strukturami władzy. Czegoś takiego można się było spodziewać po Katharine Hepburn, pewnej siebie buntownicze, która mówiła barytonem, nosiła spodnie i fedory i potrafiła pić z chłopakami. Ale Marilyn była przecież własnością mężczyźni – małą beztroską ptaszyną, tanią i prostą w obsłudze jak puder dla niemowląt. Co się dzieje, kiedy słodki kociak się buntuje, rozwodzi z bohaterem narodowym i rzuca wyzwanie najpotężniejszym ludziom w Los Angeles? Zanuck i jego drużyna byli udzielnymi księżętami. Dokonując wyłomu w Twierdzy Hollywood, Marilyn godziła w sam patriarchy.

Czy się to komu podobało, czy nie, świat się zmieniał i już za chwilę miało to wywołać ostry sprzeciw. Wszystkie strategie były dozwolone – od przestróg i pogróżek po jawne poniżanie. Prym wiodły czasopisma kontrolowane przez wytwórnię, takie jak „Motion Picture”: „Być może prawda przedstawia się tak, że ten spokój ducha, którego tak brakuje teraz Marilyn – i którego być może nigdy nie uda jej się uzyskać – odnalazły tysiące gospodyń domowych prowadzących znacznie mniej spektakularne życie w małych miasteczkach rozsianych po całym kraju”. Skąd „Motion Picture” wiedział, czego Marilyn potrzebowała, żeby zaznać spokoju? I czy te tysiące „mniej spektakularnych” gospodyń domowych odetchnęły z ulgą na tę wieść?

*Pięć*  
**Zauroczenie**



Marilyn z Leonardem Lyonsem, dziennikarzem „New York Post”, na przyjęciu urodzinowym Jackiego Gleasona w nowojorskiej restauracji Tootsa Shora, 26 lutego 1955 roku.

FOT. ARCHIVE PHOTOS/GETTY IMAGES



Myślę, że Marilyn dobrze wie, dokąd zmierza – i że jest to droga naprzód. Niewykluczone, że okaże się jeszcze nie tylko najseksowniejszą, ale i najbystrzejszą blondynką naszych czasów.

*Earl Wilson*

**P**o wielu miesiącach hibernacji duch Marilyn zaczęła się budzić. Znow chciała przyciągać wzrok – choć nie pismaków i paparazzich. Nigdy więcej konferencji prasowych z tanimi żarcikami i chwytliwymi sloganami. Tym razem zamierzała to zrobić po swojemu. Ale żeby zabłysnąć, potrzebowała odpowiedniej oprawy, czegoś o bogatej historii – miejsca, gdzie poetka Dorothy Parker i aktor Robert Benchley łoil szkocką, póki nie zwalili się na stół wśród talerzy z pieczonymi kuropatwami. Przez te pierwsze lodowate miesiące 1955 roku Marilyn wychodziła z cienia powoli w knajpie o nazwie 21 Club, pozostałości po czasach prohibicji.

Rozgrzana whisky Marilyn ujawniała się ostrożnie – uwielbiała pić single malt w klubie, który miał dla niej posmak Starego Świata. Od krzykliwego blichtru Copy wolała regały z cynowymi kuflami w romboidalnych kratownicach, obite błyszczącą czarną skórą siedziska, czerwone perskie dywany i dębowe ściany obwieszane rycinami przedstawiającymi lisy i psy gończe. Otulona w czarne norki, z odsłoniętą szyją wyglądała znacznie bardziej świeżo niż kilka tygodni temu u Franka Delaney. Jej mleczna skóra odbijała się w srebrnych kubelkach na wino i w aluminiowej folii na butelkach Dom Pérignon. Bob Kreindler, właściciel klubu, popisował się przed nią rzadkimi zdobyciami. Sid Kingsley, dramatopisarz i zdobywca Pulitzera, stawiał jej drinki. Richard Adler natychmiast zaczął się domagać, żeby wystąpiła w skomponowanym przez niego musicalu *The Pajama Game* (1957).

Jej pewność siebie rosła – Marilyn była wreszcie gotowa na rozmowę z nowojorską prasą, a 21 Club wydawał się znakomitym miejscem na takie spotkanie. Tu zwykle brylował przy swoim stoliku Leo Lyons, prawdziwy potentat medialny, a Earl Wilson z „New York Post” robił rundki po całym lokalu aż do trzeciej nad ranem, zbierając plotki do swojej kolumny „It Happened Last Night” (To się zdarzyło ostatniej nocy). Mimo że w ich artykułach roiło się od gwiazd i żarcików, Leo i Earl cieszyli się opinią prawdziwych dziennikarzy, czym natychmiast przyciągnęli uwagę Marilyn. W przeciwieństwie do hollywoodzkich pismaków ci dwaj naprawdę lubili ludzi, o których pisali, traktowali ich po przyjacielsku i nigdy nie zdradziliby ich w zamian za nowego cadillaca czy wycieczkę do Palm Beach. Bob Kreindler był pod tym względem bardzo surowy – krwiożercze medialne bestie w stylu Waltera Winchella czy plotkarze w rodzaju Dorothy Kilgallen nie mieli do jego knajpy wstępu.

Z dala od brutalności Marilyn mogła się mierzyć z najlepszymi. Leo Lyons i Earl Wilson potrafili dostrzec, co kryło się za jej uwodzicielskim chodem i słodkim gruchaniem. Pokochali żarciki Marilyn, jej mocną głowę, to, że naprawdę się czerwieniła, kiedy podawała komuś rękę, i nie starała się tego ukryć. Takich mężczyzn lubiła – do trzeciej nad ranem kręcili się między stolikami, a potem pisali do świtu dla czystej przyjemności. Tak jak ona byli żądni wiedzy i naprawdę kochali ludzi i kulturę. Leo opowiadał jej o swoich wywiadach z George’em Bernardem Shawem, a Earl pytał, co ją łączy z Gruszeńką. Zwłaszcza tego ostatniego uderzyła zmiana, jaka zaszła w Marilyn. Poznał ją kilka lat wcześniej i uznał, że jest ponętna, ale „drewniana”. Tym razem oczarowała go ciepłem i dowcipem, a nie

rowkiem między piersiami czy duszącą mieszanką perfum.

W tych małych grupkach, które tłoczyły się przy stolikach i zamawiały kolejkę za kolejką, przegryzając tartaletkami z kawiozem, Marilyn rozkwitała. Otulona mgiełką alkoholu i zapachem skórzanych siedzeń gadała do późnej nocy z nowo poznanymi przyjaciółmi. Nim wyszła, by stawić czoło zimnym podmuchom wiatru na oblodzonej ulicy, łapała Leo albo Earla za ramię. „Myślcie o mnie dobrze” – szeptała, wślizgując się w futro z norek. W tej chwili każde wsparcie było dla niej na wagę złota.

**N**ieopodal eleganckiego 21 Club znajdowała się knajpa dla wielbicieli sportu prowadzona przez uroczego hulakę Toots Shora. 26 lutego Marilyn zjawiała się tu u boku DiMaggia otulona w białe gronostaje, rozdając autografy. A choć spotkanie zorganizowano, by uczcić trzydzieste dziewiąte urodziny Jackiego Gleasona, następnego dnia Earl Wilson donosił, że „momentami zdawało się, jakby to była impreza na cześć Marilyn”.

Knajpa Toots Shora to było miejsce, gdzie mężczyźni przechadzali się dumnie, poklepywali po ramieniu i dosłownie robili wyścigi, który pierwszy zwali się pod stół (czasami trzeba było uważać, żeby nie nadepnąć na Gleasona). Żadnego kawioru, tylko siekana kurza wątróbka, stek i rostbef. Marilyn jednak uwielbiała tutejszą pijacką serdeczność, obrusy w czerwonej kratę, stoliki pełne popielniczek, tanie, kapiące świece i whisky z wodą sodową. Błyszczała w gęstych oparach alkoholu i kłębach papierosowego dymu i przysiadła na krześle, by chwilę z kimś porozmawiać. Uniesione ramiona okalały jej twarz niczym dwie lśniące żarówki pokryte delikatnym meshkiem. Bez biżuterii, w sukience na cienkich ramiączkach wyglądała jak puchaty króliczek – tak jak jej idolka Jean Harlow, która bez względu na to, co na siebie włożyła, zawsze przypominała namydloną owieczkę.

„Była absolutną królową balu – wspominała Audrey Meadows – unoszącą się na fali uwielbienia”. Całowała się i gawędziła z Johnem Hustonem. (Był na liście mężczyzn, z którymi chciała się przespać. Właściwie czemu nie? W tych swoich trzyczęściowych garniturach i kapeluszach, z cygarem wyglądał niczego sobie). Leo Lyons przez większość czasu gapił się na nią z uwielbieniem. Jackie Gleason obejmował ją w pasie pulchną ręką – w drugiej trzymał kieliszek brandy. Rozdokazywani panowie próbowali postawić ją na stole, co skończyło się krzykiem i ucieczką do toalety: „Drogi panie, czy mogłybyście mi pomóc? Zdaje się, że drzazga weszła mi w pupę”. Kryzys został zażegnany za pomocą szpilki do włosów, którą Audrey wysterylizowała zapalniczką.

„Samo patrzeć, jak błyszczą, było lekcją aktorstwa – wspominała Audrey. – Choć kiedy się pojawiała, wszystkie kobiety w polu widzenia natychmiast zamieniały się w zniewieściałych chłopców, my też ją lubiliśmy”. „WSZYSCY ją kochali – donosił Earl Wilson. – Nawet dziewczyny”.

Mimo tej gorączki, która opanowała mężczyzn, rzucania się na Marilyn, błagania o wywiad czy wspólne zdjęcie, mimo pocałunków – Joe pozostał niewzruszony. Słyszony z zazdrości DiMaggio siedział rozpromieniony, otaczając ją ramieniem, palił papierosy i strzepywał popiół na talerze z niedojedzonym ciastem truskawkowym. Spojrzał na prążkowany krawat Earla Wilsona i powiedział z uśmiechem: „Dostałem podobny od Marilyn”. „Dla wszystkich, którzy widzieli ich w Nowym Jorku, było jasne, że Joe zaleca się do Marilyn tak samo jak na początku ich znajomości – odnotowano w «TV and Movie

Screen». – Wygląda na to, że w tej chwili istnieje spora szansa na pojednanie”.

Tego wieczoru Marilyn wyglądała na szczęśliwą. Uwielbiała imprezy, na których rzeczywiście można się było zabawić, gdzieś z boku rozgrywał się jakiś uroczy mały dramat i niekiedy nawet można było stać się jego częścią. W porównaniu z tym Los Angeles było „po prostu nudne”.

Na szczęście Manhattan odwzajemniał jej uczucia. „Marilyn jest tu niezwykle popularna – oznajmił następnego dnia dumny Earl w swojej kolumnie. – Powinna zostać w Nowym Jorku. To jej miasto”.

**P**rzez całą zimę Marilyn rozkwitała w oszalamiającym blasku nowego życia towarzyskiego. Umawiała się z Marlonem Brando. Urządzała bitwy na poduszki z Trumanem Capote. Piła dżin w barze Subway Inn z Frankiem Sinatrą, wino w La Petite Cuvée z Miltonem Greene’em i tańczyła w hotelu Astor z księciem Siergiejem Oboleńskim. Chodziła na premiery filmowe i imprezy, na których – zdaniem dziennikarzy – zawsze była „gwiazdą wieczoru”. Wiele się zmieniło od czasów „zmokłej kury” w domu Gene’a Kelly’ego.

„Nie miałam pojęcia, że tak lubi ludzi, dopóki nie zaczęłyśmy bywać w Nowym Jorku – mówiła zdumiona Amy Greene, która była świadkiem tego, jak Marilyn oczarowywała najbardziej zblazowanych mieszkańców Manhattanu. – Bawiła się jak nigdy dotąd. Zabraliśmy ją do Dicka i Dorothy Rodgersów na dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Goście byli jak spod igły, same wieczorowe suknie i diamenty. Och, skarbie, wszyscy tam byli: Truman Capote, John i Elaine Steinbeckowie, Gloria Vanderbilt, Carol Saroyan<sup>[11\*]</sup>, Dorothy i Oscar Hammersteinowie – wszyscy, którzy się wtedy liczyli w świecie sztuki. Nawet Marie Harriman<sup>[12\*]</sup>, która w owym czasie była żoną Averilla. Ponieważ była ona bardzo, bardzo próżną kobietą, nie wkładała okularów do wieczorowej sukni i nawet nie widziała własnej ręki przysuniętej do twarzy. Kiedy Marilyn ruszyła w jej kierunku, Marie zobaczyła tylko rozmazaną blond postać, spytała więc Dicka Rogersa: «A to kto?». Gdy odparł, że Marilyn Monroe, wykrzyknęła: «Mój Boże, ona jest cudowna!». Była jedyną osobą na świecie, która nie potrafiła rozpoznać Marilyn, bo po prostu jej nie widziała. Kiedy Marilyn się o tym dowiedziała, tak jej się to spodobało, że podeszła do Marie i gorąco ją ucałowała. Marilyn była bardzo nieśmiała w relacjach z kobietami, ale też ogromnie serdeczna – potrafiła objąć i pocałować kogoś nawet wtedy, gdy jej nie rozpoznawał. Uwielbiała takie historie. Tego wieczoru komuś udało się zrobić urocze zdjęcie Marilyn z Marie Harriman, na którym się obejmują”.

To broadwayowskie towarzystwo szybko ją polubiło i zarzuciło zaproszeniami na przyjęcia pełne sław. W Hollywood Marilyn próbowałaby od tego uciec, zakopać się w kocach wśród płyt Sinatry i z telefonem pod ręką. Na Manhattanie jej pewność siebie i zmysł towarzyski rozkwitły. „W antrakcie wszyscy z nią rozmawiają – mówiła zdumiona Amy, która chodziła z Marilyn na spektakle i premiery. – Ludzie wołają z balkonów, że podoba im się jej sukienka albo wręcz przeciwnie. Albo że ma śliczną fryzurę”. Jeszcze bardziej zadziwiająca była reakcja Marilyn. „Odpowiada, jakby ich znała od zawsze. I ten magnetyzm jest naprawdę obustronny”. Nie dało się ukryć – Marilyn wyrastała na ekspertkę od public relations.

Milton grał rolę odźwiernego – przynajmniej na początku. Nalewał burbona, przepraszał

w imieniu aktorki i pilnował reporterów – nie chciał, żeby atakowali ją pytaniami o rozwód. Stopniowo jednak Marilyn rozluźniała się w towarzystwie prasy, a spotkania z dziennikarzami zaczęły ją nawet bawić. Umawiała się na wywiady w barach, zamawiała kieliszek Harveys Bristol i natychmiast wylewała go sobie na podolek. „Ups” – mówiła ze śmiechem i wycierając plamę serwetką, bez mrugnięcia okiem przechodziła do następnego pytania. Nie unikała osobistego tonu, była serdeczna, wylewna i dowcipna. „Nikt nie umie napisać dla niej kwestii, które brzmiałyby choć w połowie tak jak te, które wymyśla sama” – stwierdził nowojorski dziennikarz Pete Martin, oczarowany Marilynowymi „monroizmami”. „Nigdy nie byłam w stanie nosić pizamy czy tych odrażających koszul nocnych” – żartowała. Albo: „Śpię z na wpół przymkniętymi powiekami, śniąc o mężczyźnie”. Nawet w jej najprostszych stwierdzeniach kryła się głębsza, tajemnicza prawda. „Myślę, że jestem mieszanką – powiedziała Pete’owi Martinowi. – Czego? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pozostaję w stanie permanentnej nierównowagi”<sup>[25]</sup>. Marilyn chciała dać wielbicielom coś interesującego zarówno na ekranie, jak i na papierze: „Mam w sobie pewną głupią solenność. Nie chcę mówić tego samego każdemu, kto ze mną przeprowadza wywiad. Za każdym razem chciałabym powiedzieć coś nowego, innego, wyjątkowego. Przejmuję się tym tak, że aż mi się robi niedobrze”<sup>[26]</sup>.

Dziennikarze z Manhattanu lubili poczucie humoru Marilyn. Bo dlaczegóż by nie? Przepadali za jej dziwactwami, które instynktownie podkreślała. Błagała ich, żeby używali notatników, i nie godziła się na nagrywanie: „Denerwuje mnie, jak widzę, że to się wciąż kręci i kręci”. Zamiast się wściekać na jej spóźniałstwo, współczuli Marilyn. „Wygląda na to, że pokojówka zniknęła z jej bluzką – donosiła sekretarka dziennikarzom czekającym w holu – i Marilyn biega teraz w samych spodniach”<sup>[27]</sup>.

Zniknęła niepewna siebie hollywoodzka sierotka, planująca szybką ewakuację z przyjęcia przy basenie. Jej szczerłość wobec prasy okazała się opłacalna – opinia publiczna znów zaczęła jej sprzyjać. „Nigdy nie lekceważcie tej dziewczyny” – ostrzegał Earl w artykule *In Defense of Marilyn*. Pisał: „Jaka inna aktorka w trakcie zawieszenia zajęłaby się pozyskiwaniem miliona nowych przyjaciół?”.

**D**wudziestego drugiego lutego Marilyn wzięła udział w gali Marynarki Wojennej zorganizowanej w hotelu Astor. Podczas uroczystości została uhonorowana tytułem Dziewczyny Okrętu USS Bennington. „Zgodnie ze swoim zwyczajem – wspominał marynarz Paul Lazzaro – przybyła dopiero koło dwudziestej trzeciej. Za kulisami wychyliła drinka z whisky, który pojawił się nie wiadomo skąd, a potem wyszła na scenę. Trzy tysiące marynarzy piło już od trzech godzin i oto zjawiała się Marilyn! Zapanował całkowity chaos”.

Zdenerwowany Jay Kanter wyprowadził ją bocznym wyjściem na zatłoczony Times Square. Nikt jednak nie próbował szarpać ani obłapiać Marilyn – marynarze potraktowali ją ze znacznie większym szacunkiem niż żadna sensacji prasa. Bez pałta, w czarnej sukience na cieniutkich ramiączkach aktorka zatrzymała się na zimnie obok żołnierzy, żeby z nimi zapalić, pocałować w policzek i przytulić.

„Spytałem, czy mógłbym ją sfotografować, jak całuje marynarza na dobranoc – wyjaśnił Lazzaro. – A ona odparła półszeptem: «Ależ oczywiście!». Stała wokół niej cała grupka, wszyscy jednak utrzymywali pełen szacunku dystans – żaden nie był dość blisko, żebym

mógł zrobić zdjęcie. Zawołałem, żeby któryś wystąpił, usłuchał tylko jeden żołnierz z piechoty morskiej. Staął obok Marilyn i spytał: «Może być marines?». «Dobra, niech będzie – powiedziałem. – Ale chcę też marynarza». «To może ty?» – szepnęła do mnie Marilyn. Wyciągnęła ręce, złapała nas obu za policzki i przyciągnęła do siebie. Blond włosy, czarna satynowa sukienka – rozumie pan. Wystrzeliły flesze, a z nimi kilku chłopaków”.

Najsłynniejsza kobieta na ziemi nie była wyniosłą Hitchcockowską blondynką. Gawędziła z kosmetyczką podczas woskowania nóg, plotkowała ze sprzedawczyniami, machała na powitanie śmieciarzom przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Gdybyś ją spotkała w damskiej toalecie w Copie, pewnie pożyczylaby ci szminkę. No i pamiętała twarze – stewardesy, która była dla niej miła w samolocie, wdowy wojennej poruszającej się o kulach po wypadku na nartach. W końcu to „nie wytwórnia, nie jedna osoba, tylko naród” uczynił z niej gwiazdę.

Ów „naród” to byli mechanicy, taksówkarze i pomywacze zagapieni na jej chwiejny krok i rozkołysane, migające w ruchu biodra. Mężczyzn z „klasy robotniczej” Marilyn zresztą opisała we wzruszającym wywiadzie. „Przechodzę obok, a oni gwizdzą, a potem wołają: «Boże, to Marilyn Monroe!». Wiesz, to są te chwile, kiedy człowiekowi robi się miło, że ludzie wiedzą, kim jest i w ogóle. Ma wtedy wrażenie, że naprawdę coś dla nich znaczy”<sup>[28]</sup>.

Paparazzi, literaci, reżyserzy i projektanci byli czymś przelotnym. Trumanem Capote i Frankiem Sinatrą dzieliła się z Liz Taylor i Avą Gardner. Ale wielbiciele – kelnerki, nastolatki i robotnicy, cały ten hałaśliwy „popcornowy” tłum – należeli do niej.

9 marca 1955 roku. Hotel Gladstone, godzina dziewiętnasta. Premiera filmu *Na wschód od Edenu*. Obcisła długa sukienka z brokatu w kolorze biskoptowym, z falbaną na dole. Odkryte ramiona, etola z lisa, białe wieczorowe rękawiczki. Do tej pory Marilyn zdążyła już poznać magię tkanin. Kolory brązowoszary i beże w pobliżu twarzy, żeby podkreślić przejrzystą cerę. Płowe jedwabne kołnierze, piaskowa satyna. Tuziny dziecięcych rękawiczek z bawolej skórki. Nie usuwa meszku z twarzy – był skutkiem ubocznym stosowania kremu hormonalnego Laszlo – bo daje efekt rozmycia, dzięki czemu jej twarz zdaje się otaczać poświata (Elizabeth Taylor swój meszek goliła). Kości policzkowe smaruje wazeliną. Nie dlatego, że musi – temperatura wzrosła do 15 stopni Celsjusza. Czy będzie się pociła pod ciężkim brokatem? Czy w ogóle potrzebuje futrzanej etoli? Wygląda przez okno – po obu stronach wejścia do hotelu stoją drewniane policyjne kozły. Milton i Amy czekają w limuzynie zaparkowanej przy chodniku (Amy niczym delikatna Lara w czarnym futrzanym kapturze, Milton uroczo dziecinny w smokingu jak chłopiec bawiący się w przebieranki). Będzie John Steinbeck – co powie temu wspaniałemu szorstkiemu człowiekowi? Uwielbia jego powieść *Tortilla Flat*. Będzie też reżyser Elia Kazan z żoną. I Milton Berle ze swoją. Czy ktokolwiek podejrzewa ją i Brando? Jest już spóźniona – miała wskazywać gościom miejsca razem z Marlonem – będzie zły? (Będzie, ale jej wybaczy).

To pierwszy tak duży benefis na rzecz Actors Studio, nawet Margaret Truman zaangażowała się w opiekę nad gośćmi. Wokół Astor Theatre zgromadziły się tysiące gapiów, w łagodnym powietrzu czuć narastającą gorączkę. Dziennikarz radiowy Martin Block, który przysiadł wysoko ze swoim mikrofonem, rozmawia z przybywającymi gwiazdami. Milton Berle podchodzi do niego w towarzystwie swojej żony Ruth. Wszyscy wiedzą, że Berle ma słabość do blondynek i sypiał z Marilyn. Tego wieczoru wyjątkowo



troskliwie zajmuje się żoną – „Martin, sam powiedz, czyż nie wygląda wspaniale?” – z ręką na jej plecach nerwowo przeczesuje wzrokiem tłum, wypatrując błyskających fleszy i znaków obecności Marilyn. (Pod koniec wieczoru będzie z nią gawędził, sadzał ją sobie na kolanach, całował w policzek i paradował dumnie przed fotografami).

Wszyscy już są. Kazan jest stremowany. John Steinbeck wygląda, jakby potrzebował drinka. Margaret Truman wygląda Marilyn. Martin Block wygląda Marilyn. Marlon Brando wygląda Marilyn. Wszyscy na nią czekają. „Słyszałem, że Marilyn będzie odprowadzać gości na miejsce”. „Jest już?” „Spodziewamy się, że przybędzie z Joem lada chwila”. W tłumie narasta ryk. „Dobra, zdaje się, że się zjawiała”.

Zakorkowane ulice, oszalali, wyrywający się do przodu wielbiciel, lzy spływające po policzkach: „Dotknąłem jej! Dotknąłem!”.

Marilyn pojawia się wsparta na ramieniu Milтона Greene’a, a nie Joego.

Na premierze nie ma Jamesa Deana, odtwórcy głównej roli. Jakimś cudem nikt tego nie zauważył.

17 marca Milton zabiera ją do Friars Club<sup>[13\*]</sup>, gdzie na cześć jej kolegów, Deana i Jerry’ego<sup>[14\*]</sup>, urządzono roast. Marilyn jest jedyną kobietą w grupie pięćdziesięciu sprośnych mężczyzn. Siada ściśnięta między komikiem Bobbym Clarkiem a Eddiem Fisherem. Jest królową balu w klubie dla chłopaków – od lepkich spojrzeń i obleśnych uśmiechów fabryki snów dzielą ją tysiące kilometrów. Dean i Jerry błaznują, Marilyn chichocze z tyłu – błyszcząca banieczka wsparta na ramieniu Eddiego („Zawsze mnie pociągał”). Eddie jest oczarowany jej wizerunkiem kociaka, ale lata później – złamany i zgorzkniały po rozstaniu z Liz Taylor – będzie twierdził, że urodę Marilyn zrujnowały tabletki i alkohol. Danny Davis Junior opiera się o jej ławę, roztaczając woń Aramisa i czerwonych marlboro. Dziś wieczorem sprawiają wrażenie pary psotników przerzucających się żarcikami zrozumiałymi tylko dla nich. Marilyn spogląda na niego, unosząc zawadiacko brew, aureola blond loków nieco burzy image uwodzicielki. Milton Berle szepcze jej coś do ucha, a złota obrączka na jego palcu błyszczy bezpiecznie. Berle stoi dość blisko, by uchwycić zapach Marilyn – ostre nuty aldehydów i rozgrzewającej skórę żywicy balsamicznej. Oboje to uwielbiają i oboje są w tym dobrzy – potrafią stworzyć wokół siebie atmosferę intymności nawet na największej gali. Berle prawie nie pije, za to powoli, z mozołem pali hawańskie cygara – Marilyn wprost przepada za ich waniliową wonią. (Niebawem da jej w prezencie pudełko swoich ulubionych, dużo lepszych od papierosów, które pali). Dean i Jerry machają, żeby do nich podeszła, i oto pozuje razem z nimi, obejmując obu ramionami, jakby chciała ich przytrzymać, jakby należeli do niej. Dean chwyta ją za rękę, on też jest gotów uznać ją za swoją. Oczy Jerry’ego są okrągłe i czarne jak u szczeniaka. (Marilyn o Jerry’em: „Myślę, że jest seksowny. No wiesz, nie potrafię tego zanalizować, ale wiem, że jest”). Pozy stają się coraz bardziej szalone. Mimo czarnych krawatów i Chanel No 5 panuje atmosfera piżama party. Dean zaczyna jeść perłową dłoń Marilyn, a Jerry wgrzyza się w przedramię, jakby było kotлетem. Pewnego dnia będzie obwiniał prasę o jej śmierć („Była serdeczna, dobra, piękna”). A za siedem lat – trzy dni po tym, jak zaśpiewa *Happy Birthday, Mr. President* i osiem tygodni przed tym, jak na dobre straci świadomość w łóżku w Brentwood, z telefonem w dłoni, gdy Fox ostatecznie zemści

się na niej i karząc za sukces, zwolni ją po raz ostatni – Dean zaryzykuje karierę i odejście na znak protestu. To będzie ostatni przejaw szacunku, ostatni akt dobroci, ostatni wyraz uznania dla jej talentu i geniuszu. Ostatni za jej życia.

O kazało się, że broadwayowskie towarzystwo jest gotowe chronić Marilyn. Na roaście w Friars komik Joey Adams miał zamiar opowiedzieć kawał o DiMaggiu, ale po zastanowieniu uznał, że go sobie daruje – ze względu na Marilyn. Carol Channing, którą poproszono, by na popremierowej imprezie nakłoniła Marilyn do zaśpiewania *Diamonds Are a Girl's Best Friend*, mądrze zrezygnowała z tego pomysłu. „Uznałam, że to byłoby nie fair. Sama zabiłabym każdego, kto by mi coś takiego zrobił, więc dlaczego miałam ją do tego zmuszać?”.

„Marilyn przekonała się, że w Nowym Jorku ludzie z show-businessu, ponoć tak twardzi i bezwzględni, naprawdę ją szanują – pisał Earl Wilson. – Ani razu nie zaznała z ich strony niczego złego”. Wydawało się, jakby całe miasto oszalało na jej punkcie. Nowojorczyki uwielbiali w niej wszystko – pewny uścisk dłoni (bez względu na to, jak słabo czuła się pod koniec wieczoru), to, w jak ciepły sposób zapamiętywała imiona. „Zostaniemy dobrymi przyjaciółmi” – mówiła, ściskając czyjąś rękę przy windzie. I naprawdę tak uważała.

Manhattan wciąż oferował jej nowe rozkosze. Z zachwytem oddawała się zarówno tym intelektualnym, jak i zmysłowym – na Tolstoja rzucała się z tą samą naiwną łapczywością co na hot dogi. „Jest nienasycona, niemal chciwa wszystkich cudów świata – pisała Elsa Maxwell o rozbijającej ciekawości Marilyn. – Pragnie towarzystwa stymulujących osób, fascynujących książek, chce zobaczyć planetę, na której żyje, poznać muzykę, sztukę, jedzenie, wino. Jest jak dziecko z wielką paczką cukierków w ręce – nie potrafi się zdecydować, od którego zacząć”.

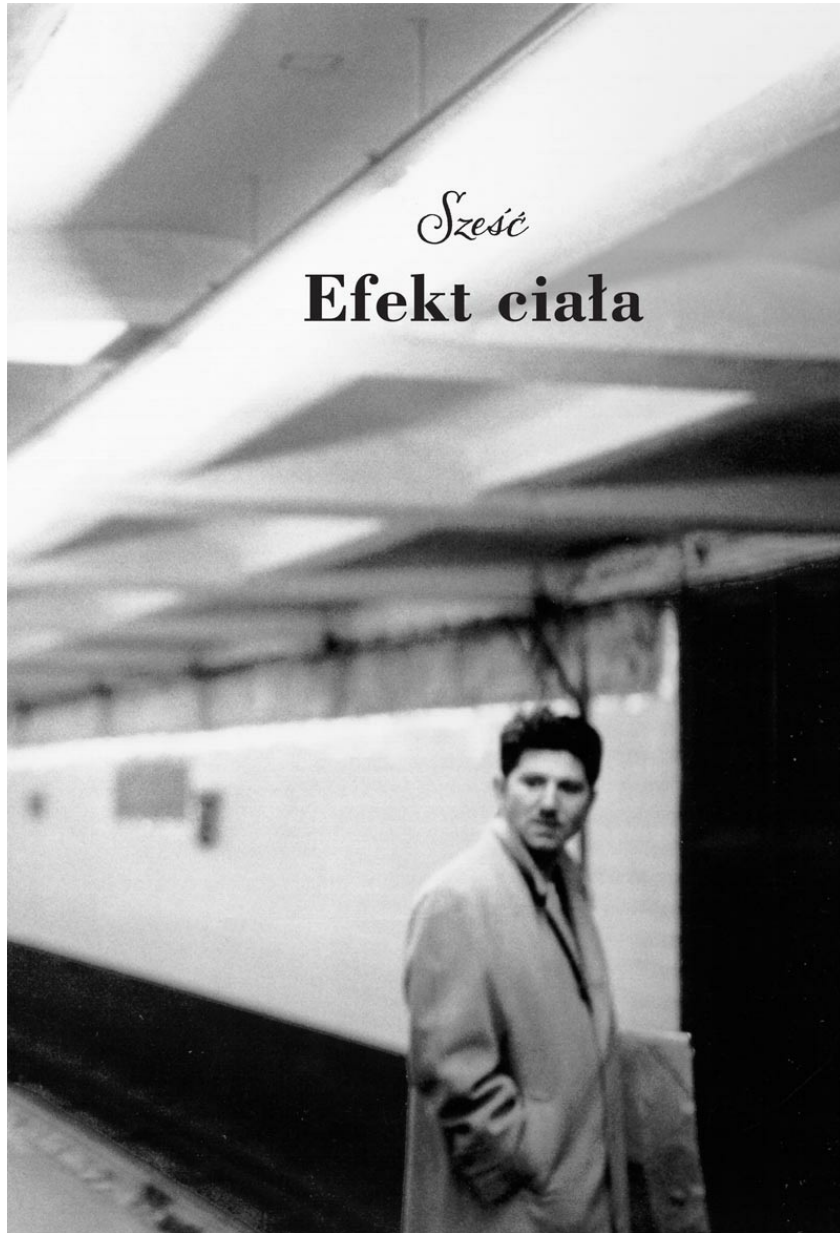
Budziła się po południu, zamawiała sok grejpfrutowy, brała długą zimną kąpiel z odrobiną Chanel. A potem lawina zaproszeń: koktajle i jazz przy Swing Street albo zimny barszcz i stek w Manny Wolf's Chop House o północy. Uwielbiała El Morocco: ciąg limuzyn przy Pięćdziesiątej Czwartej, mocne martini, kubański zespół. Zrzucała buty i godzinami tańczyła sambę. Marilyn zaczynała lubić siebie, i to było widać.

Fox drwił z tego, że ośmieliła się na zmianę, nazywając ją wciąż tą samą starą Marilyn. Ona jednak, tańcząca po pijaku z Trumanem w Elmo, boso, w czarnej sukience-halce Norella, z czółenkami wkopanymi pod siedzenie z obiciem w paski zebry, była nową Marilyn. Pozbywszy się wszelkich zbędnych dodatków, aż lśniła: świeżo ufarbowane odrosty, jedwabiste włoski na skroniach, opadające na kark niesforne fale, jakby dopiero wstała z łóżka. Rozluźniły się i zmiękły sztywne loki i opięta satyna. Zamiast czerwieni w odcieniu Cruella na spiłowanych w owal paznokciach pojawił się bezbarwny lakier. Żadnej biżuterii, tylko gładkie kremowe ciało. Uśmiechała się przez ramię do klubowego fotografa. Capote obejmował ją w pasie niczym spocony cherubin.

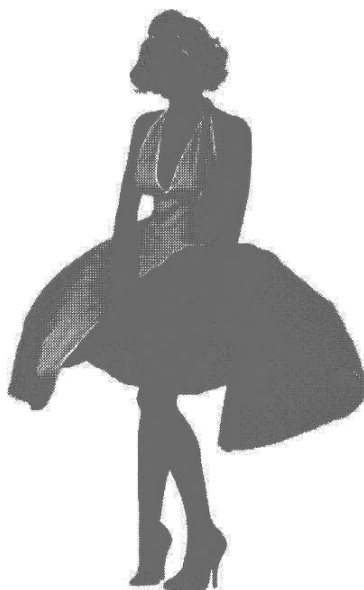
Tańcząc z Trumanem, sunąc przez Astor Theatre pod ramię z Marlonem Brando, pluskając się w Central Parku w fontannie Bethesda, jakby to była scena ze *Słodkiego życia* (1960), Marilyn była bożyszczem swego przybranego miasta. Każdy dzień przynosił nową przygodę. Każdy wieczór był niczym bal debutantek. A choć nigdy wcześniej nie mieszkała w Nowym Jorku, czuła się, jakby wróciła do domu.



*Sześć*  
**Efekt ciała**



Na stacji metra Grand Central, Nowy Jork, 24 marca 1955 roku.  
FOT. ED FEINGERSH/ARCHIWUM MICHAELA OCHSA/GETTY IMAGES



Tylko Marilyn mogła zrobić coś takiego – wielka gwiazda filmowa na ogromnym słońcu. Była niczym Bóg w kobiecym przebraniu.

*Ray Myers*

21 marca aktorka Sheree North pojawiła się na okładce magazynu „Life” w cienkim trykocie i pozie tancerki rewiowej. Fox właśnie podpisał z nią czteroletni kontrakt, zrobił zdjęcia próbne do *The Girl in Pink Tights* i obsadził w *How to Be Very, Very Popular* (1955) – w obu tych filmach Marilyn odmówiła udziału i Zanuck od wielu miesięcy planował, że Sheree zajmie jej miejsce. Teraz szydził nagłówkiem: „Sheree North zastępuje Marilyn Monroe”. Jak zwykle w obronie aktorki wystąpiła Elsa Maxwell. Zlekceważyła Sheree, nazywając ją jedną z namiastkowych Monroe, możliwą do zidentyfikowania dzięki wyeksponowanym (za pomocą wkładek) kształtom i tlenionym włosom. Dla Elsy była kolejną tandetną kopią, którą należało zbyć machnięciem ręki niczym natrętną muchę: „Może i udaje im się z powodzeniem naśladować chód Marilyn i kilka innych cech zewnętrznych, na tym jednak – wierzcie mi na słowo – podobieństwa się kończą. Pod względem ducha i umysłu, które stanowią istotę każdego człowieka, Marilyn i te namiastkowe Monroe mają ze sobą tyle wspólnego, ile ja i Wenus z Milo”. Elsa miała rację: Sheree nie mogła zastąpić Marilyn Monroe. Oba filmy pod względem finansowym zrobiły klapę.

Sheree wprawdzie jej nie zagrażała, ale na tyle ją wystraszyła, że Marilyn postanowiła aktywnie zająć się promocją. Tym razem chciała zabrać się za to po swojemu i zdecydowała się iść na żywioł – zamierzała być sobą.

Następnego dnia obudziła się późno, zarzuciła na siebie płaszcz i pobiegła do małego ciemnego baru przy Pięćdziesiątej Siódmej. Opadła na krzesło na wprost swoich przyjaciół Sama Shawa, Eda Feingersha, który pracował jako fotograf dla „Look”, i Roberta Steina, naczelnego magazynu „Redbook”. Zamówiła drinka scotch mist i siedziała w milczeniu, dopóki go nie przyniesiono. Bez makijażu wydawała się blada i bezbronna, przypominała zaspane dziecko. Wbiła wzrok w Roberta i spytała: „Dlaczego drukują nieprawdę na mój temat?”.

Robert spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami – w panice zdążył już wychylić pięć szkockich. Pierwszy raz widział Marilyn z tak bliska i uderzyło go, jak jasna była jej perłowa skóra. Sam czuł się kiepsko – niespodziewanie trzy dni temu przyleciał z Los Angeles, a Marilyn dopiero niedawno się ujawniła. Ostrzegano go, że nie uznaje *small talków* i nigdy nie zadaje retorycznych pytań. Wyczuwał, że Marilyn czeka, aż coś odpowie.

„Im nie chodzi o to, żeby cię zranić, tylko wykorzystać”.

Uśmiechnęła się, słysząc tak szczerą odpowiedź. Do tej pory jedynie flirtowała z prasą, od czasu do czasu rzucając jakiś smaczny kęs Leo albo Earlowi. Nie odgrywała niedostępnej. Po prostu robiła to, co zawsze, czekając na odpowiedni moment.

Robert sympatyzował z nią, popierał jej ucieczkę do Nowego Jorku, marzenia o sztuce i spełnieniu: „Po dwóch tuzinach filmów, małżeństwie i rozwodzie, które znalazły się na czołówkach gazet, zjawiła się na Manhattanie, żeby przygotować się do ról takich jak Gruszeńka z *Braci Karamazow*. Prasa zaraz wyciągnęła wszystkie wyswiechtane banały o komediatach chcących grać Hamleta, okraszając to, żeby było śmieszniej, zdjęciami ze

*Słomianego wdowca*. Marilyn na kratce wywietrznika, podmuch przejeżdżającego metra podwiewający jej sukienkę”.

Ed Feingersh, żyłasty ryzykant, który właściwie mieszkał w barach, znakomicie pasował do Marilyn. Więcej czasu spędził, fotografując patrole w Korei i szaleńcze rajdy samochodowe Irish Horana niż modę. Uwielbiał Cartier-Bressona, Felliniego i ziarniste, poruszone obrazy pokazujące świat od podszewki. Podobnie jak Marilyn uważał, że statyczne, wystudiowane, glamourowe zdjęcia są do niczego. Cała trójka natychmiast zawarła pakt nad szkocką. Żadnego pozowania, żadnego przesyłania pocałunków, żadnych sesji w studiu – wyłącznie migawki z nowego życia Marilyn na Manhattanie.

„W mojej głowie pojawił się nagłówek – wspominał Robert Stein. – «Marilyn Monroe, jakiej nigdy nie widzieliście»”. Dlaczego nie sfotografować jej w zwykły dzień w samym centrum Manhattanu – na peronie stacji Grand Central Terminal? Starletka w metrze – Marilyn była zachwycona.

Mieli właśnie wychodzić, gdy nagle wparował opalony DiMaggio z twarzą rozjaśnioną „uśmiechem uczniaka”. „Sam, jak się masz!” – zawołał, klepiąc Shawa w ramię, po czym zaczął mówić, jak mu ulżyło, że Marilyn wreszcie zostawiła cały ten „filmowy świat”. Skinął głową Robertowi i Edowi, powiedział Samowi, żeby znów zabrał Marilyn na poszukiwanie staroci, i wymaszerował z ciemnego baru wprost na hałaśliwą, jaskrawo oświetloną Pięćdziesiątą Siódmą.

**N**astępnego dnia rano Marilyn zjawiała się na Grand Central, wlokąc ze sobą swojego agenta Dicka Shepherd. Denerwowała się. Pierwszy raz była w metrze – wszędzie jeździła taksówkami, poza tym tłum byłby nie do zniesienia. W za dużym jasnobrązowym płaszczu, z potarganymi włosami wyglądała jak typowa miejska dziewczyna – jedna z tych, które można spotkać przy kiosku, jak kupują kawę i „Vogue’a”, albo na peronie IRT z egzemplarzem „Posta”. „Nikt jej nie rozpoznał. Stała w wagonie, trzymając się poręczy, a Edie wciąż pstrykał zdjęcia. Nikt nie odwrócił głowy”.

Rzecz w tym, że Marilyn nie wyglądała jak z żurnala. W rzeczywistości to właśnie tej obojętności na modę zawdzięczała tak cudowne wycucie stylu, który ugruntowała w Nowym Jorku. Zakładała czarne swetry i spodnie capri na włóczkę po barach z Frankiem Sinatra, zarzucała norki na sukienkę-halkę, gdy o północy wybierała się na spacer do Central Parku. Łączyła sukienki koktajlowe z prostymi trenczami marki Jax, mieszając stroje eleganckie ze sportowymi i stateczne wełniane garsonki z czarnymi rękawiczkami kabaretkami. W czasach, kiedy kobiety malowały paznokcie pod kolor torebki, Marilyn opadały ramiączka, miała włosy, jakby dopiero wstała z łóżka, i gołe nogi zimą. Rzadko można ją było zobaczyć w kapeluszu – miała za dużą głowę, żeby wkładać jakieś głupie donice z woalką. Nosila szlafrok frotté z równą pewnością siebie co białe gronostaje. I wciągała dzinsy zakupione w sklepie z nadwyżkami dla wojska, żeby pobiec do trafiki przy Czterdziestej Drugiej Ulicy.

Kobieta jest najpiękniejsza, kiedy żyje naprawdę. Tak jak Jackie Kennedy – w swoich bluzkach Henleys, dzinsach i potarganych wiatrem włosach bardziej olśniewająca jako pięćdziesięcio- niż jako dwudziestolatka – Marilyn zdawała się młodnieć z każdym dniem. W wieku dwudziestu ośmiu lat nareszcie żyła w zgodzie ze sobą i dla siebie – nawet

obskurny pokój w hotelu Gladstone wypełniały przyprawiające o zawrót głowy możliwości. To naprawdę podniecające uczucie, kiedy się zmieniasz, choć jeszcze nie do końca wiesz, w jaki sposób.

Teraz, gdy zamieszkała sama, zaczęła się wyzwalać spod wpływu Amy. Przesiadywała w kraciastych spodniach i podniszczonych mokasynach, a ubrana w wydekoltowane suknie Olega Cassiniego miała potargane włosy. Tego roku zbuntowała się w kwestii fryzury – burzyła ją nawet po wizycie słono opłacanego Carusa. I tak jak w przypadku Jamesa Deana im bardziej szalała z włosami, tym lepiej wyglądała. „Marilyn była pierwszą gwiazdą tej wielkości, która pojawiała się publicznie, nie zważając na stan swojej koafiry – pisał sam Caruso. – Jakby mówiła, że całe to piękno powstało naprędce”. Cichy bunt królowej ekranu. To była jej nowa odmiana seksapilu – bardziej kusząca niż ta, którą w nadchodzących dekadach będą prowokowali pop-skandaliści i hipisi.

W Nowym Jorku Marilyn stała się swoją własną stylistką, umiejętnie tworzącą unikalny wizerunek. Jej niewymuszony szyk robi wrażenie także dziś – ma dla nas większe znaczenie niż szmizjerki Audrey Hepburn czy perły Grace Kelly. Styl Marilyn nie uległ zmianie od 1955 roku aż do jej śmierci w 1962, a więc w okresie, gdy mody i trendy następowały po sobie z prędkością światła. A mimo to aktorka nigdy nie wyglądała niemodnie. I nadal nie wygląda: jej zdjęcie z planu *Sklóconych z życiem* (1961) – w warkoczykach, dżinsach i kowbojkach – mogłoby zostać zrobione wczoraj. W znoszonym białym płaszczu kąpielowym na plaży Venice czy w satynowej sukience Cecila Chapmana zawsze wyglądała jak Marilyn. Rozpromieniona, w luźnym jasnobrązowym płaszczu, żarzyła się niczym żonkil. Uwielbiała niechlujne stylizacje.

Oczywiście przyciągała wzrok bez względu na to, co na sobie miała – nawet wtedy w metrze, w Nowym Jorku. Mężczyzna na peronie zauważył ją i odwrócił się, najwyraźniej próbując umiejscowić jej twarz. Zna ją? Może to ta słodka blondynka z Copy, którą widział w zeszłym tygodniu? Marilyn próbowała udawać, zachować powagę, ale nagle wybuchnęła śmiechem. Mężczyźnie opadła szczeka, głośno sapnął: „To ona”.

Razem z Dickiem Shepherdem wyszła na ulicę, mijając reklamy kulek z macy, hamburgerów za dwadzieścia pięć centów i rożków z lodami za dziesiątaka. Z metra buchnęło za nią gorące powietrze. Rozpięła płaszcz, zapach jej perfum wymieszał się z wonią farby drukarskiej, ulicznych hot dogów, benzyny i opon. Nadeszła wiosna, a wraz z nią rozkwitło całe nieskładne piękno Manhattanu. Niewykluczone, że to były najszcześniejsze tygodnie życia Marilyn.

**P**rzez osiem dni Ed i Robert towarzyszyli Marilyn krok w krok, dokumentując szczegóły jej nowojorskiego życia. Wynajęli apartament w hotelu Ambassador, bo jej pokoje w Gladstone były zbyt obskurne. Apartament – jasny i wiosenny – z białymi wiklinowymi meblami miał okna sięgające do podłogi i luźno puszczone firanki w zwiewnej bieli.

O ile Milton Greene jako pierwszy ukazał swawolną wrażliwość i bezbronność Marilyn, o tyle Ed Feingersh uchwycił jej głęboką potrzebę samotności. Tego pierwszego poranka sfotografował ją, jak wyciągnięta na wiklinowym szeszlunku czyta „Motion Picture Daily” i *O technice aktora* Michaiła Czechowa. Marilyn często robiono zdjęcia, kiedy czytała, ale na tych po raz pierwszy nie wyglądało to jak żart, tylko jakby rzeczywiście została przyłapana



w chwili, gdy oddaje się własnym myślom, które bardzo chciałoby się poznać. W pasiastych spodniach i czarnej bluzce bez rękawków stanowiła wcielenie swobodnej, dyskretniej seksowności. Pochłonięta przez książkę z roztargnieniem bawiła się włosami i zrzuciwszy buty, napięła stopę jak tancerka. Nawet bosy zdawała się mieć na nogach niewidzialne szpilki w odcieniu nude.

Skończyli późnym popołudniem. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, kładąc w białym, jasnym pokoju czarne, spiczaste cienie. Marilyn nie chciała zostawać sama, spodobało jej się to poczucie twórczej wspólnoty. Spytała Roberta i Eda, co zamierzają robić wieczorem, zabrali ją więc do Costello's, wilgotnej spelunki przy Trzeciej Alei.

Właśnie tego typu miejsca Marilyn uwielbiała: z własną historią, elitarne, ale zdecydowanie niemodne. Drewniane panele, pociemniałe ze starości i od papierosowego dymu. Dowcipy rysunkowe Jamesa Thurbera na ścianach (Marilyn za nim przepadała – kilka lat wcześniej kupiła *Thurber Country*) – psy ścigane przez zające, wychudzeni mężczyźni kulący się przed górującymi żonami („Odchodzę, Myro, mogłabyś przywyknąć do tej myśli”). Dziennikarze z pobliskiego „New Yorkera” zaglądali tu na kanapki ze stekiem i tani dżin. Yanako, barman, często miał zbyt wielkiego kaca, żeby sobie zawiązać buty („Kiedy się schylam, mam wrażenie, jakby obie strony mojej głowy chciały na mnie wyskoczyć”). Obok kasy stała tarninowa laska, którą Ernest Hemingway złamał na głowie Johna O'Hary. Właściciel tego mało wytwornego przybytku, Tim Costello, pilnował swojego królestwa, pijąc herbatę na tyłach.

Marilyn wsunęła się na krzesło naprzeciwko baru. Na tle ciemnych drewnianych paneli sprawiała wrażenie, jakby świeciła, nieuczesane blond włosy miała uniesione do góry z plażowym przepychem. Przyglądała się zwariowanym rysunkom pantoflarzy i zamyślonych piesków, a z papierosa, którego trzymała w dłoni, unosiły się esy-floresy dymu. Nigdy czegoś takiego nie widziała – tarninowa laska i literacka przeszłość, atmosfera surowości, która nieodmiennie otaczała człowieka przytulnym półmrokiem.

Robertowi Steinowi to popołudnie szczególnie zapadło w pamięć: „Tima, zwykle nieufnego wobec nieznanomych, wyraźnie zainteresował blask blond włosów przy naszym stoliku, i zdobywszy się na rzadki gest, podszedł, żeby samemu przyjąć zamówienie.

– Poproszę screwdriver – powiedziała Marilyn.

Na twarzy Tima nie drgnął żaden mięsień.

– Wódkę z sokiem pomarańczowym – wyjaśniła.

– Nie serwujemy śniadań – odparł, wciąż się w nią wpatrując.

– W porządku – zgodziła się. – W takim razie wódka z lodem.

Tim przekazał zamówienie swojemu bratu Joemu, który stał przy barze, i wrócił na tył czytać gazetę. Kiedy później Ed Feingersh szedł do toalety, Tim go zatrzymał.

– Kto to?

Ed się uśmiechnął.

– Marilyn Monroe.

Twarz Tima pociemniała.

– Zadałem ci grzecznie pytanie, a ty sobie żarty stroisz”<sup>[29]</sup>.

Ed, jak to Ed, przywołał na twarz uśmiech Kota z Cheshire i dalej kręcił się po lokalu,

robiąc drinki przy barze, jakby to on był właścicielem. (Czasami można było zapomnieć, że tak nie jest, tu bowiem dostarczano mu pocztę i tu także przyjmował gości). Co jakiś czas odkładał aparat i rysował własną wersję psa Thurbera na serwetce. Mijały godziny, kolejne drinki i papierosy, słońce jeszcze niżej nad horyzontem, stukot metra linii Third Avenue El na wiadukcie. Marilyn zaszczycono ledwie przelotnym spojrzeniem. Gdy wychodzili, fotograf przy barze stuknął Eda w ramię. „Jeśli później jeszcze wrócisz – powiedział scenicznym szeptem – przyprowadź swoją przyjaciółkę”.

Marilyn chciała zostać – ten mroczny, ukryty przed postronnymi zakątek oferował jej wolność, jakiej nie znalazła w zawsze słonecznej i mdłej Kalifornii. Zanim rok dobiegnie końca, Third Avenue El zostanie zburzona razem z filarami, których przytrzymywali się stali bywalcy, wzywając rankiem taksówkę. Ed zacznie się staczać – będzie więcej pił i robił mniej zdjęć. A Marilyn stanie u progu nowego życia.

Zrobili jeszcze trochę zdjęć na ulicy nieopodal Gladstone – tym razem Marilyn w lśniącej czarnej sukience i ulubionym futrzanym kołnierzu. To było jej klasyczne „przebranie”, choć wysadzone kryształami górskimi kocie okulary przeciwsłoneczne nikogo nie zwiódły. Ruszyli w dół Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, słodki zapach pyłków mieszał się z wonią mokrego futra. Marilyn zatrzymała się przy salonie Liz Arden z kwiatami i buteleczkami kosmetyków na wystawie. Przeszklone drzwi otworzyły się w podmuchu płynu do układania włosów. Za nimi kobieta – wysoka i sztywna jak manekin, ubrana tak jak Marilyn, w czerni i dopasowaną do figury wełnę. W toczku z woalką, z usztywnionymi lakierem, przylegającymi do czaszki lokami wygląda jak duch z innej epoki. Jeśli rozpoznała Marilyn, nie dała tego po sobie poznać, tylko ruszyła dalej, sunąc przez Piątą Aleję.

Marilyn miała niewiele wspólnego z mrocznymi femme fatale, królowymi lodu, wyszorowanymi do czysta dziewczycami czy chłopczycami swoich czasów. Była antycypacją fascynujących, skomplikowanych kobiet francuskiej nowej fali, które zaczęły się pojawiać tuż po jej śmierci. Te pełne namiętności buntowniczkimi obnażały w uśmiechu poplamione winem zęby i obnosiły się ze swoimi dziwactwami, tylko zyskując na atrakcyjności. Na prawdziwą ironię zakrawa fakt, że Marilyn, symbol mocno wytapetowanego glamouru, w istocie przecierała szlaki nerwowym pięknosciom z krwi i kości, które zaczęły się pojawiać w latach sześćdziesiątych.

Na jednym z najbardziej nowoczesnych zdjęć Marilyn pozuje w dezabilu w apartamencie hotelu Ambassador. Kiedy zjawiała się szwaczka, żeby dopasować sukienkę według wzoru Norella, Ed natychmiast wyciągnął aparat, żeby złapać charakterystyczną dla Marilyn chwilę. Każde ujęcie jest bardzo intymne, kameralne, cudownie subwersywne. Widzimy, jak aktorka mocuje podwiązkę czy przybiera wyzywającą pozę w szlafroku z monogramem hotelu. Widzimy Marilyn odprężoną i opanowaną, przycupniętą na poręczu fotela, popijającą wino ze staromodnego kieliszka. (Rzadko korzystała z mebli zgodnie z przeznaczeniem). Widzimy niepościelone łóżko, bałagan w pokoju – norki zwisające z szezlonga, biustonosze i książki rozrzucone na dywan, na wpół opróżnione kieliszki, sztuczne rzęsy Glorine i kwadratowe puderniczki z czarnej laki na toaletce. Białe wiklinowe meble i kwiecisty wzór na tapecie przywodzą na myśl raczej sypialnię nastolatki niż apartament gwiazdy filmowej. Niemal czuć dym z papierosów, którym oddycha jej skóra, gdy namaszcza dekolt perfumami Chanel.

Ponieważ Marilyn została zredukowana do roli maskotki arcykobięcych lat

pięćdziesiątych, mało kto zdaje sobie sprawę, jak postępowo była w istocie. Żadna ze współczesnych jej gwiazd nie zgodziłaby się, żeby sfotografowano ją nieumalowaną, żartującą z krawcową, śpiącą w makijażu czy też po prostu wśród bałaganu w hotelowym pokoju. Grace Kelly – lodowato wyniosła arystokratka. Liz Taylor – choć gorącokrwista, to jednak po hollywoodzku nieskazitelna. Audrey Hepburn, mimo że odgrywała pierwszą naiwną, rzadko rezygnowała z chłopięcego szyku – w każdym razie przed obiektywem aparatu.

24 marca Eddie Feingersh sfotografował Marilyn, gdy szykowała się na premierę *Kotki na gorącym blaszanym dachu* – rysowała kreski na powiekach kredkami Liz Arden, pudrowała nos brzoskwinowym utrwalaczem, stroszyła włosy, pociągała wino z kieliszka balansującego na rogu toaletki. Wreszcie wspaniały finał: „Zanim wyszła, dała prawdziwe przedstawienie z zatyczką flakonu Chanel No 5 – pisał Robert Stein – muskając nią skórę ze zmysłową rozkoszą”.

W Morosco Theatre zjawiała się w chmurze białych gronostajów, błyszcząca jak laleczka z brązu w swojej opiętej sukni. Do wyjściowej kreacji i futra dobrała fryzurę w stylu rockabilly, dłoni w wieczorowych rękawiczkach nie zdobił żaden pierścionek, paznokcie miała czyste, lśniące, natarte lanoliną. Jej naga szyja przyciągała wzrok bardziej niż morze kolii i wiszących kolczyków połyskujących wokół. Niewykluczone, że była jedyną kobietą bez biżuterii.

Towarzyszył jej Milton Greene, który eskortował ją przez tłum. Większą część wieczoru spędzili razem, szepcząc i chichocząc podczas antraktu. Marilyn z wyraźną swobodą traktowała swoich wielbicieli – zsunęła pantofel, żeby go wykorzystać jako podkładkę przy podpisywaniu zdjęć. Tennessee Williams kręcił się dokoła, zapraszając wszystkich na imprezę po spektaklu, która miała się odbyć na samej górze w hotelu St. Regis.

Na przyjęciu brylowała jego matka Edwina w sukience odpowiedniej raczej na garden party i czepku ozdobionym kwiatami. Gore Vidal i Truman Capote kręcili się wśród gości, ściskając w dłoniach szklaneczki koktajlowe, kubki z herbatą i kanapki z ogórkiem. Moment przybycia Marilyn przedstawiła pisarka Elaine Dundy:

*Nagle przez tłum przeszedł szmer. Wszyscy zatrzymali się, zamarli w bezruchu z drinkami, przystawkami i papierosami w pół drogi do ust. Patrzyli w jedną stronę. Utworzyło się przejście, którym kroczyła Marilyn Monroe. Miała na sobie coś, co każdy nazwałby halką – prostą, niczym nieozdobioną czarną sukienkę na cieniutkich ramiączkach i najwyraźniej nic pod nią. Jej skóra przypominała świetlisty alabaster w odcieniach perłowego błękitu i różu – czegoś takiego nie widziałam nigdzie poza płótnami starych mistrzów. Na żywo jej uroda była jeszcze bardziej zdumiewająca niż na taśmie filmowej i wszyscy spoglądaliśmy na nią w pełnym szacunku milczeniu.*

*Po chwili impreza zaczęła toczyć się dalej, mnie tymczasem udało się przedostać w tę część sali, gdzie przebywała Marilyn. Zostałam nagrodzona takim oto widokiem: blond gwiazda siedziała w fotelu. Z jednej strony przycupnęła przy niej Carson McCullers ze swoimi brązowymi włosami przyciętymi krótko i nierówno, jakby użyła w tym celu siekiery, z gwałtownie napiętym, zwiniętym w precel ciałem chłopczycy. Po drugiej zaś stronie królującej w halce Marilyn siedziała Edwina Williams w swym wymyślnym kapeluszu. Rozmawiały z pochylonymi głowami. Trzy Parki, stwierdziłam: Piękno, Inteligencja i Macierzyństwo. Czyją nić losu miały w tej chwili w swoich rękach?*

Eddie czekał w hotelu Gladstone, gdy Marilyn chwiejnym krokiem wróciła i opadła na wytarte krzesło przy kominku. Ostatnie zdjęcie zrobił jej, kiedy odpływała w sen w białym futrze z lisa. Tej nocy zasnęła w holu, a szczury wystukiwały jej kołysankę o krokwie.

Gdy ich wspólny tydzień dobiegał końca, Marilyn ucichła, stała się bardziej zamyślona. Zdjęła brzoskwiniową suknię Pucci i owinęła się w biały szlafrok frotté. Bez słowa wyszła na balkon, zapaliła papierosa i zapatrzyła się na linię dachów Manhattanu. „Eddie zaczął pstrykać zdjęcia, wypełniając rolki trzydziestopięciomilimetrowego filmu – pisał Robert Stein. – Nie prosił jej, żeby pozowała. Ledwie dostrzegła jego obecność”.

Takiej Marilyn świat jeszcze nie widział – samotnej, zamkniętej w sobie, ale też oszałamiająco szczęśliwej.

Zdjęcia Eddiego przenika jakaś cicha magia, którą Robert Stein przypisuje podobieństwu między fotografem a jego modelką. „W ciągu tych kilku dni, które spędzili razem – pisał Stein – widziałem, że mimo wszelkich różnic w wyglądzie Eddie i Marilyn byli do siebie bardzo podobni. Eddie tak jak Marilyn miał skłonność do autoparodii, którą maskował ból związany z poczuciem bezbronności wobec codziennego życia, i tak jak ona desperacko starał się w pełni wykorzystać wszystkie dary, jakie zapewnia tak otwarta natura. Marilyn bała się pozwolić sobie na nie dość idealny wygląd przed obiektywem i dlatego zawsze się spóźniała, a Eddie miał obsesję na punkcie tego, co robił po drugiej stronie obiektywu, i nie pozwalał nikomu wywoływać ani drukować swoich zdjęć (...). Oboje byli w pewien sposób bardziej bezpośrednio połączeni z życiem niż reszta z nas, bardziej wrażliwi i bezbronni. Oboje trzymali się ideału Sztuki, jakby to było samo życie, i w przypadku obojga okazało się, że tak właśnie było. Filmy Marilyn i zdjęcia Eddiego sprawiają, że ci, którzy na nie patrzą, czują się bardziej żywi, a zarazem martwią się o tych dwoje, bo wyczuwają, jaką cenę trzeba zapłacić za tak jaskrawą otwartość”.

To właśnie jednak owa jaskrawa otwartość sprawiła, że Marilyn odniosła taki sukces w Nowym Jorku. Po raz pierwszy czuła się akceptowana, mile widziana. W przeciwieństwie do zimnego, krytycznie nastawionego Hollywood Nowy Jork polubił ją razem z jej dziwactwami i całą twórczą energią – nie potrafiła sobie wyobrazić powrotu. „Gdy zamknę oczy i wyobrazę sobie Los Angeles – mówiła w owym czasie – widzę tylko jeden wielki żyłak”.

**P**o tylu miesiącach ciszy Milton chciał dla Marilyn rozgłosu. Wielbicieli powinni przekonać się na własne oczy, że ich gwiazda nie zgasła, że wcale nie ukrywa się ze strachu przed potężnym Darrylem Zanuckiem, że nie przebywa na wygnaniu. Potrzebowali czegoś wielkiego, spektaklu, wrzawy, na jaką Marilyn zasługiwała. To mogło się okazać trudne, kontrakt z Foxem nie zezwalał jej na płatne występy – z wyjątkiem imprez na cele charytatywne. Tymczasem Mike Todd miał niebawem zorganizować w cyrku Ringling Bros galę na rzecz Arthritis and Rheumatism Foundation. Zważywszy, że imprezę zaplanowano w Madison Square Garden, lista gości obejmowała wiele gwiazd, a na konferansjera wyznaczono Milтона Berle, było to wydarzenie, które świetnie się nadawało na głośne wyjście z cienia. Marilyn, która od dawna wspierała wszelkie dobroczynne działania, z radością przystała na pomysł, by pojawić się w cyrku – wjedzie na słoniu, najchętniej

niezbyt dużym, może słonicy z różową kokardą na ogonie i siodłem wysadzonym kryształami górskimi.

Przymiarka kostiumu w Brooks Costume Company okazała się katastrofą. Marilyn dostała antracytowy gorset, dopasowany do koloru skóry słonia, ale ponieważ nienawidziła antracytu, zażądała czerni. W dodatku kostium okazał się za ciasny – szwy boleśnie wpijały jej się w ciało. Krawcowe i szwaczki uwijały się jak w ukropie. Na miejscu była też Mary Smith od poprawek, a oprócz niej Dick Shepherd, Milton Greene, Eddie Feingersh i Robert Stein. Wślizgnął się też reporter H.D. Quigg, gotów przechwalać się, że widział Marilyn nagą. Do połowy rozebrana, poniżona i otoczona przez grupkę gapiów aktorka zaczęła płakać.

„Na przymiarce kostiumu przybyła jako Gwiazda – pisał Stein zaniepokojony tym nagłym atakiem – lecz nagle pojawiła się Ta Druga i sfrustrowana wybuchnęła płaczem”. To, co Stein niesłusznie uznał za napad psychotyczny, było w istocie całkiem normalną reakcją na poszturchiwanie, popychanie, rozbieranie i wciskanie w kostium w pokoju pełnym mężczyzn. Jakby znów znalazła się w przebieralni Foxa wśród żółtawych garderobianych, centymetrów krawieckich, szpilek i drapiących tkanin. Jakby zrobiła ogromny krok wstecz – oto znów szła chwiejnie na kilkunastocentymetrowych obcasach, potknęła się o tren i upadła z plaśnięciem na wartą milion dolarów pupę. Nie po to zaryzykowała swoją karierę, żeby znów próbowano ją wepchnąć w rolę kociaka.

31 marca Marilyn była gotowa odbyć przejażdżkę na słoniu. Za kulisami Madison Square Garden Milton przebrał się w smoking i pomógł jej się wcisnąć w czarny atlasowy gorset. Pracownicy techniczni gorączkowo malowali słonia na różowo, ktoś wsadził Marilyn na grzbiet i pchnął ją w tłum ośmiu tysięcy rozwrzeszczanych fanów.

„Cała hala kompletnie oszalała – opowiadała Amy Greene magazynowi «Photoplay». – Nigdy nie widziałam takiej hysterii, na trybunach krzyczeli dosłownie wszyscy. Naprawdę dostałam gęsiej skórki. Ludzie wiwatowali, ale najniezwyklejsze było to, co zobaczyłam na balkonie: wszędzie, aż po krokwie, było widać otwarte usta”.

Wszystko poszło znakomicie. Słoń był łagodny i spokojny, zatrzymał się, żeby się uklonić przed wiwatującą publicznością. (Milton: „Potem wciąż powtarzała, jaki był uroczy i miły. Nazwała go słodkim dzieciakiem”). Marilyn w swej gwiazdzistej wspaniałości uśmiechała się i machała, choć szpilka kłuła ją do krwi w udo.

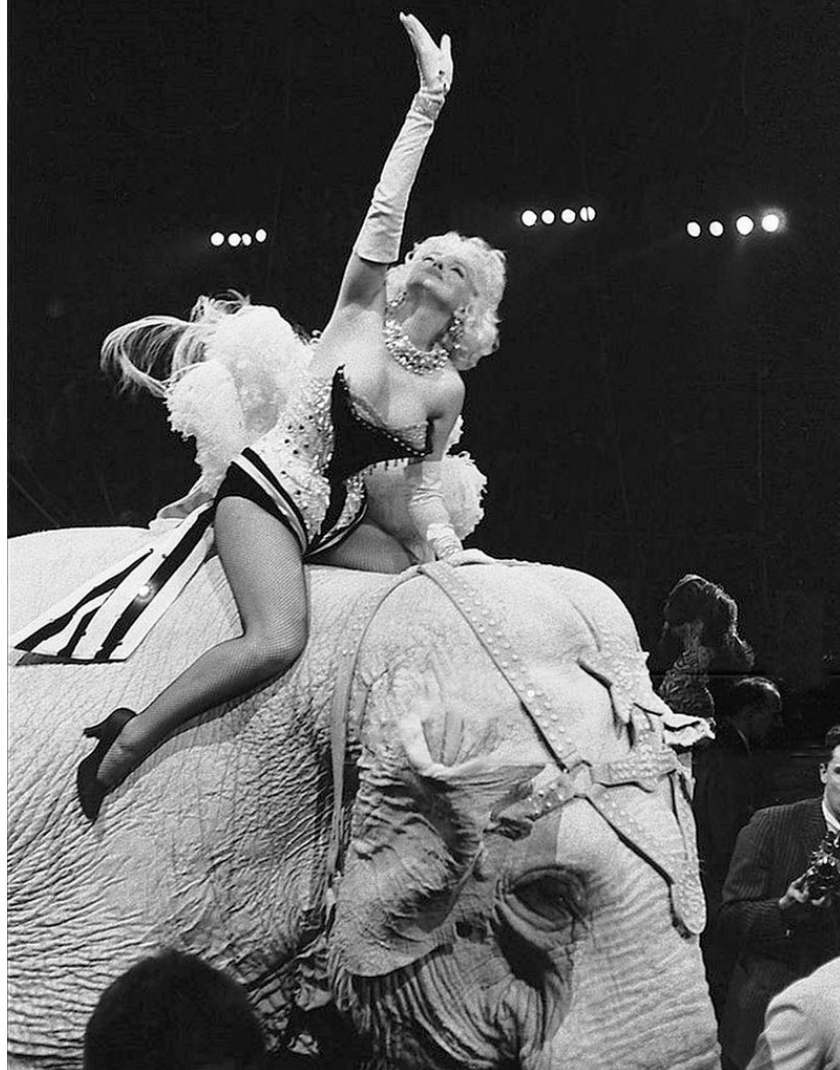
Wydekoltowany kostium i kabaretki ukazywały znacznie więcej niż wiązane na szyi sukienki i cienkie szlafroczyki, które tak rozwścieczyły Joego rok wcześniej. Tym razem jednak DiMaggio pozostał niewzruszony. W rzeczywistości, kiedy słoń zatrzymał się przed jego lożą, rozpromienił się, „jakby chciał wszystkim dać do zrozumienia, że Marilyn wciąż jest tą jedyną”. W przystrojonym piórami kostiumie tancerki rewii aktorka machała z wysokości. Oto całkiem dosłownie znalazła się na szczycie.

Sytuacja zaczęła się odwracać – Marilyn w spektakularny sposób uwodziła prasę. Dziennikarze donosili o „gałązkach oliwnych” ze strony Zanucka, między innymi o rolach w *The Girl in the Red Velvet Swing* (1955) i *Anastazji* (1956). „Jeśli to prawda – pisał jeden z reporterów – to zdaje się, że bunt Marilyn zaczął się opłacać”.

Milton i Amy pławili się w blasku tego szalonego triumfu. Jak gdyby byli zbuntowanymi nastolatkami grającymi na nosie Hollywood. „To było tak, jakby w starym dobrym Madison

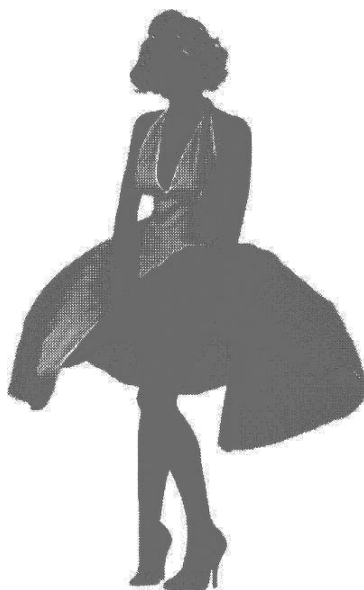
Square Garden wypaliło działo – wspominała Amy Greene. – Czuliśmy się jak David w starciu z Goliatem i cieszyliśmy się każdą chwilą”.

*Siedem*  
**Debiutantka**



„Przejażdżka na różowym słoniu przyniosła efekt, na jaki Marilyn liczyła”, gala w Madison Square Garden, 1955 rok.

FOT. WALTER CARONE/PARIS MATCH VIA GETTY IMAGES



Marilyn była polem dzikich kwiatów,  
rozdokazywanym szczeniakiem na podwórku,  
różowym zachodem słońca w czerwcu. Była  
cudowna, a my nie mogliśmy oderwać od niej  
wzroku.

*Marlon Brando*



**P**rzejazdźka na różowym słoniu przyniosła efekt, na jaki Marilyn liczyła. „Donosiły o tym media na całym świecie – wyjaśniała Amy. – Dzienniki, czasopisma, wszędzie można znaleźć ogromne zdjęcia. Dlatego Zanuck panikuje. Udziałowcy mówią: «Darryl, przecież ona świetnie wygląda, dlaczego nie gra w filmach?»”.

Niebawem przyciągnęła również uwagę Edwarda R. Murrowa, wielokrotnie nagradzanego dziennikarza, który przyczynił się do upadku McCarthy’ego. Murrow chciał, żeby wystąpiła w jego programie telewizyjnym *Person to Person*, i umówił się z nią i Miltonem w hotelu Ambassador. Podczas tego spotkania omawiał sprawy z Miltonem, przypalał Marilyn papierosy, zaśmiewał się z tego, jak wystrychnęła na dudka Zanucka i jego ludzi. Marilyn w futrze z kun cała aż promieniała. Program Eda cieszył się olbrzymią oglądalnością, miała więc szansę, by opowiedzieć światu o swoim marzeniu.

Gdy jednak Murrow i jego ekipa zjawili się w domu Greenów, coś się zmieniło. Marilyn obserwowała techników, którzy kręcili się po salonie, rozkładając kable i rozstawiając kamery. Milton patrzył na nią z niepokojem – rozpoznał wyraz paniki błakający się po jej twarzy. Miał nadzieję, że po skończonych przygotowaniach uda się przeprowadzić jeszcze szybką próbę. „Zabrałem Marilyn na przejażdżkę motocyklem, żeby ją czymś zająć – mówił. – Rozmawialiśmy, ale była zdenerwowana. To widać na nagraniu – tę nerwowość, nad którą próbuję zapanować”.

Nawet jej strój – prosta wełniana spódnica i biały sweterek z krótkimi rękawkami – wyglądał sztywno i dziwacznie. W ogóle do Marilyn nie pasował, bardzo odbiegał od jej niewymuszonego stylu. W tego typu ubraniach zwykła chodzić w Connecticut, w Nowym Jorku jednak nosiła czarne sukienki na ramiączkach i szlafroki. Następnym wywiadów udzielała już na własnych niegrzecznych warunkach – w apartamencie hotelu Waldorf ubrana jedynie w płaszcz kąpielowy. Nie trzeba dodawać, że okazały się dużo bardziej udane.

W owym czasie pomysł sfilmowania Marilyn na łonie rodziny wydawał się nowatorski, tymczasem okazało się, że jest małą niesamodzielną dziewczynką. Zamiast bliskości z Greene’ami wydobyto fakt, że jest ich gościem. Nie mogła się przechadzać po ich domu, jakby należał do niej, bo tego rodzaju bezczelność nie leżała w jej naturze. W Weston niepodzielnie królowała Amy – to były jej włości. Za każdym razem, gdy Marilyn się wahała – a tego dnia zdarzało się jej to często – Amy przejmowała pałeczkę. Marilyn siedziała w milczeniu na kanapie, spoglądając na Greene’ów w poszukiwaniu wskazówki lub aprobaty albo muskając sierść psa, gdy zobaczyła, że Amy go głaszcze. Wszystko szło nie tak, nawet pierwsze pytanie Murrowa – „Jakim gościem jest Marilyn? Sprząta po sobie?” – infantylizowało aktorkę. Jak miała na nie odpowiedzieć? Westchnęła, unosząc brew – uroczo, ale z rozdrażnieniem.

Na obronę Murrowa można stwierdzić, że to pytanie miało sens. Marilyn była zwierzęciem domowym mniej więcej w takim samym stopniu jak mały gepard – i równie rzadkim w Connecticut. Tego dnia jednak nie przypominała dzikiego kota, tylko raczej

zniechęcającą plastikową lalkę, która rzuca przerażone spojrzenia spod gęstych rzęs. Zniknęła gdzieś dowcipna kokietka podchwytyjąca żarciki dziennikarzy i odpłacająca im pięknym za nadobne. Marilyn nie była sobą, wydawała się raczej jedną z tych słodkich idiotek, które grywała – Lorelei Lee z *Mężczyźni wolą blondynki* czy Dziewczyną ze *Słomianego wdowca*. W chwili gdy wszyscy z zapartym tchem czekali na pojawienie się „nowej Marilyn”, to było najgorsze, co mogło się zdarzyć.

Co takiego się stało? Milton też wydawał się zgaszony. Podczas prób z Edem był błyskotliwy i rozmowny, tymczasem w trakcie kręcenia programu sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie i nieśmiałego. Marilyn i Milton miewali zmienne nastroje i równie chętnie wymykali się z przyjęć, jak na nie wybierali. Amy nazywała to rosyjską posępnością – ujawniała się u obojga, a zwłaszcza u Milтона, który potrafił być niekiedy – choć w czarujący sposób – osobliwie nieobecny. Oboje cierpieli z powodu niepewności siebie, która miała podobne korzenie – nieśmiałość i dziecięce jękanie – choć radzili z nią sobie w odmienny sposób. Milton odgradzał się od świata zblazowanym chłodem, Marilyn zaś ukrywała się za mgielką dziwactw. Jak wiele twórczych osobowości byli zbyt oderwani od życia, żeby zachowywać trzeźwość umysłu. Dlaczego dać się więzić w chwili, skoro można się wślizgiwać do technicoloru?

Na przyjęciach czy podczas wywiadów Marilyn zawsze zależało na podtrzymaniu kontaktu – w rozmowie potrzebowała czegoś prawdziwego, namacalnego. Nigdy nie była tak uszczypliwa i zuchwała jak Amy, nigdy też nie nauczyła się prowadzić salonowej konwersacji. Dla Marilyn słowa były czymś więcej niż ślizgającymi się po powierzchni żarcikami. Dlatego tak długo przygotowywała się do roli – uczyła się kwestii, dopóki nie stały się jej własnymi. Jeśli ktoś coś zmieniał (jak to często mają w zwyczaju reżyserzy), nie potrafiła się odnaleźć – za wiele zainwestowała. Nigdy nie sprawdziłaby się w improwizacji – słowa były dla niej zbyt istotne.

Najlepiej wypadła w długich wywiadach, których udzielała w późniejszych latach – mogła się wtedy zagłębić w temacie. Ale podczas krótkich rozmów i konferencji prasowych z szybką wymianą ripost czuła się niezręcznie. Traktowała je jak minikonfrontacje i broniła się wymijającymi żarcikami.

Gdy wywiad Murrowa pojawił się na antenie, reakcje były mieszane. Reporter Richard Heller uznał, że Marilyn „ze swym słynnym czarującym uśmiechem” zaprezentowała się „uroczo i skromnie jak zawsze”. Inni nie byli równie uprzejmi, tylko radośnie wyzłościwiali się na temat „tej samej starej Marilyn”. Milton i Marilyn chcieli przekonać krytykantów, że udało im się zyskać przewagę i MMP wygra wojnę z Foxem. Po raz drugi w tym roku ponieśli klęskę.

Co gorsza, Amy zrobiła tak duże wrażenie, że pojawił się nawet nagłówek: „Zapomnijcie o Marilyn. Co powiecie na Amy Greene?”. Następnego dnia po emisji zadzwonił hollywoodzki reżyser Jean Negulesco, proponując Amy główną rolę w filmie *Witaj, smutku*. Amy była na tyle uprzejma, że odrzuciła ofertę i zignorowała całe to zainteresowanie, przypisując udany występ w programie efektowi Eda Murrowa: „Poszło mi wspaniale, bo robiłam cielece oczy do cudownego człowieka”.

Negulesco był jednym z niewielu reżyserów, którym Marilyn rzeczywiście ufała. Pracował z nią nad *Jak poślubić milionera* (1953) i natychmiast dostrzegł jej wrażliwość i inteligencję.

Zabierał ją na długie kolacje, podczas których rozmawiali o Matisse, Chagallu, Braque'u i Gauguinie, pożyczał jej książki, takie jak *Stary człowiek i morze* czy *Green Mansions* W.H. Hudsona. Namalował nawet jej portret, olej na płótnie, i ten niezwykle prezent trzymała przy łóżku w hotelu Gladstone. To, że ktoś taki proponował Amy rolę, Marilyn musiała odebrać jako ogromny cios.

Kolejny nadszedł, kiedy Milton odrzucił ofertę sieci NBC, która zaoferowała dwa miliony dolarów za sześć występów Marilyn w telewizji. „Zrezygnowałem z tej propozycji – twierdził Milton wiele lat później – bo wiedziałem, że miejsce Marilyn jest w kinie, a nie w telewizji. Zrobiłem to dlatego, że w nią wierzyłem, naprawdę”.

Nie wyjaśnił jednak swoich powodów Marilyn ani nie konsultował z nią odmowy. „Odwróciła się do mnie i powiedziała: «Nie wierzysz, że sobie poradzę». Odparłem: «Oczywiście, że sobie poradzisz. Ale twoje miejsce jest w kinie, nie w telewizji. W kinie – koniec, kropka». Przyjęła to do wiadomości, bo przecież odrzuciłem dwa miliony dolarów, więc nie mogłem być sukinsynem. Ale po tym wszystkim czuła, że nie wierzę w nią jako aktorkę. Dlatego zwróciła się do Lee Strasberga i tak mu zaufała”.

Jej wiara w Milтона na dobre uległa zachwianiu – Marilyn rzuciła się w wir pracy z Lee, który od wielu tygodni udzielał jej prywatnych lekcji. Robiła ogromne postępy, zadziwiając go swoją otwartością i niezwykłym wycuciem emocji. Przy Lee nigdy się nie jąkała – była przenikliwa, wyrażała się jasno i ani trochę nie przypominała słodkiej idiotki. „Przekonałem się, że jest wspaniała – zachwycał się Lee oczarowany jej możliwościami. – Rzadko kiedy można znaleźć osobowość ukrytą tak blisko powierzchni, tak niecierpliwie wyrrywającą się na wolność, tak szybko reagującą. Jakby tylko czekała, aż ktoś naciśnie przycisk, a kiedy człowiek to robił, otwierały się drzwi, ukazując złoto, szlachetne kamienie i tym podobne skarby”. Lee uważał, że Marilyn jest gotowa na kolejny krok – zajęcia w Malin Studios.

Nadszedł czas, by znów głębiej zanurzyć się w aktorstwo.

**W** 1955 roku Actors Studio Lee Strasberga było czymś na kształt najświętszego przybytku sztuki aktorskiej. Dzięki takim postaciom, jak Marlon Brando czy James Dean tamtejsza metoda pracy scenicznej przeniknęła do mainstreamu – nie tylko na Broadway, ale również do Hollywood. Lee chciał się rozwijać, zadbać o przyszłość swojej małej gromadki. Przede wszystkim zaś chciał Marilyn, która z cukierkowego świata Hollywood spadła wprost do zakurzonych sal Malin Studios akurat w odpowiednim momencie. Lee zdążył ją już pokochać.

Inną kwestią było, czy pokochają ją również jego uczniowie. Członkowie Actors Studio stanowili zamknięte artystowskie towarzystwo, w którym obowiązywały wyłącznie T-shirty i dzinsy – elegancja na opak, równie wyrafinowana jak hollywoodzki splendor. „Członkostwo w studiu było ważniejsze niż praca w Hollywood, a nawet niż dobre recenzje na Broadwayu – mówił Ben Gazzara. – Dostać się do Actors Studio to był szczyt. Kiedy Marilyn i ludzi takich jak ona przyjmowano na zajęcia bez surowych przesłuchań, którym byliśmy poddawani my, młodziaki, to szczerze mówiąc, wcale nam się to nie podobało”. Z jękiem przyjęli informację o pojawieniu się Marilyn – martwili się, że to początek końca. Czyżby oślepiony blaskiem gwiazdy Lee zamierzał się sprzedać?

Marilyn była pierwszą hollywoodzką neofitką, która zeszła po schodkach do Malin

Studios, niosąc ze sobą niemile widziany powiew balsamicznego powietrza z Los Angeles. Dwa razy w tygodniu mijala Broadway i wchodziła do starego teatru, gdzie ciężkie drzwi zamykały się za nią z łoskotem. Wślizgiwała się na metalowe krzesło w tylnym rzędzie. Lee przemierzał salę, grząc o świadomym przygotowaniu do roli albo o rzeczywistości wyobrażonej. Była tam Ellen Burstyn, która ze swoim drżącym głosem sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Była Patricia Neal w eleganckiej fryzurze na pazia, z sennymi, rozmarzonymi oczami. Był też trzydziestoletni Paul Newman w białym T-shircie i mokasynach – palił papierosa, oparłszy nogi o krzesło niczym nastolatek, z wyrazem skupienia na posągowej twarzy.

W swobodnych strojach, z poważnym spojrzeniem i kawą w białych papierowych kubkach członkowie Actors Studio potrafili być chłodni i nieprzystępni. Mówili niemal zagadkami, a ich żarty roiły się od strasbergizmów i autoodniesień. Ten hermetyczny język, który wiele osób zdumiewał, Marilyn wydawał się pociągający, sama bowiem przedkładała zawilóść nad prostotę. Była jednak nieśmiała, i to w klasie pełnej ekstrawertyków. Czy kiedykolwiek ją zaakceptują?

Marilyn dobrze wiedziała, co znaczy wyobcowanie. W Los Angeles próbowała dołączyć do szekspirowskiej grupy Charlesa Laughtona. Zjawiła się dwukrotnie, zbyt sparaliżowana, żeby uczestniczyć w zajęciach, straszliwie niepewna siebie ze względu na brak wykształcenia. W wieku dwudziestu ośmiu lat nie była już jednak raczkującą aktoreczką w zbyt obcisłym topie, która wszędzie taskała ze sobą słownik. Skok na głębokie wody Actors Studio to było nic. Zdążyła już zaryzykować wszystko, uciekając z Hollywood i naruszając umowę z Foxem. Nie zamierzała tracić czasu – ani w małżeństwie, ani nad książką, która nie spełniała jej oczekiwań, a już na pewno nie w życiu zawodowym. Wolala narazić się na ryzyko, niż utknąć w martwym punkcie.

Żeby nie zwracać na siebie uwagi, Marilyn nie robiła makijażu, wkładała luźny męski sweter i ukrywała włosy pod białą chusteczką. Przynosiła też termos, który wyglądał, jakby wyjęła go z pudełka lunchowego dla dzieci.

Przez pierwsze tygodnie prawie się nie odzywała – siedziała cicho z tyłu w jasnobrązowym płaszczu zarzuconym na ramiona. „Była tak skromna i uważna – wspominał jeden z członków studia – że mogłaby uchodzić za dziewczynę z klasztoru”. To dzięki tej pokorze większość uczniów Lee polubiła ją wbrew sobie. Marilyn udało się nawet przekonać do siebie sceptycznego Gazzarę: „Wszyscy zdawali się darzyć ją sympatią, łącznie ze mną”.

Jak naprawdę miałyby wyglądać praca z Marilyn Monroe, która zdążyła zyskać sobie reputację diwy? W Los Angeles tolerowano jej spóźniałstwo, Strasberg jednak zamykał drzwi punktualnie o jedenastej. A choć Marilyn uwielbiała Nowy Jork, nigdy nie udało jej się przystosować do jego szalonego tempa. „Zajęta” oznaczało dla niej, że miała może jedno spotkanie po południu i imprezę tego samego wieczoru. Wszystko musiała robić we własnym rytmie – co często oznaczało, że wiele godzin przygotowywała się do spotkania, a potem padała i przez resztę popołudnia odzyskiwała siły.

Na szczęście Lee rozumiał wewnętrzną logikę Marilyn: „Skarbie, nie musisz przychodzić punktualnie na wszystko. Bądź wcześniej”. Udało mu się zwerbować do pomocy aktora Delosa Smitha, który ochoczo przystał na rolę niańki. Gdy zjawiał się u Marilyn,

nieodmiennie zastawał ją w wannie, moczając się w pachnącym olejku. (W dzieciństwie, gdy mieszkała u rodzin zastępczych, musiała się kąpać w brudnej wodzie, więc Delos pozwalał jej na ten luksus). Kiedy wreszcie wychodziła z wanny, nigdy się nie wycierała ani nie ubierała – owijała się ręcznikiem i leżała w łóżku jeszcze przynajmniej pół godziny. Po czymś takim trudno ją było zmusić do wstania. W końcu Delosowi udało się opracować metodę – po prostu wślizgiwał się do łóżka, kiedy Marilyn jeszcze się kąpała. Gdy chwiejnym krokiem wychodziła z łazienki, zastawała Delosa leżącego w butach i ubraniu pod kołdrą. To zwykle wystarczało, żeby nie położyła się z powrotem – nie mając wyboru, ubierała się i w końcu szła do Malin Studios.

Całkiem zrozumiałe, że pierwszym przyjacielem Marilyn w studiu został ten brodaty ekscentryk i odszczepieniec. Delos potrafił dostrzec to, co kryło się pod hollywoodzkim werniksem. „W domu traciła całą swoją gwiazdorską wspaniałość. Garderobę miała zaniedbaną – nie mam pojęcia, co robiła pokojówka”. Smith uważał dziwactwa Marilyn za urocze, urzekające jak u dziecka. W dowód przyjaźni i wdzięczności dostawał od niej zwariowane upominki, na przykład metki Maximillian z jej norek albo lustro do makijażu za trzydzieści pięć centów. Któregoś razu po cichu wsunęła mu do kieszeni parę dziecięcych bućków z motywem samolotu.

Początkowo Marilyn była płochliwa jak ścigany zając. Przez pierwsze tygodnie trzymała się blisko Delosa, zdarzało się nawet, że go szczypała, kiedy ktoś do niej podszedł albo się o nią otarł. (Nie przeszkadzało mu to).

Pierwsza scena, jaką miała zagrać, pochodziła ze *Złotego chłopaka* Clifforda Odetsa (wybór Marilyn) i na partnera wyznaczono jej ciemnowłosego aktora Phila Rotha. Obok swoich inicjałów, MM, Marilyn zapisała ołówkiem na scenariuszu: PL 10757, inicjał i numer Phila. Przez wiele dni uczyła się roli w swoim apartamencie, owinięta w szlafrok, popijając kawę, aż wreszcie zebrała się na odwagę, żeby zadzwonić do Phila, i sięgnęła po telefon.

– Cześć – powiedziała miękko, dziecięcym głosem. – Tu Marilyn.

– Jaka Marilyn? – zażartował.

– No wiesz... – zawahała się zmartwiona, że wybrała zły numer. – Ta aktorka z warsztatów.

– Ach, ta Marilyn!

Zaprosił ją do siebie na próbę. Po raz pierwszy miała spotkać się z kimś ze studia po zajęciach.

Gdy wdrapała się do jego mieszkania na czwartym piętrze bez windy, brakowało jej tchu. Rozglądając się po zarzuconym papierami pokoju, powiedziała: „Potrzebujesz kobiety, która by ci posprzątała”. Zanim zaczęli, uparła się, że opróżni popielniczki, zamiecie podłogę i ułoży papiery w schludne kupki. (Nigdy nie sprzątała własnego apartamentu, a co dopiero lokum jakiegoś mężczyzny – prace domowe były do przyjęcia tylko jako nowość lub gra). Może chciała go sobie zjednać, a może musiała oczyścić przedpole, żeby móc się skupić. Tak czy owak, Roth był oczarowany.

Pomimo swobodnej atmosfery panującej w Malin Studios Marilyn przygotowywała się do swoich scen, jakby to były zdjęcia próbne w MGM, starannie dobierając rekwizyty i makijaż. Pewnego razu miała zagrać z Delosem scenę ze sztuki *Les Avariés* (1901) francuskiego dramaturga Eugène'a Brieux (wcielała się w rolę zarazonej syfilisem prostytutki z lat

dwudziestych). Pod obcisłą suknię z czystego jedwabiu nie założyła stanika – tylko „suteczki, uśmieszki, dołeczki...”. A gdy zaczęła zwijać długi sznur pereł, Delos instynktownie zaczął kręcić stetoskopem. Uczniowie wybuchnęli śmiechem. Lee był zachwycony, choć Paula Strasberg, jego żona, twierdziła później, że Delos i Marilyn wyglądali jak „dwa przekłute wiatraki”. „Zniknął wysiłek, sztuczne zachowanie, banał – wspominał Ed Easty, kolega Marilyn ze studia. – Nic nie ukrywała. Po tej scenie Lee obrócił się w stronę uczniów i zapytał: «I co, doskonała scena czy nie?». A grupa, której pochwały nie przychodziły łatwo, zaczęła mówić, że tak, doskonała”.

Próbując odgrywać nowe scenki przed kolegami, Marilyn odkryła, że przygotowywała się do tego przez całe życie. Dzięki pracy z Michailem Czechowem zdążyła się zapoznać z metodą Stanisławskiego, która wykorzystywała jednostkowe doświadczenia, by przekazywać emocje na scenie. Marilyn czuła pokrewieństwo z tymi aktorami, kolegami i koleżankami z warsztatów, którzy cierpieli na bezsenność, byli na diecie o chlebie i wodzie i poddawali się psychoanalizie, żeby wejść w postać. To byli swoi ludzie – ludzie, którzy słuchali instynktu, a nie zasad, intuicji, a nie dogmatów. Zaczęła dostrzegać, że tu, w Malin Studios, działa jakaś szalona magia, i była gotowa zrobić wszystko, by przełamać w końcu paralizującą ją nieśmiałość i wziąć w tym udział.

„Marilyn przybyła do Actors Studio z pokorą – pisała Shelley Winters. – Straszliwie chciała dołączyć do ludzi teatru, prawdziwych pisarzy i performerów”<sup>[31]</sup>. Oni jednak potrafili być bardzo hermetyczni. Każdy z osobna mógł być wylewny i otwarty, jako grupa jednak pozostawali przedziwnie nieprzeniknieni. Udzielali się towarzysko, pracowali i imprezowali we własnym magicznym świecie. W Hollywood Marilyn zawsze traktowano trochę jak wyrzutka, ale się tym nie przejmowała, a dla tych ludzi była pełna podziwu. Wprawdzie drzwi Elmo czy Stork Club zawsze stały przed nią otworem, ona jednak chciała zasłużyć sobie na prawo bywania w barach takich jak Jim Downey’s, gdzie porcję whisky sprzedawano po pięć centów.

Trudno sobie wyobrazić najślawniejszą kobietę na świecie onieśmieloną przez tani trunek czy bandę niesfornych dzieciaków w podkoszulkach. Ze swoimi dyplomami z New School i braterstwem buntowników mieli jednak wszystko, czego Marilyn brakowało – obycie, formalne wykształcenie i szacunek. Wieczorowe kursy na Uniwersytecie Kalifornijskim nigdy nie zrekompensują jej kiepskiej edukacji. Jak miała rywalizować z tymi bystrzymi pierwszorocznikami, gdy sama czuła się jak wypalona starletka z ostatniego roku? Może nie powinna się była rozwodzić, może trzeba było zostać w Hollywood i skończywszy trzydzieści lat, z godnością wkroczyć w smugę cienia.

Lee dostrzegał tę jej niepewność i martwił się o swoją nową protegowaną. Namawiał opornych członków studia, żeby przyjęli ją do swojego grona. Niczym ojciec nieśmiałego dziecka wciąż nakłaniał pozostałych, żeby włączali ją w to, co robią. „Jesteśmy teraz jej rodziną – powiedział pewnego razu Shelley Winters. – Możesz być dla niej prawdziwą siostrą”<sup>[32]</sup>. W Los Angeles Marilyn podziwiała Shelley i rzeczywiście traktowała jak starszą siostrę. W 1951 roku dzieliły się mężczyznami, norkami, kostiumami kąpielowymi, płytami Sinatry i mieszkaniem komunalnym w zachodnim Hollywood. Marilyn musiała wypożyczyć z rekwizytorni Foxa łóżko, bo jedynym meblem, jaki miała na własność, było białe pianino. Obie z Shelley były obsesyjnie ambitne, nadwrażliwe i wołały pracować, niż wypoczywać.

Żeby opanować niedzielnego kaca, do południa słuchały płyt z muzyką klasyczną na gramofonie Shelley, czytając na głos notki z okładek. Punktualnie minuta po dwunastej przełączały się na Nat King Cole'a i Franka Sinatra – dość sztuki na jeden dzień.

Shelley miała tę samą zmysłową, zwierzęcą inteligencję, która tak urzekła i wkurzała hollywoodzkich reżyserów. Nad pastrami na żytnim chlebie w Greenblatt's Deli ćwiczyły uśmiech z rozchylonymi wargami, który stał się znakiem firmowym Marilyn. Krucha i skłonna do ataków hysterii Shelley szlochła w toalecie za zonatymi mężczyznami, wypłakiwała się na ramieniu Marlona Brando i zostawiła fiolkę seconalu placebo w kieszeni beżowego płaszcza Elizabeth Taylor. Shelley dobrze rozumiała Marilyn – ona też realizowała recepty w Schwab's, chodziła na drugą stronę Sunset Boulevard do restauracji o nazwie Victor Hugo's i popijała benzodiazepinę potrójnym dżinem z martini, podczas gdy przerażeni barmani podsuwali jej przystawki. Teraz obie znalazły się w Nowym Jorku, by doskonalić swe rzemiosło.

Marlon Brando był typem, który wsunie butelkę chianti do tylnej kieszeni, wywiezie cię daleko na motocyklu i zanieś do swojej kryjówki pełnej stożkowych kadzidełek o zapachu pomarańczy i świec wetkniętych w butelki po coca-coli. Ale pod całą tą butą i zuchwałością krył się człowiek, który kochał kocięta i płakał, czytając *Dzielną małą ciuchcię* siostrzeńcowi. Był delikatny i opiekuńczy – zwłaszcza w stosunku do kobiet. W Hollywood to on zjawił się na ratunek straszliwie pijanej Shelley i otrzeźwił ją zupą cebulową z krakersami. (Odmówiła zjedzenia czegokolwiek, jeśli nie pozwoli jej się napić, w drodze kompromisu zgodzili się więc na szprycery).

To było jasne, że Marlon i Marilyn do siebie pasują: oboje mieli ten sam rys elektryzującej emocjonalnej głębi i kompulsywnego perfekcjonizmu. Marlon – tak jak Marilyn – równie często wściekał się, co czarował. Ku utrapieniu reżyserów nieustannie żuł gumę – gdy przychodziło do kręcenia scen, także łóżkowych, tylko udawał, że ją wyjmuje. Podobnie jak Marilyn był namiętym czytelnikiem – pochłaniał Kanta, Rousseau, Locke'a, Nietzschego, Melville'a, Faulknera, Tolstoja, Dostojewskiego i swoje ulubione *Wichrowe wzgórza*. Oboje nawet pili to samo na śniadanie: szklanekę gorącego mleka wymieszanego z surowymi jajkami.

Co ważniejsze zaś, Marlon miał coś, czego brakowało większości sław: szerszą perspektywę. Żeby przygotować się do roli rannego żołnierza, zostawił apartament w Chateau Marmont i zamieszkał w trzydziestoosobowej sali w szpitalu dla weteranów w dolinie San Fernando. Nie zgodził się, by okazywano mu szczególne względy, czym zjednał sobie towarzyszy i został uznany za swego (brał udział w bitwach na poduszki i strzykawki, z których robiono pistolety na wodę). Marilyn równie mocno się angażowała – gdyby ją spytać podczas pracy nad rolą, która godzina, odpowiedziałyby głosem swojej bohaterki.

Z podziwem patrzyła, jak Marlon turla się po sali, udając kurczaka, albo reżyseruje *Hedde Gabler*, jakby to była futurystyczna rosyjska dystopia. „Kiedy jest na scenie, zawsze poszukuje – mówiła Marilyn w wywiadzie dla «Pageant Magazine». – Można wyczuć, że próbuje się dowiedzieć czegoś o sobie. Szuka wszędzie (...), nawet kiedy z kimś rozmawia”. Wydzwaniała do niego w środku nocy (zwykle był na nogach), żeby omówić sceny z zajęć. Co o nich myśli? Co jego zdaniem myśli o nich Lee? Przyjaciele tacy jak Marlon ośmielali ją, zachęcali, żeby zaufała drzemającym w niej zdolnościom. Wiedziała, że on szuka tego

samego, i jego przyjaźń dodawała jej odwagi. „Jeśli Marlon zjawiał się w Actors Studio i pytał: «Chcesz iść na kolację?», nie było problemu – mówiła Amy. – To, co robili potem... Nie sądzę, żeby to było planowane. Jeśli do czegoś doszło, to po prostu się przytrafiło”.

Marilyn zaczęła ostrożnie dołączać do kolegów idących na lunch do Howard Johnson's, drinka do Jim Downey's czy na słynne imprezy, podczas których Shelley Winters mogła biegać w starej koszuli nocnej Laurette Taylor albo wymiętej kraciastej bluzce zarzuconej na sukienkę koktajlową. Bywała na nich nie tylko Cheryl Crawford, wielka dama teatru, ale także Ben Gazzara, Anne Jackson i Eli Wallach, Julie Harris i Maureen Stapleton. Zaglądał nawet nieśmiało niepoprawny samotnik William Inge. O drugiej nad ranem ładowali się do taksówki – kupa futrzanych płaszczy, „od wiewiórek po sobole” – i jechali do mieszkania Lee przy Central Park West. Lee wyciągał płyty, a oni siadali na podłodze i słuchali oper, podczas gdy Paula roznosiła talerze z barszczem i mięsem duszonym z jarzynami.

To była całkowita odmiana po musującym jak bąbelki szampana wielkomięjskim życiu, któremu oddawała się przez ostatnie trzy miesiące w towarzystwie Milтона Greene'a i Rat Pack. Zamiast czerwonych aksamitnych lin w Elmo był Paul Newman z serpentynami i confetti. Zamiast mambo tańczonego do późna z Trumanem Capote przy akompaniamencie Counta Basiego była banda ulicznych muzykantów (przyjaciele przyjaciół) grających na banjo – „głośno i okropnie”. Zamiast tartaletek z kawiozem i Dom Pérignon była waza ponczu z taniego wina, wódki i soku owocowego, na który wszyscy mieli się rzucić.

Tego rodzaju imprezy stanowiły dla Marilyn nowość, ale je pokochała. Uwielbiała, jak cała ta pasja z warsztatów przenikała do zabawy. W hollywoodzkich przyjęciach chodziło o seks albo, co gorsza, o nawiązywanie kontaktów. Marilyn wołała raczej zostać w domu z butelką wina, niż stawiać czoło pustce Doheny Drive. Mimo przeszłości modelki i wysokooktanowego blasku miała więcej wspólnego z tą zdezelowaną cyganerią niż z kimkolwiek w Los Angeles. Czy jednak tak samo myśleli jej koledzy?

Nawet po wielu miesiącach pracy w studiu wciąż zdarzało jej się spotykać z lodowatą rezerwą. Zawsze wiązała się ona z nimbem wspaniałości gwiazdy filmowej. Pomimo czarnej koszulki polo i czapeczki gazeciarza uroda Marilyn była niezaprzeczalna. „I bez makijażu wyglądała niesamowicie – mówił Ben Gazzara. – Nigdy nie zapomnę, jak siedziała koło mnie w czasie zajęć i akurat przerabialiśmy scenę z *Kotki Colette*, kiedy młoda para budzi się po nocy poślubnej i kręci nago w łóżku. Marilyn odwróciła się do mnie i spytała: «Ben, zechciałbyś zagrać ze mną tę scenę?». A ja na to: «Raczej nie, Marilyn». Odmówiłem, byłem dżentelmenem. Bałem się jej”.

Przemozna zmysłowość Marilyn onieśmiała wielu młodszych aktorów, i to zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Carroll Baker przyznała, że była zazdrosna i w obecności Marilyn czuła się niepewnie. „Nienawidziłam jej za to, że obnosiła się ze swoją dostępnością przed Jackiem [mężem Baker], gdy wtem odwróciła się do mnie i powiedziała: «halo», roztaczając tę samą uwodzicielską aurę. Oczarowana wychyliłam się nieco bardziej, niż to było konieczne, żeby uścisnąć jej wyciągniętą dłoń. Była cudownie ciepła i pulchna, a ja zorientowałam się, że przywarłam do niej i trzymam ją za długo. Może to sobie wyobraziłam, ale pomyślałam, że wyczuwam soczystą woń seksu”<sup>[33]</sup>.

Nic więc dziwnego, że Marilyn nigdy nie przestała się martwić tym, że jest postrzegana



jako głupia blondynka. Dla niej ludzie w studiu to byli koledzy i koleżanki – oni widzieli w niej uwodzicielską *pin-up girl*. Mogłaby wygłaszać mowę na zakończenie nauki w college'u Vassar, a mimo to wciąż uznawano by ją za płytką lale, dopóki nie udowodniłaby swej głębi, albo za słodką idiotkę, póki nie okazałoby się, że jest w istocie mołem książkowym. Czyżby uciekła przed oślizgłym seksizmem Hollywood tylko po to, żeby spotkać się z odrobinę bardziej subtelną mizoginią?

Nie zawsze zresztą stykała się z łagodniejszą formą seksizmu. Carroll Baker wspomina, jak dramatopisarz Paddy Chayefsky krążył po studiu ze znaczącym uśmieszkiem: „Kurczę, ale bym to coś przeleciał!”. A gdy został oficjalnie przedstawiony Marilyn podczas przyjęcia na Fire Island, w milczeniu gapił się na jej biust, po czym wypalił: „Rany, myślałem, że będzie dużo pełniejszy”<sup>[34]</sup>.

Nawet łagodna odprawa była dla nadwrażliwej Marilyn ciosem. Pewnego razu zadzwoniła do Louisa Gossetta Juniora i spytała, czy zechce zagrać z nią w scenie miłosnej z *Tatuowanej róży*. Zafascynowany gwiazdą Gosset odrzucił propozycję, bo bał się, że nie wydusi z siebie ani słowa.

„Zjawiała się na warsztatach w męskiej koszuli zawiązanej w talii i klapkach, roztaczając piżmowy zapach mydła Lifebuoy – wspominał. – Włosy, związane z tyłu gumką, zawsze miała trochę wilgotne, jakby właśnie wyszła spod prysznic. Polubiła mnie. Kiedy wchodziłem do sali, pytała: «Gdzie jest Lou?». Nie mogłem z nią zagrać żadnej sceny. Była jedną z najbardziej pociągających, najwspanialszych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem. Przez nią omal nie przestałem przychodzić na warsztaty. Ten zapach mydła i ta kobieta siedząca tu w klapkach – przysięgam, nigdy w życiu żadna inna nie zrobiła na mnie takiego wrażenia”<sup>[35]</sup>.

To oczywiście, że w rezultacie Marilyn czuła się wyobcowana. Przecież wyciągała do nich rękę – ona, wciąż nowa w studiu, wciąż nieco z zewnątrz. Skąd miała wiedzieć, że w jej przypadku klapki, związane włosy i zapach taniego mydła miały większą siłę rażenia niż szpilki, czerwona szminka i Chanel No 5?

Była jednak gotowa wszystko to znieść. Przez lata pracowała ze zblazowanymi reżyserami, którzy krzyczeli: „Cięcie!”, gasili papierosa i wracali do klimatyzowanych penthouse'ów, gdzie czekały na nich modelki drugiego sortu. Actors Studio było jej szansą, żeby nareszcie porzucić tę zdobną tanimi cekinami harówkę.

Gdy rzuciła się w wir pracy, zrozumiała, że Metoda ogromnie jej odpowiada. Pasowała do poszukującej, skoncentrowanej na wnętrzu natury Marilyn. Wiele lat wcześniej fotograf Philippe Halsman sprawił, że udało jej się wczuć w rolę, bo wymyślał dla niej sytuacje: przerażona przez potwora, pocałowana przez kochanka, pijąca najpyszniejszego drinka Mai Tai. Lee kopał głębiej, nakłaniał ją, żeby grzebała w trudnej przeszłości. Miała mnóstwo ciemnej materii do wykorzystania – matki zastępcze mamroczące przy śniadaniu modlitwy na Dzień Sądu, sierociniec z zakurzonymi tekturowymi tortami urodzinowymi. Marilyn, urodzona uczennica, podeszła do tego zadania bardzo poważnie i nieustraszenie zaczęła wywoływać błyskawice pamięci, elektryzujące i straszne.

Miała wyczerpujący plan zajęć i ściśle się go trzymała – w środy i piątki prywatne lekcje z Lee, dodatkowe zajęcia w środy i czwartki, Malin Studios we wtorki i piątki, a poza tym psychoanaliza pięć razy w tygodniu. Zaczęła przychodzić na warsztaty punktualnie, coraz

mniej zależna od Delosa. Gdy pewnego razu się spóźniła (bo sesja z doktor Hohenberg się przeciągnęła), na Czterdziestej Czwartej Ulicy, nieopodal Piątej Alei, wpadła na Freda Stewarta, kolegę ze studia. Zastali drzwi zamknięte i Marilyn była zrozpaczona. „Może udałoby się nam jakoś wślizgnąć? Nie chciałabym nic stracić”. Żelaznymi spiralnymi schodami Fred zaprowadził ją do maleńkiej wnęki nad sceną. Przycupnęli ukryci w cieniu, Marilyn zasłuchana, urzeczona.

Stopniowo jej zaangażowanie stało się widoczne nawet dla największych sceptyków. W teatralnych kręgach Nowego Jorku szybko rozeszły się pogłoski, że Marilyn „pracuje jak wół”, do późna przesiaduje w Actors Studio i opuszcza spotkania towarzyskie. „Muszę (...) czynić znacznie znacznie (...) większe większe większe (...) wysiłki”<sup>[36]</sup>.

Mniej więcej wtedy właśnie Marilyn wyjawiała Shelley Winters, że to wszystko – Nowy Jork, Studio, psychoanaliza i MMP – to jej walka. „Tak właśnie to ujęła – wspominała Shelley. – Walka, by znaleźć sens życia, który dałby jej siłę, żeby mogła zostać «prawdziwą aktorką». Sama tak powiedziała: «prawdziwą aktorką». Jakby chciała oddać to, czym była, i stać się w zamian czymś innym”<sup>[37]</sup>.

Po raz pierwszy Marilyn zaczęła wierzyć w swój talent. Ośmieliła się rzucić wyzwanie systemowi studyjnemu i teraz wszystkie oczy były zwrócone na nią. „Chciała tego, na co zasługiwała – wspominał jej przyjaciel Ralph Roberts. – Była dość mądra, żeby odmówić dalszego wykonywania ich poleceń. A gdyby ją zwolnili, mówiła, będą chcieli, żeby wróciła, ona zaś zgodzi się to zrobić tylko na własnych warunkach”<sup>[38]</sup>.

Nie myliła się: dziesięć miesięcy później Fox zaczął ją błagać, by wróciła. Marilyn miała rzucić Hollywood na kolana.

*Osiem*  
**Strasbergowie**



Marilyn Monroe wśród dziennikarzy podczas przyjęcia dla prasy, które zorganizowała w swoim domu w Kalifornii, Los Angeles, 3 marca 1956 roku.  
FOT. Z ARCHIWUM MICHAELA OCHSA/GETTY IMAGES



Bóg nie wymazał z mojego przeznaczenia szansy na to, żebym została najprawdziwszą aktorką (...). Dlatego mam prawo urzeczywistnić marzenie o twórczym spełnieniu. Wierzę, że to właśnie mówi do mnie Bóg i że jest to odpowiedź na moje modlitwy.

*Marilyn Monroe*

**L**ee Strasberg stał się dla Marilyn guru i bogiem. Krążył po sali w okularach w rogowej oprawie i wymiętym ubraniu, które przypominało nieco szpitalny uniform, i wrzeszczał: „Mów głośniej! Bardziej się staraj!”. Wpatrywała się w niego z rozchyłonymi ustami, z jej papierosa unosił się kłęb dymu, a światło opływało ją niczym Madonnę Leonarda da Vinci. Bardzo szybko stało się jasne, że jest ulubienicą Lee.

Więź między uczennicą a nauczycielem rozciągała się poza warsztaty. Marilyn zaczęła wpadać do domu Strasberga na kolacje i często zostawała do późna. Lee i Paula przygarniali aktorów, jakby ci byli bezpańskimi czworonogami. Marilyn szybko stała się ich ulubionym kotkiem.

Paula Strasberg, emerytowana aktorka i najlepsza przyjaciółka Tallulah Bankhead, była przesiąknięta teatralnym folklorem – sceniczna charakteryzacja, światła rampy, ciężkie czerwone kurtyny to był jej świat. W młodości grywała kokietki o migdałowych oczach. Uwielbiała lamówki, kokardy, pióra i cekiny i swego czasu wyglądała, jakby wyszła prosto z Moulin Rouge. Porzuciła to wszystko, by matkować teatralnej czeredzie, ale choć modne woalki zastąpiła czarnymi siateczkami na włosy i chustkami, wciąż było w niej coś bujnie zmysłowego. Z głębokim gardłowym śmiechem, koronkowymi chusteczkami i japońskimi wachlarzami rozrzucanymi na podłodze wśród soli trzeźwiących, kart do tarota i bucików do tańca łatwo ją było sobie wyobrazić jako przejrzałą Colette.

Kiedy poznała Marilyn, była już oficjalną „żydowską matką” teatralnego ludku Nowego Jorku. Jej kuchnia zdążyła przejść do legendy – podłoga z czarno-białych płytek ułożonych w szachownicę, lodówka pełna szampana, lodów i szarlotki. Co niedziela aktorzy gromadzili się tam na późne śniadanie, nakładając na talerze góry białysów, wędzonego lososia i serka śmietankowego. Pijany Clifford Odets, wisząc nad blatem, recytował wiersze. Franchot Tone wtaczał się zakrwawiony po bójce w barze albo wył za swoją ostatnią dziewczyną. U Strasbergów człowiek mógł być odmieńcem, ba, wręcz do tego zachęcano. Nie trzeba się było cenzurować, a słowo „normalny” uchodziło za epitet. „Każda emocja jest cenna”, głosił napis, który Paula przykleiła w kuchni na ścianie. Nic dziwnego, że Marilyn czuła się tu jak w domu.

Paula była idealną przybraną mamą – zawsze gotową przytulić, postawić horoskop albo nakarmić lodami Serendipity. Marilyn uwielbiała, kiedy jej matkowano, a zwłaszcza kiedy robiła to Paula, ale dużo więcej wspólnego miała z Lee, szorstkim erudytą. Kochała jego pasję, skupienie, a nawet nieprzystępny intelektualizm. To prawda, że potrafił być pedantyczny (lubił Bacha i Beethovena, ale to Bach był lepszy – bez względu na wszystko), co drażniło ludzi – a zwłaszcza jego rodzinę – ale Marilyn uwielbiała twardych, bezkompromisowych mężczyzn. Mogła słuchać go godzinami, klęcząc u jego stóp, gdy palił fajkę i zachwycał się niemiecką filozofią albo teatrem kabuki.

Strasbergowie zaadoptowali Marilyn w jeszcze większym stopniu niż uroczy, przyjacielscy Greene’owie ze swą wspianą rodziną i Gwiazdką w Connecticut. Ktoś taki jak Marilyn potrafił czuć się samotny i wyobcowany nawet w najserdeczniejszej rodzinie

nuklearnej. Strasbergowie zaś byli wylewni, cudownie niedoskonali i wszędzie ich było pełno. Za członka rodziny uznawali każdego, kto myślał podobnie, jedynym warunkiem był talent. Dla Lee i Pauli sztuka była ważniejsza niż więzy krwi. Nie należeli do rodziców, którzy wyprosiliby człowieka za drzwi, bo ich córka Susie ma pokaz w szkole baletowej albo syn Johnny gra mecz rugby.

To jednak, co wydawało się wspaniałe Marilyn, sprawiało, że Susie i Johnny uważali ojca za człowieka chłodnego. W rodzinie Strasbergów bliskość była całkowicie podporządkowana teatrowi – czyli pracy. Jeśli Susie płakała z powodu jakiegoś chłopca albo czegoś, co się wydarzyło w szkole, Lee zbywał ją, mówiąc: „Skarbie, obchodzi mnie to tylko o tyle, o ile wiąże się z pracą”. Johnny miał jeszcze gorzej – chciał jeździć kabrioletem, latem stukać młotkiem przy budowie domów, a potem studiować medycynę. Scena niewiele go obchodziła, tymczasem w jego rodzinnym domu teatr był wszystkim.

„Nasze drzwi stały otworem dla wielu artystów, ale Marilyn była wyjątkowym gościem” – wspominała Susie, która w wieku szesnastu lat przygotowała się do występu na Broadwayu w *Dzienniku Anne Frank*. Dla Susie było oczywiste, że Marilyn i Lee łączy osobliwe podobieństwo. Strasberga zawsze otaczały uderzająco piękne i utalentowane kobiety – Carroll Baker, Julie Newmar, Anne Bancroft – z Marilyn było jednak inaczej. Co takiego miała w sobie ta przedziwna, hipnotyzująca kobieta, że ojciec Susie, człowiek o kamiennym sercu, był nią tak zafascynowany?

Susie wspomina dzień – zarazem chłodny i gorący, ledwie nastąpiła wiosna – kiedy po raz pierwszy spotkała Marilyn. Zapach duszonej wołowiny i cebulki mieszał się z dymem fajki Lee, w tle słychać było łagodne dźwięki koncertu Mozarta. Paula zamachała rękami, dając znak: „Cisza przy wejściu, tato ma lekcję!”. Lee nigdy nie dawał indywidualnych lekcji, to było zadanie Pauli. Jeszcze bardziej zdumiewający był dobiegający z gabinetu ojca cichy śmiech. Nagle drzwi się otworzyły i Strasberg wszedł do jadalni w towarzystwie Marilyn Monroe.

Oto obraz, jaki zapamiętała Susie: promień słońca na ramieniu ojca, puszyste włosy, ogromne niebieskie oczy i skóra – naga i przejrzysta jak u młeczarki Fragonarda. O zmierzchu światło drgające w wąskim, ciasnym korytarzu na tle tapety z czerwonym wzorkiem tworzyło efekt światłocienia jak na przydymionych olejnych obrazach. W swoich pudrowych pastelach Marilyn wyglądała na tym tle, jakby otaczała ją świetlista aureola.

Susie patrzyła zaszokowana. Oto jej ojciec, który nie znoślił, żeby ktoś go dotykał, tulił dłoni Marilyn w swojej dłoni.

„Cześć, jestem Marilyn Monroe – powiedziała. – Pewnie mnie nie pamiętasz, ale spotkałyśmy się już w Kalifornii”.

Tak jakby można było zapomnieć, że się widziało Marilyn Monroe.

Gdy rok wcześniej Susie bawiła z wizytą w Los Angeles, razem z przyjaciółką, Steffi Skolsky, udało jej się przedostać na teren wytwórni i trafiła na plan filmu *Nie ma jak show*. Patrzyła z podziwem, jak Marilyn tańczy i śpiewa „Mamy falę upałów, tropikalnego skwaru...”. I rzeczywiście było gorąco, nie do wytrzymania, żadnego powiewu, nieruchome, lepkie liście palm. Czy też, jakby to mógł ująć Paul Newman, „kolejny podły dzień w raj”. W parnym pomieszczeniu tłoczyły się tabuny kamerzystów. DiMaggio stał z kamienną twarzą, ocierając czoło nieskazitelnie czystą, wykrochmaloną chusteczką. Z cieniutkimi

brązowymi włosami i ziemistą cerą Susie czuła się zawstydzona i słabowita. Wtem Marilyn poślizgnęła się na lepkiej podłodze. Sprawiała wrażenie speszonej i zagubionej, niemal zrozpaczonej. I choć była megawatową gwiazdą, Susie zrobiło się jej żal.

Kiedy później Susie jak w transie zawędrowała na górę, trafiła prosto do garderoby aktorki. „No już, bużko, daj mi odpocząć”, śpiewała Marilyn do siebie przed lustrem, ścierając szminkę i podkład. Uniosła wzrok i zobaczyła Susie. „Przepraszam, wyglądam jak gównno” – powiedziała z westchnieniem, ani trochę nie zirytowana tym, że ktoś ją nachodzi. A kiedy się zorientowała, że Susie to jeszcze dziecko, zawołała: „Ups, tak mi przykro!”, zakrywając usta wypielęgnowaną dłonią.

W butach na koturnie i ze stroikiem w stylu Carmen Mirandy na głowie Marilyn górowała nad maleńką, mierzącą ledwie metr pięćdziesiąt pięć Susie. W pełnym makijażu wydawała się postacią nie z tego świata. Teraz jednak sprawiała wrażenie osoby z krwi i kości, była mniejsza i o wiele piękniejsza.

„To wydawało się wręcz niemożliwe – wspominała Susie. – Czyżby ta pełna życia lśniąca syrena, której jakimś cudem udawało się falować w butach na wysokich obcasach, ta dziewczyna, wcale nie tak ogromna, o jasnym, bystrym spojrzeniu była tą samą wybujałą, pociągającą, egzotyczną istotą, którą trochę ponad rok wcześniej spotkałam w Hollywood?” Jakby to właśnie była prawdziwa Marilyn, w swym naturalnym otoczeniu, uwolniona z hollywoodzkiego zoo.

Po kolacji Lee zapalił fajkę i nastawił płytę z muzyką Vivaldiego. Paula zaczęła zmywać naczynia, Johnny wymknął się do swojego pokoju, a Susie dołączyła do Marilyn w ogromnej pracowni, której okna wychodziły na Central Park. Patrzyła, jak zachwycona Marilyn przegląda półki z książkami – nauki przyrodnicze, psychologia, sztuka, antropologia, polityka, muzyka, taniec, kostiumy, obyczaje. Dzieła po francusku, niemiecku i włosku (Lee sam nauczył się tych języków jako dziecko). Były nawet woluminy w językach, których nie potrafił odczytać – na przykład po japońsku – gdy miał ochotę się ich uczyć, zapraszał do domu tłumaczy. „Boże, czy on rzeczywiście to wszystko przeczytał?!” – zawołała Marilyn wyraźnie pod wrażeniem. „Cholerne książki – skrzywiła się Paula. – Mamy najwspanialszą bibliotekę na świecie i przymieramy głodem!”.

Marilyn usadowiła się wygodnie na podłodze obok lustrzanego kominka, a Lee zaczął ją bombardować pytaniami: Jaką aktorkę podziwiasz najbardziej? (Eleonorę Duse). Jej ulubieni poeci? (Whitman i Dickinson). Czy interesuje się psychologią (Tak!). Chciał dotrzeć do gorącego jądra rzeczy tak samo jak Marilyn.

Potem Susie poszła za Marilyn do kuchni i zastała ją przy maleńkiej półce z książkami Pauli – tarot, dieta, astrologia i metafizyka katolicka. Ku zdumieniu dziewczyny Marilyn zaczęła wypytywać ją o karierę aktorską – jakie role grała od czasu, kiedy się widziały w Kalifornii? Och, i czy wie, że obie są spod znaku Bliźniąt? Ze swojego stanowiska przy zlewie Paula uśmiechała się promiennie, zanurzając naczynia w pianie.

Właśnie wtedy Susie przypomniała sobie coś, co Marilyn powiedziała jej rok wcześniej. „Naprawdę podziwiam twojego ojca – szepnęła, zbliżywszy gorące wargi do ucha Susie. – Mam zamiar przyjechać do Nowego Jorku i uczyć się u niego aktorstwa. Niczego nie pragnę bardziej”.

„Jasne – pomyślała Susie, odchodząc. – To równie prawdopodobne jak śnieżyca w lipcu”.

Zapoznawały się ze sobą ostrożnie, spotykając się w kuchni, pod okiem Pauli mieszkającej czerwona kapusta i antrykot. Marilyn stawała wsparta o ścianę niczym posąg, a Susie przysiadła skulona na stołku, opierając łokcie na blacie, wciąż w swoim szkolnym mundurku – sweterku z dekoltem w serek, bluzce z okrągłym kołnierzykiem, skarpetkach za kostkę i białych półbutach, z krynoliną wystającą spod rozkloszowanej spódnicy. Wymieniały się radami dotyczącymi urody. Marilyn podziwiała włosy Susie – sama zawsze chciała mieć takie jedwabiste loki. Kiedy zaś Susie wyznała, że oddałaby wszystko za „dłuższe o pięć centymetrów nogi”, podzieliła się z nią trikiem Amy, żeby nosić pończochy dopasowane kolorem do butów – czarne do czarnych, cieliste do cielistych (Susie natychmiast wybrała się na zakupy). Nauczyła też młodszą przyjaciółkę, jak rozjaśniać włosy cytryną i piwem: „Jeśli nie zadziała, zawsze możesz wypić. Oczywiście, jak już będziesz pełnoletnia”, dodała, mrugając porozumiewawczo.

Nie były to zresztą tylko rady dotyczące wyglądu. Mimo młodego wieku Susie wyczuwała, że Marilyn właśnie odzyskała kontrolę nad własnym wizerunkiem i losem. Wiele lat później jej samej zdarzyło się kilka razy o to zabiegać – kiedyś zaszokuje fotografa, upierając się, że osobiście przejrzy odbitki. „No cóż – powie, marszcząc nos – Marilyn tak robiła”.

Szesnastoletnia Susie marzyła, żeby dorosnąć i wślizgnąć się w szpilki Marilyn (mogła nosić tylko słupki). Jak w przypadku wielu nastolatek jej wyobrażenie o słynnej aktorce otaczała mgiełka poezji. Fantazjowała o byciu Marilyn Monroe tak jak o byciu Anną Kareniną, Marią królową Szkotów czy królową Elżbietą. A jednak mimo całej swojej gwiazdorskiej potęgi Marilyn sprawiała wrażenie przedziwnie przystępnej. „Nie była daleka jak Greta Garbo, wyniosła i pretensjonalna jak Joan Crawford ani obca jak Ingrid Bergman. Miałam wrażenie, że mogłaby być moją przyjaciółką albo mną”.

Większość kobiet w wieku Marilyn odnosiła się do Susie z matczyną troskliwością, Marilyn natomiast traktowała ją po partnersku. „Miała w sobie pewien rodzaj niewinności i gotowość do zabawy” – wspominała Susie. Wspólnie spiskowały podczas późnego niedzielnego śniadania, niczym dwie nastolatki wymykające się od stołu dorosłych. W rześkie wiosenne popołudnia snuły się po pracowni Lee i leniwie wyglądały przez okno wychodzące na Central Park, czyste błękitne niebo i pokryte pączkami drzewa. Wylegując się w pokoju Pauli, znalazły sfatygowany egzemplarz *Kamasutry* i postanowiły „wypróbować” zawarte w nim pozycje na podłodze. Marilyn była mężczyzną: „To ci odmiana”.

Zerwały się gwałtownie, słysząc kroki Lee. „Edukacja przerywana” – stwierdziła Marilyn. Główna jednak lekcja polegała na tym, że nawet w czasach *femme fatale* i żelaznych dziewic seks mógł być lekki, a nawet zabawny.

Pewnej niedzieli do Marilyn podszedł jakiś student, młodzik, cały drżący, jakby znalazł się w obliczu królowej albo gotował się na ścięcie. Wręczył jej pierścionek, który przysunęła do oczu, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Zamiast kamienia był tam jej miniaturowy portret z osławionego kalendarza z nagimi zdjęciami.

– Och, Susie – zawołała Marilyn – popatrz, co narobili!

Susie spojrzała na młodzieńca ponuro – jak śmiał zasmucać Marilyn?

– Spójrz – jęknęła Marilyn – rozmazali mi oko.



W zapiętym pod szyję świecie lat pięćdziesiątych Marilyn była swawolna i swobodna. Zakupy z nią to była czysta radość i Susie uwielbiała patrzeć, jak przyjaciółka mknie po przebieralni w bieliźnie – albo i bez. Każdy ma własne wyobrażenie „nagiej Marilyn w przymierzalni Saks”. Dla Susie była objawieniem. „W czasach, kiedy my nosiliśmy pasy wyszczuplające, ona mówiła o seksie, jakby to było coś naturalnego i normalnego”.

„Już w latach pięćdziesiątych, kiedy zaledwie garstka z nas zdawała sobie z tego sprawę, wiedziała, że szczęścia nie ma co szukać w futrach czy sławie, tylko we własnym wnętrzu. Była dzielną, odważną kobietą. Wyruszyła w niebezpieczną podróż w głąb siebie. Walczyła o swoje, zanim zaczął to robić ruch kobiety. Udało jej się wyrwać ze szponów hollywoodzkiej wytwórni. Stawiła czoło komisji McCarthy’ego. Wiele zaryzykowała”.

**M**arilyn stopniowo stawała się członkiem rodziny Strasbergów, raz nawet spędziła noc w pokoju Johnny’ego (został zesłany na kanapę). Oboje nieśmiali, krążyli wokół siebie ostrożnie jak młode dachowce. „Był jedynym chłopakiem w Ameryce, który nie cieszył się z tego, że Marilyn Monroe spała w jego łóżku” – opowiadała Susie.

Oczywiście, że się w niej zakochali – nie tylko w jej urodzie i talencie, ale też w dziecięcej naturalności, w niewymuszonym wdzięku, z jakim przyjmowała przysługi, pochlebstwa czy mrożoną gorącą czekoladę z Serendipity. Trudno o osobę, którą bardziej bawiłyby i cieszyły pochwały – uśmiechała się i mówiła: „Rany, dziękuję!”, jakby właśnie spotkało ją ogromne szczęście. Ludzie, którzy potrafią tak przyjmować komplementy, są na ogół równie szczodrzy w ich prawieniu, toteż Marilyn dużo częściej komplementowała Susie, niż ta chwaliła Marilyn. „Susie, cudowna szminka, gdzie ją kupiłaś?” – mówiła. Albo: „Susie, ludzie cię szanują, to wspaniale”.

„Ponieważ potrzebowała tego o wiele bardziej niż ja – mówiła Susie, która zazdrościła Marilyn tego, że rodzice tak ją hołubią – miała w sobie pewien rodzaj uważności, której mnie oczywiście brakowało”. Pod pewnymi względami Marilyn była niezwykle zdrowa, świadoma swoich pragnień, tego, co się działo w jej wnętrzu i dokoła. Dzięki żywej inteligencji emocjonalnej potrafiła wyrażać swoje potrzeby, prosić reżyserów o dodatkowe ujęcia albo domagać się pomocy nauczycieli, kiedy uważała to za konieczne.

Zwykle dostawała to, czego chciała, mimo że tak naprawdę wcale o to nie prosiła – deser lodowy, domowe wizyty fryzjerów, przymiarki o północy, zmiany w scenariuszu, zgodę na spóźnienia, zwolnienia lekarskie. To mogło irytować. Łatwo ją nazwać księżniczką, dawała jednak tyle samo, ile dostawała, a nawet więcej. Pauli podarowała perły Mikimoto, Johnny’emu forda thunderbirda, Susie uwagę i worki ubrań, Actors Studio zaś stale wspierała finansowo. Także na mniejszą skalę wiedziała, czego człowiekowi trzeba, jeszcze zanim on sam zdążył się zorientować – papieros, rozmowa w cztery oczy w toalecie, sweter albo po prostu święty spokój.

Susie w końcu odkryła, dlaczego Marilyn fascynowała jej ojca i ludzi wokół: „Nie bała się pokazywać nam wszystkich swoich aniołów i demonów”. To właśnie ta bezbronność była tak urzekająca i to właśnie dzięki niej Marilyn tak znakomicie nadawała się do pracy ze Strasbergiem i Metodą.

W Los Angeles więź Marilyn i Lee budziła szok i niedowierzanie – co też ta drogocenna seksbomba Hollywood robiła z królem szkoły „flejtuchowatego” aktorstwa? „Uczy się

u ludzi, którzy nie uznają dezodorantów – ciskał się Billy Wilder. – U ludzi, którzy wolą usiąść na podłodze, kiedy w pokoju stoi sześć wygodnych krzesel. Przez nich zaprzepaści wszystko, co ma, i będzie się siebie wstydziła. Jej sukces bierze się stąd, że nie potrafi grać. Tymczasem teraz przechodzi ewolucję i jeśli potraktuje tę sprawę serio, to będzie jej koniec. Straci męską widownię. Zostanie drugą Julie Harris, postrada wszystko, co było jej własne, stanie się brzydka i będzie się mogła pożegnać z uwielbieniem tłumów. Nie wiem, kogo za to winić – Lee Strasberga czy Milтона Greene’a. Kto to w ogóle jest Milton Greene?”

Prasa też nie wiedziała, co o tym sądzić. Niebawem Dorothy Kilgallen, zawzięta nieprzyjaciółka Marilyn, jadowitym tonem dawała do zrozumienia, że Lee Strasberg zastąpił Milтона Greene’a.

„Milton Greene nie był moim panem i władcą – warczała Marilyn. – Nie jestem i nigdy nie będę niczyją niewolnicą (...). Teraz piszą, że uległam wpływowi Lee Strasberga. Ale dlaczego mam nie mieć nauczyciela? Dlaczego mam się nie rozwijać? Chcę coś osiągnąć. Jestem ambitna. Czy to zbrodnia, że chcę się doskonalić? Dobrze jest mieć różnych nauczycieli i od każdego czegoś się uczyć. Brałam lekcje u Michaiła Czechowa, a teraz biorę u Lee Strasberga. I się uczę”.

Ludzie z zewnątrz często myśleli, że Lee, mesmeryzujący guru, albo Milton, uroczy magnetyzer, kontrolują Marilyn i nią manipulują. Nikt nie chciał przyjąć do wiadomości, że Marilyn nareszcie odzyskała kontrolę nad własnym życiem i podjęła samodzielną, dojrzałą decyzję, by uczyć się od najlepszych.

„Nie tylko nie miałam żadnego doświadczenia aktorskiego – tłumaczyła – ale też pracowałam przy filmach, które kręcili amatorzy. Zdarzali się reżyserzy tak głupi, że potrafili tylko powtarzać kwestie ze scenariusza, jakby czytali rozkład jazdy. Dlatego od nich nie dostałam pomocy. Musiałam jej poszukać gdzie indziej”.

W rękach utalentowanych, wrażliwych reżyserów Marilyn rozkwitała, wielu jednak było pedantycznymi tyranami, których interesowało tylko ustawienie kamer i oświetlenia, ograniczali liczbę ujęć i kończyli tuż przed osiemnastą, żeby zaoszczędzić pieniądze. Oprócz tego, że wielbili samych siebie, największe wrażenie robiły na nich okazałe dekoracje, a wymyślne oświetlenie i malowane lwy cenili wyżej niż dobre aktorstwo. Gdy Marilyn angażowała się w swoją rolę, upierała się, żeby każde ujęcie było dopracowane – bez względu na to, co mówił reżyser. Zależało jej, żeby dać z siebie wszystko, każdego dnia lepiej poznawać swoje rzemiosło. „Wierzę, że warto się uczyć i rozwijać” – twierdziła stanowczo. Żądza wiedzy była jedną z jej najbardziej poruszających cech.

To pragnienie przekraczało oddanie sztuce. Marilyn szukała mentorów przede wszystkim po to, żeby się uczyć, a potem po to, żeby być kochaną. Bez wątpienia zacierała granice – wydzwaniała po nocach, pisała listy, które brzmią jak miłosne, była gotowa lecieć za ocean.

Ale niedostatek uczuć i zaufanie do siebie wcale się nie wykluczają. Choć Marilyn potrzebowała miłości, z pewnością nie potrzebowała niczyjej aprobaty. Zwykle obstawała przy własnym zdaniu, często nie zgadzała się z radami specjalistów. Wierzyła w swój talent i intuicję bardziej niż komukolwiek – swoim mężom, Miltonowi Greene’owi, a nawet Lee.

**C**zy to dotyczyło kariery, miłości, czy książki, którą czytała, Marilyn na poczekaniu wymyślała własne reguły. Na warsztatach wprawdzie zachowywała pełen

profesjonalizm, ale zawsze była nieco swawolna i zalotna. Nawet Eli Wallach wahał się, czy z nią grać, obawiał się bowiem, że „ludzie będą gadać”. To ją zdumiewało – aktor taki jak Eli przejmując się plotkami? Sama od lat nic sobie nie robiła z opinii publicznej. Gdy zaproponowała Lou Gossettowi, żeby razem zagrali scenę z *Tatuowanej róży*, był zaszokowany. „Zdajesz sobie sprawę, że przekraczasz granice rasowe i wkraczasz na zakazany teren?” Marilyn zignorowała te obawy. A choć nie zagrali razem, Lou nigdy nie zapomniał jej tej odwagi.

W Actors Studio zaczęto ją wreszcie szanować za to przesuwanie granic. W końcu etos studia opierał się na surowym realizmie, ryzyku i emocjonalnej uczciwości. „Monty Clift, Kim Stanley, Gerry Page, Marlon Brando, Jimmy Dean – pisała Susan Strasberg – im wszystkim szaleństwo było bliższe niż rozsądek, którego nie znali nawet z widzenia”. Powoli Marilyn zaczęła zdawać sobie sprawę, że tu jest jej miejsce.

Zawsze w zdumiewająco oryginalny sposób postrzegała różne rzeczy, a koledzy i koleżanki z warsztatów doceniali jej osobliwą logikę i bystry umysł. Zaczęli jej słuchać i ożywiali się, kiedy się odzywała. „No cóżżż” – wzdychała niczym ptaszek i niepewnie, ale z wielką powagą, mówiła, leciutko unosząc brew. Początkowo wahała się, martwiła, że powie coś zawstydzającego albo nieodpowiedniego. „Na początku – pisał aktor Gary Vitacco-Robles – kiedy Marilyn oglądała występ Eliego Wallacha i Maureen Stapleton, ich egzaltacja poruszyła ją do łez, potem jednak Strasberg przez trzydzieści minut ostro ich krytykował. Marilyn wpadła w popłoch i szybko zweryfikowała swoją opinię”. Powoli jednak zaczęła się odzywać, a nawet ośmielała się nie zgadzać z przyjaciółmi. Gdy Earle Hyman, nowicjusz, zagrał swoją pierwszą scenę, Eli Wallach skrytykował go, mówiąc, że jego gra była mętna. Cała sala siedziała w milczeniu, aż w końcu Marilyn podniosła rękę. „No nie wiem, Lee, ale wydaje mi się, że życie czasami jest mętne”<sup>[39]</sup>.

Wkrótce Marilyn razem z resztą paczki ze studia zaczęła chodzić po zajęciach na drinka do baru Jim Downey’s. „Lubię tych ludzi – powiedziała reporterowi, który zjawił się w lokalu. – Kochają swoją pracę, potrafią słuchać i patrzeć w oczy”. Jej nowi przyjaciele byli wzruszeni, widząc, jak jest szczęśliwa, że przyjęli ją do swojego grona.

Marilyn ich zaskoczyła. Wiele osób stwierdziło, że potrafi się w jej towarzystwie odprężyć – ze spokojem i swobodą traktowała złożoność ludzkich doświadczeń i nieskończone bogactwo emocji. To właśnie czyniło z niej tak interesującą aktorkę i wspaniałą przyjaciółkę. Ludzie ze studia przekonali się, że wewnątrz bogini seksu kryje się cudowne małe zwierzątko – bystre, chłonne i spragnione nauki.

„Myślę, że wszyscy szanowaliśmy to, że najsłynniejsza kobieta Ameryki chciała się dowiedzieć czegoś więcej na temat swojego rzemiosła” – pisał Ben Gazzara<sup>[40]</sup>. „Postanowiła się doskonalić – mówił Lou Gossett. – Kolegowała się z Estelle Parsons, Peggy Feury, Lee Grant, Kim Stanley, Evą Marie Saint, ludźmi, którzy stale podnosili poprzeczkę. Ona też ją podnosiła”.

Lou uważał, że Marilyn była najlepsza w ich grupie: „Gdyby została, zdobyłaby Oscara i Tony, wszystko. Taki miała talent”.

**S**zacunek studyjnej paczki dodawał jej pewności siebie – bardziej niż kontrakty w Hollywood i wszystkie nagrody świata. Niewykluczone, że naprawdę mogła zostać

znakomitą aktorką dramatyczną – amerykańską Eleonorą Duse z filmową przeszłością i nastroszonymi cukierkowymi włosami.

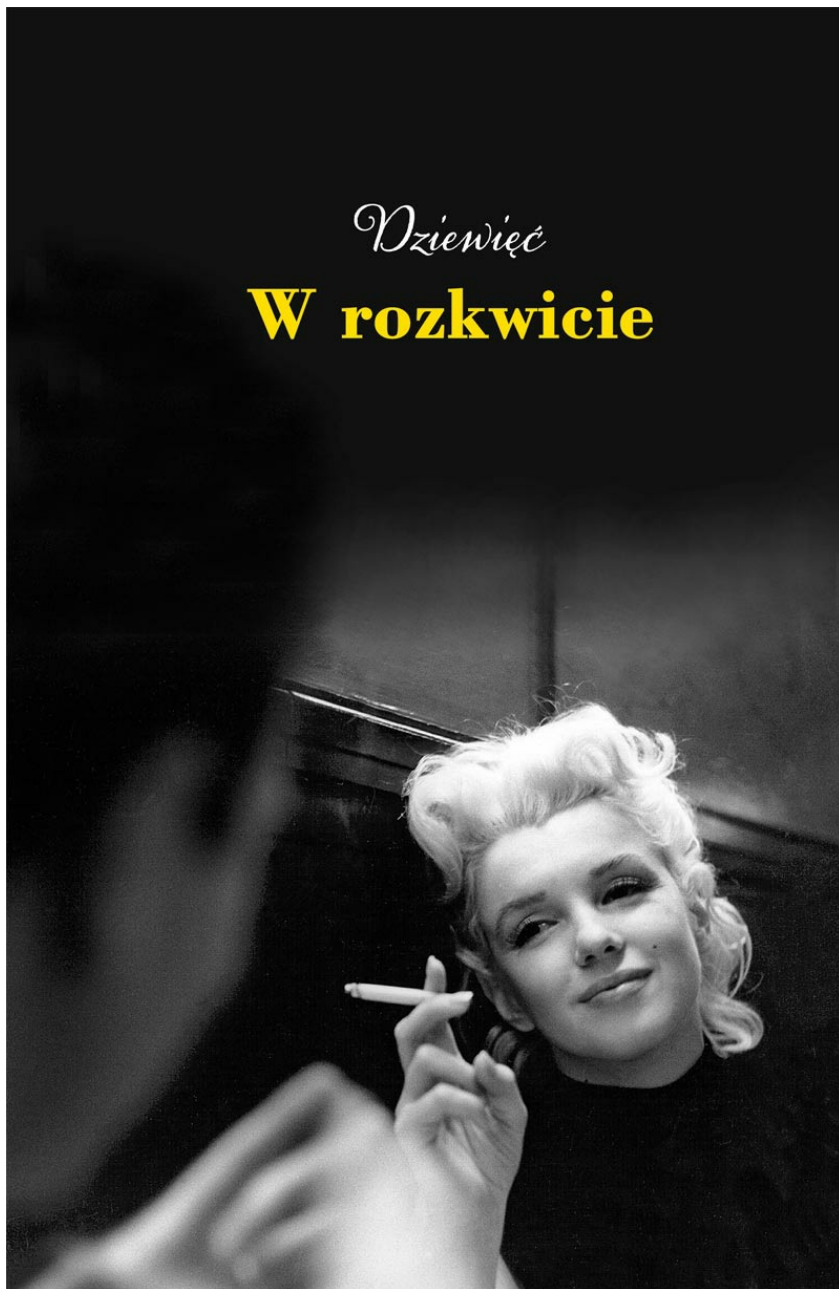
Jeśli marzenia Marilyn sięgały gwiazd, to marzenia Lee wznosiły się jeszcze wyżej. Pewnego wiosennego dnia Marilyn wybrała się na lunch do taniej jadłodajni przy Dziewiątej Alei razem z Lee, Michaelem V. Gazzo i Benem Gazzarą. Gawędzili przy stolikach zastawionych butelkami z ketchupem, dzbanuszkami ze śmietanką, żytnimi kanapkami z tuńczykiem i rożkami z woskowanego papieru, osadzonymi na podstawkach z nierdzewnej stali i wypełnionymi wodą z kranu. Marilyn w czarnym płaszczu poło popijała kawę, a Lee omawiał najbliższy projekt w studiu: *Makbeta*.

„Widzicie – tłumaczył nad nietkniętą, schludnie przekrojoną na pół kanapką – władza, jaką lady Makbet miała nad mężem, nigdy nie została całkowicie wyjaśniona”. Tylko Marilyn mogłaby przekonująco pokazać, co to znaczy omotać człowieka takiego jak Makbet. Uważał, że Ben znakomicie nadawałby się na jej partnera, i zagroził, że powierzy mu główną rolę.

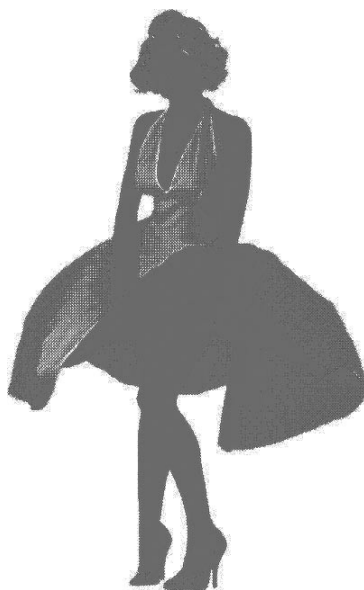
Marilyn promieniała, ale Ben omal nie opluł się kawą. „Była cudowna – pisał po latach – ale mówiła uroczym szeptem, który świetnie sprawdzał się w filmach. Tymczasem lady Makbet musiałaby pokazać, co potrafi na wielkiej scenie. Marilyn usłyszałyby pewnie zaledwie dwa pierwsze rzędy. To nie powstrzymało Lee. Wyraźnie było widać, że darzy ją szalonym ojcowskim uczuciem i uważa, że może pomóc Marilyn zrobić niemal wszystko”<sup>[41]</sup>.

Czy rzeczywiście mógł?

*Dziewięć*  
**W rozkwicie**



Chwila wytchnienia w restauracji, Nowy Jork, marzec 1955 rok.  
FOT. ED FEINGERSH/ARCHIWUM MICHAELA OCHSA/GETTY IMAGES



Życie zaczyna się TERAZ.

*Marilyn Monroe*

**M**arilyn tymczasem zdążyła zamieszkać w trzypokojowym apartamencie w hotelu Waldorf-Astoria przy Park Avenue. „Wchodziło się prosto do salonu – wspomina James Haspiel, wówczas nastoletni wielbiciel aktorki i jej przyjaciel. – Na tablicy korkowej po prawej stronie wisiały strony z zagranicznych czasopism, portret Alberta Einsteina i jeszcze jedno jego zdjęcie, jak idzie ulicą, zrobione od tyłu. Była też fotografia, która mnie zdawała się zdjęciem grupki głodnych sierot tulących się do siebie”<sup>[42]</sup>. Na małym stoliku stał szkic przedstawiający Marilyn autorstwa aktora Zero Mostela.

Dalej sypialnia: wszędzie porozrzucane przycięte w klin sztuczne rzęsy. Płaskie słoiczki kremu Phelityl Erno Laszlo z czarnymi błyszczącymi zakrętkami. Stoliki nocne zastawione buteleczkami Jicky, Fracas i Chanel, stosy paczek papierosów obok niebieskich opakowań kremu Nivea. Sterty szpilek Ferragamo wysypujących się z szafy. Niepościelone łóżko przysunięte do ściany i zarzucone książkami: *Mały Książę*, *Psychopatologia życia codziennego* Freuda, *Lekcje reżyserskie Stanisławskiego*. Telefon zwrócony do wezglowia, żeby ukryć numer przed wścibskim okiem. I portret Abrahama Lincolna nad głową niczym plakat gwiazdy rocka.

To kosztowało. Wszystkie wydatki Marilyn pokrywał Milton – także te osobiste. Zastawił dom, żeby płacić za hotele, prawników, fryzjerów, kosmetyczki, ubrania, makijaż, psychiatrów – nawet rachunki medyczne. Tysiąc dolarów tygodniowo za apartament w Waldorf-Astorii, 125 dolarów tygodniowo za psychoanalizę, 500 – za „zabiegi upiększające” i 50 – za perfumy. Do tego agent prasowy i prywatny sekretarz, który dorabiał jako fryzjer, kiedy Caruso nie mógł przybyć z wizytą. „Ceniła wygodę – wspominał Milton. – Była odrobinę leniwa. Lubiała, żeby to ludzie przychodzili zajmować się jej włosami i woskować jej nogi. Wołała kogoś zapłacić za zrobienie fryzury, bo sama mogłaby jej nigdy nie skończyć”. (Tak jak w przypadku większości platynowych blondynek włosy Marilyn wymagały wielu zabiegów. Ponieważ naturalnie się kręciły, trzeba je było stale prostować, a odrosty należało farbować co cztery albo pięć dni. Miała cienkie włosy, które szybko się skręcały, w dodatku myła je codziennie – rzecz niespotykana w owych czasach. Styliści utrzymywali jej kolor za pomocą specjalnej mieszanki srebrnego rozjaśniacza, dwudziestoprocentowej wody utlenionej i fioletowego tonera, żeby pozbyć się żółtego odcienia).

Dla Marilyn i Milтона, który chciał pokazać Foxowi, ile była warta, te koszty były uzasadnione. Poza tym Marilyn uwielbiała francuską przestronność apartamentu, wysokie sufity, zalane słońcem pomieszczenia, „jasne i miękkie, w niebieskościach i złocie, z odrobiną bieli”. Szeroko otwarte okna, w sypialni bukiety białych kamelii, na adapterze płyta Sinatry. Dnie spędzała w białych szlafrokach frotté z paskiem związanym z tyłu niczym szarfa. W chwilach samotności wymykała się na balkon i zapalała papierosa, zaciągając się dymem i balsamicznym powietrzem miasta.

„Hotelowe życie to żadne życie dla kobiety” – ostrzegła ją Jane Russell. Marilyn jednak odpowiadało – sztywna biała pościel, stały dostęp do drinka Mimoza, poczucie

niezakorzenia, swobodnego unoszenia się tak sprzyjające pracy twórczej. Kiedy nie pracowała i nie udzielała się towarzysko, leżała w łóżku, czytając, słuchając płyt albo rozmawiając przez telefon – do tego stworzone są hotele. Tego rodzaju samotność uwielbiała – jak podczas dwudziestych szóstych urodzin, które spędziła w Bel Air – przeszklone drzwi otwarte na taras z oleandrami, kapryfolium i palmami. Steki i butelki szampana. Joe dzwoniący z Nowego Jorku. Pokoje pełne telegramów, kwiatów i prezentów od wytwórni.

W tych magicznych okresach, kiedy jej życie zawodowe ważyło się na szali i nie wiedziała, czy jej się uda, hotele były dla Marilyn ogromnie ważne. W 1951 roku wynajęła elegancki apartament w hotelu Beverly Carlton. W dzień jeździła do Malibu, a wieczorami studiowała twórczość Tycjana, Tintoretta i Rafaela na Uniwersytecie Kalifornijskim. Nocą wrzucała kotlet do opiekacza i kartkowała scenariusze, pogryzając surowe marchewki. Leżała na plecach na potrójnym łóżku – swoim pierwszym prawdziwym meblu – wśród ścian w odcieniach burgunda, szarawej bieli i gołębiej szarości, takich, jak chciała.

„Przeżywała ogromny wewnętrzny konflikt” – pisał Sidney Skolsky, który towarzyszył Marilyn podczas przejażdżek wybrzeżem Pacyfiku. Pędziła autostradą 101 z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, mijała Laurel Canyon, parkowała gdzieś przy plaży w Malibu i wyciągała Sidneya na męczące wycieczki. „Rozmawiała głównie o karierze (...). Mówiła, że wciąż pracuje i nic – słyszysz? – nic jej nie powstrzyma przed tym, żeby zostać gwiazdą. A zaraz potem wątpiła, czy kiedykolwiek jej się to uda”.

Po jednej z takich przejażdżek kupiła wysokie lustro. Przymocowała je do drzwi szafy wielkości trumny, z której wysypywały się swetry, halki i wieszaki zwinięte z działu kostiumów Foxa. Na samym szczycie lustro napisała czerwoną szminką *nunc*, co po łacinie znaczy „teraz”.

**C**hoć Marilyn uwielbiała swój apartament w Waldorf-Astorii, więcej czasu spędzała, włócząc się po ulicach i upajając wspaniałością pierwszej wiosny na Manhattanie. Można ją było zobaczyć, jak spaceruje Broadwayem w białym tenisowym swetrze z podwiniętymi rękawami, z jasnobrązowym płaszczem w ręce, i zatrzymuje się w Childs’ na burgera i czarną kawę. Albo jak wychodzi z baru Jim Downey’s w towarzystwie Eliego Wallacha, z włosami odgarniętymi do tyłu i schowanymi pod białą chusteczką, bez makijażu, z twarzą posmarowaną lanoliną. Spędzała dni z Samem Shawem, przeczesując sklepy ze starzyzną przy Trzeciej Alei, albo szli do budki z hot dogami w Central Parku, a potem siadali na ławce i przez całe popołudnie obserwowali ludzi. Marilyn chciała poznawać Nowy Jork – do tego stopnia, że ledwie pamiętała, żeby się ubrać. Pewnego razu zarzuciła norki na bieliznę, złapała parę czólenek i wybiegła na spacer z Samem wzdłuż Piątej Alei. Pijana nieskładną urodą miasta nie dostrzegła, że jest jej gorąco, że na gołych ramionach ma futro.

Sam, pochodzący z Brooklyn Heights fotograf gwiazd, był idealnym przewodnikiem, a Marilyn szybko zakochała się w jego dzielnicy. „Spacerowała brukowanymi uliczkami Heights – pisał – przyglądając się odrestaurowanym powozownikom wzdłuż Love Lane, odwiedziła zatęchłą bibliotekę Long Island Historical Society, rozmyślała o wyciągniętej ręce posągu wielbego Henry’ego Warda Beechera na cmentarzu przykościelnym obok



ruin Plymouth Church”.

Pewnego ranka przeszli przez Most Brooklyński – Marilyn w swym jasnobrązowym płaszczu, Sam z nikonem zawieszonym na szyi – i ruszyli promenadą, gdy wtem zaczęło padać. Sam pobiegł do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do przyjaciela, który mieszkał nieopodal, i spytał, czy może wpaść ze „znajomą”, żeby się ukryć przed niespodziewaną burzą.

Norman Rosten – poeta i bliski przyjaciel Arthura Millera – nie miał pojęcia, że zjawi się Marilyn. Pierwszy raz zobaczył ją na klatce schodowej – w przemoczonym płaszczu, bez makijażu, z posklejanymi włosami, w których lśniły srebrne krople deszczu. „Patrzyłem z góry, jak wchodzi na drugie piętro – pisał Rosten. – Wyglądała jak śliczna licealistka, którą wysłano z pilną wiadomością”. Gdy dotarli do drzwi, Sam wymamrotał jej imię. Norman źle usłyszał i myślał, że nazywa się Marion. Wciąż nie miał pojęcia, kto to taki.

Marilyn uniosła wzrok, powiedziała: „Miło mi pana poznać”, a potem zwinęła się w kłębek na najbliższym krześle, uśmiechając się jak jelonek. Gdy Norman zauważył, że ma mokre buty, ściągnęła je i została z bosymi stopami. Hedda, żona gospodarza, nastawiła kawę i znalazła jakieś kapcie. Gawędzili o deszczu i ogrodzie botanicznym na Brooklynie. Marilyn prawie się nie odzywała, tylko czasem wtrącała coś bez tchu, gwałtownie niczym nagła ulewa.

Zerwała się, żeby przejrzeć regał z książkami. Jak każda namiętna czytelniczka zawsze pędziła do cudzego księgozbioru, bo to był najszybszy sposób, żeby się zaprzyjaźnić. „Hej, ja też to czytałam!” – wołała, gotowa nawiązać kontakt i dowiedzieć się, czy wewnętrzny krajobraz właściciela pasuje do jej własnego pejzażu. Chwyciła cieniutką książkę leżącą na pobliskim stoliku: *Songs for Patricia* Normana Rostena. Kiedy gospodarz powiedział, że napisał ją dla swojej córki, oczy jej się rozszerzyły. Otworzyła tomik i czytała w milczeniu, dopóki Hedda nie wróciła z kawą i ciastkami.

HEDDA: Mieszkasz w pobliżu?

MARILYN: Nie, nie jestem z Nowego Jorku. Uczę się w Actors Studio.

HEDDA: Cudownie! To znaczy, że grasz w teatrze. W jakich sztukach występowałaś?

MARILYN: Jeszcze nigdy nie grałam na scenie. Ale mam na koncie kilka filmów.

HEDDA: Och! A pod jakim pseudonimem występowałaś?

MARILYN: Marilyn Monroe<sup>[43]</sup>.

Tego wieczoru Rostenowie wybierali się na przyjęcie trzy domy dalej. Kiedy poprosili Marilyn, żeby poszła z nimi, aż pojaśniała z radości. Wiedziała, że w przemoczonym płaszczu nikt jej nie rozpozna. „Chciałbym, żebyście poznali moją znajomą Marilyn Monroe” – przedstawił ją Norman. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, myśląc, że to dobry dowcip. „Pewnie – odparł gospodarz – chętnie poznamy każdą twoją znajomą, nawet Gretę Garbo”<sup>[44]</sup>.

Marilyn żartowała, piła i gawędziła z gośćmi, którzy cały czas uważali ją za młodziutką aktorkę marzącą o karierze. Ale nawet bez nazwiska przyciągała do siebie ludzi. Norman patrzył w zdumieniu: „Czy to była kwestia głosu, sposobu, w jaki na nich patrzyła – na poły nieśmiało, na poły z zaciekawieniem – niespodziewanego ciepła, gwałtownego, zaraźliwego śmiechu? Tak jakby wkroczyła do królestwa swego prawdziwego ja”<sup>[45]</sup> – stwierdził –

obserwując ją w tej kamienicy na Brooklyn Heights, tysiące kilometrów od Hollywood.

Kiedy Marilyn wróciła do hotelu, napisała do nowego przyjaciela liścik. Podziękowała za spotkanie, przyjęcie, a przede wszystkim za książkę (na pożegnanie dostała od Normana *Songs for Patricia*). Wspomniała, że sama pisywała wiersze, zwykle kiedy była przygnębiona – raz pokazała je przyjaciółce, która się przy nich popłakała. „Ale to była stara przyjaciółka – zakończyła – taka, którą znałam od bardzo dawna”. Jasny ołówek, papeteria hotelu Waldorf-Astoria, kwiecień 1955.

Tej wiosny Marilyn znów zaczęła pisać – często inspiracją było dla niej samo miasto: Most Brooklyński, Williamsburg Bridge i Central Park. Chodziła na samotne spacerunki albo zatrzymywała taksówkę i prosiła, żeby kierowca zabrał ją na drugą stronę i wysadził nieopodal esplanady. Marilyn uwielbiała przechadzki. Pod tym względem była stworzona, by mieszkać w Nowym Jorku. W Hollywood zaskakiwała wszystkich, spacerując wokół Beverly Hills w dzinsach i bluzie. (Tam nikt nigdy nie chodził na piechotę – nawet gazeciarze – bo zatrzymałaby go policja). W Nowym Jorku mogła poczuć się jak Baudelaire – *flâneur* włóczący się po ulicach w poszukiwaniu skrawków surowego piękna. Wszystko stanowiło dla niej inspirację: sprzedawcy kwiatów, East River „niczym pepsicola”, nawet taksówkarze. „Zniecierpliwieni taksówkarze – zaczyna się jeden z jej wierszy – na rozgrzanych, zakurzonych ulicach Nowego Jorku / Oszczędzają, żeby jechać na wakacje rozgrzаныmi zakurzonymi / Autostradami”. Inny, zatytułowany *The Towers* (Wieże), otwiera taki oto wers: „Tyyle światel w ciemnościach...”<sup>[46]</sup>.

**W** miarę jak otrzymywała od innych wsparcie, Marilyn coraz bardziej wierzyła w siebie. Otworzyła szeroko drzwi przed prasą, często zapraszając dziennikarzy do swojego apartamentu. Brylowała w luksusowym gniazdku, żartując z nimi, flirtując, częstując ich kieliszkami Mimosy i plotkami.

„Zjawiłem się w jej apartamencie w Waldorf Towers o umówionej porze, to znaczy o wpół do dziesiątej rano – pisał Maurice Zolotow, który wiosną 1955 roku przeprowadził z Marilyn wywiad. – Na miejscu był Frank Goodman, jej nowojorski spec od public relations. Czekaliśmy. Goodman powiedział, że «Marilyn się szykuje». Czekaliśmy dalej. Dziesięć po dziesiątej wreszcie się pojawiła.

Sądząc po zaczerwienionej skórze – a mogłem zobaczyć całkiem spory fragment – niedawno się kąpała. Niewielki salonik wypełnił zapach Chanel No 5. Była ubrana w biały szlafrok frotté i nic poza tym. Żadnych pończoch ani rannych pantofli. Nogi miała szczupłe i kształtne, a gdy płynnym ruchem zmieniała pozycję w fotelu, w którym siedziała zwinięta w kłębek, zdarzało mi się zobaczyć białe uda. One też były niezwykle kształtne. Uderzyło mnie, że paznokcie u stóp miała pomalowane na platynowo – ich kolor harmonizował z odcieniem jej włosów. Włosy zaś miała rozczochrane. Uznałem, że zabrakło jej czasu, żeby się uczesać. Później odkryłem, że nie lubiła tego robić. Usta, policzki i rzęsy zostawiła nieumalowane. Nie miałem pewności co do brwi. Być może pociągnęła je ołówkiem. Sprawiała wrażenie słodkiej i prostolinijnej, choć pieprzyk na jej lewym policzku przywodził na myśl madame du Barry i stanowił wyraźny kontrast z anielskimi rysami”.

Zolotow zauważył książki piętrzące się na końcu stołu – James Joyce, Emerson, listy George Sand – i angielski rower oparty o kuchenne okno. Maleńki szary kotek bawił się

zwiniętą skarpetką. „Milton i ja mamy wiele wspólnego – powiedziała, gdy zapytałem ją o MMP. – Mamy podobne cele i idee. Uważam, że jest bardzo kompetentny i utalentowany, zresztą widzi to wiele osób. To śmieszne myśleć, że mnie wykorzystuje albo że ja wykorzystuję jego”. Zapytana o kwestie finansowe Marilyn się zjeżyła. „To moja sprawa, jak i z czego żyję” – wypaliła.

Tym, co najbardziej uderzyło Zolotowa, było jej całkowite opanowanie, to, że mówiła bez śladu zwykłej nieśmiałości. „Nie chodziło o pieniądze – powiedziała spytana o konflikt z Foxem – tylko o moje prawa jako aktorki i istoty ludzkiej. Wiem, że wytwórnia nie chciała mnie skrzywdzić. Ludzie z Foxa szczerze wierzyli, że podejmują decyzje, które są najlepsze dla studia i dla mnie. Czuję, że powinnam im pokazać, że potrafię interpretować role dużo głębiej, z większym uczuciem niż do tej pory. Muszę jednak najpierw zatwierdzić scenariusz i mieć dobrego reżysera – podkreśliła. – Chcę dobrych historii, nie tego, co dotąd. Uważam, że jestem prawdziwą aktorką, i pragnę to udowodnić”.

Zolotow został dłużej, a Marilyn wstała, żeby przyrządzić mleczny poncz zaprawiony syropem czekoladowym i odrobiną marsali (pozostałość z czasów DiMaggia). Kiedy Maurice wspomniał *Ulissesa* i monolog Molly Bloom, Marilyn zaczęła się zachwycać, że mężczyźni tak dobrze „udało się wejść w umysł kobiety”. Pokazała Zolotowowi ostatnie znalezisko z wyprawy do sklepów ze starzyzną, kopię popiersia Nefertiti („Wyglądam jak ona?”). Rozmawiali o lęku i terapeutach, rozważając ideę psychoanalizy jako czegoś na kształt religii.

„Bardziej wierzę we Freuda niż w mistycyzm – powiedziała ze śmiechem. – Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zwróciła się w stronę religii, a mimo to uważam, że wielu rzeczy nie można wyjaśnić za pomocą nauki. Wciąż się uczę. Wciąż szukam. Wierzę, że natura ludzka jest dynamiczna i człowiek nigdy nie powinien przestać się rozwijać i zmieniać. Nie boję się zmiany ani rozwoju. Wierzę w wolność i niezależność”.

„Chcę się uczyć – dodała po chwili milczenia. – Bardzo chcę się uczyć. Czytam i studiuję, ile mogę, bo chcę dojrzeć jako osoba”.

Zanim Maurice wyszedł, Marilyn przeczytała mu kilka swoich wierszy o mieście. Powiedziała, że „zakochała się” w Brooklinie, że chce tam kupić szeregowiec z elewacją z piaskowca i jeździć na zachód tylko po to, żeby kręcić filmy. „Nowy Jork to teraz mój dom – powiedziała. – Bardzo mi się tu podoba. Już nigdy nie będę mieszkała w Hollywood”.

Gdy Zolotow zapytał, czy Nowy Jork ją zmienił, odparła szybko i stanowczo: „O tak. Odnalazłam wolność i niezależność i nie pozwolę, żeby mi się wymknęły”.

Marilyn rozkwitała. Jej nadzieje wzbijały się jak zamglone iglice katedry Świętego Patryka. Lee zmuszał ją do nieustannego myślenia, obserwowania i poszerzania horyzontów. Przyglądała się zwierzętom w zoo w Central Parku, ich ruchom i zachowaniom. Powolnym susom bizona, ostrym pazurom niedźwiedzia malajskiego – matowym, jakby ktoś je pielęgnował. Gęstym, wilgotnym rzęsom żyrafy, smutnym małym kapucynkom ze zmarszczonymi blond brwiami. Lubiła lwy morskie – czekały, chlapały i spoglądały w górę niczym szczeniaki, z koralikami wody lśniącymi na grzywiastych, psich łbach. Ale to do lwicy imieniem June Marilyn przywiązała się najmocniej i zdawało się, że

oswoiła ją w ciągu godziny. Od czasu do czasu June podkradała się do krawędzi klatki, machając płowym ogonem, a Marilyn wtykała rękę przez metalowe pręty i gładziła końce jej ciemnego futra.

Zrobiło się chłodno, słońce zeszło nisko, barwiąc różowym blaskiem ciemniejącą bramę. Dozorca zadzwonił dzwonkiem i zawołał: „Zamykamy za dziesięć minut!”. Uczepiona klatki lwa Marilyn się ociągała. Coś w znużonej wspaniałości June bardzo ją poruszyło. Nie chciała jej opuszczać. „Będzie samotna w ciemności – płakała tej nocy Susie do telefonu. – Będzie samotna”.

Marilyn często porównywano do żonkili, kolibrów, kociąt, wykutych z żelaza motyli. Ale to pisarka Karen Blixen dostrzegła w niej jedno z lwiatek, do których tyle razy tuliła się w Kenii – egzotycznych, uroczych i przerażających: „Nie trzymałabym jej w domu”.

Zmuszona zagłębić się w traumatyczną przeszłość Marilyn spędzała całe noce w szlafroku, pałac w łóżku i drążąc pamięć w poszukiwaniu wskazówek. Spisywała opowieści – o różgach, kościołach i fartuchach – gorączkowo wypełniając pochyłym pismem kolejne kartki białego papieru, zatrzymując się, żeby przejrzeć listy Freuda albo *Mythology* Edith Hamilton. Odkrywanie siebie i gra aktorska to były dwa cele, które określały jej życie, i pod okiem Lee Strasberga splotły się ze sobą na zawsze.

Do pierwszego spotkania z terapeutką Marilyn podeszła z nieufnym skrepowaniem. „Boję się cokolwiek (...) powiedzieć – pisała – z obawy, żeby nie pomyślała, że staram się jej schlebiać”<sup>[47]</sup>. Szybko jednak zaczęła ufać doktor Hohenberg i przyglądać się powodom swego braku zaufania w przeszłości. Z typową dla siebie nieustraszoną Marilyn zajęła się molestowaniem w dzieciństwie i problemem przybranej matki, która jej nie wierzyła. „Nie będę (...) ukarana – pisała – ani wychłostana / ani zagrożona / ani niekochana / ani wysłana do piekła aby płonąć ze złymi ludźmi / (...) wstydzic się / (...) że będę obnażona znana widziana / (...) wstydzic się swojej wrażliwości / NO I CO / taka jest rzeczywistość (...) Moje ciało / jest moim ciałem każdą jego częścią”<sup>[48]</sup>.

„I tak jest znacznie lepiej znać rzeczywistość – pisała, zmuszając się do jasnego oglądu rzeczy – i mieć możliwie jak najmniej złudzeń”<sup>[49]</sup>. „Mogę sobie pomóc i to zrobię / będę pracować nad rzeczami / w sposób analityczny / mniejsza o ból”<sup>[50]</sup>. Odkryła, że jej wady były największym darem. „[Moja] wrażliwość jest tak silna – znacznie głębsza i silniejsza niż u Susie”<sup>[51]</sup>, „nie bój się mojej wrażliwości (...) ponieważ mogę i chcę ją skanalizować”<sup>[52]</sup>. Nauczyła się akceptować swoje największe dziwactwa, nawet „szalone myśli”. Dzięki terapii i pracy z Lee zgłębiała swe nerwice i przyznawała się do nich z pewnością siebie i przekonaniem. Stopniowo zaczęła dostrzegać, kim jest naprawdę – inteligentną, ambitną, wielowymiarową kobietą o krok od czegoś wielkiego.

Tej wiosny Strasberg napomknął, że niebawem zagra „wspaniałą rolę” – jeśli nadal będzie podążała ścieżką niestrudzonego samopoznania. „Pamiętaj – pisała – można zrobić rzeczy techniczne – poradzić sobie z twoją wrażliwością, tak żeby przeszła ze strachu na właściwe kanały – a to (oznacza) radzenie sobie ze strachem, ale nie ucieczkę od niego”<sup>[53]</sup>. Zamiast uciekać przed swoimi lękami, okiełznała je poprzez pracę i uwolniła się od „ograniczeń i pęt” przeszłości. Przysięgła żyć „teraźniejszością – jakakolwiek by była – bo tak właśnie jest i tak jest znacznie lepiej”<sup>[54]</sup>.

**N**a razie ta introspekcja tylko zwiększała jej blask. Marilyn przestała maskować piegi podkładem, dzięki czemu zaczęła wyglądać młodziej. Zamieniła norki na połyskliwy trencz, który nosiła rozpięty, zarzucony na zwiewne bluzki i kremowe koszulki polo. Grube chusty zastąpiła czarnymi kapeluszami z opadającym rondem i przestała malować jasne jak u dziecka rzęsy.

Kiedy dni stały się dłuższe, wracała pieszo czterdzieści przecznic z kolacji u Strasbergów, raz nawet tylko w brązowo-białej pasiastej sukience bez rękawów, z grubym skórzanym paskiem i płową torebką na ramieniu. Nosiła apaszki z pomarańczowego szyfonu, muskała usta koralową szminką i rozpięła bluzki, żeby pochwalić się opalenizną.

W maju przyplłynęły z Los Angeles kufry Marilyn: pomarańczowa sukienka tuba, suknie wizytowe w motywy japońskie, aksamitne midi i bojerka z czarnego faille. Taftowe halki i sukienki oblamowane złotem, bermudy i dopasowane do nich topy z beżowego jedwabiu. Znowy pojawiły się czarne trykoty, w których Marilyn falowała niczym cudowna wydra. Zaczęła też bardziej bawić się swoim wyglądem, tworząc nieoczekiwane zestawy. Przychodziła na zajęcia w szpilkach, workowatych swetrach i sukienkach-halkach, z kapeluszem gondoliera na rozczochranych włosach<sup>[55]</sup>. Paradowała po Broadwayu w trykocie w lamparcie cętki, czarnych rybaczkach i białej męskiej koszuli związanej pod biustem.

Tej wiosny Marilyn towarzyszyło stale sześciu nastolatków. Ta czujna mała gromadka wystawała przy Zachodniej Pięćdziesiątej przed wejściem do Waldorf-Astorii, odbierała aktorkę z zajęć, nosiła jej zakupy, podrzucała gazety, realizowała recepty. Czasami wykorzystywała ich jako posłańców – biegali z liścikami tam i z powrotem do mieszkającej obok Jane Russell. Ochrzcili się mianem Szóstki Monroe i byli ogromnie opiekuńczy wobec swojej „Mazzie”. Młodszy od niej o połowę z niezwykłą przenikliwością dostrzegali jej bezbronność i jeszcze bardziej ją za to kochali.

Jimmy Haspiel, uciekinier z Bushwick, włóczył się po ulicach i dachach Nowego Jorku niczym ówczesny Artful Dodger. Nie pasował do Szóstki Monroe z ich torbami pełnymi zadań domowych, gorącymi kolacjami i pracą po lekcjach. „Bardzo mnie to frustrowało i bolało. Wszyscy mniej więcej w tym samym czasie kręciliśmy się wokół Monroe, a mimo to nie zostałem dopuszczony do paczki”<sup>[56]</sup>. Marilyn jednak, która kochała nicponi, uliczników, smutnych włóczykiów i „bezbronne dzieciaki”, najbardziej zbliżyła się właśnie z nim. W jego losie włóczęgi dostrzegła siebie – sierociniec i mroczne czasy, gdy jako początkująca aktorka żywiła się krakersami z masłem orzechowym, próbując wskrobać drobne na kostkę mydła.

Nawet ona nie potrafiła się oprzeć wybujałemu uwielbieniu zakochanych nastolatków. W przypadku adoratorów była zwolenniczką równych szans, przy czym wołała szczere gwizdy kierowców taksówek od pochlebstw wazeliniarzy. Na poły znajda, na poły lokaj Jimmy Haspiel eskortował ją na premiery i odpierał nacierający tłum, zwyczajnie otaczając ją ramieniem: „Zaprowadzę cię do samochodu, Marilyn”. Tego rodzaju galanterię Marilyn lubiła – uroczą, swawolną, iskrzącą się ironią. Nie znosiła pompy czerwonego dywanu – dlaczego nie zaszokować tłumów eskortą w postaci greasera, wyrzutka w skórzanej marynarce i dzinsach?

Haspiel niczym dworzanin trzymał straż przed kościołem po drugiej stronie ulicy albo przykucnięty na parapecie wystawy w Saks. Często widywał Petera Leonardiego, asystenta Marilyn, jak ciągnie do pralni sterty ubrań. Peter nosił się po hollywoodzku: elegancko przycięte włosy, czarna koszulka, obcisła marynarka i przeciwsłoneczne wayfarery. Zawsze miał je na nosie, nawet w budynku. Wykonywał dla Marilyn najdziwniejsze zadania – był jej fryzjerem, ochroniarzem i posłańcem, a poza tym pokazywał jej te miejsca Nowego Jorku, których inaczej by nie zobaczyła. W ciepłe dni wrzucali rowery na tył jego zdezelowanego wiśniowego kabrioletu i jechali na Coney Island. Marilyn lubiła też Bowery i często prosiła Pete’a, żeby ją tam zawiózł. Spędzali dnie, włócząc się po Rivington i Delancey – mijali stacje krwiodawstwa i podupadłe bary, od czasu do czasu dając pieniądze bezdomnym. „Myślę, że jednym z plusów tych wypadów było dla niej to, że tam nikt się nie oglądał za «Marilyn Monroe» – pisał Jimmy Haspiel, który czasami im towarzyszył. – Mogła zrobić coś bardzo ludzkiego, zachowując anonimowość, i żadna z tych osób się potem tym nie przechwalała. Pod względem ludzkim to była sytuacja jeden na jednego: «Mogę ci jakoś pomóc?». Pete pozbywał się wszystkich pieniędzy, jakie miał, a potem musiał czekać na koniec tygodnia, kiedy dostawała 40 dolarów na bieżące wydatki”<sup>[57]</sup>.

W niedzielę przed hotelem zatrzymywał się Norman Rosten z bagażnikiem zapakowanym szampanem w lodzie i jedną schłodzoną butelką wepchniętą do schowka na rękawiczki. Marilyn wybiegała w pasiastych spodniach capri, wskakiwała na siedzenie i całowała go na powitanie.

„W samochodzie z opuszczonym dachem było ją widać jak diabli, była migającą boją, słodkim sygnałem syreny, polem magnetycznym – pisał Norman. – Ludzie machali do niej i krzyczeli z aut, gdy przejeżdżaliśmy przez 59th Street Bridge. «Cześć, Marilyn!», «Halo, Marilyn!», «Hej, powodzenia!», «Czy to ty, Marilyn? Uwielbiam cię!». A ona machała im w odpowiedzi, popijając szampana z papierowego kubka”<sup>[58]</sup>.

„Rozchmurz się – mówiła, śmiejąc się na widok skrzywionej miny Normana. – Nie zrobią nam krzywdy”.

W czerwcu Marilyn kupiła czarnego cadillaca, kabriolet. Uwielbiała go, ale była, jak to nazywał Jimmy, kalifornijskim kierowcą – zjeżdżała na zły pas, żeby ominąć korek, brała szerokie zakręty na najbardziej zatłoczonych skrzyżowaniach. Za każdym razem, gdy wołała taksówkę, mówiła: „Chcę jechać tędy”, nigdy na wschód, zachód, w górę czy w dół. Nocami woziła przyjaciół do Chez Vito albo Gino’s. Pojechała nawet sama na Broadway, żeby zdążyć na premierę sztuki *O mały włos*. O zmierzchu można ją było znaleźć w hotelowym garażu, jak siedzi w samochodzie ze stopami na desce rozdzielczej, odgarniętymi do tyłu włosami i twarzą grubo posmarowaną kremem.

Jimmy utrwał te momenty aparatem za pięć dolarów – oto wskakuje do kabrioletu Rostena, ściskając magazyn „Confidential”, albo z zaczesanymi do góry włosami śmieje się i błaga, żeby nie celował jej „prosto w nos”. Tej wiosny Jimmy uchwycił Marilyn, jak jedzie Lexington Avenue obok Mayflower Coffee Shop z opuszczonym dachem, w okularach przeciwsłonecznych, śmiejąc się za kierownicą. To zdjęcie szybko stało się jej ulubionym, domagała się, żeby Jimmy pożyczył jej oryginalny kolorowy slajd. „Kłóciliśmy się wiele tygodni, zanim je odzyskałem – wspominał. – Myślę, że lubiła je tak bardzo, bo wyglądała na nim jak prawdziwa osoba”<sup>[59]</sup>.

Jimmy'emu udało się uchwycić na zdjęciach radosną wolność, wyjątkową i charakterystyczną dla tego okresu życia Marilyn. Wstawała o siódmej – nawet w niedzielę – i jechała rowerem na samotną przejażdżkę po Central Parku. A gdy jej energia słabła, wstępowała do gabinetu doktora Maxa Jacobsona w Upper East Side po „cudownie regenerujące tkanki”: zastrzyki z amfetaminy, hormonów zwierzęcych, szpiku kostnego, witaminy B i ludzkiego łożyska.

Obiektów uwielbiał ją jak nigdy – podczas nocnych spacerów w parku z Samem Shawem, biegnącą do Stork Club na szybkiego drinka z Joe albo idącą sztywnym krokiem nawą katedry Świętego Patryka, kiedy ubrana niczym ponętna przeorysza zjawiała się pół godziny spóźniona na pogrzebie Constance Collier. Jej czarna sukienka była podejrzanie luźna – według Trumana Capote wyglądała na pożyczoną – blond włosy przykryła czarną szyfonową chustką. Włożyła jedwabne pończochy, czólenka i wielkie jak spodki okulary przeciwsłoneczne („Czy sztuczne rzęsy są stosowne na pogrzeb?”). Jej waniliowa bladeść – jak ją nazywał Capote – tylko uwydatniała czerń stroju. Nigdy wcześniej nie wyglądała tak seksownie.

„Och, dziecino – powiedziała Trumanowi, wciskając się do tylnego rzędu. – Tak strasznie mi przykro”.

**Z**bliżał się czas premiery *Słomianego wdowca* i machina reklamy ruszyła pełną parą. Podobizny Marilyn w białej, wiązanej na szyi sukience pojawiły się przy Czterdziestej Szóstej Ulicy i Lexington Avenue, na wprost restauracji Howard Johnson, gdzie jadła lunch z Elim. Wzięli burgery i patrzyli, jak robotnicy wciągają olbrzymią sylwetkę Marilyn na Trans-Lux Theatre. Podobiznę podzielono na części – dwunastometrowa postać okazała się za ciężka, żeby ją zamocować w całości – i pierwszą rzeczą, jaką napotykał wzrok, były pantofelki bez pięt, a później nogi pod uniesioną do góry białą sukienką. Marilyn wyglądała przez okno, przyglądając się, jak robotnicy opuszczają tułów, żeby osadzić go na biodrach. „Tak właśnie o mnie myślą – powiedziała w zadumie obojętnym tonem. – Spódnica nad głową. Mówiłam Twentieth Century Fox, że chcę zagrać Gruszeńkę w *Braciach Karamazow* – wyznała, wracając myślami do zimy, kiedy stała się obiektem tylu żartów. – Wszyscy się śmiali, ale nikt nie przeczytał książki. Dla mnie Fox to wytwórnia nie z dwudziestego, tylko z dziewiętnastego wieku”.

„Marilyn wiedziała dużo więcej na temat arcydzieła Dostojewskiego niż ludzie, którzy podśmiewali się z jej ambicji intelektualnych” – pisał Earl Wilson, jeszcze raz stając w jej obronie. Donosił, że Marilyn udało się przekonać do siebie cenionych reżyserów, dramaturgów i aktorów, między innymi Cliftona Webba, który spotkał ją na Broadwayu: „Lubi rozmawiać o teatrze i ma w sobie coś, co kręci ludzi. Jest głęboko emocjonalna i absolutnie prostolinijna. Cały czas czyta. Całkowicie panuje nad swoją karierą”<sup>[60]</sup>.

„Marilyn powinna mieć własny show – stwierdził dramaturg George Abbott. – Z taką osobowością ma do tego absolutne prawo”. Oczarowała nawet samotnika Williama Mottera Inge'a, który specjalnie dla niej napisał sztukę *A Loss of Roses*. „Każde słowo, które wypowiada postać – tłumaczył – napisałem, jakby padało z ust Marilyn”.

„Byłem na imprezie Actors Studio – pisał Earl – na której wszystkich zupełnie przyćmiła. I widziałem coś, co pokazuje, że cieszy się takim samym szacunkiem jak wszystkie inne

aktorki na Broadwayu. «Mógłbym prosić o autograf?», spytał Lawrence Langer z Theatre Guild, który reżyserował i obsadzał w swoich sztukach największe gwiazdy, między innymi Katharine Hepburn i Helen Hayes. Przekazałem tę prośbę Marilyn. Napisała: «Kocham i całuję», a potem swoje nazwisko, gdy zaś wspomniałem, dla kogo to, zawołała: «To ja powinnam poprosić o autograf». Dostała od Langer'a jeden z najcieplejszych liścików, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć: «Droga Marilyn, potrzebujemy cię w naszym Shakespeare Theater. Z podziwem Lawrence Langer. PS Do *Snu nocy letniej*». Później Wilson zapytał Langer'a, kiedy ostatnio prosił aktorkę o autograf. Okazało się, że czterdzieści siedem lat temu – Zenę Dare w Londynie w 1908 roku.

Wobec takiego wsparcia ze strony poważnych dramaturgów coraz trudniej było z Marilyn żartować. Pomyślała o Foksie, Zanucku i wszystkich tych mężczyznach, którzy tak ją umniejszali. Teraz już nie będzie im do śmiechu.

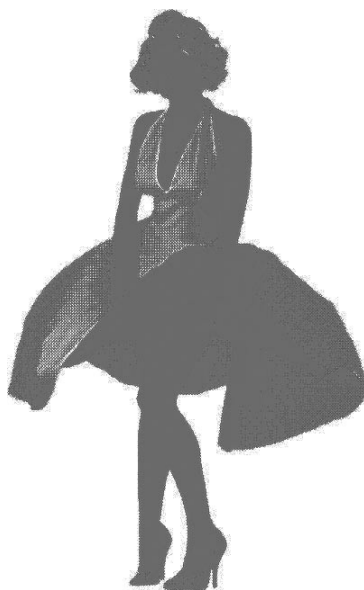
Tej wiosny Marilyn napisała na sztywnym białym papierze listowym hotelu Waldorf-Astoria: „Już nigdy więcej przerażonej samotnej małej dziewczynki”<sup>[61]</sup>.



*Dziesięć*  
**Shangri La**



Z mężem Arthurem Millerem na tle Queensboro Bridge, Nowy Jork, 1957 rok.  
FOT. SAM SHAW/ARCHIWA RODZINY SHAW/GETTY IMAGES



ale czy będzie tak wyglądał gdy umrze / o niezdolna  
nieuchronna rzeczywistości / czy wolałabym żeby  
wcześniej umarła raczej jego miłość / czy on sam

*Marilyn Monroe*

S tyczeń 1951. Trzydziestosześcioletni Arthur Miller wciąż płał się w blasku niedawno zdobytego Pulitzera. Sztuka *Śmierć komiwojażera* po raz pierwszy przywiodła go do Hollywood, gdzie razem z Elią Kazanem opiekował się domem Charliego Feldmana. Beverly Hills leżało daleko od Brooklyn Heights, gdzie wśród ogrodzeń z siatki Miller wiódł skromne życie, stukając w maszynę do pisania u boku żony Mary Slattery, postępowej okularnicy, z trójką dzieci ulokowanych wygodnie w Little Red School House. Teraz zaś wylądował w rezydencji w stylu kolonialnym, otoczony przez baseny, Renoiry, Vuillardy, Bonnardy, Modiglianich i morze młodych aktorek podążających tropem pieniędzy i obłoku perfum Arpège.

Arthur umieścił swoją maszynę do pisania przy basenie w posiadłości Feldmana – oficjalnie przybył tu do pracy. Plan był taki, żeby zredagować scenariusz *The Hook*, a potem wspólnie z Kazanem rozejrzeć się po wytwórniach. Na pierwszy ogień poszło Twentieth Century Fox, gdzie Kazan miał nadzieję spotkać jedną ze swoich przyjaciółek. Wpadli na plan *As Young As You Feel* podczas sceny, w której grała młoda blondynka. „To Marilyn Monroe – wyszeptał Kazan, trącając Arthura. – Zwierzyna łowna i łatwy cel”, wyszczerzył zęby w uśmiechu, patrząc prosto przed siebie. Jakby na potwierdzenie tych słów Marilyn spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Może to te szczere łzy, a może sposób, w jaki kołysała się w swojej sukience z czarnej koronki, w każdym razie coś w niej poruszyło Arthura, budząc instynkt opiekuńczy, który będzie się utrzymywał całą dekadę.

Oczywiście Marilyn rozpoznała Arthura Millera – Lincolna literatury i Hemingwaya ludzi pracy. Miller łowił ryby, polował, uprawiał nawet boks. W dodatku z fajką z kolby kukurydzy, w kraciastych koszulach drwała i T-shirtach w stylu Marlona Brando wyglądał odpowiednio. Jego cicha rezerwa i tyczkowaty wdzięk przemawiały do Marilyn, która wolała mężczyzn w typie kongresmena od dandysów, proste krawaty i marynarki od pretensjonalnych smokingów. Nie omdlewała na widok Tony’ego Curtisa, wolała swojego ponad sześćdziesięcioletniego nauczyciela aktorstwa albo Jawaharlala Nehru. Jej ideał mężczyzny miał duszę Thomasa Wolfe’a i serce Abrahama Lincolna, był męski, ale bez brawury. Nic dziwnego, że Marilyn, wciąż samotna, z nikim się nie umawiała. W mieście szpanerskich łajdaków i brutali o lepkich rączkach trudno o Wolfe’ów i Lincolnów.

Na następny dzień nieobecny Feldman zaplanował przyjęcie na cześć Millera – z orkiestrą, wystawnym bufetem i znakomicie zaopatrzonym barkiem w każdym pokoju. „Poprosiłem Arta, żeby mnie zastąpił – pisał Kazan, który tej nocy pracował do późna i nie mógł wpaść po Marilyn. – A kiedy zadzwonił do niej i powiedział, że po nią przyjedzie, odparła, że nie trzeba, weźmie taksówkę i spotka się z nami na miejscu. Art nie chciał na to pozwolić – przyjedzie i ją zabierze. Znowu odmówiła. Powiedziałem, żeby się nie martwił, bo jest do tego przyzwyczajona, on jednak się upierał. I pierwszą rzeczą, która zaimponowała Marilyn u przyszłego męża, było to, że nie chciał pozwolić, żeby przyjechała na przyjęcie taksówką. Jak niewiele te ślicznotki oczekują od życia”<sup>[62]</sup>.

Wystarczyło kilka minut, a już tańczyli razem. Arthur rzadko flirtował z kobietami

i zwykle potrzebował kilku mocnych drinków, zanim się zmusił, żeby się z kimś przywitać, nie wspominając o tańczeniu fokstrota. Ale orkiestra, rozświetlony księżycową poświatą basen, uderzający do głowy zapach perfum zmieszanych z wonią amarylisów, a nawet odurzająca bliskość gwiazd obezwładniły go. Najwspanialsza zaś ze wszystkiego była ta oszałamiająca, ciepłokrwista istota, tak świeża i żywa w jego ramionach. Zadrżał, zachwycony świadomością, że naprawdę mógłby „zatrącić się w rozkoszy zmysłowej”<sup>[63]</sup>.

Gdy zjawił się Kazan, widać było, że między tamtymi dwojgiem iskrzy. „Od razu zauważyłem, że oto pragnienie napotkało pragnienie, a w ich oczach błyszczy cudowny płomień pożądania. Patrzyłem, jak tańczą. Art był dobrym tancerzem, a ona była taka szczęśliwa w jego objęciach!”<sup>[64]</sup>.

Nie wszyscy byli równie zachwyceni. Wokoło dało się słyszeć złośliwe uwagi, i to zarówno z ust kobiet, jak i mężczyzn. „Wygląda jak dziób okrętu” – strzyknął ktoś jadem, wskazując na dekolt Marilyn. „W tym pokoju pełnym aktorek i żon wpływowych mężczyzn – pisał Arthur – kobiet wytwornie ubranych, z których każda usilnie demonstrowała rezerwę wielkiej damy, Marilyn Monroe wydawała się kimś wyzywająco niedorzecznym, egzotycznym ptakiem w ptaszarni, już choćby dlatego, że jej sukienka była nieprzyzwoicie obcisła, była sukienką, która nie szepce, lecz krzyczy, że ciało, które opina, jest najlepsze. (...) Otaczająca ją kobieca zawiść u Feldmana zgęstniała, gryzła jak dym”<sup>[65]</sup>. Miller obserwował, jak Marilyn tańczy z innym mężczyzną, porażony odurzającą mieszanką jej zuchwałości i bezbronności. Gdy patrzył, jak z na wpół przymkniętymi oczami kurczowo ściska drinka, nagle uderzyła go jej kruchość. Aktorka Evelyn Keyes zdawała się czytać mu w myślach. „Pożarliby ją żywcem” – powiedziała cicho, pociągając kolejny łyk szkockiej.

Może właśnie dlatego Marilyn unikała tych przyjęć. Rzadko tańczyła i zwykle chowała się w kuchni, po czym po godzinie lub dwóch wymykała się do domu, żeby pogawędzić przez telefon z Sidneyem Skolskym. Tego wieczoru jednak została długo, zwinięta na kanapie, z nogami przykrytymi sukienką. Arthur powoli zaczął pieścić jej stopę, zatrzymując się na małym palcu. Poruszyła ją zuchwała troskliwość tego gestu. Przez całe życie chciała, żeby ją chroniono, a nie uwodzono.

Chciała też, żeby ją rozumiano. Może sprawił to ów gest, a może sposób, w jaki nalegał, że przyjedzie, by zabrać ją na przyjęcie, w każdym razie Marilyn zaufała Arthurowi. Złapała się na tym, że do niego mówi – głównie o Hollywood i panujących tam na co dzień brutalności i wyzysku. Dziewczęta sprzedające papierosy, przerażający mężczyźni i gromki śmiech rozchodzący się w kłębach dymu i oparach alkoholu wokół basenów w Calabasas. Upokarzające „randki”, które znosiła, bo ostatni grosz wydała na lekcje aktorstwa i nie miała za co kupić obiadu. Arthur słuchał przez wiele godzin, nie odwracając się z odrazą ani jej nie oceniając. Sprawiał, że wszystkie te brudne czyny ulegały oczyszczeniu. Kiwał tylko głową i ścisnął mocniej mały palec u jej stopy. W końcu nawet on wiedział, że „aby przetrwać w aksamitnej dżungli Hollywood, trzeba się było liczyć z wilkami”.

**K**ilka następnych dni spędzili we trójkę – Miller, Monroe i Kazan – przekopując hollywoodzkie sklepy z używaną odzieżą, wożąc się po kanionach, piknikując na plaży w Malibu i spacerując po moło w Santa Monica. Marilyn udało się nawet wkręcić na ich spotkanie biznesowe z apodyktycznym Harrym Cohnem. W kocich okularach nikt jej nie

rozpoznał, została uznana za prywatną sekretarkę. (To była jej potajemna zemsta na lubieżnym Cohnie, który obiecał jej dobre role w Columbii, jeśli pójdzie z nim do łóżka). Cohn ostatecznie odrzucił scenariusz, oni jednak nieźle się ubawili jego kosztem.

Przemierzając kaniony samochodem, z głową odrzuconą do tyłu, ściśnięta między dwoma utalentowanymi mężczyznami, zaczęła zwracać swe uczucia w stronę Arthura. Wcale zresztą nie szalała na punkcie Kazana. To była jedna z tych przelotnych przygód tak pospolitych w fabryce snów, coś jak przyjacielska przysługa, na przykład wspólny lunch z agentem albo udostępnienie ważnego numeru telefonu. Tylko że Marilyn była w Hollywood absolutnym wybrykiem natury, romantyczką, której mimo tylu lat nadużyć jakimś cudem udało się unieść swe ideały bez szwanku.

„Jej romantyczna niewinność była czymś, czego się zwykle nie spotyka w przemyśle filmowym – pisał Maurice Zolotow. – To, co się dzieje za drzwiami niektórych hollywoodzkich domów, przypomina sceny, jakie można zobaczyć na oddziałach dla agresywnych pacjentów w instytucjach psychiatrycznych. Są donżuani i nimfomanki, które podskakują niczym piłeczki pingpongowe”. Fabryką snów wciąż rządzą mężczyźni – począwszy od potentatów w rodzaju Zanucka, aż po łowców talentów, którzy obiecywali rolę w musicalu albo elektrolizę i operację nosa w zamian za seks. Arthur tymczasem dorastał w zwyczajnych warunkach, pracował jako pomywacz i ledwo wspominał o Pulitzerze. Patrzył jej w oczy i trzymał ją za mały palec, co robiło na niej większe wrażenie niż wszystkie jachty w Malibu i cadillaki w Beverly Hills.

Dla Arthura z kolei to było jak doświadczenie wyjścia poza ciało – jakby został wyrwany z Brooklyn Heights i wrzucony w sam środek cukierkowego świata. Minione trzy dni wydawały mu się niemal nierzeczywiste.

Ich rozstanie miało wszelkie oznaki romansu w stylu noir, łącznie z pożegnaniem na lotnisku, którego świadkiem był Kazan. Marilyn włożyła prostą beżową spódnicę i białą jedwabną bluzkę, blond włosy szesała na lewą stronę. Gdy Arthur czekał na odprawę, pojawiła się panika i poczucie, że jego przeznaczeniem jest chronić tę anielską istotę o „radioaktywnym rdzeniu”. Zdecydowany pozostać wierny żonie, pocałował Marilyn w czoło i odleciał do Nowego Jorku z zapachem jej kremu Nivea na rękach.

**P**rzez całe dziesięć lat ich znajomości Arthur wciąż uciekał – przed Marilyn, do Marilyn, zawsze jednak była to ucieczka i pęd po ocalenie. Wróciwszy do starego życia przy Willow Street 155, napisał Kazanowi, że pragnie Marilyn i że jego „sytuacja w domu” wciąż się pogarsza. Zwrócił się też do przyjaciela ze szczególnie teatralną prośbą: by zechciał spojrzeć na Marilyn „po raz ostatni” (Kazan chętnie na to przystał). Dwa dni później napisał znowu – tym razem z prośbą o adres aktorki.

Ich korespondencja miała charakter zapoznawczy, konfesyjny i jeśli chodzi o Millera, była przesiąknięta poczuciem winy. Gdy Marilyn napisała, że potrzebuje wzoru osobowego, Arthur zasugerował Lincolna i polecił jego najnowszą biografię autorstwa Carla Sandburga. Marilyn popędziła do księgarni Martindale’s i wróciła do domu, taszcząc sześć tomów, a na dokładkę egzemplarz powieści Millera *Focus*. W końcu wymiana listów osłabła, Marilyn jednak wciąż trzymała książki jego autorstwa na stoliku nocnym, zaraz obok portretu Abrahama Lincolna.

Mijały lata. Arthur wyrzucił listy od Marilyn. Ale marzenia o niej wciąż go nawiedzały, choć bardzo starał się je od siebie odpychać. Marilyn pojawiała się w jego pracy, nawykach czytelnicy, korespondencji z przyjaciółmi. Nie potrafił się z niej otrząsnąć, to „wirujące światło”<sup>[66]</sup> nigdy go nie opuściło. Także cztery lata później, wiosną 1955 roku, gdy zauważył ją na przyjęciu w Nowym Jorku, stojącą samotnie i popijającą wódkę z sokiem pomarańczowym.

Podszedł do niej ostrożnie, z wahaniem, zapytał o pracę w studiu, opowiedział co nieco o swojej nowej sztuce. Wiele się zmieniło. Marilyn ze starletki u progu kariery w ciągu trzech lat wyrosła na prawdziwą gwiazdę filmową. Poślubiła najśłynniejszego sportowca w kraju, a w dodatku niedawno ogłosiła separację. Jej życie jak zwykle pędziło z zawrotną prędkością.

Tymczasem życie Arthura wlokło się z móżdżkiem. W ciągu czterech lat, które upłynęły od ich pożegnania, postarzał się o dziesięć. Blokada twórcza, konflikt małżeński, cenzura polityczna i HUAC – Komisja ds. Badania Działalności Antyamerykańskiej, sprawiły, że jego usta zamieniły się w napiętą kreskę w otoczeniu dwóch głębokich bruzd, które przywodziły na myśl Abrahama Lincolna. Marilyn jednak była zachwycona. Uznała, że to oznaki mądrości i dojrzałości. Najlepsze zaś, że Arthur nosił teraz okulary, i to w rogowej oprawie.

Tego wieczoru Miller nie pocałował Marilyn ani nie zabrał jej do domu. Dojrzał dwa tygodnie, zanim w końcu podniósł słuchawkę i zadzwonił do Pauli Strasberg. Ta, podekscytowana, że wciąga ją w historię zakazanej miłości, dała mu numer Marilyn. Tym razem obyło się bez wahania. Arthur zakochał się „całkowicie, na poważnie, z żarliwością człowieka wypuszczonego z więzienia”.

Od samego początku ich relacja miała charakter nieodparcie ulotny – kradzione chwile czułości przerywane okresami milczenia. Zaszywali się w jej apartamencie w Waldorf-Astorii i zamawiali filet mignon, zielony groszek i lody waniliowe (Marilyn ulubione). Po obiedzie wychodzili na balkon, żeby godzinami palić i rozmawiać.

Z natury skłonną do zwierzeń, a zarazem ogromnie samokrytyczną Marilyn targały sprzeczne pragnienia: żeby się zamknąć i otworzyć. O swojej przeszłości zwykle wspominała wymijająco i miała po temu dobre powody. Dziennikarze, a nawet przyjaciele oskarżali ją, że upiększa prawdę i zwyczajnie kłamie. „Nigdy nie opowiadałam wszystkiego o swoim życiu – przyznała pewnego razu w wywiadzie z Elszą Maxwell, jedną z niewielu dziennikarek, którym ufała. – Nikt by nie uwierzył, że coś takiego mogło się wydarzyć. Uznaliby, że to gadanie pod publikę. To było raczej okropne”.

Arthur jednak był inny. Słuchał jej. Nie odwracał wzroku i przypalał jej papierosy. Był tak samo czuły i opiekuńczy, jak go zapamiętała. W przeciwieństwie do śliniących się na jej widok kobieciarzy i rozplotkowanych kundli z prasy on chciał zobaczyć jej duszę – nawet najmroczniejsze cienie z dzieciństwa.

Początkowo nieśmiało, potem jednak z rosnącą ufnością Marilyn zaczęła mówić. Opowiadała o specach od castingu, którzy kazali jej się uśmiechać, unosząc sweter, żeby przeprowadzić inspekcję („Spójrz, te sutki stoją na baczność!”). O mężczyznach, którzy zabierali ją na plażę w Santa Monica, proponując lody, a potem wsuwali jej dłonie między uda, sycząc do ucha, że ma „cudowne kości”. O tym, jak pewnej nocy osłabiona po wielu

miesiącach żywienia się krakersami dała się zwabić do rezydencji w Bel Air, bo skusiła ją obietnica domowego posiłku. I jak dostała gumowaty omlet, rzuciła się na niego, a potem z butami w jednej ręce i garścią aspiryny w drugiej wyrzucono ją w ciemność. Opowiedziała Arthurowi o swoich najwcześniejszych latach: o sierocińcach, szorstkich sukienkach, domach zastępczych, gdzie wśród biblijnych gromów molestowano seksualnie. Jej przybrana matka syczała pod nosem: „Nie mogę znieść, jak to dziecko na mnie patrzy (...). Musimy się jej pozbyć”. Opowiedziała mu o śmierci cioci Any, o tym, jak spała koło jej zwłok i jak grabarze przytrzymali jej drabinę, żeby mogła zejść do grobu, a potem leżała, wpatrując się w niebo, oni zaś palili, opierając się na łopatach. To właśnie takie historie sprawiały, że Miller milczał ogłuszony; grzebały go żywcem razem z pragnieniem ocalenia Marilyn. Powiedział jej, że jest „najsmutniejszą dziewczyną, jaką zna”, co słusznie odczytała jako wyznanie miłości.

Marilyn, zanim spotkała Arthura, myślała, że mężczyźni pragną „szczęśliwych dziewczyn”. Jakim wyzwoleniem było to, że ktoś pokochał ją dla jej demonów, a nawet słabości, że spotkała mężczyznę, który nie wzdragał się na widok pierwszej oznaki mroku, nie cofał przed cierniami tkwiącymi pod gładką, waniliową skórą anioła seksu. To właśnie na tym balkonie zakochali się w sobie, rozmawiając, gdy zachodziło słońce i odgłosy budzącego się do życia miasta – wozów dostawczych, piekarni i straganów z kwiatami – zaczynały dobiegać z ulicy. Mógł jej słuchać godzinami, tej mieszaniny piękna i patosu, która zakradała się do ptaszarni u rodziny zastępczej i rozkładała skórki arbuza, żeby nakarmić muchy. „Umarłyby z głodu, gdybym tego nie zrobiła” – mówiła.

Później te jej cechy Miller uzna za dziecinne, a nawet irytujące, teraz jednak były odurzająco egzotyczne, zupełnie obce. Obecna żona go nie potrzebowała – to ona zapewniała mu wsparcie, kiedy pisał: gotowała, planowała wydatki i prowadziła księgi, pilnując, by lodówka była pełna, a rachunki zapłacone. Tak jak wielu mężczyzn Arthur miotał się między zaciśniętymi wargami pragmatyzmu a zmysłowym pragnieniem. „Na przemian upajałem się perspektywą nowego życia i lękałem się skoku w nieznanie”<sup>[67]</sup>.

Dziennikarze skwapliwie wykorzystali ekscytację, jaką budził ten związek, który aż się prosił, żeby go zanalizować po freudowsku. Marilyn nazywała Arthura swoim Abrahamem Lincolnem, a przecież miała w zwyczaju mówić nieznanym, że Lincoln (albo Clark Gable, w zależności od dnia) był jej ojcem. Istnieje długa tradycja patologizowania namiętności Marilyn, traktowania jej wyborów i ekscentryczności jako symptomów ukrytej rozpaczki, która korzeniami tkwiła w rozbitym dzieciństwie. Gdy jednak tego rodzaju psychologiczny klucz zastosować do jej związku z Arthurem, okazuje się chybiony. Mimo że Marilyn ogromnie podziwiała Millera (nigdy nie wiązała się z mężczyznami, których nie mogłaby szanować), nie był ani nie mógłby być jej mentorem. Był jej kochankiem.

Poza tym Arthur i Marilyn mieli wiele cech wspólnych: skrytość połączoną ze zdumiewającą szczerością, rys uporczywości, który często wpędzał ich w kłopoty. Oboje byli naiwnymi idealistami ze skłonnością do intelektualizmu i sympatią dla klasy pracującej, byli nastawieni na introspekcję i obsesyjnie wręcz uczciwi. „Orzeźwiająca szczerość” Marilyn była dla Arthura ogromnie pociągająca, sam bowiem na swój cichy sposób potrafił być szokująco skory do zwierzeń. Przede wszystkim zaś oboje dzielili potrzebę, by delikatnie występować przeciwko naturze: „To było szalenie niestosowne – pisał Arthur – stąd

wiedziałem, że tak właśnie należy postąpić”<sup>[68]</sup>. Osobliwe stwierdzenie – naiwne, aroganckie, ale całkowicie w stylu Marilyn.

W samej swej istocie ich związek był postępowy i na wskroś nowoczesny. Co z tego, że Marilyn gubiła książeczki czekowe i przypalała steki? Arthur nie chciał, żeby pocila się w kuchni nad spaghetti bolognese. (Trzeba uczciwie przyznać, że Joe też tego nie chciał. Wiedział, że dla Marilyn gotowanie to prawdziwa walka, wolałby raczej wmusić w siebie talerz przypalonego spaghetti niż zranić jej uczucia). Miller rozumiał, że miejsce Marilyn jest na scenie – tak jak jej ukochanej Eleonory Duse.

Równie odważne i liberalne były jego poglądy na seks. Marilyn miała od Arthura znacznie większe doświadczenie – bądź co bądź on ożenił się ze swoją studencką miłością, a poza tym i tak był nieśmiały w stosunkach z kobietami. Nie uznawał jednak podwójnych standardów i nie dzielił kobiet na dziewice i dziwki. „Znałem pracowników socjalnych – mówił – ze znacznie burzliwszą przeszłością niż jej”. Podziwiał sposób, w jaki Marilyn rzucała wyzwanie hipokryzji, tak powszechnej w polityce seksualnej powojennej Ameryki. „Ameryka wciąż była dziewicą – dodawał – wciąż wypierała się swoich nieprzyzwoitych snów”<sup>[69]</sup>.

W przeciwieństwie do Joego DiMaggio Arthur nie obruszał się na widok głębokich dekoltów i obcisłych sukienek Marilyn. Dlaczego miałyby ich nie nosić? Poza tym wiedział, że wizerunek ma dla jej kariery ogromne znaczenie, kariera zaś była dla niej równie ważna jak dla niego pisanie. Sam był artystą i jako taki szanował jej pracę i opinie. Czytali sobie nawzajem na głos i rozmawiali do późna o Ibsenie, Dostojewskim i ostatniej obsesji Marilyn – Jamesie Joysie. Po małżeństwie z DiMaggiem, w którym dominowały milczenie i pustka, to był romans z jej snów.

Pomiędzy blaskiem sławy a cieniem cudzołóstwa Arthur i Marilyn utrzymywali łączący ich związek w sekrecie nawet przed najbliższymi przyjaciółmi. „Skądś wiedziałam, że chodziło o Arthura – przyznała wiele lat później Amy Greene. – Bo był żonaty, a to wszystko odbywało się w tajemnicy. Doszłam do wniosku, że gdyby w grę wchodził Irving Dishman, to by mi powiedziała. Milton oczywiście wiedział, że się spotykają. Potrzebowała kogoś zaufanego i w owym czasie zwróciła się właśnie do niego. Nie pisał mi o tym ani słowem, taki z niego sfinks. Jeśli ktoś powie: «Niech to zostanie między nami», można go łamać kołem i nic się z niego nie wyciągnie. Usłyszałam tylko: «Marilyn ma towarzystwo», to takie słodkie. Ale pewnego dnia, kiedy wracaliśmy z Nowego Jorku – a moja mamka była kubańską czarownicą – nasz samochód przeszła błyskawica i wypaliłam: «To Arthur Miller». Milton omal nie zjechał z drogi. Spojrzał na mnie i powiedział: «Tak, to on». Najwyraźniej powtórzył to Marilyn, bo następnego dnia sprawiała wrażenie, jakby jej ulżyło, i powiedziała, że to właśnie z Arthurem spotyka się w tajemnicy. Od tamtej pory mówiła tylko: «Arthur» albo: «Art», albo bardzo sprytnie: «AM». Dzieliła się sekretem – bardzo lubiła tego typu rzeczy. Była gotowa opowiadać o nim każdemu, kto chciał słuchać. Ja miałam wrażenie, że świetnie się bawią w łóżku, a potem on wraca do domu, do swojej żony”.

Kilka tygodni później Marilyn oznajmiła, że Artur przyjedzie do Weston na niedzielny obiad. „Zaczęły się przygotowania i Kitty musiała zrobić to, a Clyde tamto. Mieliśmy wspaniałą szynkę, kurczaki w płatkach kukurydzianych, w których Kitty celowała, mieliśmy sałatki i jeszcze jedną ulubioną potrawę Marilyn – karmelizowaną marchewkę. Mieliśmy też



cudowny placek ze słodkich ziemniaków. Marilyn przepadała za plackami Kitty, była z nich taka dumna, jakby sama je odkryła. Dlatego uparła się, żeby Kitty upiekła jeden ze słodkimi ziemniakami, a drugi z jabłkami. Była typową żydowską *jente*, chciała dać swojemu mężczyźnie wszystko, co najpyszniejsze. Ze względu na Arthura zachowywaliśmy się wzorowo. Wyjęliśmy dobre wino, cały dom aż lśnił, kwiaty były piękne, a ja nigdy w życiu tak się nie wynudziłam”.

Wrażliwa Marilyn wyczuła, że Amy jest rozczarowana. „Próbowała zmienić temat. Stwierdziła na przykład: «Och, Amy uwielbia *Śmierć komiwojżera*». Opowiedziałam więc o wieczorze, kiedy widziałam sztukę. Na zakończenie nikt nie klaskał – wszyscy byli tak poruszeni, że oklaski zniszczyłyby to coś, co znalazło się z nami wtedy w teatrze, wydawały się świętokradztwem. Cóż, to mu się spodobało. Stwierdził, że to się zdarza bardzo często. Potem wstaliśmy od stołu i poszliśmy do salonu. Podano kawę – był jej wielkim miłośnikiem. Gadał o wszystkim. O teatrze, kinie, filmach, które zamierzał zrobić, i o tym, kogo chciałby w nich obsadzić. Marilyn oczywiście była zachwycona. Siedziała u jego stóp. Został całe popołudnie. Kiedy się nakręci, nie pozostaje nic innego, jak tylko dosłownie spijać słowa z jego ust, bo nie sposób nic wtrącić. Podejrzewam, że był zdenerwowany. Doceniam, że się starał – w końcu znalazł się w obcym domu, a poza tym miał świadomość, że Milton i ja wiemy, że sypia z Marilyn. To była połowa lat pięćdziesiątych, a nie rok 1965, kiedy już nikogo nie obchodziło, co człowiek robi”.

Mimo atmosfery skrępowania podczas tego pierwszego obiadu Amy była poruszona, gdy kilka tygodni później Arthur wyciągnął do nich rękę. „Zaprosił nas na obiad do Nowego Jorku – mówiła. – To była bardzo trudna sytuacja, bo my mieliśmy się zjawić z blond seksbombą, a on był żonaty. Gdzie by tu pójść, żeby ich nie rozpoznano? Wybraliśmy restaurację o nazwie Jimmy’s La Grange – mieściła się w kamienicy, sala na tyłach była raczej ciemna, ze świecami i przepierzeniami z przydymionego szkła. Rozmawialiśmy z Miltonem o tym miejscu od jakiegoś czasu i wszyscy się na nie zgodzili – przygrywał uroczy pianista. Milton, Marilyn i ja zjawiliśmy się pierwsi, Arthur dołączył do nas później. Wciąż zachowywaliśmy się bez zarzutu. To drugie spotkanie wypadło lepiej. On był bardziej rozluźniony, my też, poza tym wieczór właściwie należał do Marilyn. Była Uroczym Dzieckiem, tak czarującym, że można ją było jeść łyżkami. Łagodziła wszystkie napięcia. Arthur siedział cicho – może powiedziała mu, żeby pozwolił mówić innym. Zadał Miltonowi tylko kilka trafnych pytań dotyczących interesów i tym razem nas ujął. To był cudowny wieczór. Najlepszy, jaki spędziliśmy razem na mieście, choć więcej udanych wieczorów miało jeszcze nadejść. Pewnego razu Marilyn urządziła na przykład zachwycającą kolację w swoim apartamencie w Waldorf Towers. W tamtych czasach, kiedy przebywało się w towarzystwie Marilyn i Arthura, wyczuwało się między nimi iskrzenie. Czuć było, że tych dwoje coś łączy, to na pewno nie było na pokaz”.

Arthur i Marilyn powoli zaczęli wychodzić z hotelu i wkrótce zaczęto ich widywać razem. Gdy w New Amsterdam Theatre rozpoczęły się próby do *Widoku z mostu* (1956), spotykali się na lunchu w restauracji Childs’ na rogu Czterdziestej Szóstej i Broadwayu. Czekala tam na niego w chustce i okularach przeciwsłonecznych, tuż po zajęciach, spragniona rozmowy o tym, czego się nauczyła. Marilyn, która nigdy nie umawiała się z aktorami – ewenement wśród aktorek – nareszcie mogła oprzeć więź z kochankiem na wspólnych doświadczeniach zawodowych. Arthur opowiadał jej o swoim ostatnim projekcie, scenariuszu do filmu

o młodocianych gangach na Brooklynie. Nowojorska rada do spraw młodzieży przyznała mu fundusze i skontaktowała go z lokalnymi pracownikami socjalnymi, którzy wieczorami zabierali go w zaułki Gowanus i Red Hook. Tam podsłuchiwał uliczne rozmowy, a potem wracał taksówką na Manhattan i wejściem dla pracowników wślizgiwał się do hotelu, a stamtąd do łóżka Marilyn. „Z ulicznych nizin – wspominał – do Marilyn na wyżynach Waldorf Tower leciało się niby w kosmos, lecz odległość była tylko pozorna”<sup>[70]</sup>.

Zabiegi DiMaggia koncentrowały się na randkach – kolacjach w La Scali i Romanoff's, drinkach w Stork Club. Tymczasem z Arthurem Marilyn jeszcze głębiej eksplorowała Nowy Jork. Chodzili do barów kawowych w Village, pływali na City Island, zabierali jego psy na spacer do Prospect Parku. Arthur kupił Marilyn angielski rower z przerzutkami i wspólnie jeździli na przejażdżki po Central Parku lub wzdłuż Ocean Parkway aż do Coney Island. Chodzili na długie, leniwe spacerki po Heights, mijając kamienice w stylu włoskim i rzędy domów z czerwonej cegły. Spokojna, przesycona historią atmosfera dzielnicy stanowiła absolutne przeciwieństwo hollywoodzkiego blasku.

Zakochując się w Arthurze, Marilyn coraz mocniej zakochiwała się w Nowym Jorku. Okazało się, że oboje z Millerem uwielbiają mosty, zwłaszcza brooklyński, tak mocno obecny w wyobraźni i dziełach Arthura. Czasami przechodzili na drugą stronę na nabrzeże, gdzie pracowali robotnicy portowi, a dokerzy dźwigali ciężkie ładunki. Prowadził ją wzdłuż ścian pokrytych graffiti, wskazując na namalowany kredą napis „Dove Pete Panto”<sup>[15\*]</sup>, który zainspirował go do napisania scenariusza *The Hook*. Z przewodnikiem takim jak Arthur świat Marilyn codziennie się powiększał. Dla niej Brooklyn był czymś więcej niż dzielnicą Nowego Jorku – to była jej Shangri-La. „Brooklyn stał się dla Marilyn nirwaną – pisał Sam Shaw – miejscem magicznym, jej prawdziwym domem”.

„To moje ulubione miejsce na ziemi – mówiła z zachwytem. – Wprawdzie nie podróżowałam zbyt wiele, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek udało mi się znaleźć coś, co mogłoby zastąpić Brooklyn. Lubię się tu po prostu wałęsać. Stąd jest lepszy widok. Wystarczy się obejrzeć i można zobaczyć Manhattan – to najlepsza perspektywa. Ludzie, ulice, atmosfera. Uwielbiam to miejsce”.

Wszystko wydawało się gotowe na magiczne lato. I gdy tak szła pod rękę z Arthurem, spoglądając na ukochaną East River, ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, było Hollywood.

1 czerwca, w dwudzieste dziewiąte urodziny Marilyn, odbyła się premiera *Słomianego wdowca* – film, który recenzenci okrzyknęli przebojem, odniósł oszałamiający sukces kasowy. Wszyscy byli zachwyceni – oprócz Marilyn, która kurczyła się pod naporem błyskających fleszy, otoczona przez reporterów z ich napastliwymi długopisami. Włosy miała sztywne i wymodelowane, twarz zmatowiała od pudru. Pokryte grubą warstwą czerwonej szminki usta sprawiały, że wyglądała jak smutny klaun. Kolczyki Van Cleef zwisały ciężko, opadając jej na ramiona. „Mam nadzieję, że to ostatnia tego typu rola – jęczała. – Gdy pomyślę, że dalej miałabym kręcić tyłkiem w kiepskich filmach, to wołałabym nie grać wcale. Mogłabym nawet wrócić do pracy w fabryce”.

Towarzyszył jej DiMaggio, prowokując jeszcze więcej plotek na temat pojednania. „Wyglądają jak dwa gołąbki” – donosił „Photoplay”. Niezupełnie tak było – Joe promieniał za oboje, Marilyn zaś sprawiała wrażenie nieobecnej duchem i zdenerwowanej. Wieczorem jak

burza wybiegła z przyjęcia urodzinowego, które Joe zorganizował dla niej u Toot Shora. Może nie mogła znieść jeszcze jednego mężczyzny, który rościł sobie do niej pretensje.

Następnego ranka po premierze Marilyn otrzymała dwa listy. Pierwszy od Billy'ego Wildera, który w tonie nagłym i błagalnym zarazem pisał:

*Marilyn, czytałem, że pragniesz zagrać Kordelię, chcesz grać w Braciach Karamazow. Zostań przy tym, co robisz. Nikt w filmie nie ma takiego talentu komediowego jak Ty. Potrafisz stworzyć bardzo ciekawą postać i jeśli się będziesz tego trzymała, nie zejdziesz na manowce tak jak tylu aktorów i aktorek. Im jesteś starsza, tym lepsza. Jeżeli pozostaniesz przy swoim emploi, wciąż znajdą się dla Ciebie role. Będziesz miała szansę stać się drugą Mae West. I tak jak ona kontynuować karierę przez długie lata.*

Drugi od Cheryl Crawford:

*Chcę Ci powiedzieć, że kiedy razem z Lee uznacie, że jesteś gotowa zagrać w spektaklu, bardzo chętnie zostanę producentką. Myślę, że wiem, jak miałyby wyglądać Twoja kariera. Nie chcę wykorzystywać Twojej sławy, tylko pomóc Ci zrealizować najgłębsze marzenie w najlepszy możliwy sposób. Gdy skończysz, chciałabym Ci opowiedzieć o swoich pomysłach, mam też sztukę, która mogłaby się dla Ciebie nadawać. Chciałabym poza tym dać Lee procent ze swojego udziału za jego nieocenioną pomoc i za to, że otoczył Cię w studiu aktorami, którzy będą Ci pomagać i Cię chronić. Nie ma pośpiechu. Po prostu chcę to powiedzieć oficjalnie i chętnie dowiedziałabym się, co o tym sądzisz. Nie chcę patrzeć, jak grasz którąś z tych „głupich blondynek”. Chcę zobaczyć, jak pokazujesz tę wewnętrzną prawdę, którą tak podziwiam.*

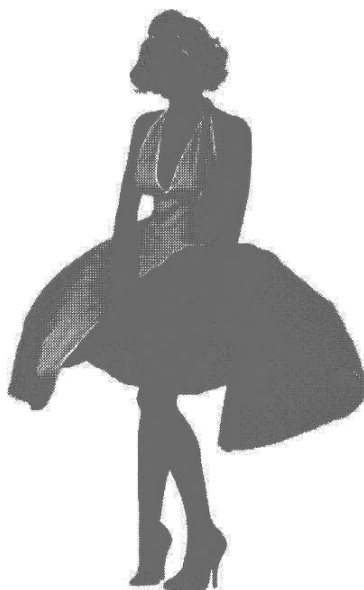
Kiedy Marilyn miała zaprezentować swoją wewnętrzną prawdę? I jak by to wyglądało, gdyby to w końcu zrobiła?

**T**ego popołudnia Marilyn zadzwoniła do Milтона i zrezygnowała z podróży do Toskanii, gdzie zamierzała wybrać się z jego rodziną. Mimo chaosu poprzedniej nocy, sceny z Joem i jej emocjonalnych następstw dotarło do niej, że oto znalazła się w punkcie zwrotnym. *Słomiany wdowiec* sprawił, że stała się najgorętszą gwiazdą na świecie, i zaczęła sobie zdawać sprawę, jak wielka jest jej potęga. Prasa, Fox i całe Hollywood nareszcie nastawiły czujnie uszu. Wkrótce złożą jej ofertę. A ona jak zwykle będzie gotowa.

*Jedenascie*  
**Fire Island**



Marilyn Monroe opuszcza Londyn, 21 listopada 1956 roku.  
FOT. ALAN MEEK/EXPRESS/GETTY IMAGES



Marilyn odmieniła życie mojej rodziny, a my  
zmieniliśmy ją. I nigdy nic już nie było takie samo.

*Susan Strasberg*

**W** owym czasie miejsce Greene'ów jako rodziny zastępczej Marilyn zaczęły zajmować Strasbergowie. Spędzała weekendy w ich nadmorskim domu na Fire Island, wędrując popękkanymi chodnikami po chruściki albo hot dogi, szkicując razem z Susie wśród nadmorskich szuwarów albo zlewając się obficie jaśminowym olejkiem Ambre Solaire. Po wyspie nie wolno się było poruszać samochodem i tylko wieczorami kursowały wzdłuż plaży taksówki dżipy. Wędrowali na Ocean Beach maleńką karawaną, ciągnąc za sobą czerwone wózki obwieszane dzwoneczkami, pełne książek oraz przekąsek. Marilyn w krótkim płaszczu kąpielowym, który miał stanowić kamuflaż, dąsający się Johnny w marynarskiej koszulce w paski, Susie w dzieciennym jednoczęściowym kostiumie, którego nienawidziła, Lee w bejsbolówce i okularach przeciwsłonecznych i Paula w czarnym fartuchu i kapeluszu z ogromnym rondem, wisząca nad Susie z parasolką.

„W tej części wyspy było mnóstwo osób związanych z teatrem – pisała Susie wiele lat później. – Byli światowcami, co oznaczało, że gapili się na Marilyn z daleka zamiast z bliska”. Na Ocean Beach Marilyn cieszyła się względną anonimowością. Rozkładała ręcznik i pogrążała się w lekturze *Ulisses* albo szła nad wodę, żeby pogawędzić z Lee. Radio nieopodal grało *Love Is a Many-Splendored Thing*. Susie leżała na brzuchu z egzemplarzem „Photoplay” ukrytym między stronami *Wojny i pokoju* albo *W poszukiwaniu straconego czasu*. Paula grzebała w koszykach wypchanych wachlarzami i chustami, robiąc przy tym mnóstwo zamieszania i marudząc niczym napuszona sowa, a potem smarowała kremem przeciwsłonecznym ramiona Susie. Susie tego nie znosiła – wszyscy na nią patrzyli, a poza tym chciała się opalić. „Co cię to obchodzi? – sapała Paula. – Jesteś aktorką, pomyśl o swojej roli. Musisz być blada. Anne Frank przez dwa lata nie wychodziła na dwór”.

Dla Marilyn to były pierwsze wakacje z rodziną i pierwsze lato spędzone nad morzem na Wschodnim Wybrzeżu. Bywała już wprawdzie na Catalina Island i plażach w okolicy Santa Monica, po raz pierwszy jednak mogła poczuć woń słonego drewna dryfującego i północnoatlantyckiego ozonu. Bawiła się na płyciźnie, brodząc w wodzie nieco powyżej kolan, może czasem do pasa, ale nigdy takiej, która zakryłaby jej głowę. Susie urządziła popisy, wypływając na głębiny, nurkując niczym delfin i oglądając się za siebie w nadziei, że Marilyn patrzy. „No chodź” – prowokowała, skrycie zadowolona, że przynajmniej w tym jest lepsza od rywalki. Marilyn jednak tylko machała, wzbijała kopniakiem piasek i morską pianę, dalej rozmawiając z Lee, który rzadko zanurzał nogi powyżej kostek. W tej spiekocie stał na skraju oceanu w koszuli zapiętej pod szyją. Susie zapytała go kiedyś, dlaczego nigdy nie wchodzi głębiej. „Bo widzisz, skarbie – odparł, wpatrując się w morze – nie chcę dać się porwać”<sup>[71]</sup>.

**N**a Fire Island Marilyn oddawała się urokom życia rodzinnego, których nigdy wcześniej nie zaznała. Dzieliła sypialnię z Susie, biegała boso po domu, całe dni spędzała bez makijażu i bawiła się z okolicznymi dziećmi. Były grill, pikniki, radio grające *Sugarbush*, *I love you so...* Grilla obsługiwał Lee w swojej bejsbolówce i bokserkach, opalony niczym

farmer: „Kto chce kielbaski, a kto kurczaka?”<sup>[72]</sup>.

Tego lata Marilyn i Susie były jak siostry. Ich pokój wychodził na wschód, za otwartymi szeroko oknami rozciągał się widok na wydmy. Kołysane falami i słońcą bryzą leżały na bliźniaczych łóżkach, szepcząc długo w noc o Hollywood albo chłopakach. W powietrzu czuć było ciężką woń perfum Marilyn wymieszaną z bagiennym, kwarcowym zapachem oceanu. Recytowały wiersze, zwykle Whitmana, który tak jak one był Bliźniakiem. W takie noce Marilyn zdawała się tracić swój blask – z mokrymi włosami i spalonym przez słońce nosem zamieniała się w zwyczajną kumpelę ze szkoły.

Na Fire Island obie mało spały. Atmosfera w ich maleńkim pokoiku była przesycona gorączką marzeń. Dla Susie to była szczęśliwa bezsenność – nocująca przyjaciółka, sekrety i nadzieje, które miały się spełnić po Świącie Pracy. Wkrótce jednak przekonała się, że Marilyn zмага się ze znacznie mroczniejszym niepokojem. Susie odpływała w sen, a kiedy się budziła, widziała, że przyjaciółka zabija czas, pielęgnując urodę – goliła nogi, rozjaśniała włosy, smarowała wazeliną policzki albo po prostu wyglądała przez okno.

Pewnego razu Marilyn stała nago w świetle księżyca, rozczesując włosy długimi, zmysłowymi pociągnięciami. Susie wpatrywała się w nią porażona brzoskwiniowym blaskiem jej skóry: „Była sprężysta i gładka jak u dziecka”. Otwarte słoiczki z kremami do twarzy, maszynki do golenia, buteleczki olejku do skórek rozrzucone na łóżku, fiołki tabletek i flakoniki perfum stłoczone na nocnym stoliku – ślady magicznego świata seksu i splendoru.

„Chciałabym być taka jak ty” – szepnęła Susie. Marilyn oczywiście zaprotestowała: „Ach nie, Susie. To ja bym chciała być taka jak ty! Już niedługo zagrasz wspaniałą rolę na Broadwayu, Anne Frank. Ludzie cię szanują. Nie, nie, ja niczego takiego nie mam”.

**N**owojorscy artyści tłumnie przybywali na Ocean Beach, a domek Strasbergów stanowił ich nieoficjalną kwaterę główną. Tego lata strumień gości napływał nieprzerwanie, dołączyła do niego nawet Anne Bancroft, która mieszkała po sąsiedzku. Lee „zatrudnił” Marty’ego Frieda, byłego boksera i aktora ze studia, do pomocy przy rozmaitych pracach – miał rozstawiać parasol na plaży, opiekować się Marilyn – on jednak całe dni trzymał się blisko Lee, wysłuchując jego peanów na cześć Stanisławskiego albo opinii na temat japońskiego teatru nō.

„Lee grillował steki – wspomina Jack Garfein, jeden z członków studia – a Marilyn kręciła się boso dokoła, popijając szampana. Inne gwiazdy – Shelley Winters czy Anne Bancroft – pojawiały się na Fire Island, żeby się podlizać. Dzięki znajomości z Marilyn Lee zyskiwał sławę”. W niedziele odbywały się legendarne późne śniadania Pauli, która krzątała się, podając bajgle i gorącą kawę, po czym padała na kanapę z wiatraczkiem na baterie. Po śniadaniu Lee przygotowywał swoje słynne lodowe koktajle, z dodatkową porcją wiśni dla Marilyn i mnóstwem bitej śmietany. „Wszyscy przybywali po błogosławieństwo Lee – pisała Shelley Winters. – Opowiadaliśmy mu o swoich problemach, prosiliśmy o pomoc ze scenariuszem albo w sprawach sercowych”. Lee siedział niczym guru, kiwając głową i wzruszając ramionami.

Letnie uczyty Pauli stanowiły taką samą pokusę jak błogosławieństwo Lee. Krwawa Mary w porze drugiego śniadania, szampan wieczorem, a do tego sałatki, kolby kukurydzy

w maśle, bliny z kawiozem, pieczone ziemniaki z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem. W swojej słynnej „żydowskiej lodówce” Paula trzymała salami ze sklepu Zabara, potrójnie śmietankowe brie, ciasta miodowe z wykwintnych cukierni w Midtown, a niekiedy nawet tort Sachera.

Wprawdzie czasy sierocińców Marilyn dawno miała za sobą, tego rodzaju obfitość była dla niej jednak czymś nowym. Sama jadała bardzo prosto – na śniadanie czarna kawa i pieczony grejpfrut, na kolację wątróbka z opiekacza z surową marchewką. Dzięki swym przybranym rodzinom po raz pierwszy mogła się delektować domowymi posiłkami – u Greene’ów były to ziemniaki i groszek, u Strasbergów duszone mięso i zapiekanki. Oczyszczała małże z Rostenami, grillowała kiełbaski do hot dogów z Lee. Nocami zakradała się do kuchni w jednej z koszul Arthura i myszkowała po lodówce w poszukiwaniu resztek kurczaka albo lodów waniliowych.

Jedyną osobą, która nie doceniała talentów kulinarnych Pauli, był Johnny. „Próbuję schudnąć!” – wrzeszczał, odsuwając górę ciastek. „To tylko dziecięcy tłuszcz” – upokarzająco pocieszała go Paula. „Wcale nie uważam, żebyś był gruby, Johnny”<sup>[73]</sup> – mówiła Marilyn. A Johnny czerwienił się i uciekał.

Pewnego wieczoru Marilyn postanowiła, że przygotuje dla wszystkich kolację – kurczaka w szampanie. Cała w morskiej soli, zarumieniona, założyła fartuch na kostium i zniknęła w kuchni, zostawiając Strasbergów na ganku przy gazetach i herbacie. Słyszeli odgłos otwieranej butelki, syk bąbelków i szcęk sztućców. A potem dobiegł ich krzyk. Wszyscy pognali do kuchni. Marilyn nie słyszała z talentów kulinarnych – co jeśli się skaleczyła? Zastali ją nad kurczakiem – był cały, wciąż miał oczy, czarne i świdrujące, które patrzyły na nią z wyrzutem. Marilyn trzęsła się, mówiąc z płaczem, że kurczak wygląda jak ptak, a ona nie może ugotować czegoś, co wygląda jak ptak, bo przecież biedny ptak kiedyś był żywy, a teraz jest martwy i pomyślcie tylko o jego rodzicach!

Lee pochwalił jej wrażliwość i przejął kontrolę nad sytuacją – wyprowadził Marilyn na ganek, gdzie klapnęła z resztką szampana w butelce, sam zaś „dotąd chlastał cholernego kurczaka, aż przestał przypominać cokolwiek, co kiedyś miało matkę”.

**W** deszczowe dni Susie rozkładała na ganku gazety, a potem wyciągała pędzle i farby. Wystarczyło kilka minut, by poczuła dwoje smutnych oczu wwiercających się jej w plecy. Marilyn też chciała malować. W owym czasie tak wyglądała klasyczna dynamika u Strasbergów – nastoletnia Susie zachowywała się jak starsza siostra zmuszona dzielić się zabawkami z małą Marilyn. Posłusznie wręczyła pędzel przyjaciółce i zaproponowała, żeby skorzystała z jej kolorowej palety. (Marilyn: „Wolę czerń i biel”).

Trzymając pędzel, jakby to był ołówek, Marilyn szybko naszkicowała dwie postaci. Najpierw dziecko z opadającą pończochą. Jedno oko czarne, drugie jasne. Słoneczne i blade. Jej wypłowiały negatyw. Złachmaniona sukienka odcisnięta w pamięci niczym plama na słońcu. Smutny halogenowy czepek. Zatytułowała obrazek *Samotna*. Potem kobieta kot namalowana odważnymi, zmysłowymi pociągnięciami. „Ta powinna mówić: «Życie jest piękne, więc co mi tam»” – stwierdziła Marilyn ze śmiechem. A potem zaczęła się zastanawiać na głos, czy to jej autoportrety – test Rorschacha na opak.

Do tego czasu zdążyli się zjawić rodzice. Pochylali się teraz nad Marilyn – Paula ją



obejmowała, a rozpromieniony Lee kiwał głową i powtarzał: „Tak, skarbie”, jak zawsze. „Musimy kupić Marilyn własny zestaw do malowania!”. Kiedy Susie spytała, czy chce zatrzymać obrazki, Marilyn zaprotestowała: „Ależ nie, Susie, są twoje, to ty jesteś artystką. Dziękuję, że mi pomogłaś” – dodała słodko. Zazdrość zaprawiona poczuciem winy.

„Wszystkiego, czego dotąd doświadczyłam w życiu – pisała Susie wiele lat później – ona doświadczyła bardziej. Była piosenka *Annie Get Your Gun*, w której pojawiało się takie zdanie: «Cokolwiek potrafisz zrobić, ja potrafię zrobić to lepiej». Marilyn lubiła malować, obie pisałyśmy wiersze, czytałyśmy te same książki, opuszczając fragmenty, które nas nudziły, kupowałyśmy ubrania w tym samym sklepie”.

Zazdrość była obustronna. Marilyn uwielbiała Susie, ale zazdrościła jej idealnego dzieciństwa. Różowych urodzinowych sukienek Tallulah Bankhead. Lekcji tańca z Charliem Chaplinem o północy. *Jeziora łabędziego* na płycie i tego, że piękna Oona O'Neill zasnęła u niej w domu na kanapie, uśmiechając się przez sen. Żydowskiej matki, genialnego ojca i cudownego młodszego braciszka, z którym można było grać w kości i którego można było uczyć mówić. Co Susie wiedziała o samotności?

Wiedziała mnóstwo. Marilyn nie знаła swojego ojca, ale za to Susie miała ojca, który stale ją odrzucał, nawet gdy była dzieckiem. Odsuwał ją, kiedy próbowała mu się wdrapać na kolana, sztywniała mu szyja, gdy ciągnęła go za rękaw, żeby się z nią pobawił. Lee odrzucał Susie, jeszcze zanim się pojawiła na świecie – nie przyszedł do szpitala, kiedy Paula rodziła. A co, gdyby Susie okazała się brzydkim dzieckiem, tłumaczył później. Wiedział, że dzieci rodzą się czerwone, łyse i pomarszczone, co, gdyby Susie tak właśnie wyglądała, a on by jej nie pokochał? Takim człowiekiem był Lee.

Czasami rywalizacja zbliżała je do siebie. Tego aspektu siostrzeństwa Marilyn nigdy nie zaznała – pewnej szczególnej rozlazłości, niewymuszonych żarcików, atmosfery konspiracji. Susie jednak nie wiedziała, jak rodzi się więź między dziewczętami, nigdy nie miała siostry ani nawet bliskich przyjaciółek. Marilyn zasypywała ją pytaniami: Skąd ma taki makijaż? Co to za kosmetyki? Gdzie kupuje ubrania, dokąd chodzi po sukienki, jakiej muzyki słucha? Niepewna siebie i chorobliwie podejrzliwa Susie myliła serdeczność z rywalizacją. Miała ochotę zamknąć się jak ostryga – nie chciała mówić Marilyn, że używa mascary marki Revlon i pudru dla dzieci Johnson & Johnson. Albo popadała ze skrajności w skrajność i dręczona wyrzutami sumienia niezgrabnie zasypywała przyjaciółkę tysiącem błahych szczegółików, których ta wcale nie chciała. „Jezu, Susie, dzięki” – szczebiotała Marilyn z szeroko otwartymi oczami. Czyżby ta kobieta dziecko potrafiła czytać jej w myślach? Susie czuła się jeszcze gorzej.

Paula próbowała udobruchać córkę: gładziła ją po włosach i mówiła, że naśladownictwo jest wyrazem najwyższego uznania. Tylko dlaczego Marilyn Monroe – najslawniejsza kobieta na świecie – miałyby naśladować wątłą szesnastolatkę, która do tej pory zaliczyła ledwie pocałunek?

**P**ewnego wieczoru przed kolacją Paula sporządziła horoskopy dla Susie, Marilyn i Anne Frank. Aż rozłożyła ręce z zachwytem – wszystkie trzy były Bliźniętami z Lwem w ascendencji i Plutonem w dwunastym domu. Wiedziała. To nie był przypadek. Tylko *bashert* – przeznaczenie. Lee skrzywił się, wymaszerował na dwór i rozpałił grilla.

Gdy nie było słońca, Marilyn wylegiwała się w łóżku razem z Paulą – ściszone głosy, zawoalowane wzmianki na temat tajemniczego „Arturo”. Lee wciąż był nieświadomy, Paula jednak upajała się skandalem. Dlaczegoż by Marilyn nie miała się związać z pisarzem, zdobywcą Pulitzera? Choć bowiem gorąco wierzyła w talent Marilyn, w głębi serca uważała, że „najwspanialszym dokonaniem kobiety jest zostać partnerką niezwyklego mężczyzny”. Pod tym względem Paula stanowiła jej całkowite przeciwieństwo. Marilyn dobrze wiedziała, co będzie jej największym dokonaniem – właśnie nad nim pracowała, tocząc najważniejszy bój w swoim życiu.

Wieczorami wszyscy pili szampana, włączali radio i tańczyli – czy też raczej patrzyli na Marilyn. Podobnie jak wiele dziewcząt, które uczyły się tańca klasycznego, Susie potrafiła wykonywać tylko podstawowe figury – z podziwem więc spoglądała na Marilyn poruszającą się spontanicznie jak dziecko. „Podążała za swoimi stopami i w ogóle na nie nie patrzyła” – mówiła Susie. Poza tym kiedy Marilyn tańczyła, nie sposób było oderwać od niej wzroku: wiła się, śmiała jak dzwoneczek, a jej niepohamowana energia emanowała na cały pokój.

Co sobie myślała Paula na widok Lee, który siedział zasłonięty gazetą i promieniał z zadowolenia? Uwielbiała Marilyn – nie zdradzała żadnych oznak zazdrości. Sama była tancerką, ale wstydziła się swojej sylwetki – „Wystarczy, że spojrzę na sałatę, a już przybieram na wadze” – i nie było mowy, żeby zatańczyła, zwłaszcza obok Marilyn Monroe. „Johnny – wołała rozkazująco – ty zatańcz z Marilyn!” Zażenowany Johnny wybiegał z domu tylnymi drzwiami. Tak więc w upajające letnie noce Marilyn tańczyła sama.

**P**omimo poczucia bliskości i kojącego spokoju, jakie zapewniał Marilyn pobyt na łonie rodziny Strasbergów, tego lata ujawnił się w niej też nieokreślony mroczny niepokój. Czasem wieczorami była bliska łez – zadreżczała się umową z Foxem albo czymś, co powiedział Arthur. Paula robiła, co mogła, kursując na paluszkach po ganku z imbrykiem herbaty i butelkami schłodzonego Dom Pérignon. „Bliźnięta są dziś niespokojne” – mówiła, nakłaniając Marilyn, żeby oprócz szampana popijała także herbatę z mlekiem.

Podczas ich nocnych pogawędek w świetle księżycy Susie dodawała Marilyn otuchy, mówiąc, że Lee bardzo ją kocha i uważa, iż będzie lepszą aktorką niż Joan Crawford czy Gloria Swanson. Marilyn jednak zmieniała temat, wzdychała i spoglądała na nią wzrokiem zranionego jelonka. „Trudno dorastać, kiedy jest się sierotą – mówiła. – Człowiek się potem nie spodziewa niczego dobrego...” Za każdym razem, gdy Susie wspominała o przyszłości, Marilyn zwracała się ku przeszłości.

Po wielu miesiącach intensywnej psychoanalizy Marilyn zaczęła mieć obsesję na punkcie swojego dzieciństwa: domy zastępcze, sierociniec, matka, związaną i zamkniętą w zakładzie dla obłąkanych. Zaplątaną w toksyczną sieć pamięci aktorkę zaczęły prześladować wspomnienia. Leżała w łóżku, nasłuchując fal przyboju, światło księżycy rozlewało się po podłodze z ciemnych, bejcowanych desek. A potem zaczynała opowiadać o swoich przybranych rodzicach i o tym, jacy byli brutalni. Trwało to chwilę, zanim się opanowała. „Może zresztą wcale nie było tak źle” – mówiła, milknąc. Choć oczywiście naprawdę było.

Susie słuchała jednym uchem. Tylko kilka miesięcy dzieliło ją od debiutu na Broadwayu i rozpaczliwie starała się skupić, żeby móc się zanurzyć w historii Anne Frank. Jak jednak

miała to zrobić z tą oszalałającą, bezbronną kobietą na łóżku obok?

**M**arilyn była teraz jedną z nich i Strasbergowie przywykli do jej nocnych lęków, gdy owinięta w znoszony szlafrok błąkała się z twarzą pokrytą wazeliną i lanoliną.

Pewnego razu około czwartej nad ranem Susie obudził czyjś szloch. Zakradła się korytarzem i zobaczyła, że ojciec obejmuje Marilyn, kołysząc ją delikatnie i śpiewając jej kołysankę Brahmsa – tę samą, którą śpiewał Susie, kiedy była dzieckiem. Zalała ją fala zazdrości, a w gardle urosła jej gula: „Ja też nie mogę spać, ale mnie tak nie obejmuje i dla mnie nie śpiewa”.

Tymczasem proszę, kołysze Marilyn – dorosłą kobietę, która ma świat u swych stóp – jakby była krwią z jego krwi. Zawiść szybko jednak zamieniła się we współczucie. Choć Susie miała dopiero szesnaście lat, potrafiła dostrzec, że potrzeba, która dręczy Marilyn, „jest ogromna”.

W różowym chłodzie poranka zamiauczał ptak przedrzeźniacz. Zanim Marilyn w końcu zasnęła, zdążyła się zrobić szósta.

**P**omimo całego systemu wsparcia i miłości do Nowego Jorku Marilyn zaczęła łykać więcej tabletek. Jej apartament w Waldorf-Astorii kosztował Milтона tysiąc dolarów tygodniowo, a negocjacje z Foxem prowadziły donikąd. Nie była nawet oficjalną członkinią Actors Studio. Jeśli chodzi o sprawy osobiste, na dobre zraziła do siebie Joego, swego rycerza i obrońcę. Zawstydziła go i (w pewnym sensie po szczeniacku) odrzuciła, a on nie zamierzał wrócić. Jej związek z Arthurem nadal stał pod znakiem zapytania – Miller wciąż był żonaty i na razie nie planował rozwodu.

Niepewność, która zakiełkowała w jej sercu, sprawiła, że Marilyn zaczęła podawać w wątpliwość wszystkie swoje relacje, nawet tę z Greene’ami. Amy ją onieśmiałała – była taka chłodna i szczupła w eleganckich sukienkach Anne Klein. W dodatku prawie nie piła. Wszyscy natomiast brali środki uspokajające: na całym Manhattanie lekarze rozdawali leki przeciwłękowe miltowny niczym lizaki. Milton łykał ich tyle samo co Marilyn. Dzięki bratu lekarzowi miał zapasy, a mimo to jakoś funkcjonował, podczas gdy ona nie potrafiła. I dlaczego nic się nie układało? Może prasa miała rację – faktycznie była zuchwała, może głupio zrobiła, opuszczając Hollywood. Zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że jest straszliwie bezbronna.

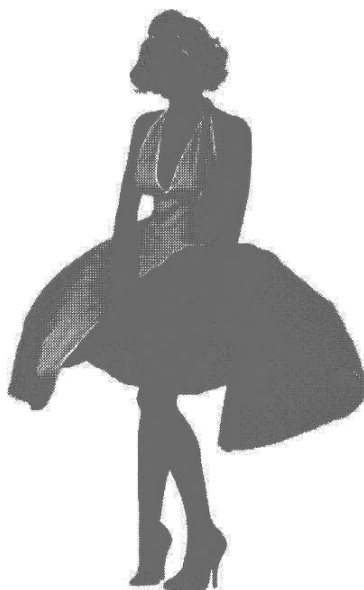
W marcu wszystko miało postać różowych słoni, bitew na poduszki i koktajli w Copie. To pierwotne podniecenie związane z Wielką Ucieczką, wyzwaniem rzuconym Hollywood i nowym początkiem w Nowym Jorku jeszcze nie minęło. Marilyn, upojona wspaniałą, przyprawiającą o zawrót głowy niewiadomą, skoczyła w przepaść tylko po to, żeby się zorientować, że spada.

Ale jaki miała wybór? Spędzać tępo dni przy basenie w hotelu Chateau Marmont? Teraz żyła naprawdę, mogła posmakować wolności, sukcesu, szacunku, twórczego spełnienia, mogła mieć nawet nadzieję na miłość. Całe to bogactwo miało swoją cenę. Jeśli Hollywood oznaczało śmierć pod zwałami makijażu, w Nowym Jorku codziennie czekało na nią lustro powiększające. A mimo to Marilyn nie chciała niczego zmieniać.

*Dwanaście*  
**W szuwarach**



„Tego lata Marilyn odpoczywała, chroniąc się w oazach przyjaźni i względnego spokoju”.  
FOT. BARON/GETTY IMAGES



Próbuję zostać artystką, staram się być prawdziwa i czasami mam wrażenie, że znalazłam się na skraju szaleństwa. Próbuję wydobyć najprawdziwszą część siebie, a to jest bardzo trudne.

*Marilyn Monroe*

**U**lokowawszy się wśród Strasbergów, Marilyn coraz rzadziej widywała się z Greene'ami. „Teraz tylko od czasu do czasu wpada tu z Nowego Jorku. Myślę, że Josh za nią tęskni – mówiła Amy w wywiadzie dla «Photoplay». – Ja zresztą też”.

Gdy Milton i Amy wrócili z Włoch, Marilyn spotkała się z nimi przy basenie w domu Richarda Rodgersa w Connecticut. Niemal chłopięca, z włosami krótszymi niż kiedykolwiek dotąd pozowała Miltonowi, wznosząc toast papierowym kubkiem, bawiąc się czerwono-białym dmuchanym kołem, obejmując nadmuchiwanego żółtego kucyka, tuląc czarnego szczeniaczka, całując go w nos i pieszcząc jego maleńkie białe pazurki.

Krem do opalania. Basenowe zabawki. Chlor na rozgrzanej skórze. Plastikowe szklanki z whisky i piwem imbirowym, nieustanne brzęczenie os. Na dalszym planie ciemna zieleń, czarne choiny na tle ognistego różu chylącego się ku zachodowi słońca. Milton i Marilyn wesoło niczym dzieci ochlapujący się wodą. I ten smutny, dławiący uścisk w gardle zamiast lekkiego musowania. Ich przyjaźń za chwilę miała się zmienić, a oni oboje mieli tego świadomość.

Arthur Miller sprawił, że stosunki między nimi stały się napięte. Lekcewał go jako modnych bywalców salonów, oni zaś uważali go za pozbawionego poczucia humoru pedanta. Gdy Milton starał się podtrzymać kontakt przy drinku, Arthur odpowiadał mu monosylabami albo – co gorsza – wygłaszał wykład z teorii społecznej. Milтона drażniło ego Millera i jego „posepny intelektualizm”.

„Wierzę w rzeczy ponure, a nie w różową mgielkę” – pisał Arthur do Marilyn, jakby to było coś właściwego. Marilyn wierzyła w różową mgielkę. Wierzyła w Cope, różowe słonie, cyrk, Deana Martina w Friars Club i taniec z Trumanem Capote w Elmo. Z Arthurem nie mogła się tak bawić. To był związek wagi ciężkiej, brakowało mu tej naturalnej radości, jaka pojawiała się w jej relacjach z Miltonem, gdy zaśmiewali się jak nastolatki albo pędzili autostradą z górą pierzastych boa i biustonoszy na tylnym siedzeniu samochodu. Czy Arthur potrafiłby się upić i przypiąć spinkę psu Sammy'ego Davisa Juniora? Ależ skąd.

Gdy jeździli rowerami po Brooklyn Heights, nie robili tego z radosnym dziecięcym zapamiętaniem. Ich przejażdżki miały zawsze rys doniosłości, powagi. Bądź co bądź Arthur nazwał ją najsmutniejszą dziewczyną, jaką zna, i w zamyśle miał to być komplement. „Sądziłem, że jest bardzo poważna – to dlatego, że ją kochałem” – powiedział. Bycie „poważną dziewczyną” stanowiło klucz do utrzymania miłości Arthura. Nic dziwnego, że w jego towarzystwie Marilyn rzadko się śmiała.

„Na wsi zwykle się bawiliśmy – mówił Milton, wspominając szczęśliwsze czasy. – Jej śmiech był pełen szczęścia, jak u małej dziewczynki. Ale kiedy zaczęła się spotykać z Millerem, o, to już zupełnie inna bajka. Trzeba się było zachowywać inaczej. No wiesz, trzeba było być innym”.

Zaalarmowana Amy zauważyła, że Marilyn i Arthur coraz bardziej zbliżają się do siebie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że jej przyjaciółka miałaby poślubić snoba, który z dumą twierdził, że „wierzy w rzeczy ponure”, i nie miał garnituru. Z rosnącym niepokojem

patrzyła, jak Marilyn zaczyna traktować Arthura niczym jakiegoś mędrca czy guru. „Za każdym razem, kiedy się spotykali, Arthur zjawiał się z książką – albo dwiema – i chciał, żeby Marilyn ją przeczytała. Sama pytała: «Co mi przyniosłeś, Arthurze?». Było dużo Dostojewskiego – *Zbrodnia i kara*. Dużo Marksa, dużo własnej pisaniny. A także dużo Saroyana. Potem nagle zaczęły się te wielkie, poważne dyskusje na temat komunizmu. I bycia naturalizowanym obywatelem. Dla mnie cały ten kraj to coś więcej niż John Wayne – kocham go. Ale Arthur natychmiast zaczął to atakować, spychając mnie do defensywy. Byłam też młodsza, no i powiedzmy, że po przeczytaniu jednej książki Marksa zrozumiałam, że to, czego oni chcieli, to była absolutna fantazja, zupełny nonsens, dlaczego więc poświęcać temu tyle czasu? Wtedy po raz pierwszy poczułam do Millera urazę. Poza tym przekonałam się, że karmi Marilyn tym wszystkim na siłę, a ona nie może się odwrócić i powiedzieć po prostu: «Chwileczkę, co ty mi tu wmawiasz?». Arthur wciąż patrzył na Marilyn, jakby mówił: «Co ta kretynka wyprawia?». Spostrzegłam, że ten bóg nie jest bez skazy”.

Amy jeżyła się, kiedy Marilyn powtarzała idee Arthura jak własne: „Dwa dni później słyszałam, jak mówi coś, co Arthur powiedział przedwczoraj. Pytałam wtedy: «Co to? Dlaczego tak mówisz?». A ona na to: «Arthur tak powiedział». W końcu musiałam jej dać jasno do zrozumienia, że gównu mnie obchodzi, co powiedział Arthur. Ni stąd, ni zowąd stałam się gorącą patriotką – dałam jej Kartę Praw”. Nawet zawsze dobroduszny Milton czuł się poirytowany obecnością Arthura. „Nie było łatwo – stwierdził z westchnieniem – bo Marilyn w jakimś sensie do niego pasowała. Pasowała do Arthura Millera”.

Milton z własnego doświadczenia wiedział, co znaczy życie z chaosem, jaki tworzyła wokół siebie Marilyn. W Connecticut wprawdzie się powstrzymywała, ale jej apartament w Waldorf-Astorii był istnym pobojo wiskiem. „Tam zawsze panował bałagan – jęczał. – Nawet jeśli się po niej posprzątało, pięć minut później znów był chaos”. Zmoczony egzemplarz *W stronę Swanna* pod wanną, śliski od olejku do kąpielii, niezakrecone buteleczki Lustre-Creme, z których szampon wyciekał na płytki niczym rzadkie żółte ciasto. Marilyn była jak migotliwe tornado, ubrania wylewały się jej z szafy, nigdy nie rozpakowywała do końca walizek, łóżko zostawiała nieposłane, a pościel kłębiła się na podłodze. „To przez sposób, w jaki się rozbiera – usprawiedliwiał ją Milton. – Zamiast powiesić ubranie i je przewietrzyć albo włożyć do kosza na brudną bieliznę, rzucała je na podłogę. Tak samo wyglądała toaletka – wszędzie puder”.

Milton podchodził do tego ze spokojem i nawet schludna Amy nie dawała się zbić z tropu. Ale czy Arthur będzie w stanie znieść życie z Marilyn: dzwoniące wciąż telefony, dobijających się prawników, przypalone obiady – wyrzucane, a potem zamawiane na mieście („A do diabła!”), kolacje w Gino’s i drinki z Sinatrą w Subway Inn, rozpaczliwe wydzwanianie o czwartej nad ranem, bo zgubiła scenariusz, bilet na samolot albo denerwowała się jutrzejszymi zdjęciami.

Arthur był opiekuńczy, co Marilyn zawsze uwielbiała w mężczyznach. Miał też jednak głębokie poczucie, że wie, na czym polega jego przeznaczenie – był tu po to, żeby ją ocalić. Przed czym? Przed okropieństwem Hollywood? Sama się od niego uwolniła. Uczyła się, doskonaliła, była szczęśliwa. Jaki mroczny kształt dostrzegał w jej przyszłości?

Myślał, że zna „prawdziwą” Marilyn i wydobędzie ją z zalewu toksycznego blichtru. Był ślepy. Niewykluczone, że to był jedyny rok w jej życiu, kiedy Marilyn nie potrzebowała

ocalenia.

**T**ego lata Marilyn odpoczywała, chroniąc się w oazach przyjaźni i względnego spokoju. Jeśli nie spędzała czasu ze Strasbergami, w weekendy wybierała się do Rostenów, którzy oferowali jej bezpieczną przystań w swoim nadmorskim domu w Port Jefferson.

„Jako weekendowy gość – pisał Norman Rosten – dobrze się odnajdywała w naszej rodzinie”. Uwielbiała swój pokój („Niech będzie ciemny i żeby można w nim było oddychać”) i ogromną bibliotekę, jej chłodny zapach stęchlizny. Rostenowie rozumieli, że Marilyn potrzebuje przestrzeni, zostawiali ją więc na długie godziny zadowoloną, że może czytać i wyciągnąć się na siedzisku przy oknie, tuląc Bam-Moo, ich beagla. Wstawała późno, wbijała kilka jajek do gorącego mleka i potem szła na spacer z kotem Candy.

Wieczorami pomagała gotować: oczyszczała małże, płukała spaghetti, zawsze zrywała się, żeby pozmywać naczynia. Podnosiła kieliszki do światła, żeby sprawdzić, czy są czyste, a potem napełniała je Dom Pérignon. „Szampan i kawior stanowiły przeciwieństwo bezdomności – pisał Norman. – Każdy wyskakujący korek głośił: Spójrz na mnie, nie jestem porzuconym dzieckiem, nie jestem sierotą!”<sup>[74]</sup>. Pilnował, żeby w lodówce nie zabrakło różowych opakowań białego serka – ulubionej nocnej przekąski Marilyn.

Dni spędzane na plaży z Rostenami były pełne życia. Cała rodzina ładowała się do samochodu – parasole, koce, kosze piknikowe wypakowane krakersami, serem i oliwkami, bagażnik pełen szampana i piwa w suchym lodzie. Na plaży rozstawiali kramik: wetknięte w piasek pasiaste parasolki, koce i ręczniki zarzucone książkami i papierowymi kubkami. Hedda w różowym bandeau i dobranej do niego chuście grzebała w słomianej torbie w poszukiwaniu zapalniczki i paczki chesterfieldów. Marilyn w słomkowym kapeluszu i jednej z koszul Arthura kolejny raz czytała monolog Molly Bloom z *Ulissesa*. Przemierzała plażę, chrupiąc zielone jabłka i poprawiając wiązanie kostiumu. Czasami wsiadała do maleńkiej motorówki Normana albo chwytala dłoń jego dwunastoletniej córki Patricii i zaśmiewając się, biegły wśród fal.

Pod koniec lata Marilyn bardzo zbliżyła się z Rostenami, a zwłaszcza z Normanem. Na zdjęciach widać, jak razem dokazują – Marilyn w białych spodenkach frotté i górze od kostiumu w biało-czarną szachownicę, Norman w prążkowanych kąpielówkach i wymiętej szarej koszulce polo. Pozowała w piasku – z jedną ręką opartą na biodrze, a drugą na ramieniu Rostena, który otwierał piwo.

Marilyn rzadko wspominała Normanowi o aktorstwie albo Hollywood. Czasami towarzyszył jej na koncercie albo premierze, najlepiej jednak czuł się w towarzystwie zwykłej, wakacyjnej Marilyn – spacerującej boso po plaży w bluzce i rybaczkach albo pluskającej się wśród fal w idiotycznym białym czepku.

Jak wszyscy dobrzy przyjaciele mieli własny język. Sekretne narzecze, którym Marilyn porozumiewała się z Miltonem, obracało się wokół buntowniczych przebieranek i hollywoodzkiej wspaniałości; z Samem Shawem gadali głównie o nocnym życiu miasta i o sztuce; z Normanem wymyślali przezwiska i rozmawiali o poezji. Ona nazywała go Claude-Claude, samą siebie zaś: Noodle (Kluska), Clump (Kępka), Sugar Finny (Słodką Rybcią), Pussy (Kicią) albo Maxem. „Nadawała sobie urocze przydomki – pisał Norman. – Określające jej tożsamość. Niezwykle pociągająca cecha. Ten przezabawny mały chochlik



miał cudowne poczucie humoru”<sup>[75]</sup>.

Razem tworzyli Normalyn – to przezwisko ukuła w pierwszym liście, jaki do niego napisała, i ono figuruje w podpisie. Dzwonili do siebie codziennie, ale jeszcze częściej korespondowali – ten zwyczaj pozostał im do końca jej życia. (Marilyn pisywała zwykle nieregularnie – ogromnie ceniła listy od przyjaciół, często jednak nie odpowiadała na nie miesiącami, a nawet latami). Z Normanem to było proste – komunikacja za pomocą żartobliwych urywków przychodziła jej z naturalną swobodą. Marilyn znalazła u Normana empatię, zrozumienie, którego tak rozpaczliwie szukała. Wiedziała, że jej nie osądza – nawet w najgorsze dni, kiedy musiała pisać do niego na maszynie, bo tak bardzo trzęsły jej się ręce. Potrafił ją rozchmurzyć, polechtać jej ego. Teraz, latem 1955 roku, Marilyn napisała do niego najbardziej wzruszające słowa, jakie kiedykolwiek do kogokolwiek skierowała: „Tak się cieszę, że się urodziłeś i że żyję w tym samym czasie co Ty”.

„M oja żona uważała, że kochałem Marilyn – pisał Norman – ale przecież sama ją kochała. Jeśli miłość jest tą mocą albo obecnością, oboje ją kochaliśmy”. Hedda była współlokatorką Mary Slattery w Ann Arbor, więcej wspólnego miała jednak z Marilyn. Prawdę mówiąc, Arthur ubiegał się najpierw o względy Heddy – pociągało go jej spojrzenie łani i „wspaniałe ciało”, sposób, w jaki mknęła przez kampus w wykrochmalonych białych bluzkach, zatrzymując się, żeby komuś pomachać albo zapalić jednego z niezliczonych papierosów. Teraz, w wieku czterdziestu jeden lat, dorobiła się suchego kaszlu palaczki, wciąż jednak sprawiała wrażenie dziewczęcej w swoich szmizjerkach i zalotnych pantofelkach, które uwielbiała od czasów college’u.

Hedda tak samo jak Marilyn była neurotyczna, wesoła, bystra i odrobinę naiwna. Tego lata bardzo się do siebie przywiązały, razem gotując albo jeżdżąc do Sag Harbor, żeby obejrzyć rzeczy na wyprzedazy w Saks. Czasami wybierały coś dla Normana: dobrze skrojone koszule i czarne kaszmirowe pulowery. Pewnego popołudnia Marilyn zorientowała się, że potrzebuje więcej letnich sukienek – od tygodni nosiła tę samą ażurową, niebieską. Złapała sześć (w tym samym stylu, tylko w różnych kolorach) i pobiegła do przebieralni z zaafetowaną sprzedawczynią depczącą jej po piętach. Dziewczyna rozpięła jej sukienkę, a Marilyn stała naga i spokojna niczym „Wenus wyłaniająca się z tej słynnej muszli”<sup>[76]</sup>. Zaczęła mierzyć wszystkie po kolei, wesoło gawędząc z zaszokowaną sprzedawczynią o pogodzie i o tym, co się nosi tego lata. Czyżby w Saks nie wolno było mierzyć sukienek nago? Nieważne. Marilyn kupiła wszystkie sześć.

Wieczorami chodziły na spacer. Marilyn – z włosami wepchniętymi pod chustkę w czerwony wzorek, w białych kłapkach frotté i bluzce bez rękawów, z czarnego włoskiego lnu, zapiętej na guziki z macicy perłowej – ścisnęła przyjaciółkę za rękę. Hedda była krągłym małym ptaszkiem w kocich okularach i baletkach, a zapiaszczona Patricia szła boso.

Później grały w badminton, Marilyn zaśmiewała się z lotki. Dzieci ją uwielbiały. „W jej towarzystwie było wesoło – wspominała Patricia Rosten – bo łamała zasady. A dzieci kochają być z dorosłymi, którzy umieją sobie na to pozwolić. Kiedy Marilyn mnie dotykała albo przytulała, czułam ciepło i łagodność (czy ośmieliłabym się użyć w odniesieniu do niej określenia „macierzyńskie?”), które były bardzo kojące. To było tak, jakby opaść na kapę w kolorze szampana, która zdobiła jej łóżko”.

Marilyn podróżowała z niewielkim bagażem, ten sam robiony na drutach top nosiła tygodniami, wkładając do niego szorty na plażę albo spodnie capri na wypady do miasta. Tazzczyła za to ze sobą cały zestaw kosmetyków do makijażu – ogromną metalową skrzynkę wypakowaną setką maleńkich buteleczek – choć w większości ich nie używała, ograniczając się do kremu przeciwsłonecznego i kilku kropli Chanel.

„Któregoś razu, kiedy do nas przyjechała – pisała Patricia wiele lat później – znudzona rozmową dorosłych zaczęłam się wałęsać po pustych pokojach. Kiedy przechodziłam obok sypialni Marilyn, zauważyłam ogromną skrzynkę na stole przy oknie. Wyglądała jak skrzynka na narzędzia. W przypiływie ciekawości i złych manier uniosłam wieko i zajrzałam do środka. Było w niej pełno kosmetyków – szminek, kredek do oczu, tubek z tuszem do rzęs, pędzli, podkładu do makijażu scenicznego w sztyfcie. Zafascynowana mnóstwem słoiczków i puderniczek nie słyszałam zbliżających się kroków na dywanie w korytarzu. Marilyn przyłapała mnie i zareagowała, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Zanim zdążyłam poczuć się speszona, powiedziała, że skoro zaciekała mnie sztuka makijażu, pokaże mi, jak należy się malować. I przez jakieś dwadzieścia minut miałam wrażenie, że śnię, patrząc, jak jej zręczne dłonie przeobrażają moją dziecięcą twarz w coś, co nawet ja mogłam nazwać wspaniałym. Moje powieki błyszczały, kości policzkowe miałam podkreślone, usta zaróżowione. Pomyślałam, że można by mnie wziąć za siedemnastolatkę. Marilyn, niezadowolona z niepełnej metamorfozy, zajęła się też moimi włosami, które zwykle opadały w strąkach na ramiona. Upięła je w elegancki francuski kok. Była taka dumna ze swojego dzieła, że radośnie chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła do salonu, żeby pokazać dorosłym”<sup>[77]</sup>.

Bieda i zaniedbanie sprawiły, że Marilyn miała w dzieciństwie mało okazji do radości czy zabawy. Przechowywała jednak pieczołowicie w pamięci te, które się nadarzyły – czy były to psoty w sąsiedztwie zastępczego domu, czy wspólne fantazjowanie z dziewczynkami z sierocińca, czy po prostu chwile, gdy mogła się oddawać marzeniom i rysować. Nigdy nie otrząsnęła się z poczucia dziecięcego wyobcowania, zagubienia w świecie dorosłych, przekonania, że jej głos nikt nie słyszy. „Kiedy jesteś dorosła – powiedziała z westchnieniem do Patricii – bardzo trudno jest się bawić”.

**T**ego lata Marilyn poznała fotoreporterkę Eve Arnold. Spotkały się przypadkiem podczas spaceru na plaży w Port Jefferson. „Zobaczyłam Normana Rostena nadchodzącego z blondynką, w zapadającym zmierzchu miała światło za plecami” – pisała Eve wiele lat później. Z trudem rozpoznała Marilyn, która bez swojej satyny i makijażu, z włosami niczym wata cukrowa, pełnymi soli i piasku, sprawiała wrażenie „małej i odległej”. Ku zdumieniu Eve Marilyn zaproponowała, żeby następnego dnia poszli razem popływać. „Wyglądało to na spotkanie towarzyskie” – zapamiętała fotografka<sup>[78]</sup>.

Miała rację. Kiedy się pojawiła, zobaczyła Rostenów wyładowujących skrzynki szampana z samochodu. Niewielka grupka przyjaciół rozkładała koce. Marilyn jak zwykle nigdzie nie było widać.

„Wyczułam poruszenie wśród tłumu zgromadzonego na plaży – pisała Eve. – Ludzie odwracali się, żeby popatrzeć na Marilyn schodzącą powoli w dół klifu od strony łąki nad naszymi głowami. Miała na sobie bikini: obcisłe spodnie z białej tkaniny balonowej

i trójkątną górę – miseczki, przymocowane do wąskiej tasiemki, ledwo zakrywały piersi, a całość trzymała się na cienkich ramiączkach. Na głowę włożyła ogromny słomkowy kapelusz, na nogi wojskowe buty”<sup>[79]</sup>.

To był upalny weekend i na publiczną plażę wyległy tłumy. Przez chwilę wydawało się, że jest spokojnie. Towarzystwo Marilyn wygrzewało się na słońcu i piło szampana. Ona sama grała w softball z pięcioletnim synem Eve. Przyjaciele Normana stali po kolana w wodzie, paląc papierosy. Nieopodal przechadzał się fotograf z „Port Jefferson Times” z aparatem Speed Graphic przewieszonym przez ramię. Zatrzymał się, zmrużył oczy i odszedł powoli, mrużąc: „To nie Marilyn Monroe”.

Dwóch nastolatków brodziło w wodzie. Zauważyli Marilyn i popędzili z nowiną. W ciągu zaledwie kilku minut zaroilo się od młodzieży – dziewczęta piszczały, chłopcy szaleli, dzieci machały kamykami i kawałkami węgla drzewnego, żeby dostać od Marilyn autograf.

„Marilyn, wyglądasz niesamowicie!”

„Marilyn, co powiesz na całusa?”

„Marilyn, jesteś moją ulubioną gwiazdą!”

„Marilyn, widziałem wszystkie twoje filmy!”<sup>[80]</sup>

Śmiała się razem z nimi, podpisywała kamienie dla najmłodszych. Dotykali jej ramion i talii, piszczeli i krzyczeli, otaczając coraz ciaśniejszym kręgiem, gdy cofała się w stronę wody. Pomachała im przestraszona i zaczęła płynąć, a dziesiątki młodych wielbicieli ruszyły jej śladem.

Norman popłynął za nią, gdy nastolatki okrążyły ją niczym rekiny. „Kika osób z naszej grupy wyprawilo się w morze – pisał później – próbując ich od niej odciąć. Wciąż jednak ją nawoływali, była otoczona”. Jedną ręką chwycił ją za ramię, drugą zaś odpychał natrętów. „Spadajcie!” – wołał. Powoli wpłynęli na zimniejszą, głębszą wodę i Marilyn przestała się ruszać.

„Wracaj i pozwól mi umrzeć” – powiedziała słabo.

Nadpłynęła motorówka z ostrzyżonym na rekruta dzieciakiem przy sterze. Norman pierwszy wdrapał się do łódki, a potem przez burtę wciągnął bezwładną jak kłoda Marilyn. „Patrzyłem, jak leży wyczerpana, z podkulonymi nogami, jej różowe paznokcie lśniły w promieniach słońca – wspominał Norman. – Chłopak też wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany, zapomniawszy o sterze. Zdążył wykręcić dwa kółka, zanim się zorientowałem, co się dzieje”. Norman zaczął krzyczeć na dzieciaka, Marilyn jednak go powstrzymała: „Nie denerwuj się, to cudowny weekend!”<sup>[81]</sup>.

**Ó**w dzień ugruntował zaufanie Marilyn do Eve, która wycofała się, nie nalegając na zdjęcia. Umówiły się na sesję w weekend przed Świętem Pracy<sup>[16\*]</sup>. Znowu miały się spotkać w letnim domu Rostenów i Eve martwiła się, czy znajdzie choć skrawek pustej plaży. Pewnie można by było na to liczyć o świcie, wiedziała jednak, że nie ma sensu dzwonić tak rano, żeby wyciągnąć Marilyn z łóżka. Ostatecznie zdecydowała się na opuszczony plac zabaw w leżącym wśród bagien miasteczku Mount Sinai.

Przez cały weekend Eve nie udało się zmobilizować Marilyn. Za każdym razem, kiedy dzwoniła, ta zbywała ją mglistym „jutro” i zgodziła się na zdjęcia dopiero w święto. Gdy Eve

zjawiła się u Rostenów, Marilyn wciąż siedziała przy lunchu, ledwo skubiąc biały ser, pograżona w rozmowie z Heddą. Potem zaczęła panikować w związku z włosami, makijażem, nie wiedziała, jakich akcesoriów będzie potrzebować i które kostiumy kąpielowe zabrać. Wreszcie ściskając pod pachą *Ulissesa*, wskoczyła do samochodu Eve.

Dotarły do Mount Sinai o siedemnastej – akurat żeby złapać magiczną godzinę. Pracowały szybko, by wykorzystać ulotne złote światło. Plac zabaw, huśtawki, perłoworóżowe paznokcie u stóp. Leciutkie oparzenie słoneczne na nosie. Marilyn, przycupnięta na drabinkach i zatopiona w lekturze *Ulissesa* albo patrząca prosto w obiektyw z brodą opartą o książkę, przypominała nieco Molly Bloom. W tym samym kostiumie w czarno-białą szachownicę, który nosiła całe lato, usiadła ze skrzyżowanymi nogami i *Ulisesem* na podolku, czarne buty odrzucone na bok, włosy jeszcze krótsze niż zwykle. Otworzyła książkę na końcu, na ostatnich liniijkach, i wyszeptała do siebie cicho: „a serce biło mu jak szalone i tak powiedziałam tak chcę. Tak”<sup>[82]</sup>.

Przykucnąwszy w samochodzie Eve, Marilyn zmieniła kostium na jednoczęściowy, w lamparcie cętki. Ogromnie spodobał jej się pomysł lamparcicy w szuwarach. Bagna były muliste i szlamowate, ale Marilyn taplała się w błocie, bawiąc się jak dziecko. Chichotała, pełzała wśród trzciny i kiwała palcem do obiektywu, gdy Eve odskakiwała, próbując nie zamoczyć aparatu.

„Zabawnie było patrzeć i podążać za nią” – wspominała fotografka oczarowana jej odważnym humorem i uwodzicielskim zmysłem zabawy. Marilyn jak zwykle reżyserowała swój show. „Nad wszystkim panowała, sama nadawała styl i tempo, a ja tylko szłam za nią, modląc się, żebym zdążyła uchwycić jej wyglupy”<sup>[83]</sup>. Skradała się przez moczary, jakby podchodziła ofiarę, a słońce chyliło się ku horyzontowi, rzucając cienie choin na pociemniałe trzciny. O zachodzie Marilyn była roześmiana, pokryta błotem i wyczerpana.

Wróciły do Rostenów na ostatnią letnią ucztę, choć Marilyn oznajmiła, że jest na diecie, i jadła wyłącznie biały ser. Tej nocy wszyscy kąpali się nago w świetle księżyca. Tylko Marilyn została w kostiumie.

**K**ilka dni później Marilyn zadzwoniła do Eve o czwartej rano. Za sześć godzin miała lecieć do Illinois na uroczystość ku czci Abrahama Lincolna – czy Eve chciałaby się wybrać razem z nią? Na wpół przytomna, ale zaintrygowana Eve powiedziała: tak. Kto mógłby odmówić Marilyn?

Plan podróży był wyczerpujący: samolot do Chicago, dwie godziny przerwy, samolot do Champaign, przejazd kawalkadą do Bement, wszystko to w ciągu piętnastu godzin. Po co fundować sobie coś takiego dla jakiejś małomiasteczkowej imprezy? Marilyn widziała to inaczej. Jej sympatia dla zwykłych Amerykanów była równie szczerą jak miłość do Abrahama Lincolna. Czyż mieszkańcy Bement nie mieli prawa do sztuki i kultury? Cywilizacja nie była domeną wyłącznie manhattańskiej klasy wyższej. Dla Marilyn to była sprawa znacznie szlachetniejsza niż najbardziej reprezentacyjne tournée i warta podjęcia wysiłku.

Zjawiły się na lotnisku LaGuardia tuż przed świtem. Eve była wykończona, Marilyn za to śmiała się i żartowała z Jimmym Haspielem i Szóstką Monroe, którzy przyjechali metrem, żeby popatrzeć, jak odlatuje. W niebieskiej ażurowej sukience, białych szpilkach Ferragamo,

z włosami świeżo roztrzepanymi przez Pete'a Leonardiego zachowywała się figlarnie specjalnie dla paparazzich, skakała jak fryga i gawędziła ze wszystkimi. Poza ogromną skrzynką z kosmetykami nie miała żadnego bagażu, tylko wielką książkę dla dzieci: *Lincoln: A Picture Story of His Life*. (Żarcik z wizerunku słodkiej idiotki – książka dla dzieci zamiast dwutomowego dzieła Sandburga, które właśnie czytała). Tuż przed odlotem Pete dał Jimmy'emu kosmyk platynowych włosów Marilyn.

Podczas pierwszego lotu Pete czesał jej włosy, a ona pisała przemówienie. Następnie rozłożyła stolik, wyjęła skrzynkę z kosmetykami i odsunęła czerwone zasłonki, żeby wykorzystać naturalne światło. Z łokciami opartymi o blat spoglądała w lustro powiększające, obrysowując dolne powieki, żeby stworzyć złudzenie cienia; jej tanie klipsy ze sztucznymi perełkami lśniły w słońcu. Wyszczotkowała rzęsy i pociągnęła je tuszem, powtarzając szeptem przed Eve swoje przemówienie. „Nasz ukochany zmarły prezydent – zachwycała się później Eve. – Brzmiało to tak, jakby właśnie umarł Eisenhower”<sup>[84]</sup>.

„Całą drogę nie traciła ducha – pisała Eve – ale kiedy dotarliśmy do Bement, czuła się wykończona”<sup>[85]</sup>. Miejskowa prasa, radio i telewizja były w stanie gotowości, a na każdym przystanku czekali śliniacy się paparazzi. Eve stanęła na straży przed toaletą na lotnisku. Marilyn miała problemy z nerkami i brała tabletki moczopędne, ale w całym tym podnieceniu zostawiła je w Nowym Jorku. Teraz, po przylocie, miała opuchnięte kostki i stopy. Gdy dotarła do Bryan Cottage, domu, w którym Lincoln debatował ze Stephenem Douglasem, była wyczerpana. Poprosiła o miednicę z wodą, żeby wymoczyć stopy, zrzuciła pantofelki i padła.

Peter zasnął – osunął się na podłogę w okularach przeciwsłonecznych i oparł głowę o krawędź łóżka. Ktoś załatwił miednicę i Marilyn, mocząc nogi i przegryzając białe winogrona (naturalny środek moczopędny), zaczęła odzyskiwać siły. Zregenerowana, zdjęła sukienkę, żeby Eve mogła ją wyprasować, poprawiła makijaż i powtórzyła przemówienie. Wprawdzie włosy miała straszliwie potargane, ale pozwoliła Pete'owi spać, włożyła krótkie czarne rękawiczki i – jak to potem ujęła Eve – „ruszyła naprzód, by dzielnie «nieść masom sztukę»”.

Mimo zgryźliwości Eve Marilyn dobrze się bawiła. Wygłosiła przemówienie, sędziowała w konkursie na najwspanialszą brodę, a ponadto obejrzała łany pszenicy, mapy rzek i wypchane niedźwiedzie. Wkrótce zapadła noc i nadszedł czas powrotu.

Tymczasem nad prerią zerwał się wiatr. Ich maleńki samolocik w Champaign nie mógł wzbić się ponad nawałnicę i wyglądało na to, że noc spędzą w Bement. Marilyn odchodziła od zmysłów. Była wyczerpana: opuchnięte kostki, żadnego bagażu i ani jednej tubki kremu Laszlo, maszynki do golenia, buteleczki Chanel No 5. „Wyglądała na tak zdruzgotaną, że postanowiłam interweniować – wspominała Eve. – Z Chicago na pewno wciąż latały samoloty, a to zaledwie sto trzydzieści kilometrów stąd”. Czy nie znalazłby się samochód, który zabrałby ich na lotnisko? Było już jednak po dwudziestej pierwszej, czy jeszcze coś odlatywało do Nowego Jorku?

Marilyn trzęsła się w azurowej letniej sukience. Eve zdjęła swój kardigan i zarzuciła go jej na ramiona. Pete zajął się logistyką – zadzwonił do Chicago i znalazł samolot, w którym zgodzono się zarezerwować dla nich miejsca. Gubernator użyczył im swojego oficjalnego samochodu i w eskorcie motocykli wyruszyli autostradą na lotnisko.

Gdy dotarli na miejsce, samolot czekał na pasie. Minęła dwudziesta trzecia, światła były pogaszone, pasażerowie spali. Marilyn, potykając się, weszła na pokład – przemoczony kot w wymiętej ażurowej sukience, opuchnięta, ze skórą przesuszoną od tyłu lotów i braku snu. „Nikt jej nie rozpoznał – wspominała po latach Eve. – Włosy miała splątane. Wyglądała jak zwykła zmęczona dziewczyna”<sup>[86]</sup>.

Była druga, gdy wylądowali w Nowym Jorku. Zanim się rozstały, Marilyn zarzuciła Eve ręce na szyję, dziękując, że przywiozła ją do domu.

**M**iędzy Strasbergami a Rostenami lato Marilyn upływało wśród szczeniaków, przyjęć z grillem, rejsów łódką i wycieczek rowerowych. Czasami jednak Norman dostrzegał jej smutne spojrzenie – w jednej chwili bawiła się na ganku z beagle’em, w drugiej nieobecny wzrokiem wpatrywała się w siatkę albo oparta o drzewo z roztargnieniem machała rakiетką do badmintona, marszcząc brwi na wspomnienie jakiegoś niewidocznego demona. W takich momentach starał się powiedzieć coś, co by ją rozbawiło, a potem szli razem do domu na drinka z Heddą.

Skąd ta ucieczka w głąb siebie, skąd niepokój? Skąd powolny zwrot w stronę melancholii, coraz większa powaga? Po wielu miesiącach niepewności przyszłość w końcu zaczęła się rysować w jaśniejszych barwach. *Słomiany wdowiec* dał Marilyn kartę przetargową. Wokół MMP znowu podniósł się szum i pojawiły się fascynujące nowe oferty. Po latach upokorzeń Marilyn nareszcie zdobywała przewagę. Czy nie o to jej chodziło?

Pozycja aktorki w wytwórni się umocniła. Weekendy w mieście spędzała na przyjęciach, popijając screwdrivery z papierowych kubeczków Dixie i dzieląc się kurzymi udkami z Mikiem Gazzo. Gdy tylko mogła, wpadała do Martin Beck Theatre, żeby obejrzeć Eliego w *Herbaciarni „Pod Księżycem”* i powyglądać się z nim za kulisami. Chodzili do Jim Downey’s na kolację i drinka, czasami dołączał do nich Arthur Miller. Marilyn, która zawsze czuła się swobodniej w towarzystwie przyjaciół niż kochanków, śmiała się i tańczyła z Elim, Arthur zaś obserwował ją w milczeniu, „przesuwając papierosa w zębach niczym pistolet”. Czasami wyciągała go na śniadanie do Strasbergów, gdzie trzymał się z boku, przygryzając fajkę. Nie znosił patrzyć, jak Marilyn siada u stóp Lee, a on gładzi ją po głowie, mrużąc: „Tak, skarbie” i: „Oczywiście, skarbie”.

Arthur żył w stresie. Paparazzi zaczęli podążać za nim krok w krok – nawet gdy jeździł na rowerze po Brooklyn Heights albo na ulicach Sheepshead Bay. Trwały prace nad wystawieniem *Widoku z mostu*, Marilyn jednak sprawiała, że nie potrafił się skupić.

Stawka była wysoka. Arthur dobiegał czterdziestki, a jego małżeństwo i kariera utkwili w martwym punkcie. Potrzebował zmiany. Marilyn stanowiła obietnicę szczęścia, może nawet twórczego impulsu. Rozstanie z żoną nie rozwiąże jednak problemów Arthura, tak samo zresztą jak późniejszy rozwód. Przez sześć lat związku z Marilyn wciąż będzie zmagał się ze swoją pracą, cierpiąc na długie okresy niemocy twórczej, i często po prostu nie będzie w stanie pisać.

Jeśli spodziewał się, że Marilyn zostanie jego muzą, był w błędzie. Nigdy nie pasowała do roli Żony Wielkiego Człowieka, jednej z tych znękanek, rozumiejących kobiet, które uśmiechały się z miłością, przypominały o kolacji i przyrządzały mięso z jarzynami. Marilyn sama była artystką i tak jak w przypadku wielu artystów to jej bliscy często musieli się nią

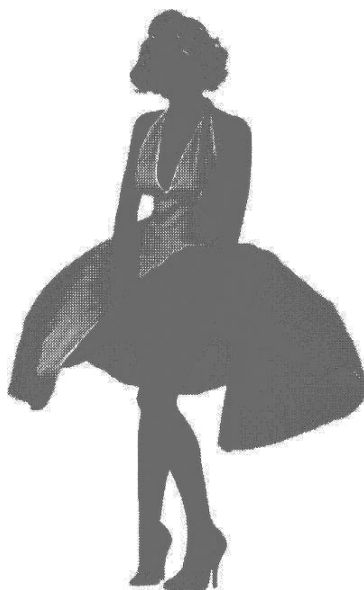
opiekować. Nie była typem kobiety, która inspirowała mężczyznę, gotowała trzydniowy obiad i kładła dzieci do łóżka. Nie używała budzika. Gotowała makaron suszarką do włosów. To był i zawsze będzie jej show.



*Trzynastcie*  
**Sutton Place**

Przejażdżka metrem, Nowy Jork, 24 marca 1955 roku.  
FOT. ED FEINGERSH/ARCHIWUM MICHAELA OCHSA/GETTY IMAGES





Nowy Jork jest teraz moim domem.

*Marilyn Monroe*

**W**e wrześniu Marilyn wprowadziła się do siedmiopiętrowego budynku bez windy przy Sutton Place. Jej luksusowy apartament w Waldorf-Astorii mocno nadwerężał finanse MMP, z chęcią więc zgodziła się na oszczędności. Swoją sypialnię w nowym mieszkaniu urządziła tak, żeby przypominała tę, którą właśnie opuściła: białe ściany, białe krzesła, różowa taftowa kapa, Abraham Lincoln nad łóżkiem. Na szczycie sterty książek zgromadzonych na nocnym stoliku ustawiła oprawioną w ramki fotografię Alberta Einsteina – wyglądał, jakby był jej bawiącym za granicą chłopakiem. Na ścianie powiesiła obraz autorstwa reżysera Jeana Negulesco i własny, prosty rysunek. Na podłodze w salonie leżały porozrzucane płyty: Sinatra, Bing Crosby (Arthura) i jej własne nagrania, takie jak choćby *Love Me or Leave Me*, 78 obrotów, z etykietkami wystukanyimi na maszynie. Okno wychodziło na East River, jej pepsi-colową rzekę, i wznoszący się wysoko 59th Street Bridge.

Ze swoimi niezwykłymi kwiaciarniami, eleganckimi butikami i kamienicami pełnymi Morganów i Rothschildów Sutton Place było znane jako Dzielnica Jedwabnych Pończoch i Marilyn szybko się tu zadomowiła. Realizowała recepty w Whelan's Drug Store, jadła lody kawowo-koniakowe w Maxfield's i robiła zakupy w sklepie na rogu, gdzie sprzedawano kawior, białe trufle i jaja przepiórcze. Można ją było zobaczyć, jak spaceruje Pięćdziesiątą Ulicą w trenczu zarzuconym na ramiona, chrupiąc popcorn, którym częstował ją jeden z Szóstki Monroe, albo wychyla się przez okno w błękitnym szlafroku, żeby popatrzeć na East River w świetle poranka.

Po wyprowadzce z hotelu Marilyn wreszcie zaczęła czuć się jak prawdziwa mieszkanka Nowego Jorku. Godzinami podziwiała dzieła Picassa w Modern albo przesiadywała nad waniliowym deserem lodowym z przyjaciółmi ze studia. Radości i poczuciu przynależności, które po raz pierwszy pojawiły się w jej życiu, udało się zagłuszyć stale towarzyszące jej trzaski lęku. Zadowolenie i bezpieczeństwo w życiu prywatnym sprawiły, że coraz mniej liczyła się dla niej opinia publiczna. „Szybko nauczyłem się przynosić jej «New York Times», bo tam nie było plotek – wspominał Jimmy Haspiel. – Gdy kiedyś wręczyłem jej gazetę, mówiąc: «Pisze o tobie Earl Wilson», ona podniosła rękę, wnętrzem dłoni w moją stronę, i powiedziała: «To mnie nie interesuje, Jimmy». Zaczynała układać sobie życie”<sup>[87]</sup>.

Wszystkie te drobne przytyki, które tak raniły ją w przeszłości, teraz przestały ją obchodzić. Kiedy Judy Holliday sparodiowała ją w radiu, Marilyn czuła się na tyle pewnie, że w ogóle się tym nie przejęła. „Słyszałam, że się do mnie upodabniasz” – zażartowała, gdy kilka dni później wpadła na Judy, spacerując Piątą Aleją. Oczarowana Judy zaprosiła ją na herbatę do swojego penthouse'u w Dakocie<sup>[17\*]</sup>.

Następnego dnia Judy spędziła cały poranek, przekopując szafy, wyciągając coraz to nowe sukienki i odrzucając je z płaczem. „Wyglądam gruuubo” – zawodziła, obracając się i robiąc miny przed lustrem. Marilyn zjawiła się godzinę spóźniona, w starej bluzce bez rękawów, baletkach i wymiętej bawełnianej spódnicy z plamami tłuszczu. Miała widoczne odrosty, a na gołych nogach ślady ugryzień komarów i strupki. Jakimś cudem zapomniała ogolić pachy. Jej cera jednak lśniła, a westchnienie, jakie wydała zmęczona upałem, było jak pianka

*marshmallow*. Jej uroda rozdzierała serce.

Judy zrobiła gwałtowny wdech. Oto dwa tygodnie po jej radiowej karykaturze objawiła się przed nią rzeczywista Marilyn w całym swym niechlujnym pięknie. Pomimo szykownej, podkreślającej talię sukienki i fryzury prosto z salonu Judy nagle poczuła się zaniedbana. „Myślałam, że jestem prawdziwą kobietą – przyznała później – dopóki Marilyn Monroe nie przyszła do mnie na herbatę”.

Jesienią 1955 roku Sam Shaw, Norman Rosten i Eli Wallach – czy też Sam Spade, Claude-Claude i Bułeczka, jak ich nazywała – wyrosli na jej najbardziej zaufanych przyjaciół. (Dziwnym trafem przydomki, które nadawała Marilyn, zawsze pasowały. Marlon Brando nazywała Carlem, Paulę – Black Bartem, Lee – Wielkim Białym Ojcem. Nastoletnia Susie czuła się urażona, bo dla niej nigdy nic nie wymyśliła). W przeciwieństwie jednak do męskich, milkliwych mężów ci jej „bracia” byli ciepłymi, rozmownymi ludźmi, którzy pakowali kosze piknikowe i czytali wiersze. Rozumieli Marilyn, a zwłaszcza jej empatię rozciągającą się także na przedmioty nieożywione. (Sam Shaw: „Jeśli człowiek grzebał w sklepie ze starociami i nie spodobała mu się jakaś lampa, Marilyn mówiła, że jej się właśnie podoba, i kupowała ją, bo nikt inny jej nie chciał”). Kiedy zamawiała talerze szparagów z boczkiem z najwykwintniejszych restauracji albo dzwoniła o trzeciej nad ranem, żeby uskarżać się na swoją kotkę, reagowali na jej dziwactwa rozbawieniem.

„Nigdy nie wiadomo, kiedy zadzwoni w środku nocy, nie przedstawiając się – pisał Norman Rosten. – Jej cichego, pozbawionego tchu głosu nie sposób pomylić”. „Halo, to ja – szczebiotała do słuchawki. – Co porabiacie?” Albo: „Pomyślałam, że moglibyśmy coś spsocić”.

„Trzeba było dostosować się do jej pory – dodawał Norman. – Dla niej kwestia czasu nigdy nie była prosta: miała wbudowany własny zegar psychiczny. Czas Marilyn. Być może czas Einsteina”<sup>[88]</sup>.

Eli Wallach miał tak samo zwariowane poczucie humoru jak Marilyn. Kiedy Shelley Winters powiedziała mu, że Marilyn uwielbia Alberta Einsteina, kupił jego zdjęcie i podpisał: „Drogi Marilyn kochający Albert”. Zaśmiewała się z tego, oprawiła fotografię w srebrną ramkę i postawiła na swoim ukochanym małym fortepianie.

Przyjaźń z Wallachem nie opierała się jednak tylko na żarcikach – sięgała głębiej. Eli dostrzegał inteligencję Marilyn i podziwiał jej odwagę. „Wcale nie jest żadną głupią blondynką – mówił magazynowi «Cornet». – Jest dzielna. Nie sposób jej zresztą określić jednym słowem, jest wielowymiarowa”. Oboje martwili się, że ich zaszufadkowano – Marilyn jako słodką blond idiotkę, a Eliego jako krewkiego Włocha. Na warsztatach występował w jej obronie niczym starszy brat. „Jest inteligentna” – powiedział Maureen Stapleton na początku, kiedy jeszcze Marilyn zachowywała się nieśmiało. „Wiem” – zapewniła go Maureen<sup>[89]</sup>.

Eli był do tego stopnia pod wrażeniem profesjonalizmu przyjaciółki, że poprosił ją, żeby mu pomogła zredagować umowę. „Pamiętam, jak włożyła swoje małe okulary à la Ben Franklin, żeby przeczytać kontrakt. «Dobra – powiedziała – wykreśl punkt trzeci i czwarty. I dopilnuj, żeby wyraźnie określili miejsce nazwiska»”.

Uwielbiał Marilyn za to, że potrafiła tchnąć lekkość i zabawę nawet w najpoważniejsze

chwile. Pewnego razu wyglądali się wspólnie – Wallach w kostiumie Freuda – gdy Marilyn nagle spojrzała w górę i wyszeptała: „Eli, będziesz pracował przez całe życie”<sup>[90]</sup>.

Na warsztatach siadali sobie na kolanach albo podczas przerwy zrywali się i tańczyli Lindy Hop. Eli zabierał ją na Ulicę Swingu<sup>[18\*]</sup>. „Pewnego razu, kiedy szaleliśmy na parkiecie – wspominał Eli – spojrzałem na balkon i zobaczyłem Milтона Berle’a, Franka Sinatrę i Joego DiMaggio. Przełknąłem ślinę i powiedziałem, że nie mam ochoty bawić się dalej. Marilyn zerknęła w górę i się uśmiechnęła. «Do diabła z nimi, tańczmy!»”.

Wkrótce ich nazwiska zaczęły się pojawiać w rubrykach plotkarskich w całym kraju. „Annie, proszę – tłumaczył się Eli żonie – myśl o Marilyn, jakby była moją siostrą. Służę jej za przykrywkę, pomagam kryć Arthura”.

Przykrywka okazała się aż nazbyt skuteczna, bo plotkowali nawet niektórzy koledzy. „Szedłem Broadwayem za nią i Elim Wallachem – pisał Stefan Gierasch, jeden z członków studia. – Miała twarz wysmarowaną czymś tłustym i była ubrana niestarannie, ale ludzie i tak ją rozpoznawali. Wszyscy się zastanawiali, czy potajemnie widuje się z Elim, choć nikt nie wiedział niczego na pewno”<sup>[91]</sup>.

„Na szczęście nie byłem sławny – pisał Norman Rosten, który towarzyszył Marilyn na koncertach i premierach. – Byłem towarzyszem bezpiecznym, nierozpoznawalnym i nieprovokującym plotek. Choć może się to wydawać wspaniałe, to była ciężka praca. Jednej nocy siedzieliśmy w Carnegie Hall, ona w zabójczej sukni, ja w seryjnym garniturze, czekając, aż na scenie pojawi się znakomity pianista Emil Gilels. «Rozluźnij się – szepnęła Marilyn, śmiejąc się cicho, po swojemu – nie mają pojęcia, kim jesteś». Nie wiem, czy słówko o tym, że jest na sali, przedostało się za kulisy, ale Gilels grał jak natchniony. W przerwie podszedł do nas ktoś z personelu i poinformował, że pani Gilels, która siedziała w łoży po przeciwnej stronie, chciałaby poznać Marilyn. Marilyn wzięła mnie za rękę (bała się, że zrejteruję) i odprowadzani przez spojrzenia połowy holu poszliśmy do łoży, gdzie pani Gilels gawędziła z niskim, bardzo skupionym człowiekiem. Okazało się, że to pan Gilels. Marilyn przedstawiła mnie jako swojego «przyjaciela poetę», ja zaś robiłem, co w mojej mocy, żeby wyglądać jak najbardziej poetycko. Gilels powiedział: «Musi pani kiedyś odwiedzić Rosję. Wszyscy chcieliby panią poznać». A ona odparła: «Ogromnie bym chciała i pewnego dnia to zrobię. Teraz czytam Dostojewskiego». Odwróciła się do pani Gilels, która sprawiała wrażenie, jakby znała ledwie tuzin słów po angielsku: «Pani mąż to wielki człowiek, musi być pani z niego dumna». Pani G. uśmiechnęła się uroczo. To był niezwykle doniosły moment w stosunkach międzynarodowych”<sup>[92]</sup>.

Następnego dnia rubryka plotkarska donosiła: „Marilyn Monroe uprawia poezję z Normanem Rostenem”. Norman jęknął. Hedda się roześmiała: „Dobrze, że nie co innego”<sup>[93]</sup>.

Daleka od wizerunku zdradzieckiej femme fatale Marilyn przyjaźniła się z całymi rodzinami. Była stałym gościem w domu Wallachów – wpadała na bajgle i rybę w galarecie, gawędziła z Anne przy kawie w kuchni albo opiekowała się ich synem Peterem. Obchodziła urodziny tego samego dnia co Edie, nastoletnia córka Sama Shawa, i któregoś roku dała jej w prezencie bilety do cyrku. „Marilyn była taka podniecona – wspominał Sam wiele lat później. – Włożyła spódnicę, luźną bluzkę, była bez makijażu, zawiązała chustkę na głowie niczym babuszka. Pamiętam, że Edie miała krótkie skarpetki oblamowane koronką, włosy

związane w kucyk i delikatne białe rękawiczki. Dwie dziewczynki – starsza i młodsza siostra”<sup>[94]</sup>.

„Troje Bliźniąt, którym pisane było spotkać się i bawić razem – zanotował Norman Rosten, mając na myśli Marilyn, Edie Shaw i swoją córkę Patricię, która obchodziła urodziny kilka dni wcześniej. – Edie i Patricia ledwie nastolatki, Marilyn dwudziestoparoletnia, wiecznie młoda”. Marilyn dawała Patricii różne ozdóbki i prezenciki, między innymi uroczą suczkę imieniem Cindy. Znalazła ją wałęsającą się na ulicy, na wpół zagłodzoną, ledwo trzymającą się na nogach. Z pomocą weterynarza udało się ją odkarmić i Patty dostała suczkę na urodziny. „W oczach Marilyn, sposobie, w jaki chodziła, w jej psychice, a przede wszystkim w śmiechu czaił się swawolny duch dziecka – pisał Norman Rosten. – I to wewnętrzne dziecko zostało w niej do końca”<sup>[95]</sup>.

Po dziecięcemu emocjonalny był również stosunek Marilyn do własnych zwierząt, na których punkcie miała bzika. Tej jesieni adoptowała rudawą kotkę, która w tajemniczy sposób zaszła w ciążę już pod jej opieką. Marilyn obsesyjnie wręcz dbała o ciężarne zwierzątko, karmiła kotkę kawiozem, a jej pudełko wyścieliła koczykiem. Codziennie dzwoniła do Normana i Heddy, żeby przekazać im najświeższe wiadomości. „Kotka wygląda dobrze; zdaje się, że ciężko oddycha; nie jadła zbyt wiele; sprawia wrażenie apatycznej; zupełnie oszalała”. Norman zagroził, że zastrzeże numer, jeśli kocięta wkrótce nie przyjdą na świat. Marilyn sama pomagała kotce przy porodzie i w środku nocy zadzwoniła do przyjaciela: „Rodzą się! Kocięta! Szybko, łap taksówkę!”<sup>[96]</sup>.

Zawsze traktowała zwierzęta z taką samą empatią i troską jak ludzi. Kilka lat później adoptowała bassetta imieniem Hugo i bardzo przejmowała się jego nastrojami. Gdy wzięła sobie, że Hugo ma depresję, to Norman pomagał jej podawać mu whisky. „W tamtych czasach ludzie, przyjaciele, byli ze sobą bliżej. Do przyjaźni przywiązywano większą wagę”<sup>[97]</sup>.

Marilyn przez całe życie nazywała Normana Rostena swoim najbliższym przyjacielem. Rozmawiali o snach, poezji i sztuce. „Wspomniałem jej o dziale Rodina w Metropolitan Museum of Art – pisał Norman – bo wiedziałem, że jej się spodoba, a ona przez wiele miesięcy obiecywała, że pójdzie go obejrzeć. Pewnego dnia zadzwonił telefon. «Claude, jeśli ty jesteś gotowy, to ja też!»». Klasyczne zdanie w stylu Monroe – nieokreślone, poza czasem”.

Tego popołudnia w skrzydle z dziełami Rodina nie było zwiedzających i panowała w nim jakaś odświętna cisza. Marilyn spacerowała po przestronnych salach, chłodny marmur pasował do jej mleczonej bladości. Zatrzymała się przed *Pigmalionem* i *Galateą*, ale to *Ręka Boga* – wydobyta z kamienia wizja obsesyjnej miłości – sprawiła, że stanęła jak wryta. Obeszła rzeźbę na palcach, zsunąwszy okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa. Wzrok poważny i skupiony jak u dziecka. „To było inne marzenie, o miłości, szczęściu i kulminacji, marzenie, którego jej odmówiono – pisał Norman. – Stała porażona, z palcem przy ustach”<sup>[98]</sup>.

Jeszcze bardziej paradoksalne było to, że równie mocno zauroczył ją Francisco de Goya. W maju popędziła do Met na wystawę jego akwafort i rysunków – tym razem z Samem Shawem. Nerozpoznana wędrowała po salach, zatrzymując się, żeby obejrzeć z bliska czarownice i demony. Raptem odwróciła się do Sama: „Dobrze znam tego człowieka. Śnią się nam te same rzeczy. Takie sny nawiedzają mnie od dziecka”<sup>[99]</sup>.

Pragnąc się dowiedzieć czegoś więcej, natychmiast kupiła biografię Goi. Gorzko się jednak rozczarowała – nie znalazła w książce psychologicznej głębi, której oczekiwała. Norman i Sam rozumieli jej rozżalenie. Wiedzieli, jak osobisty stosunek miała do sztuki – natychmiast uznała Goyę za pokrewną duszę. Zdumiewała ich złożona osobowość przyjaciółki. Eros Rodina i demon Goi współlistniały w jednej anielskiej istocie.

„Z Marilyn nic nie jest proste – mówił z zadumą Sam wiele lat po jej śmierci. – Nic nigdy nie jest proste”.

„Wybrała nas, bo mieliśmy rodziny – mówił Sam Shaw, mając na myśli Normana, Eliego i siebie. – Czowała się z nami bezpiecznie, nic jej nie groziło, nie było erotycznego napięcia”. Ale Marilyn nie potrafiła tak po prostu przestać flirtować – mówiła Normanowi, że go kocha, siadała Eliemu Wallachowi na kolanach, robiła dla Sama dziewczynskie albumy z wycinankami, w których rysowała kredkami serduszka („Wolałabym tańczyć z tobą, Sam” – nagryzmoła na jednej stronie). Przekraczała granice, nie potrafiła się przed tym powstrzymać. Pewnego razu, kiedy wybierała się na weekend do Los Angeles, wpadła na Eliego na lotnisku Idlewild. Czekał na samolot do San Francisco. Spytała, czy leci sam, a potem powiedziała: „Gdybyś mnie poprosił, poleciałabym z tobą”<sup>[100]</sup>.

„To była jedna z tych sytuacji, kiedy pomyślałem, że jest okrutna – stwierdził ich wspólny przyjaciel, który uważał, że Marilyn po prostu bawi się Elim. – Nigdy by z nim nie poleciała”.

Równie prawdopodobne jest jednak, że te słowa były podyktowane pragnieniem bliskości i ciepła, niechęcią do nudy, a także faktem, że Eli zawsze wydawał się Marilyn atrakcyjny. W końcu znajdował się na liście „pociągających mężczyzn”, którą swego czasu ułożyły z Shelley Winters. Relacje Marilyn z mężczyznami zawsze były lekkie i niefrasobliwe, zabarwione swawolnością i zabawą. Jack Garfein, jej kolega z warsztatów w Actors Studio, dobrze zapamiętał pewne popołudnie:

*Zadzwoń do mnie, mówiąc, że dowiedziała się od Strasberga, że potrafię wybierać ubrania dla kobiet, więc może poszedłbym z nią po zakupy. Odparłem: „Pewnie, dlaczego nie?”. Spotkaliśmy się więc, ruszyliśmy w drogę, zaczęliśmy rozmawiać i wyczułem, że mnie polubiła. W pewnej chwili powiedziała: „Weź mnie za rękę, Jack”. Odrzekłem: „Marilyn, jeśli wezmę cię za rękę, jutro będziemy na pierwszych stronach wszystkich gazet”. A ona na to: „Jack, nie bądź głupi, myślisz, że ludzie są aż tak zajęci mną i moim życiem? Daj spokój, mają własne sprawy (...). Chcesz, żebym zwróciła na siebie uwagę? Patrz, wejdę po tych schodach przy Carnegie Hall, stanę w pewien sposób i ludzie zaczną się zatrzymywać i mówić: «O, cześć, Marilyn!»”. Powiedziałem: „No cóż, jesteś bardzo skromna i miła, ale wybaczone, nie sądzę, żeby tak się stało, kiedy wezmę cię za rękę”. Odparła: „W porządku, chodźmy do baru kawowego. Usiądziemy przy kontuarze, zamówimy kawę i jeśli nikt mnie nie rozpozna, przestaniesz być taki głupi i weźmiesz mnie za rękę?”. Weszliśmy więc do baru, usiedliśmy i gość przy kontuarze podał nam kawę. Nikt Marilyn nie rozpoznał, nawet facet na wprost niej, ten, który serwował kawę. Dlatego kiedy wyszliśmy, wziąłem ją za rękę. Poszliśmy po zakupy, a ona oczywiście miała cudowne poczucie humoru. Roześmiała się, kiedy jej powiedziałem: „Marilyn, raptem rok temu się ożeniłem, nie szukam kłopotów”. I potem, gdy weszliśmy do sklepu, za każdym razem, kiedy mierzyła sukienkę, mówiła: „Jack, potrzebuję pomocy przy suwaku” albo „Jack, ktoś musi mnie zapiąć”, ale ze śmiechem. Wiedziała, co to dla mnie znaczy. To absolutnie nie było uwodzicielskie, to*

była raczej radość życia, jakby mówiła: „Baw się, Jack, zobacz, jaką możesz mieć z tego frajdę”. Przez większość czasu strasznie się trząsłem, a tu jak na ironię po tym wszystkim ona odprowadziła mnie do domu (...). I wyczułem, że gdybym ją zaprosił na górę, prawdopodobnie by weszła. Nie wiem, co by się stało – tego nigdy się nie wie – to właśnie jest takie cudowne w kobietach, które są szczerze i nie mają wyrzutów sumienia w stylu: „Och, zwiódłam go, to straszne, sprawiłam, że poczuł, że mógłby mnie mieć”. Trzeba wiedzieć, że w życiu można się też bawić i zabawą jest również to poczucie. Wyczułem to więc, ale zatrzymałem się i oświadczyłem: „Dobra, Marilyn, tu mieszkam i muszę już iść”. Roześmiała się, bo wiedziała, że jestem rozdarty, i to ją cieszyło. Powiedziała: „Zawołaj mi taksówkę”, więc jej usłuchałem i zatrzymałem samochód. Pocałowała mnie leciutko i odjechała (...). Uwielbiała tę tajemnicę między mężczyzną a kobietą.

Być może ciągle flirtowanie było dla Marilyn sposobem, żeby się chronić, rozdawać serce po kawałku, zamiast powierzyć je jednej osobie. „Pewnego wieczoru, gdy mieliśmy w domu przyjaciół – wspominał Norman Rosten – ktoś zaproponował, żebyśmy poczytali poezję. Pomysł był taki – puścić w obieg Whitmana i Yeatsa, niech każdy otwiera tomik na przypadkowej stronie i czyta. Gdy przyszła kolej Marilyn, otworzyła Yeatsa na utworze, który mógł jej podsunąć tylko los: *Całego serca nie oddawaj nigdy*. Przeczytała tytuł, zamilkła, po czym zaczęła czytać wiersz. Nie spieszyła się, odkrywała wers po wersie, pozwalała, żeby ją zaskakiwały, zatrzymywała się, ujęta ich absolutną prostotą i prawdziwością”.

*Bo rozkosz, której pragną tęsknie, / Jest tylko chwilą, która długo nie trwa. / Nie, od razu im nie dawaj serca...*<sup>[19\*]</sup>

„Gdy skończyła – zanotował Norman – zapadła cisza. Marilyn patrzyła w przestrzeń”<sup>[101]</sup>.

**Z** dała od zakazanej atmosfery hoteli Marilyn i Artur mogli się wreszcie odprężyć w domowym zaciszu. Chodzili do Rosten’s na dyskretne kolacje albo spędzali wspólnie spokojne wieczory w domu. Zaszokowany Jimmy Haspiel zauważył Marilyn taszczącą ze sklepu torbę pełne warzyw (szpinaku, marchewki, selera naciowego), chleba na zakwasie i kawałów parmezanu. Dla niej to nie były tylko składniki na niedzielną kolację – z natką, selerem i gomółkami sera wiązały się nadzieje i magia otaczająca nowy związek. Kulinarne próby Marilyn zwykle kończyły się chaosem. Mimo to się nie poddawała – wycinała przepisy z czasopism, zaznaczała strony w książkach kucharskich Fannie Farmer, upychała wystukane na maszynie listy zakupów w *Joy of Cooking*. Dzwoniła do Normana i Heddy, żeby przyszli przetestować jej wytwory: dziwne potrawy, dzikie omlety, miski pełne sosu z mięsem, które wrzucono jakby po namyśle. Osobliwe sałatki: sałata lodowa z oliwą, ale bez octu albo niekiedy sam ocet ze strzępkami sałaty. Zdarzało się, że łączyła proste składniki, na przykład groszek z marchewką – przypominało to trochę jedzenie początkującej aktorki albo dziecka. Jeśli potrawa była zbyt pikantna, brała suszarkę do włosów i strumień powietrza kierowała na garnek, okraszając odrobiną fantazji nieznośną zwyczajnością. Tak jak wielu artystów Marilyn bolało porzucanie marzeń i powrót do rzeczywistości. Dlatego, choć zmagiała się z rzeczami najprostszymi, udawało się jej przyrządzać rewelacyjną zupę bouillabaisse.

Tej jesieni Marilyn wydawała swoją pierwszą proszoną kolację. Ekscytowała się tym przez wiele dni, notując przepisy i listy zakupów na paragonach, hotelowej papeterii

i w reklamowych notatnikach City Title Insurance. Smażyła pieczarki na maśle, obwiązywała bażanty, siekała orzechy włoskie z natką, moczyła bagietki w zimnej wodzie na farsz. Zamówiła kwiaty u florystki Judith Garden, tort u Greenberga i popędziła do Bloomingdale po sztucce, szkło i dwa tuziny kokilek. „Przez dwa dni nie zajmowała się niczym innym – wspominał Arthur Miller, który obserwował, jak zdesperowana Marilyn odmierza szklanki tartego sera i łyżeczki oregano. – Nigdy nie widziałem nikogo tak przejętego zwykłą kolacją. Prawdę mówiąc, wszystko było przesadzone, zbyt oficjalne, zbyt pedantyczne i zbyt dopracowane”<sup>[102]</sup>.

Gotowanie, ciche kolacje, ograniczenie wyjść do Copsy, a nawet rudawa kotka – Marilyn starała się prowadzić życie domowe. Chciała, żeby się udało. Wcześniej próbowała tego z Joem. Jak zwykle jej pragnienia były gorące, a marzenia wielkie – nie potrafiła mieć realistycznych oczekiwań. Nie zamierzała stać się panią domu – chciała być Hestią, boginią domowego ogniska. Poznała przepisy na wszystkie ulubione potrawy Arthura, krochmalila mu koszule, wstawiała do wazonów świeże kwiaty – wzięła nawet lekcje układania bukietów! Stawiała na stole świece w zabytkowych świecznikach, podawała francuskie wino. „Będę go traktowała po królewsku” – przyrzekała. Nieustanne zaloty, zamki na lodzie.

Nie wyszło. Życie domowe do niej nie pasowało. To kariera była tym, co nadawało jej istnieniu strukturę. Wspólna codzienność działała na jej umysł otepiająco lub sprawiała, że kurczył się z obawy. Przenosząc się od Greene’ów do hotelu Gladstone, potem do Waldorf-Astorii i wreszcie do przytulnego mieszkania przy Sutton Place, Marilyn odkryła, że trwałość budzi w niej niepokój i pewniej czuje się wśród chaosu. Nigdy jednak nie zaprzestała prób stworzenia domu i wówczas, w Nowym Jorku, była tego bliższa niż kiedykolwiek.

**P**od koniec września żona Arthura wyrzuciła go z domu, zamieszkał więc w hotelu Chelsea i jeszcze mocniej zbliżył się z Marilyn – otworzyła się przed nim bardziej niż dotąd, wciąż znajdując w kochanku zainteresowanego, obdarzonego żywą wyobraźnią słuchacza. Arthur, który tak jak Marilyn głęboko sympatyzował z najsłabszymi, zaczął się z nią utożsamiać. Przemawiała do niego zwłaszcza jej pozycja ofiary nieprzyjaznego, purytańskiego społeczeństwa. Sam na co dzień zmagał się z cenzurą, HUAC i zmiennymi sympatiami opinii publicznej. W owym czasie oboje z Marilyn znajdowali się w podobnej sytuacji – byli bożyszczami, a zarazem wyrzutkami w kulturze napędzanej strachem.

Najlepsi przyjaciele Marilyn reagowali na jej bezbronność współczuciem, nade wszystko jednak podziwiali jej siłę. Milton, Norman, Eli i Sam nigdy nie postrzegali jej jako ofiary. „Na początku może i można by było użyć tego słowa. Niskie zarobki, praca do późna, eksploatacja – pisał Sam Shaw. – Ale Marilyn się nie poddawała”. Zamiast skupiać się na jej mocnych stronach, Arthur fetyszyzował jej słabości, zadręczając się obrzydliwymi, najmroczniejszymi szczegółami wyzysku, jakiemu podlegała w Hollywood. „To twoje przeszłe cierpienia szanuję – pisał w jednym z wczesnych listów – a nawet chylę przed nimi głowę”.

Stare rany uwodzą, a jeszcze bardziej ich wspomnienie. Arthur miał obsesję na punkcie dawnych kochanków Marilyn, a także koncepcji grzechu, do której stale odwołuje się w swojej korespondencji. „Grzeszyłem, Marilyn – pisał. – W żadnej mierze nie jestem lepszy



od Ciebie. Mogę nienawidzić wszystkich mężczyzn, z którymi byłaś, ale nie mogę nienawidzić Ciebie”.

Dla Arthura swoboda seksualna wiązała się z bezbronnością – a bezbronność była największym afrodyzjakiem.

Tak jak wielu pisarzy Miller miał pewną skłonność do rzeczy ponurych i makabrycznych. Woń śmierci wabiła go niczym ponętna mgielka perfum Shalimar. Gdy w Waszyngtonie spotkał młodą wdowę wojenną, poczuł do niej mistyczny pociąg: „otarcie się o śmierć sprawiło, że każdym fibrem pożądała życia, rozkoszy cielesnej, sytuacji na granicy katastrofy”<sup>[103]</sup>. Kobieta wyznała mu, że sypia z przypadkowymi marynarzami. Na korzyść Arthura przemawia fakt, że jej nie potępiał – podniecały go „niebezpieczny seks i jej rozpacz”. Zamiast wzdrygać się na myśl o jej przeszłości, upajał się dreszczykiem dekadencji, namiętności i transgresji – wszystkim, czego sam nigdy nie zaznał – z drugiej ręki. Fantazjował na temat uprawiania z nią seksu i natychmiast podzielił się tym z żoną.

Mimo całej swej wrażliwości Miller potrafił być niewiarygodnie tępy, jeśli chodzi o kobiety. Fakt, że to niefrasobliwe wyznanie zniszczyło zaufanie jego żony, naprawdę go zaszokował.

Arthur miotał się między idealizowaniem kobiet a odwracaniem się od nich, gdy ośmielały się nie spełniać jego oczekiwań. Tak jak Marilyn miała być jego szlachetną boginią, tak Mary Slattery była niewzruszoną opoką. Spodziewał się, że jego „chłodna i opanowana żona” potraktuje ów incydent jako „przyczynę do wiedzy o męskiej głupocie”. Co gorsza, „przesadna i niemądra” reakcja Mary osłabiła „ślepe” zaufanie, jakie w niej pokładał.

Oczywiście wybitny dramaturg ma prawo do „męskiej głupoty”, ale zazdrość Arthura w stosunku do Milтона Greene’a nie znała granic. A choć nigdy nie miał za złe Marilyn jej seksownych strojów czy kariery, podejrzliwość wobec jej przyjaciela przybrała zatrważające rozmiary. W ciągu dwóch lat Miller doprowadził do rozstania Marilyn z Greene’em, niszcząc najważniejszą przyjaźń w jej krótkim życiu.

Ze wszystkich mężczyzn w blond orbicie Marilyn Milton był jedynym, który nigdy jej nie onieśmielał, zawsze słuchał, nigdy nią nie dyrgował, a co najważniejsze – nigdy jej nie lekcewał. Wiele lat później Lee Strasberg przekona Marilyn, żeby nie brała ról, którymi była zainteresowana: w filmie *Rain*, a nawet w *Braciach Karamazow*. Wciąż uważał, że nie jest gotowa. A Marilyn, która potrafiła przez trzy godziny nakładać szminkę, bez szemrania się z nim zgodziła.

Nie wiadomo, czy Arthur uważał, że Marilyn i Milton byli kochankami. Mimo to im częściej widywała Arthura, tym rzadziej spotykała się z przyjacielem.

Joe nigdy nie czuł się zagrożony przez Milтона Greene’a – ani przez żadnego z przyjaciół Marilyn. Choć zyskał sobie reputację człowieka, który przykuł ją do garnka spaghetti, w rzeczywistości miał bardzo luźny stosunek do tego, jak spędzała wolny czas. Jeśli już, był wdzięczny mężczyznom takim jak Sid Skolsky czy Sam Shaw – ludziom, którym ufał, którzy naprawdę troszczyli się o Marilyn i potrafili ją uszczęśliwić, a jemu na jakiś czas dawali od niej odetchnąć. Wręcz namawiał Sama, żeby zabierał Marilyn do sklepów ze starociami, by on nie musiał tego robić. Nigdy nie narzekał, że Marilyn tyle czasu spędza w Schwab’s z Sidneyem, wymieniając się plotkami i pigułkami (nazywał tych dwoje *pill-pals*, kumplami

od pigulek). DiMaggio miał staroświeckie poglądy na temat małżeństwa. Chciał, żeby jego dziewczyna była szczęśliwa, zajęta i bezpieczna, kiedy on będzie oglądał bejsbol, grał na wyścigach albo w karty. Miłość Joego była bezwarunkowa, nawet jeśli miała okazać się bezwarunkowością prymitywnie dosłowną. Mógł się krzywić w fotelu, oglądając bejsbol, a telewizor zagłuszał wołania rozczarowanej żony, ale kochał ją po prostu dlatego, że tak postanowił, i zamierzał kochać ją bez względu na wszystko. Teraz jednak Joe był na Sycylii z Shawami – pił mocne espresso (ograniczył burbona) i szukał swoich korzeni. Od czasu do czasu umawiał się z blondynkami o krągłych kształtach, które nieco przypominały Marilyn, ale koncentrował się przede wszystkim na samodoskonaleniu, choć wówczas tak tego nie nazywano. Wciąż mając nadzieję na pojednanie, notował uwagi dotyczące błędów, jakie popełnił w małżeństwie, tego, jak być lepszym człowiekiem i jak odzyskać Marilyn. „Zapomnij o ego i dumie” – nagryzmołił na tyle okładki „Sports Illustrated”. „Bądź ciepły, czuły i kochający. Bądź cierpliwy bez względu na wszystko. Pamiętaj – napominał się – to nie twoja żona. To wspaniała dziewczyna, a ty ją unieszczęśliwiłeś. Szczęście to twój cel – JEJ szczęście. Nie zapominaj, jaki się czujesz samotny i nieszczęśliwy – zwłaszcza bez niej”.

**29** września Marilyn wyłoniła się z kamienicy przy Sutton Place 2 w szarej bluzce, szarej spódnicy, dopasowanym pasku i w szarych czółenkach. Usta pociągnęła blad różową szminką, włosy zwinęła w maślany kok. O dziwo, miała w sobie coś z belferki. Tak naprawdę to nie był jej styl, ale Jimmy’emu Haspielowi, który akurat czyhał w pobliżu, wydała się „niewypowiedzianie piękna, po prostu niewypowiedzianie”<sup>[104]</sup>.

Tego wieczoru w Coronet Theatre na premierze sztuki *Widok z mostu* poznała rodziców Arthura Millera – Augustę i Isidore’a. Zachwyceni natychmiast zaprosili ją na obiad do swojego domu na Brooklynie. Marilyn, stara dusza, od razu zaprzyjaźniła się z Isidore’em. „Bardzo kochała ojca Arthura – wspominała Amy. – Miała na jego punkcie bzika. Jej entuzjazm był zaraźliwy. Kochała też moją teściową Celię. W ogóle ludzi w podeszłym wieku otaczała czymś na kształt czci”.

Marilyn zawsze łatwo zaprzyjaźniała się z teściami, dziadkami, pasierbami i zwierzętami – to raczej z codzienną zażyłością sobie nie radziła. Tymczasem Arthur popychał sprawę naprzód z zatrważającą prędkością. Ubrana w czarną bluzkę i szarą spódnicę Marilyn siedziała w kuchni nad talerzem barszczu, gdy usłyszała, jak Miller oznajmia ojcu: „To jest dziewczyna, z którą zamierzam się ożenić”.



*Czternastcie*  
**Baby Doll**

Z dziennikarzami na przyjęciu dla prasy z okazji premiery *Słomianego wdowca*, 21 Club, Nowy Jork, 1954 rok.

FOT. SAM SHAW/ARCHIWA RODZINY SHAW/GETTY IMAGES



Na ekranie całkowitej czerni pojawiają się /  
wracają sylwetki potworów /  
moi najwierniejsi towarzysze (...)  
a świat jest pogrążony we śnie /  
och, pokoju, potrzeba mi ciebie – /  
nawet jeśli jesteś pokojowym potworem.

*Marilyn Monroe*

**G**reenwich Village, jesień 1955. Taksówka z jednym kierowcą, dwoma aktorami, jedną butelką Dom Pérignon, paczką kubków Dixie i tajemniczą kobietą jechała powoli MacDougal Street. Kobieta w wymiętej sukience-halce, zielonym płaszczu przeciwdeszczowym i mokasynach z Saksa (bez pończoch) była Marilyn Monroe, ale czarna chustka na głowie i okulary przeciwsłoneczne sprawiły, że taksówkarz jej nie rozpoznał. Po prawej stronie Marilyn siedział John Gilmore, po lewej Ray Myers, jeden z młodszych uczniów w Actor's Studio, którego Lee wyznaczył dziś na jej opiekuna. Lee często „zatrudniał” swoich najmłodszych podopiecznych do pilnowania Marilyn – mieli dbać, żeby była zadowolona, (stosunkowo) zdrowa i trzymała się z dala od kłopotów.

Marilyn szepnęła coś do Raya, który wychylił się i zastukał w szybę.

– Pani chce pospacerować po trawie w Washington Square.

Zaczęło kropić – leciutko, ledwie mgiełka. Taksówkarz włączył wycieraczki.

– Po której stronie parku?

Marilyn zdjęła mokasyny i podała je Rayowi. John niósł szampana. Otoczona z obu stron szła boso po mokrej trawie ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach. Wybrała ławkę, a John otworzył butelkę. Ray zaczął szukać kubków w kieszeniach płaszcza. Marilyn żałowała, że nie mogą posłuchać Vivaldiego.

Powiedziała, że któregoś razu Arthur sztydził – co też ona może wiedzieć o Vivaldim. „Przecież, na litość boską, znam Vivaldiego” – wymamrotała, zaciskając w pięści dłonie ukryte w kieszeniach płaszcza. Spod okularów pociekły łzy. John próbował w deszczu zapalić chesterfielda, a Ray objął Marilyn ramieniem i poradził, żeby wzięła kilka głębokich oddechów (element Metody?). „Umiem oddychać” – powiedziała z westchnieniem, strząsając rękę Raya i sięgając po kubek.

Zaczęło padać mocniej, ich skóra i papierosy nasiąkały wodą, oni jednak wciąż napełniali kubki, zapijając seconal szampanem – przełamywali kapsułki i połykali maleńkie paciorki, które trafiały prosto do mózgu.

Ray chciał się schować przed deszczem. Dlaczego nie pobiegną na drugą stronę ulicy do kawiarni Rienzi? Ale Marilyn się nie zgodziła – ktoś mógłby im ukraść ławkę. Poza tym, co zrobią, jeśli w Rienzi jest pełno?

Zaczęła mówić o Joem i o klęsce, jaką ściągnął na nich *Słomiany wdowiec*. Joe chciał porządnej katolickiej żony, a nie jakiejś starletki, która „pokazywała swoje cholerne, prawie gołe krocze połowie Nowego Jorku”. Twarz jej pobladła: „Jak miałam go kochać, skoro nie chciała, żebyśmy była tym kimś, kim muszę być”.

Schyliła się, zbierało jej się na mdłości („Nie chcę wymiotować – co jeśli ktoś w to wdepnie?!”) <sup>[105]</sup>. Ray zerwał się, żeby pobiec po papierowy ręcznik do Rienzi – nareszcie miał powód! – a John siedział przemoczony w kurtce Brooks Brothers gotów tu i teraz rzucić się pod taksówkę, jeśli tylko Marilyn tego zażąda.

Moim ogólnego blasku życie Marilyn w Nowym Jorku wciąż rozdzierały wątpliwości związków przede wszystkim z Millerem. Sypiając z żonatym mężczyzną, znajdowała się w stanie permanentnej wewnętrznej wojny. „Nie znosiła określenia *homewrecker*<sup>[20\*]</sup>” – wspominała Amy Greene, która była świadkiem jej rozdarcia.

Zmagając się z coraz większym poczuciem winy, Marilyn potrzebowała powiernika. Tylko kto miałby nim być? Arthur sprawił, że Greene'owie zaczęli powoli znikać z jej życia. Lee Strasberga zupełnie nie interesowały problemy sercowe, a Susie była zaledwie nastolatką. Paula z rozkoszą godzinami rozprawiała o Arthurze, ale jej horoskopy, szklisty wzrok i głędzenie o „przeznaczeniu” pozostawiały mało miejsca na rozmowę o istocie problemu. Wszyscy zaś „bracia” Marilyn – Eli Wallach, Sam Shaw i Norman Rosten – byli żonaci. Kiepskim wyborem wydawał się zwłaszcza Norman – nie tylko znał Mary Slatter od lat, ale sam miał żonę, która mówiła po francusku, potrafiła przyrządzić beef bourguignon i organizowała eleganckie wieczory poetyckie. Jaki mógłby być jego stosunek do tej wstrętnej sprawy, widzianej z perspektywy ciepłego domowego zacisza w Brooklyn Heights?

Pewnego jesiennego wieczoru Marilyn wybrała się na samotny spacer brzegiem East River. Szóstka Monroe podążała za nią trop w trop, poważna i milcząca jak stado małych wilczków. Marilyn zatrzymała się, żeby ponad mroczną wodą popatrzeć na Queens z jego przemysłowym krajobrazem. Zauważył ją samotny policjant – zagubione kociątko jaśniejące w ciemnościach miejskiej dżungli. „Wszystko w porządku?” – chciał się upewnić. „Nie będzie miał pan nic przeciwko, jeśli chwilę z panem pobędę?” – spytała, unosząc wzrok. Policjant dotrzymywał jej towarzystwa przez ponad godzinę – usiedli obok siebie na ławce, rozmawiając – jak stwierdził Jimmy – „o życiu, o tym, co znaczy i dlaczego ludzie robią różne rzeczy”<sup>[106]</sup>.

Teraz, gdy zbliżał się moment finalizacji rozwodu z DiMaggiem, Marilyn zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełnia błędu. Czy związek z Millerem rzeczywiście da jej szczęście? To prawda, że Arthur uwielbiał „szczególną serdeczność”, jaką otaczała jego ojca – serdeczność, która przetrwała także ich rozwód. Podziwiał, że „potrafiła wejść do zatłoczonego pokoju i natychmiast instynktownie znaleźć osobę, która jako dziecko straciła rodziców albo przebywała jakiś czas w sierocińcu”<sup>[107]</sup>. Jeśli nauczył się od niej tej empatii, był to tylko odprysk. Dla Millera zasadnicze znaczenie miała lodowata obojętność, bez której nie mógłby żyć<sup>[108]</sup>. Gwałtowny temperament Joego sprawił, że Marilyn od niego uciekła, ale czy poza bezwzględnością opanowania, jaką przybierał Arthur, nie stanowiła jeszcze większego zagrożenia?

Amy Greene od początku nie lubiła Arthura, choć ze względu na przyjaciółkę trzymała język za zębami. Martwiła się, że Miller uruchamia w Marilyn najgłębsze pokłady niepewności związanej z brakiem formalnego wykształcenia. Zdarzało się, że Marilyn dzwoniła do Amy albo Normana ze słownikiem w ręce, panikując, że źle wymawia jakiś wyraz albo niepoprawnie go używa. Nawet na tym wczesnym etapie ich związku wyczuwała, że Arthur mógłby się jej wstydzić.

Niesforna inteligencja Marilyn stanowiła dla Arthura zagrożenie, podobnie jak silne emocje i chaos. Podziwiał u niej to, co nazywał naiwnością spojrzenia. Zachwycał się, że potrafi rzucić w kąt książkę, która jej nie stymulowała, ale równocześnie coś w nim krzywiło

się na ten widok. Arthur dostrzegał i odnotowywał w pamięci wszystkie intelektualne „wady” Marilyn – niechęć do „odpowiedniej”, linearnej lektury, niezdolność do „pozbycia się nieufności wobec fikcji”. Złościł się, gdy Marilyn zamykała książkę z hukiem, rozgniewana zwrotem akcji albo jakimś zdaniem. Zirykowało go nawet, gdy oburzyła się na nieprawdziwy, wręcz teatralny opis gwałtu w pewnej powieści i nie wiadomo dlaczego zdumiewało, że nie potrafi zrozumieć „ironii jako literackiego środka przy opisie upokorzenia, którego sama zaznała”. Marilyn zaczęła dostrzegać rysy na wizerunku swojego Abrahama Lincolna. I to ją przeraziło.

27 października rozwód z Joem DiMaggio stał się faktem. Minął dokładnie rok od chwili, gdy płakała na schodach przed sądem w Santa Monica – teraz w Nowym Jorku prowadziła zupełnie inne życie. Nastąpił nieodwołalny koniec. Wszystkiego: także tamtej Gwiazdki, gdy Joe zrobił jej niespodziankę w hotelu Beverly Hills, zapelniając lodówkę szampanem i obwieszając apartament światełkami. Joe zniknął, a wraz z nim słodki wermut, woda kolońska Bay Rum, jego miłość do lodów i dyskretnie ciepły stosunek do dzieci. „Kochał ją ponad wszelkie pojęcie – wspominał Sam Shaw. – Kochał, ale o tym nie powiedział”<sup>[109]</sup>.

**K**olejnym źródłem stresu była Komisja ds. Badania Działalności Antyamerykańskiej, która od stycznia prowadziła śledztwo w sprawie Arthura. W październiku zajęła się także samą Marilyn. Aktorka Diana Herbert wspomina, że któregoś razu zauważyła Marilyn – owiniętą w chusty i w okularach przeciwsłonecznych – nieopodal wejścia do metra przy Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy. Wstąpiły razem do małego ciemnego greckiego bistro na kawę i ciastko. Marilyn była straszliwie zdenerwowana. Cały czas wyglądała przez okno i w końcu przyznała, że wypatruje agentów. Diana się zaniepokoiła. Czyżby jej przyjaciółka przechodziła załamanie? (W rzeczywistości Marilyn miała rację, FBI ją śledziło). W nadziei, że odwróci jej uwagę, zaczęła opowiadać o swojej nowej diecie – była w ósmym miesiącu ciąży i dbała, żeby zapewnić dziecku odpowiednie składniki odżywcze. To wywołało dalsze lzy, Marilyn bowiem cierpiała na ogromnie bolesne ataki endometriozy i lato spędziła u ginekologów przy Park Avenue. Zwijając się z bólu, odchodziła od zmysłów podczas lektury tekstów medycznych – wyobrażała sobie, jak błona śluzowa macicy pustoszy jej ciało, aż wszystkie organy zlewają się ze sobą jak w jakimś makabrycznym horrorze. Co więcej, podejrzewała, że nie udałoby się jej utrzymać ciąży – kolejny problem w jej niepewnym związku z Arthurem. Nawet jeśli Arthur się rozwiedzie, nawet jeśli nie trafi do więzienia i nie zostanie deportowany, nawet jeśli zdecyduje się poślubić Marilyn (tyle tych jeśli), to co będzie, gdy zechce mieć więcej potomstwa?

Marilyn w pobliżu dzieci rozjaśniała się jak przed kamerą, roztapiała się i miękła, stając się jeszcze bardziej uroczą wersją siebie. „Przechodziła metamorfozę – wspomina jeden z jej przyjaciół. – Lekko odchyłała głowę w tył, opuszczała powieki, zwilżała wargi i zamieniała się w boginię, która z szerokim uśmiechem szeptała: «Czeeeeść»”. W Boże Narodzenie powiedziała Kitty Owens, że marzy, by adoptować sieroty – ile się da, z całego świata.

Ale jej stosunek do ciąży był ambiwalentny. Obawiała się utraty kontroli nad ciałem – bała się obwisłych piersi i dodatkowych centymetrów w talii. Endometrioza utrudniała zajście w ciążę, a ona miała za sobą już dość okropnych zabiegów chirurgicznych. Poza tym żyła w cieniu choroby psychicznej matki – choroby, o której wiedziała, że ma podłoże

genetyczne.

Ból fizyczny i niepewność w związku nie były dla Marilyn niczym nowym. Bezbronność często idzie w parze z zimną krwią, a ona miała obu cech pod dostatkiem. Potrafiła poradzić sobie ze wszystkim, jeśli czuła, że nic nie zagraża temu, co było dla niej najważniejsze – jej karierze. Tennessee Williams chciał, żeby zagrała w filmie na podstawie jego nowego scenariusza, *Baby Doll* – historii dziewiętnastoletniej młodej mężatki, dziewicy, która ssie palec, śpi w dziecięcym łóżeczku i działa odurzająco na mężczyzn. Marilyn liczyła, że dostanie główną rolę. Była idealną kobietą dzieckiem. Skrzyżowaniem Persefony, dziewczyny z rozkładówki i pastereczki ze slumsów.

W grę wchodziły jednak również inne czynniki. Ostateczna decyzja należała do reżysera – Eli Kazana, który wciąż był skłócony z Millerem. Poza tym żona Eli właśnie się dowiedziała, że w 1951 roku miał romans z Marilyn. Teraz Kazan co wieczór pisał do żony listy pełne skruchy, rozpaczliwie starając się zbagatelizować całą sprawę. Nie mógł nagle machnąć ręką i zatrudnić byłej kochanki. Tak więc wbrew nadziejom Marilyn i apelowi Tennessee Williamsa rolę dostała Carroll Baker.

„Jesteś za stara” – wypalił Kazan do Marilyn, angażując Carroll. Za stara, a może i za gruba. Tennessee chciał aktorki o pełniejszych kształtach, Kazan jednak głośno nalegał, żeby wybrano kogoś, „kto wygląda normalnie”. Carroll cieszyła się ze zwycięstwa, w okrutny i niezbyt subtelny sposób wytykając Marilyn wagę: „Był tam Tennessee Williams, który musiał mnie zaakceptować. Powiedział, że nie jestem dość gruba!”.

Straciwszy rolę w *Baby Doll*, Marilyn zaczęła się pogrążyć w niepewności. Nabrała zwyczaju kaszlenia w złączone dłonie za każdym razem, gdy wychodziła z budynku. Letnia opalenizna zbladła i teraz jej twarz sprawiała wrażenie wyblakłej, opuchniętej i zmęczonej. Mimo całkiem ładnej pogody Marilyn nosiła puchaty płaszcz z czarnej wełny, a do tego białe skarpetki, chustki w kropki i czarne babcine torebki, przez co wyglądała na zaniedbaną, zarazem żałośnię i dziecinnie. Jimmy widywał ją czasami, jak błąka się po Saks w okularach przeciwsłonecznych i workowatych czarnych spodniach, z twarzą wysmarowaną kremem – bez makijażu jej nos był czerwony jak u małego zwierzątka. Niekiedy spostrzegał ją w Whelan's Drug Store, gdzie przycupnięta w płaszczu zarzuconym na to, w czym się obudziła, wpatrywała się apatycznie w kawę. Widywano ją, jak wychodzi od doktor Hohenberg i zatrzymuje taksówkę na rogu Dziewięćdziesiątej Trzeciej i Lex albo w sklepie z alkoholami płaci czterdziestodolarowym czekiem za butelkę wina, które kosztowało dziesięć dolarów. (Wciąż utrzymywała się z kieszonkowego, które dostawała od Miliona – czterdzieści dolarów tygodniowo – i potrzebowała pieniędzy na drobne wydatki).

Wełniany płaszcz nosiła także wtedy, kiedy padało, sunąc po śródmieściu niczym przemoknięte czarne jagnię. „Pewnego wieczoru w tym wełnianym płaszczu przewędrowała dwadzieścia osiem przecznic w deszczu – pisał Jimmy Haspiel. – Gdy dotarła do domu, nasiąknięty wodą materiał ciągnął się za nią roziskrzonym chodnikiem. Sama Marilyn była przemoczona aż do alabastrowej skóry. Tył jej płaszcz wyglądał niczym tren złowieszczęj sukni ślubnej”<sup>[10]</sup>.

Pewnego razu Jimmy zauważył ją na rogu Lexington i Zachodniej Pięćdziesiątej Trzeciej, jak zmęczona i blada taszczy plastikowe torby z zakupami w swoim „miśkowym” płaszczu i czarnych czółenkach. Akurat przejeżdżał zapchany miejski autobus i wszyscy pasażerowie



wbili w nią wzrok. Następnego dnia Jimmy dopadł ją w Whelan's: Jak śmieli się tak gapić, cały autobus! Poza tym akurat wczoraj wyglądała „naprawdę okropnie”. „Cóż, Jimmy, nie przejmuj się tak!”<sup>[111]</sup> – zawołała rozdrażniona, przeglądając „Timesa”, którego jej przyniósł.

Sama się jednak przejmowała. Milton zaczął ją przyłapywać na tym, jak godzinami wpatruje się w lustro i obraca powoli, przyglądając się badawczo linii szczęki, powiekom, biodrom i podbródkowi. „Nigdy nie wypytywałem jej, co widzi, czego szuka, czym się martwi. Tylko raz spytałem: «Co będzie za pięć lat?»”. Sprawiała wrażenie znękaney. „Nie powinieneś myśleć w ten sposób – zawołała, obracając się gwałtownie. – Nie wolno tak myśleć!” Milton przeklął własną głupotę. „W Hollywood uważano, że kobiety w tym biznesie mają swoje pięć lat. Pięć lat, jeśli naprawdę o siebie dbają. To właśnie było jej pięć lat”.

Jak większość amerykańskich aktorek w latach pięćdziesiątych Marilyn martwiła się upływem czasu. Po czterdziestce jedyną godną możliwością było wycofać się albo zostać aktorką charakterystyczną. Wiedźmowatą starą panną, stateczną matroną lub żyjącą złudzeniami dziwaczką w typie panny Havisham. Kimś budzącym strach jak Joan Crawford albo litość jak Blanche DuBois. Marlene Dietrich i Katharine Hepburn mogły zachować swój wizerunek. Ich cięty język i kościste rusztowanie zdawały się zdolne przetrwać dziesięciolecia. Ale świeża cera Marilyn i jej błyszczące usta w przerażającym stopniu zależały od młodości. Jej głównym walorem wciąż był seksapil. Seksownej Marilyn udało się wyciągnąć z biedy małą Normę Jean i zdobyć miłość milionów fanów – jedyną, w którą naprawdę wierzyła. Chcieli symbolu, który znali i uwielbiali, a nie jakiejś pseudointelektualistki w lewisach. Chcieli hologramowej bogini i Marilyn czuła, że jest im to winna.

Dlatego prężąc się i machając, włączała to, co Capote nazywał wewnętrznym światłem prawdziwej gwiazdy. „Chcesz zobaczyć, jak jestem nią?” – pytała Susie Strasberg, idąc Dziewiątą Aleją w sportowych butach i dżinsach. „Chcesz ją zobaczyć?” – pytała Amy Greene, ściągając na Broadwayu chustkę z głowy. Albo na odwrót. „Nie, jestem Sheree North” – mogła powiedzieć, kręcąc głową, gdy jakiś nieznajomy zatrzymał ją, kiedy wracała od Strasbergów. Albo: „Nie, jestem Mamie Van Doren”. Jimmy – który często za nią łąził – nie znośli, kiedy to robiła. „Nie rozumiesz, że ci ludzie do końca życia będą opowiadać, że widzieli Mamie Van Doren na własne oczy i bije ona Marilyn Monroe na głowę?”<sup>[112]</sup>

Pewnego popołudnia Truman Capote pił z Marilyn w ich ulubionym chińskim lokalu przy Drugiej Alei. Jak zwykle na stoliku nie było zbyt wiele do jedzenia – tylko butelki nieschlodzonego wina Mumm's i szklanki z lodem. Marilyn wyglądała niezdrowo. Piła więcej niż zwykle. Po jej bladej twarzy błąkał się cień paniki.

Jeśli Marilyn wyglądała na umęczoną, miała po temu powody. Do stresu związanego z MMP dołączała konieczność zonglowania zbyt wieloma tożsamościami: była anielską kochanką dla Arthura, najlepszą uczennicą dla Lee, twórczą buntowniczką dla Milтона, boginią seksu dla swoich wielbicieli, wreszcie szanowaną aktorką dla prasy i prymitywów w Foksie. A gdzie miejsce dla Marilyn namiętnej studentki, czytelniczki, troskliwej przyjaciółki i oddanej swej pracy artystki?

Truman zamawiał właśnie trzecią butelkę Mumm's, kiedy Marilyn oddaliła się do toalety z puderniczką i szminką w dłoni. Zamknęła się w małym pomieszczeniu i stała nieruchomo, wpatrując się w obskurne lustro.

„Marilyn – zawołał Truman, gdy wróciła godzinę później. – Gdzie byłaś?!”

„Patrzyłam na Nią”<sup>[113]</sup> – odparła, uśmiechając się ustami pokrytymi grubą warstwą szminki Ruby Red Max Factor.

**P**rzy Central Park West bliskość zgęstniała w stopniu przyprawiającym o klaustrofobię. Strasbergowie załamywali się pod ciężarem własnej rygorystycznej komitywy, chłoscząc się nawzajem dysfunkcyjnymi reakcjami. Johnny kłął pod nosem, biegł do swojego pokoju i włączał głośno radio. Paula groziła, że się zabije albo – co gorsza – napisze książkę, w której ujawni wszystkie pokrętne rodzinne sekrety. Lee dusił w sobie emocje, trzaskał drzwiami i z wściekłości dostawał krwotoków z nosa. Susie tak jak Lee kierowała swój gniew do wewnątrz. Gdy sytuacja stawała się nie do zniesienia, zamykała się w szafie i darła zębami nocne koszule. Nawet Sweetie Pie, najbardziej neurotyczny kot w Ameryce, cierpiał na agorafobię – godzinami kulił się ze strachu w szafie na płaszcze, mając nadzieję, że ktoś się nad nim ulituje i rzuci mu kawałek jagnięciny.

Paula podsłuchiwała. Zaczęła od Lee, uznała bowiem, że to konieczne, skoro nigdy nic jej nie mówił. Potem zaczęła szpiegować wszystkich: Susie, Johnny’ego, prawdopodobnie nawet Marilyn, choć ją tylko po to, żeby zdobyć pikantne informacje na temat Arthura.

Ponieważ zbliżała się premiera sztuki Susie na Broadwayu, Paula podsłuchiwała jeszcze częściej. Rozpaczliwie pragnąc, by jej córka odniosła sukces tam, gdzie jej się nie udało, opłakiwała koniec własnej kariery aktorskiej, którą poświęciła dla rodziny. Obwiniiała dzieci o to, że przez nie zaprzepaściła swoje marzenia – i figurę. Obok hasła „Każda emocja jest cenna” przyczepiła do lodówki jadłospis diety kliniki Mayo: białka jajek, stek i grejpfruty. Marilyn miała niewyszukany smak i naprawdę lubiła dietetyczne posiłki, tymczasem dla Pauli, która żyła dla sycących żydowskich zapiekaneek i grubo smarowanego masłem chleba, to była istna męka.

„Nie mam czasu, żeby się zadręczać” – lamentowała Paula, choć niestety mijała się z prawdą. Dramat stanowił istotę jej życia i każdy powód był dobry, żeby wpaść w histerię – lekcje tańca Susie, groźby Johnny’ego, że pójdzie na medycynę, wpisanie na czarną listę<sup>[213]</sup>, chroniczny ból stóp, książki i płyty, które namiętnie kupował Lee. Na wiele dni kładła się do łóżka i jęczała do słuchawki udrapowanego w czerń telefonu, wsparta na poduszkach niczym „mały Budda”. „Była sfrustrowaną aktorką – pisała po latach Amy Greene – sfrustrowaną matką, sfrustrowanym wszystkim. To była nieszczęśliwa kobieta”<sup>[114]</sup>.

Milton przyznawał: „Marilyn uważała, że Paula jest cudowna, ale ja nazywałem ją wiedźmą (...). Dla mnie wyglądała jak tyłek czarownicy”.

Paula z pewnością nie zapewniała takiej stabilności jak rzutka i rozsądna Amy. Marilyn jednak polegała na Strasbergach, a oni z wielką radością udzielali jej wsparcia. „Była mile widziana w naszym domu nawet o piątej rano – pisała Susie. – Zawsze znalazło się tu dla niej łóżko i ktoś gotów ją przytulić”.

**J**ak wielu aktorów w owym czasie Marilyn była do pewnego stopnia uzależniona od farmaceutyków. Podobnie jak Shelley Winters realizowała swoje recepty w Schwab’s, zwykle łąpiąc po drodze koktajl słodowy. Na początku lat pięćdziesiątych barbiturany były

dość mocno rozpowszechnione, przynajmniej w przemyśle filmowym. „Wszyscy na tym lecieliśmy – pisał jej przyjaciel John Eula. – Czarne ptaszki na kopa, ptaszki na doła, niebieskie ptaszki na sen, ptaszki na lot ponad tęczę. Wszyscy nosili je ze sobą jak aspirynę”<sup>[115]</sup>. Na przyjęciach wystawiano całe miski – różowe tabletki seconalu i miętowozielone nembutalu oferowano niczym żelki. Ale Marilyn nie była imprezowiczką – jej nałóg miał niewiele wspólnego z nadętymi łowcami wrażeń z Doheny Drive, którzy wypielegnowanymi garściami czerpali barbiturany i benzodiazepiny z kryształowych czar. Marilyn łykała swoje tabletki samotnie, nocą.

Problem po części wiązał się z rygorami produkcji filmowej. Poziom energii Marilyn był zbyt niestabilny i podatny na wahania, żeby mogła wpasować się w sztywny plan pracy wytwórni. „Nie je, kiedy trzeba, często pół nocy siedzi i czyta albo uczy się roli – narzekał Billy Wilder. – A potem nie może wstać rano”. Konieczność stawienia się na planie o świcie wymaga dyscypliny, trzeba się zmusić, by iść spać bardzo wcześnie, a to niełatwe dla kogoś o skłonności do chorobliwego perfekcjonizmu i z chronicznymi problemami ze snem. Zdarzało się, że Marilyn nie kładła się przez długie godziny, rozrzucając scenariusze, rozpaczliwie wydzwanając do przyjaciół, żeby sprawdzić, kto nie śpi, mocno obrysowując oczy czarną kredką, a potem ścierając makijaż chusteczkami z tłustym kremem. Wreszcie pojawiała się spirala niepokoju. Wszyscy od dawna już śpią, a ona wygląda jak śmierć i zapomina swoich kwestii. O czwartej rano okazywało się, że albo znów nie zmruży oka, albo połknie seconal – tak czy owak, wstawała półprzytomna, z zapuchniętymi oczami. Tabletki kołysały ją do snu – w brzuchu matki albo w grobie.

Wydawało się, że w Nowym Jorku Marilyn nieco przystopowała z lekami, w każdym razie na jakiś czas. Milton łykał tabletki odchudzające i czasami uspokajające, ale nie więcej niż inni w ich środowisku. Greene’owie zdawali się mieć na Marilyn zdrowy, otrzeźwiający wpływ – chciała trzymać się w ryzach, zachowywać odpowiednio. „Kiedy z nami mieszkała – wspomina Amy – wcale nie chodziła naćpana”<sup>[116]</sup>. James Haspiel twierdził, że przez cały ten czas, kiedy widywał Marilyn w Nowym Jorku, nigdy nie była pijana ani nawet wstawiona. Milton jednak znał ją od innej strony. „Myślę, że w Marilyn coś narastało. Piła coraz więcej – wspominał Greene, który hamował ją podczas publicznych występów. – Mówiłem jej: «Naucz się rozsądku. Musisz się pokazywać przed obiektywem i musisz odpowiednio wyglądać. Ja stoję po drugiej stronie, więc pozwól, że to ja będę pił. Będę pił za nas dwoje». To jej się spodobało. Miała z tego frajdę”.

Tej jesieni coś się zmieniło, uwolniło wszystkie te okropne, przesycone lękiem przed samotnością myśli, które z takim trudem próbowała głęboko upchnąć. W sierocińcu jej sny były kolorowe, w baśniowych odcieniach szkarłatu i złota – odziani w purpurę królowie, połyskujący rycerze i perłowe małe księżniczki. Ale pod koniec 1955 roku pojawiły się koszmary, które przypominały sceny z Bruegla i Boscha.

Spisywała te swoje straszne sny i lęki, a miejski pejzaż wokół niej spowijał coraz większy mrok. Ukochana East River stała się dziwnie cicha – z wyjątkiem „odległego dudnienia”, „przeraźliwych wrzasków” i „grzmiących podmuchów rzeczy nieznanych”. Pisała o „ostrych dźwiękach” i złowieszczym „szepcie rzeczy”, które nie pozwalały jej spać. Jej sny były pełne „jęku większego niż smutek”, „krzyku rzeczy (...) zbyt wczesnego, aby go rozpoznać”<sup>[117]</sup>. Pomimo swoich sukcesów Marilyn czuła się jak „podczłowiek”, coś „ego”, paraliżował ją

syndrom oszusta. „Mam to uczucie – że rzeczy nie dzieją się naprawdę – pisała – ale że gram jakąś rolę – przez to czuję się winna”<sup>[118]</sup>.

Śniło jej się, że leży w szpitalu, czekając, aż otworzy ją „najlepszy z chirurgów” – Lee Strasberg. W tym śnie doktor Hohenberg podawała jej znieczulenie, Arthur zaś niepokoił się samotny w poczekalni. Hedda co godzinę wydzwaniała do szpitala, a Norman wpadał, „ale głównie po to, żeby pocieszyć Arta”. Najwyraźniejszą postacią był Milton Greene, życzliwy, ale daleki w swoim wspaniałym apartamencie – dzwonił, siedząc przy eleganckim biurku „bardzo zmartwiony”, a mimo to odprężony, a poza tym puszczał płyty, prowadził interesy i fotografował „ważne obrazy”.

Kiedy jednak Lee otworzył Marilyn, nie znalazł żadnych organów, tylko „drobno pocięte trociny – jakby wyleciały ze starej wypchanej lalki”. „Strasberg jest głęboko rozczarowany – pisała – (...) zdziwiony jako profesjonalista, że tak się pomylił. Myślał, że tyle tu znajdzie – więcej niż mógłby sobie wymarzyć u kogokolwiek innego, tymczasem nie było absolutnie nic – żadnego śladu ludzkiego życia i uczuć”. To był totalny koszmar – nadzieje, jakie Strasberg wiązał z Marilyn, legły w gruzach. Doktor Hohenberg porzuca wiarę w „ciągłą terapię psychiatryczną”. Nawet Arthur jest zawiedziony – nie ze względu na Marilyn, ale „ze względu na jego sztukę i pośrednio ze względu na siebie”<sup>[119]</sup>.

Zdarzało się, że Marilyn zapominała, ile tabletek wzięła, i wpadała w panikę – bała się, że umrze podczas snu. U Greene’ów Amy je dla niej liczyła, Arthur jednak miał słabe pojęcie na temat prosków uspokajających, barbituranów czy mocnych środków przeciwbólowych, które brała z powodu endometriozy. Poza tym zasypiał przed Marilyn, zostawiając ją samą ze zmartwieniami i farmaceutykami.

W takie noce brała taksówkę i jechała do Strasbergów w nadziei, że u nich znajdzie ulgę albo przynajmniej kogoś, kto dotrzyma jej towarzystwa. O trzeciej, czwartej czy piątej nad ranem (w koszuli nocnej Juel Park) dzwoniła do drzwi z szaleństwem w oczach. Pewnej nocy Johnny obudził się, słysząc, jak w otępieniu skrobie w ścianę i pełźnie po podłodze w wymiętej cienkiej koszulce. Ramiona miała pokryte niebieskimi siniakami – pobiła się w czasie snu. „Johnny, nie mogę spać” – wymamrotała, podchodząc chwiejnym krokiem do kanapy, na której zasnął. Oparła się o niego, przyciskając nagie ramię do jego barku, jej rozgrzana skóra pachniała jak masło irysowe z gorzką domieszką fenobarbitalu.

„Chyba jest za późno, żeby ich budzić, nie sądzisz? – wyszeptała. (Nigdy nie było za późno, żeby obudzić Lee i Paulę, gdy chodziło o Marilyn). – Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli tu sobie przez chwilę razem posiedzimy?”

Johnny się spał. Czy powinien pójść po rodziców? Będą bardziej źli, jeśli ich obudzi, czy jeśli tego nie zrobi? Siedzieli z Marilyn w milczeniu, powietrze było gęste od adrenaliny i leków. „Sytuacja, o której fantazjowały miliony mężczyzn, mnie przerażała (...). W tamtym momencie Marilyn była tak odurzona, że nie jestem pewien, czy wiedziała, gdzie jest”<sup>[120]</sup>. Gdy w końcu, zataczając się, wróciła do łóżka, Johnny odetchnął z ulgą.

Między Marilyn a Johnnym istniała szczególna więź – połączyła ich nieśmiałość, status outsiderów, buntowników i thunderbird, którego dała mu w prezencie na piętnaste urodziny. Niestety, zapamiętał ją tak jak wielu innych mężczyzn: dla niego była „piękną, zaćpaną i bezradną” Marilyn Monroe.

5 października 1955 roku na Broadwayu odbyła się premiera *Dziennika Anne Frank*. Zadanie doprowadzenia Marilyn do Cort Theatre Paula powierzyła Delosowi Smithowi i Marty'emu Friedowi. To był wielki dzień Susie i nic nie mogło go zepsuć. „Zabiję ją, jeśli się spóźni – zasyczała Paula, przynajmniej raz dopuszczając myśl, że mogłaby być z Marilyn niezadowolona. – Delos, ty jesteś za nią odpowiedzialny”.

Delos i Marty zjawili się w Sutton Place przygotowani, że zastaną Marilyn w wannie. Tymczasem ku ich zdumieniu czekała już gotowa do wyjścia, ubrana w prosty czarny strój. W rezultacie kiedy przybyli do teatru, personel dopiero zdejmował pokrowce z siedzeń. Paula posadziła ich na balkonie – wołała nie ryzykować. Wiedziała, że klasyczne wejście w stylu Monroe porwie publiczność i zakłóci przebieg spektaklu. Marilyn jednak nie błyszczała, trzymała się w cieniu. „Kiedy chciała – wspomina Delos – potrafiła odciągnąć uwagę od każdego. Wystarczyło, że zaczynała iść tym swoim krokiem, a ludzie zachowywali się jak świnie w rui. Ona tymczasem błyszczała. Myślałem, że może używa fluorescencyjnych kosmetyków (tak błyszczała) (...). Ale tego wieczoru stłumiła to światło”. Marilyn do tego stopnia była zdecydowana nie przyćmić Susie, że nawet nie wyszła na przerwę, tylko przesiedziała antrakt ukryta na balkonie z Martym i Delosem. Płakała przez całe przedstawienie i gdy aktorzy zeszli ze sceny, zarzuciła Susie ręce na szyję.

W garderobie panował typowy pospektaklowy zamęt: błyskające flesze, wieszaki pełne pasków, halek, boa ze strusich piór i wełnianych kamizelek. „Marilyn zachowywała się bardzo cicho – pisała Susie. – Fotograf z «Life» zrobił nam razem zdjęcie, ale poza tym przez cały czas starała się trzymać z tyłu”. Zdjęcie przedstawia je obejmujące się jak siostry, obie w czerni – Marilyn w jednej ze swoich wydekoltowanych sukienek na ramiączkach, Susie w aksamitnej kreacji pod szyję. Marilyn uśmiecha się jak dumna starsza siostra, Susie jaśniej z ogromnej ulgi.

Marilyn trzymała się na uboczu także podczas późniejszego przyjęcia w Sardi's. Nie usiadła nawet ze Strasbergami przy stole. Susie opadła na krzesło obok ojca, oparła łokcie o blat i zaczęła pochłaniać kanapki z szynką, pizzę, lody i sałatkę owocową. Nagle Marilyn zerwała się, podeszła do Susie i położyła jej ręce na szczupłych ramionach. „Czyż nie była cudowna? – zawołała do siedzącego z kamienną twarzą Lee. – Musisz być zachwycony!”.

„Nie – odparł Lee. – Ulżyło mi”.

*Piętnasćie*  
**Cherie**



„Marilyn ubrana w czarną obcisłą sukienkę pozowała z Marlonem Brando do zdjęć reklamowych przed nadchodzącą premierą filmu *Tatuowana róża*”.

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES



Jeśli o mnie chodzi, najbliższa szczęścia jestem wtedy, kiedy mogę realizować pewne rzeczy w swojej pracy.

*Marilyn Monroe*

O d czasu ucieczki z Los Angeles Marilyn tworzyła sobie sieć wsparcia, otaczając się ludźmi, którzy wierzyli w jej talent, inteligencję i głębię. Dla Rostenów, Strasbergów, Greene'ów, przyjaciół z Actors Studio była kimś więcej niż sumą wszystkich swoich ponętnych, cukierkowatych blond ról. Marilyn udało się pozyskać Nowy Jork, ale Hollywood wciąż pozostawało nieprzekonane.

Wszystko to miało się właśnie zmienić. Po sukcesie *Słomianego wdowca* Fox nie mógł dłużej zaprzeczać wartości Marilyn – wytwórnia chciała jej powrotu, pytanie tylko, za jaką cenę. Dla Marilyn sprawa była jasna: do niej należy kontrola artystyczna, ona zatwierdza reżysera i co najważniejsze, oczekuje szacunku.

Z ofertą zadzwoniła agentka Audrey Wood: „Mam pewien projekt dla twojej partnerki” – wyszeptła do Milтона, nie chcąc wymawiać imienia Marilyn, na wypadek gdyby telefony były na podsłuchu. Chodziło o filmową adaptację sztuki *Przystanek autobusowy* Williama Inge'a. Historia zaintrygowała oboje: niewinny kowboj i doświadczona życiem piosenkarka, która ucieka przed swoją przeszłością. Rola Cherie, z jej marzeniami o Hollywood i nieszczęśliwym dzieciństwem, idealnie nadawała się dla „nowej” Marilyn – była nawet lepsza niż seksowna, kempowa *Baby Doll*. Po raz pierwszy aktorka mogła zagrać prawdziwą kobietę, a nie sztampowego kociaka czy słodką idiotkę z filmów takich jak *Mężczyźni wolą blondynki* czy *Słomiany wdowiec*. Atrakcyjność Cherie była w kolorze przykurzonego miodu i miała w sobie niezłomność – tylko Marilyn mogła ją odpowiednio pokazać. Tym razem Fox proponował osiem milionów. Przez cały 1955 rok Marilyn nie miała pracy, nie było się więc nad czym zastanawiać. Milton był gotów zaakceptować ofertę od razu.

*Przystanek autobusowy* szedł akurat na Broadwayu w Music Box Theatre, główną rolę grała Kim Stanley. Marilyn, która nie mogła się doczekać, żeby się zabrać do pracy, zadzwoniła do Greene'ów i kupiła trzy bilety. Bardzo jej się spodobała brutalność, z jaką Kim zaatakowała rolę, i zahipnotyzowana patrzyła, jak zmienia się na scenie. Szybko jednak ogarnęła ją panika. „Uważała, że nie da rady, bo Kim tak dobrze poszło – wspominała Amy. – W powietrzu wisiał straszliwy brak pewności siebie”.

Milton zaciągnął ją do Music Box jeszcze trzykrotnie. „Trzy razy wracali, żeby obejrzeć sztukę – mówiła Amy. – I z każdym kolejnym spektaklem pewność siebie Marilyn rosła. Dostrzegła rzeczy, których Kim nie robiła, a ona mogłaby zrobić. W pewnym momencie Milton odwrócił się do Marilyn i powiedział: «To ty jesteś Cherie»”. Tym razem mu uwierzyła.

Stopniowo Marilyn zaczęła sobie uświadamiać, że ma to, czego wymaga rola. Metoda pozwoli jej się stać inną Cherie – mniej arogancką i bardziej bezbronną niż Kim. Ćwiczyła nosowy akcent z regionu Ozark i odkryła, że ma ucho do dialektu. Czuła pokrewieństwo ze swoją bohaterką, kobietą po przejściach, ale wciąż pełną głupiej, rozpaczliwej nadziei. Równie dobrze to Marilyn mogła śpiewać w podłych nocnych klubach, trzepocząc rzęsami do steranych życiem kowbojów, którzy przysypiali nad whisky albo piwem. Zaangażowanie Marilyn w rolę objawiało się niekiedy w dość niezwykły sposób. Pewnego razu w Whelan's,



podczas popołudniowej przerwy na kawę, którą piła w towarzystwie Jimmy'ego, nakrzyzczała na kelnerkę, kiedy ta chciała ponownie napełnić mu kubek: „Nie, nie. Proszę mu dać mleka, to dorastający chłopiec!”. „Minęło ćwierć wieku, zanim się zorientowałem, że to kwestia z *Przystanku autobusowego*”<sup>[121]</sup> – stwierdził Jimmy wiele lat później.

Podeksycytowany Milton, znów w twórczym żywiole, zorganizował sesję – nazywaną później *The Black Sitting* (czarną sesją) – zainspirowaną postacią Cherie. Pracowali przy niej w swobodnej atmosferze – Milton nadał jej ton za pomocą płyt z jazzem i kilku butelek alkoholu. Ponieważ było zimno, kupił Marilyn specjalne kabaretki z ocieplanymi palcami – wiedział, jak w studiu marzła w stopy. Obwiesił pracownię tkaniną, osiągając efekt „czarnej aksamitnej macicy”. „Wykupili całe zapasy czarnego aksamitu przy Siódmej Alei – żartowała Amy. – I mieli światła stroboskopowe – pamiętasz światła stroboskopowe? Czarny aksamit ma w sobie coś bardzo zmysłowego i bogatego. Spójrz na mnie, może i jestem dzieckiem ulicy, ale teraz jestem cała w czarnym aksamicie – ale!”.

„Początkowo mieliśmy to zrobić rano – mówił w zadumie Milton wiele lat później – ale Marilyn jak zwykle wciąż wszystko przesuwiała. Wieczorem była umówiona z Arthurem na kolację. W końcu przyszła i wypiliśmy drinka. Najpierw wódkę, a potem otworzyliśmy szampana. I po prostu rzeczy zaczęły się dziać”.

Pięć godzin i dwadzieścia osiem rolek filmów później Marilyn stała się Cherie. Udało jej się pokazać przygasałą zmysłowość swojej bohaterki bez śladu smutku. W czarnym meloniku, siateczkowym trykocie i z laską Marilyn była w połowie Marlene Dietrich, a w połowie burleskowym Chaplinem. Tyłem do kamery, w samych rajstopach, z czarnym pierzastym boa przydającym jej kabaretowego szyku, ze szklaneczką whisky balansującą na kolanie – zdjęcia z tej sesji mają czar, humor i otwartość z początków MMP.

Pomiędzy pracą z Lee a napięciami z Arthurem Marilyn w ciągu ostatnich kilku miesięcy nie miała zbyt wiele czasu dla Milтона. Ale teraz było jak za dawnych dni, kiedy biegła po jego pracowni w samym swetrze albo w rozpiętym baletowym tutu. „Nic, co się wydarzyło tego dnia, nie było zaplanowane – wspominał Milton, który uważał tę sesję za najlepszą w swojej karierze. – Kiedy to się zaczęło, a ona się wciągnęła, zapomniała o wszystkim: gdzie miała być, co miała robić. Tak dobrze się bawiła. Zdjęcia trwały aż do jedenastej wieczorem – zapomniała nawet o randce z Arthurem. Zadzwoiła do niego z pracowni, zdaje się, że już trochę pijana. Był zły, ale mnie to oczywiście nie obchodziło”.

W efekcie powstały fotografie ciepłe, pełne życia i bardzo filmowe. „Marilyn nie mogła w to uwierzyć. Strasznie jej się podobały. Daliśmy kilka odbitek Joshowi Loganowi, który stwierdził, że to najlepsze, co kiedykolwiek zrobiłem. Kilka dostał Arthur – nawet jego matka i ojciec byli zachwyceni. Ale on w ogóle ich nie obejrzał. Daliśmy mu tylko zbliżenia twarzy. Kto wie, czy widział resztę”.

Tej jesieni Marilyn spotkała się z Jimmym w Whelan's Drug Store. Miała ze sobą stykówki z sesji w szarej kopercie. Chcąc mu oszczędzić pikantniejszych szczegółów, kazała, żeby przez chwilę spoglądał w drugą stronę, po czym powiedziała: „W porządku, Jimmy, teraz już możesz popatrzeć”. „Odwróciłem się – wspominał Jimmy – i zobaczyłem nieoczekiwany widok: stykówkę, na której było może dziesięć ujęć, Marilyn przytrzymała łokciem, zasłaniając w ten sposób jedno, kciukiem drugie, a papierową serwetką kolejne zdjęcie! (...) Tak właśnie okazywała swą troskę, była odpowiedzialna, bo pozwoliła mi zobaczyć tylko te

«grzeczniejsze» fotografie».

Kipiąca podnieceniem i radością czarna sesja była formą uczczenia ich niedawnego sukcesu. Kiedy Milton i Marilyn robili coś razem, świat zewnętrzny przestawał się liczyć. Ważna była tylko ich wspólna twórczość, przyjemność, jaką czerpali z pracy – byli niczym dwoje kociąt bawiących się kłębkami wełny. Właśnie zdobyli znakomitą rolę, ocalili reputację i wygrali z Foxem, ale w głębi serca wciąż byli tylko dwojgiem bawiących się dzieci.

Przez cały ten czas Marilyn nadal była zaangażowana w pracę w Malin Studios i jeszcze bardziej zbliżyła się do koleżanek. Kim Stanley zapraszała ją na swoje kolacje, Maureen Stapleton z uwagą słuchała tego, co ma do powiedzenia. „Olśniewała, onieśmiała, mnie również – mówiła Maureen. – Była tak cholernie piękna. Prześliczna. Słodka. Onieśmielenie szybko ustępowało, bo bardzo się angażowała i chciała się uczyć. (...) Psioczę na moje wychowanie, smutną matkę, smutne ciotki, połowiczność pozbawioną mężczyzn, beznadzieję i brak perspektyw, ale przecież miałam miłość, wikt i opierunek, własny kąpiel i spokój, żeby marzyć. Marilyn nawet tego nie miała. Kiedyś mi powiedziała, że niewiele jej trzeba, że chce mieć własną sypialnię, własne łóżko i drzwi, które mogłyby zamknąć. No i trawnik. Trawę, żeby po niej biegać. Drzewa, żeby się do nich tulić, i kwiaty do zbierania. Nie miała nic prócz klejnotu, którym sama była, który każdy chciał posiadać, dotknąć, a gdy miał już dość, odłożyć”<sup>[122]</sup>.

Marilyn miała skłonność do przyjaźnienia się z dominującymi kobietami – od aroganckiej Elsy Maxwell po zadziorną, pyską Amy Greene. Ze swoimi szorstkimi manierami i gardłowymi głosami twarde babki ze studia, jak same siebie nazywały, natychmiast wzbudziły jej zainteresowanie. Marilyn lubiła, kiedy jej matkowano, a Stapleton często nazywano matką Actors Studio. Maureen wiedziała, że Marilyn zasługuje na coś lepszego niż rolę głupich blondynek. Jej zdaniem była zakładniczką swojego wyglądu. „Ja nigdy nie miałam takiego problemu – wspominała ze śmiechem wiele lat później. – Kiedy ludzie widzieli mnie na scenie, mówili: «Jezu, ta to lepiej, żeby potrafiła grać!»”<sup>[123]</sup>.

Późną jesienią Lee uznał, że Marilyn jest gotowa „zadebiutować” – dać krótki pokaz tylko dla członków studia. Wybrała scenę z *Anny Christie* i Maureen na swoją partnerkę. „To była niezwykle odważna decyzja – zdumiewała się po latach Maureen. – Mogła się zdecydować na rolę mniej znaną, żeby oceniano sam jej występ. Tymczasem w *Annie Christie* wcielało się tyle wspaniałych aktorek, łącznie z Gretą Garbo!”<sup>[124]</sup>. Zamiast opierać się wyłącznie na swojej urodzie, Marilyn zdecydowała postawić przed sobą wyzwanie, zdobywając w ten sposób szacunek Maureen.

Prawdę mówiąc, Marilyn była przerażona zadaniem, na które się porwała. Z charakterystyczną dla siebie mieszanką ambicji i strachu nalegała, żeby próby z Maureen odbywały się cztery razy w tygodniu. Zostawały po zajęciach i pracowały do późna, a potem razem brały taksówkę. „Proszę zawrócić – mówiła Marilyn kierowcy kilka przecznic od miejsca, gdzie mieszkała Maureen. – Musimy wrócić i zrobić to jeszcze raz”. Ćwiczyła z Normanem, Elim i Arthurem, zdarzało jej się nawet próbować późną nocą w parku z Samem Shawem. „Pracowała, aż dostawała migreny z wysiłku – wspominała Maureen – i nieraz mówiłam jej, żeby troszkę wyluzowała, nie przejmowała się tak bardzo sobą, ale nie potrafiła. Chciała, żeby traktowano ją poważnie, chciała zrobić wszystko jak trzeba”<sup>[125]</sup>.

W domu godzinami przesiadywała zwinięta w kłębek ze scenariuszem na kolanach, studiując nie tylko swoje kwestie, ale też charakter Anny. W opisie O’Neilla i dialogach znajdowała tak niewiele informacji – tylko piękna, złamana kobieta krążąca po dokach. Kim była? Marilyn uwielbiała ten rodzaj pracy. Rozmawiała o Annie z Arthurem i zadawała mu pytania: Jakiego końca pragnęła? Śmierci? Arthura uderzyło to, jak dobrze rozumiała swą postać: „Znakomicie wyczuwała, jaka to była dziewczyna”. Po raz pierwszy zobaczył ambicję Marilyn w działaniu. Anielska twarz kryła nieskończenie zdyscyplinowaną, skoncentrowaną na swojej pracy artystkę. Nocami Marilyn siadywała przy oknie, a on pomagał jej się uczyć tekstu. Czytał partię starego Chrisa, choć twierdził, że brzmiał raczej jak „biedak z Południa ze skandynawskim akcentem”<sup>[126]</sup>.

Przygotowując się do roli Anny Christie, Marilyn wciąż starała się dbać o swój wizerunek publiczny. Ubrana w czarną obcisłą sukienkę i pelerynkę pozowała z Marlonem Brando do zdjęć reklamowych przed nadchodzącą premierą filmu *Tatuowana róża*. Fotografie miały nie tylko nakręcić sprzedaż wchodzącego niebawem do kin obrazu, ale też dowieść publiczności, że inteligencja nie wyklucza seksowności i mimo pracy w studiu Marilyn nie włości się po okolicy w powyciąganych swetrach i z włosami jak strąki.

12 grudnia w Astor Theatre odbyła się premiera *Tatuowanej róży*. Marilyn wysiadła z limuzyny w opiętej czarnej sukni i chmurze Chanel, błyszcząc w ramionach Marlona Brando. Zarzuciwszy białe gronostaje, flirtowała przez chwilę z obiektywami aparatów, przesyłając pocałunki ustami posmarowanymi wazeliną i obwiedzionymi kredką w kolorze toffi. W uszach miała klipsy, a pięć sznurów kryształów górskich muskało jej ramiona i obojczyki za każdym razem, kiedy uśmiechała się do Marlona – ze swoją nieco bandycką urodą stanowił znakomite tło dla jej świetności. Wspaniała para przykuła uwagę paparazzich, błyskających oślepiająco fleszami.

Na popremierowej imprezie w Sardi’s Marilyn błyszczała, przemykając wśród gwaru i dymu, przysiadając przy stolikach przykrytych obrusami w czerwonej kratę. Przekomarzała się z reporterami, szeptała z Rostenami, cały czas przy tym tańcząc z Marlonem. Ich romans zakończył się wiele miesięcy temu, ale wciąż była między nimi chemia, która pozwalała odwrócić uwagę od Arthura Millera.

Z tyłu siedziała Jayne Mansfield – „Marilyn Monroe dla biedaków”, odtwórczyni głównej roli w broadwayowskim hicie George’a Axelroda *Will Success Spoil Rock Hunter?* (1957). Mansfield wcielała się w postać Rity Marlowe, kokietki ze „złotymi lokami, fantastyczną pupą i pretensjami do wspaniałości”. Axelrod, który przygotował również scenariusz do *Słomianego wdowca*, nie ukrywał, kto był pierwowzorem tej postaci – Marilyn. *Słomiany wdowiec* przyniósł mu sławę – przede wszystkim dzięki Marilyn – a on teraz wyśmiewał się z niej na Broadwayu. To jednak nie miało znaczenia. Marilyn właśnie zdobyła rolę marzeń. Tej nocy nie straciła opanowania nawet wtedy, gdy wpadła na Axelroda. „Widziałam twoją sztukę” – powiedziała, spoglądając na niego wzrokiem, który zmroził go do szpiku kości.

Fox, który tymczasem stracił wiarę w Sheree North, przymierzał się, by to Jayne zastąpiła Marilyn. Wobec Mansfield jednak Marilyn nie odczuwała niechęci. W rzeczywistości na przyjęciu ledwie ją zauważyła, choć Jayne z pewnością dostrzegła Marilyn. W obcisłej sukience ze srebrnego brokatu, z wytapirowanymi, polakierowanymi włosami stała za krzesłem Marilyn i wyglądała jak jej fanka.

O północy Marilyn razem z Marlonem udzielili wywiadu radiowego NBC. Siedząc przy okrągłym stole zastawionym mikrofonami, popielniczkami i filiżankami czarnej kawy, odpowiadali na pytania o Lee Strasberga i szaleństwo tkwiące w Metodzie. Zapytana o jej status w Malin Studios Marilyn zawahała się i powiedziała, że jest obserwatorką. Na to wtrącił się Brando. „Marilyn jest aktorką – powiedział miękko. – Jest aktorką”.

**Z**bliżał się koniec 1955 roku i Milton zaczął wybiegać myślą w przyszłość: polecą do Hollywood, w kilka dni załatwią sprawy, a potem w Phoenix zaczną się zdjęcia do *Przystanku autobusowego*. Razem z Amy i dzieckiem wynajmą dom, żeby Marilyn mogła kursować między nimi a Chateau Marmont. Marilyn jednak nie spieszyła się z wyjazdem. Przygotowania do roli Anny Christie były dla niej dużo ważniejsze niż jakikolwiek film. Wobec tylu znaków zapytania trudno jej było myśleć o tym, co dalej, trudno jej było wyobrazić sobie, że znów miałaby gdzieś zapuścić korzenie. Właśnie rozpoczęło się postępowanie rozwodowe Arthura, który nadal mieszkał w Chelsea. Gdzie on będzie w czasie zdjęć? Co z jej przyjaciółmi – Normanem i Heddą, Elim i Samem Shawem? Wciąż siedziała w swoim ukochanym mieszkanku przy Sutton Place, przygotowując się do drugiej Gwiazdki w Nowym Jorku.

Jimmy Haspiel zabrał ją na świąteczne zakupy do Saksa, gdzie godzinami pochylała się nad gablotkami pełnymi krawatów. Wybrała tuzin dla Arthura – w paski i jednolite, jedwabne i bawełniane. Jimmy jak zwykle nosił za nią torby. Gdy mieli już wychodzić, wetknął Marilyn gałązkę jemioli w włosy, a potem ją pocałował.

Arthur był wzruszony paczką z pięknymi krawatami, Marilyn zaś zachwycona kartą świąteczną, którą sam dla niej zrobił. Napis na karcie głosił: „Nie martw się, ja jestem jeszcze bardziej przygnębiony”.

Minęło osiem miesięcy, odkąd zaczęła chodzić na warsztaty w Actors Studio, jedenaście od czasu rozpoczęcia działalności MMP i ponad rok od chwili, gdy w taniej czarnej peruce uciekła z Kalifornii z dwiema walizkami. Jej wyśnione życie właśnie miało stać się jawą.

**23** grudnia na Manhattanie spadł śnieg, spowijając całe miasto bielą. Następnego dnia Marilyn miała wydać swoją pierwszą i jedyną kolację wigilijną. W charakterystycznym dla siebie stylu przystroiła salon, wynajęła gitarzystę i zupełnie zapomniała o jedzeniu. Gdy w dzień Wigilii zadzwoniła do Greene’ów, żeby pożyczyć dodatkowe talerze, zorientowała się, że do tej pory nie pomyślała o menu. Dlatego Kitty ugotowała ogromny gar gulaszu wołowego i razem z Clyde’em, swoim mężem, zawiozła go na Sutton Place. „Wchodźcie i siadajcie – powiedziała Marilyn do Clyde’a, który walczył z drzwiami, wnosząc naczynia. – Zróbcie sobie drinka i się rozgoście”.

Tego wieczoru przy okrągłym stole w mieszkaniu Marilyn zasiadło dwadzieścia osób łącznie z Arthurem Millerem, którego Kitty natychmiast znieubiła. „Miałam przeczucie, że nie był na sto procent szczery (...). I może powinnam była o tym wspomnieć”.

„Mam nadzieję, że za niego nie wyjdzie – powiedziała mężowi, kiedy wracali do domu. – Myśli, że jest taki mądry. Zniszczy ją, jeśli się z nią ożeni”.

„To ich sprawa – odparł Clyde z typowo męską powściągliwością. – Dopóki są szczęśliwi”<sup>[127]</sup>.

31 grudnia 1955 roku marzenie Marilyn wreszcie się ziściło. Dzięki negocjacjom Miliona Fox był gotów przystać na jej warunki. W myśl nowej umowy Marilyn miała zatwierdzać fabułę, reżysera i operatora. Mogła też kręcić filmy z niezależnymi producentami, a jej gaża wzrosła do stu tysięcy dolarów za obraz. W wieku dwudziestu dziewięciu lat była najlepiej opłacaną aktorką na świecie.

Tego dnia słońce świeciło jasno i śnieg zaczął się topić. Milton, Amy, Jay i Judy Kanter spotkali się z Marilyn przy Sutton Place, by wspólnie świętować sylwestra. Wzniesli toast na cześć swojego zwycięstwa lampką Dom Pérignon, skacząc, śmiejąc się i padając sobie w ramiona: „Pobiliśmy ich! Pobiliśmy ich! Pobiliśmy!”<sup>[128]</sup>.

*Szesnaście*  
**Gwiazdy**



Marilyn pozuje fotografom na lotnisku Idlewild, wsiadając na pokład samolotu lecącego do Hollywood, 25 lutego 1956 roku.

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES



W przeciwieństwie do swojej starej wersji Marilyn w obecnym wcieleniu to dusza wyzwolona – szczęśliwa, chętna do współpracy, przyjacielska i odprężona. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie, jakby przeszła tak udaną psychoanalizę, że aż sam analityk zaniemówił z wrażenia.

*Pete Martin*

4 stycznia 1956 roku Jimmy Haspiel zostawił przed drzwiami Marilyn egzemplarz „Morning Telegraph” z pierwszą publiczną informacją na temat jej zwycięstwa nad Foxem: „Marilyn wygrała walkę z wytwórnią. Studio godzi się na wszystkie żądania”. „Bitwa skończona: Marilyn Monroe, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i pięćdziesiąt trzy ponętnie rozmieszczone kilogramy, rzuciła 20th Century Fox na kolana”.

Kariera Marilyn przestała w końcu kłócić się z jej rozwojem osobistym. Dzięki kontroli artystycznej aktorka mogła nie przyjmować ról, które ją krępowały i poniżały. W epoce wszechwładzy szefów wytwórni było to osiągnięcie prawdziwie rewolucyjne. Wychodząca w Los Angeles gazeta „Mirror News” święciła jej triumf jako „jedno z największych zwycięstw odniesionych przez jakąkolwiek aktorkę”. Pod koniec stycznia Marilyn znalazła się na okładce magazynu „Times”, który wychwalał ją jako „bystrą kobietę interesu”. Marilyn nie tylko udało się wybić na niepodległość – tworzyła też historię.

Milton tymczasem pilnował spraw MMP, odbierając telefony, planując zdjęcia i układając grafik występów. „Kwestia zatwierdzenia reżysera ma istotne znaczenie – wyjaśniał w jednym z wywiadów. – Od reżysera bardzo wiele zależy. Ogromnie ważne są na przykład jego zdolności twórcze. Odpowiedni reżyser potrafi wnieść do filmu znacznie więcej niż to, co napisano w scenariuszu”<sup>[129]</sup>. W samym środku tej medialnej burzy udało im się zdobyć prawa do sfilmowania sztuki *The Sleeping Prince* (1953) Terence’a Rattigana – reżyserem i odtwórcą głównej roli męskiej miał zostać Laurence Olivier, a producentem MMP.

To było nie lada osiągnięcie i zawdzięczali je Marilyn. Słyszała, że Rattigan próbuje sprzedać scenariusz. Słyszała też, że po drodze do Los Angeles gnuśniej w Nowym Jorku<sup>[130]</sup>. Natychmiast zabrała się do dzieła i przesłała wiadomość do LaGuardii: „Może pan Rattigan zechce się spotkać ze mną na koktajl. Sala berbersowa, 16.30”.

Spóźniona zaledwie godzinę wmaszerowała do hotelu w czarnych okularach przeciwsłonecznych razem z Jayem Kanterem, Miltonem Greene’em oraz Irvingiem Steinem. Ale prawie nie potrzebowała ich pomocy – na swój cichy sposób sama przeprowadziła negocjacje. Była okropnie przeziębiona i Rattigan powiedział, że brzmi jak Tallulah Bankhead (rozpromieniona Marilyn z dumą podzieliła się potem tą uwagą z dziennikarzami). Na koniec, gdy już miała go w garści, opuściła okulary, zatrzepotała rękami i wyszeptała dziecinnym głosem: „Myśli pan, że sir Larry zechciałby zagrać ze mną?”<sup>[131]</sup>.

Laurence Olivier – „sir Larry” – przyleciał prosto do Nowego Jorku i umówił się z Marilyn na 7 lutego, w zimną, wilgotną sobotę. Mieli się spotkać w jego apartamencie, on jednak nie chciał, żeby wychodziła na marznący deszcz: „Taka paskudna pogoda, nie możemy zmuszać Marilyn, żeby do nas jechała. Sami się do niej wybierzmy”.

Gdy Olivier, Rattigan i Jay Kanter zjawili się przy Sutton Place, drzwi otworzył im Milton Greene. Prerażona Marilyn schowała się w łazience. Przyjacielowi zajęło dwie godziny, zanim w końcu namówił ją, by wyszła, a goście tymczasem czekali w salonie. Obsesyjnie



punktualny Laurence machnął ręką.

Jeszcze jej nie spotkał, ale już czuł się oczarowany – na zdjęciach próbnych była taka urocza, dowcipna i pociągająca. Nie tylko pragnął Marilyn, ale też jej potrzebował. Oboje byli sobą zachwyceni. Pięćdziesięcioletni Olivier bał się, że popada w rutynę, i miał nadzieję, że dzięki Marilyn uda mu się ożywić karierę i odświeżyć wizerunek. On chciał jej ponętnego splendoru, ona jego powagi. „Jedna rzecz była dla mnie jasna – wspominał po latach. – Tylko krok dzielił mnie od szaleńczego zakochania się w Marilyn. Była urocza, zabawna i fizycznie pociągała mnie bardziej niż ktokolwiek. Spójrzcie na tę twarz – wyglądała jak pięciolatka!”.

Po spokojnym lecie i jeszcze spokojniejszej jesieni Marilyn znów zaczęto widywać na mieście. Zjawiła się na przedstawieniu *Dziennika Anne Frank* w towarzystwie Laurence’a Oliviera i zabrała go za kulisy do Susie Strasberg, która go uwielbiała. W płaszczu z białych gronostajów, długiej czarnej sukni i diamentowych kolczykach narobiła szumu na premierze *The Middle of the Night*. Pod szczególnym wrażeniem była Kim Novak, która podczas antraktu wciąż się odwracała, wyciągając szyję, żeby na nią popatrzeć. Milton wystawnie podejmował Oliviera, wieczorami zabierał go do miasta razem z Amy i Marilyn. „To były szczęśliwe czasy – wspomina Amy. – Larry uwielbiał Milтона i mnie, cały czas flirtował z Marilyn. Ona dużo się śmiała, wciąż się do niego nachylała i chichotała. Flirtowali zupełnie otwarcie. On prawil jej szalone komplementy albo się z nią droczył: «Masz zabawny czubek nosa» – mówił, a ona szturchała go i chichotała. Lubiła to. Chciała zapalić papierosa, a on już czekał z ogniem. Albo piła szampana, a on mówił: «Oho, masz pusty kieliszek», i podnosił się z wielką galanterią. Zresztą, skarbie, to był Olivier”.

9 lutego Marilyn, Rattigan i Olivier zwołali konferencję w hotelu Plaza, żeby powiadomić prasę o najnowszym projekcie MMP. Marilyn oficjalnie zyskała reputację „największej aktorki anglojęzycznego świata”. Sama sprawowała kontrolę nad swoją karierą i miała właśnie nakręcić dwa najważniejsze filmy w swoim życiu.

Ponad dwustu dziennikarzy otoczyło stół. Natychmiast powróciły te same oklepane tematy. „Zapytano Marilyn, czy wciąż chce zagrać *Braci Karamazow* – wspominał jeden z dziennikarzy. – Odparła: «Nigdy nie miałam zamiaru grać braci Karamazow, tylko Gruszeńkę w *Braciach Karamazow*». Jakiś inny reporter zapytał złośliwie: «Jak się pisze Gruszeńka?», myśląc, że w ten sposób ją podpuści, bo przecież jest za głupia, żeby wiedzieć. A ona uśmiechnęła się z wyższością i z błyskiem w oku powiedziała: «Sam pan może sprawdzić w książce». Wszyscy się roześmieli i pytania przestały być tak sarkastyczne, tendencyjne, zadawane z ewidentnym zamiarem zrobienia jej w balona”<sup>[132]</sup>.

Olivier chwalił Marilyn jako „wspaniałą aktorkę komediową”, przypalał jej z kurtuazją papierosy i wycofał się, pozwalając jej błyszczeć. Tworzyli ładną, elegancką parę: on w swoim garniturze z Savile Row, z poszetką w kieszonce na piersi, ona w czerni, z włosami zaczesanymi do góry i podpiętymi z boku wsuwkami, by podkreślić linię szyi. Czasami Marilyn zarzucała na ramiona marynarkę albo pochylała się z zażyłością do dziennikarzy, opierając podbródek na dłoni obciążonej czarną aksamitną rękawiczką. Elsa Maxwell odnotowała z zadowoleniem, że Marilyn nie naśladowała „urywanego brytyjskiego akcentu” Oliviera, mówiąc z charakterystyczną dla siebie „cichą naturalnością”.

Elsa jednak uważała, że Marilyn ubrała się „zupełnie nieodpowiednio” do okazji. Wybrała opiętą sukienkę-halkę, która w jasnym świetle dnia wyglądała wyjątkowo wyzywająco.

W trakcie konferencji jedno cieniutkie ramiączko pękło, wywołując wśród tłumu gwałtowny szmer, a potem wrzawę. „Potrzebuję agrafki!” – zawołała Marilyn. Po kilku minutach ogólnego poruszenia jednemu z dziennikarzy udało się ją zdobyć i wręczyć Marilyn, która już do końca spotkania przytrzymywała sukienkę obiema rękami, „żeby nie niepokoić prasy”.

Amy uparcie twierdziła, że to nie był chwyt reklamowy: „Widziałam to ramiączko i dam sobie rękę uciąć, że nie było poluzowane, gdy wychodziła z szatni. Mizdrzyła się i przybierała różne pozy, jak to miała w zwyczaju, jedno ramię uniosła wyżej i nagle ramiączko pękło. Nie było podcięte, ale Marilyn skrycie się cieszyła, że tak wyszło”.

Bez względu na to, czy był to przypadek, czy nie, Marilyn przyćmiła Oliviera. Wydawało się, że podszedł do tego ze spokojem, ale zdaniem Amy to był punkt zwrotny: „Myślę, że wtedy właśnie Larry uznał, że popełnił błąd. Bo to będzie cyrk”.

Pęknięte ramiączko to było nic. Praca z Marilyn oznaczała wiele tygodni nagłych alarmów, katastrof w garderobie, poprawiania kwestii, łąz późno w nocy i gorączkowych telefonów. Jak będzie wyglądało starcie jego brytyjskiego, surowego stoicyzmu z jej zmysłowym anarchizmem? W przypadku Marilyn właśnie to, co niespodziewane, działało jak zaklęcie. „Żyję już dość długo, by wiedzieć, że życie nie zawsze przestrzega zasad – pisała Elsa, która spoglądała na świat z góry ze złośliwą satysfakcją. – Rzeczy całkowicie niemożliwe i kompletnie absurdalne zdarzają się przez cały czas”.

**C**hoć Marilyn była ogromnie podekscytowana perspektywą pracy z Olivierem, sprawą najważniejszą były teraz przygotowania do roli Anny Christie. Marilyn, tak jak Eleonora Duse, grała, czerpiąc z samych trzewi. Na planie filmowym przed ujęciami zwykle wymiotowała. Czasami dostawała migreny albo zawstydzająco trzęsły się jej ręce. „W teatrze jest zupełnie inaczej – zapewniał ją Lee. – Jesteś na scenie, są światła, widownia tonie w mroku, nikt się nie odzywa. Pamiętasz wszystkich tych ludzi z obsługi technicznej i całą resztę, która w Hollywood stała wokół, śmiejąc się i paląc papierosy? Miałaś świadomość ich obecności i to ci przeszkadzało”. Na scenie była tylko bezpieczna aksamitna kurtyna, która szła w górę, kiedy człowiek był gotowy. Tylko czy Marilyn zdążyła dojrzeć do bezpośredniości, jaką niosły ze sobą deski teatralne?

W końcu 17 lutego była gotowa, by zadebiutować w studiu. Tego ranka obudziła się z kołataniem serca i okropnym zapaleniem krtani („Mogłam tylko chrypieć i szeptać”). Wieczorem Malin Studios wypełniło się po brzegi. Owinięta w czarne chusty Paula, ze złotym łańcuszkiem, przy którym dyndało mnóstwo zawieszek na szczęście, wachlowała się w pierwszym rzędzie. „Zaraz dostanę zawału” – jęczała, skarżąc się każdemu, kto chciał słuchać. Jeśli jednak tej nocy ktoś miał dostać ataku serca, była to Marilyn: „Niczego nie czułam. Nie pamiętałam ani słowa. Chciałam tylko położyć się i umrzeć. To było nie do zniesienia, pomyślałam: Boże, co ja tu robię?. A potem po prostu trzeba było wyjść i zagrać”. Ten strach, który zjadał ją w kulisach, całe swoje zdenerwowanie i bezbronność Marilyn rzuciła na scenę. „Jak dotąd w teatrze jestem mniej nieśmiała niż kiedykolwiek przed kamerą – powie Pete’owi Martinowi kilka tygodni później. – Mam mniejszy problem z zapamiętaniem kwestii”.

„Jej bolesna nerwowość przydała scenie odpowiedniego napięcia. Wszyscy, którzy

widzieli ten występ, mówili, że była to nie tylko najlepsza rola Marilyn – wspomina Ellen Burstyn – ale też jedna z najlepszych rzeczy, jakie widzieli w studiu i z pewnością najwspanialsza interpretacja Anny Christie. Marilyn udało się osiągnąć prawdziwą wielkość”.

W atmosferze kościelnej powagi, jaka panowała w Malin Studios, oklaski tradycyjnie uchodziły za faux pas. Ale tego wieczoru występ Marilyn wywołał owację na stojąco. Natychmiast wybuchnęła płaczem.

**S**tyczeń i luty były dla Marilyn szczególnie ważne. Wygrała z Foxem. Niebawem miała rozpocząć współpracę z reżyserami marzeń: Joshem Loganem i Laurence’em Olivierem. Znowu była ulubienicą prasy, tym razem jednak dzięki umiejętnościom, a nie zmysłowemu głosowi i kształtom seksbomby. Dowiodła swej wartości jako aktorka – a rolę Anny Christie dowiodła jej także sobie. Nic więc dziwnego, że Cecil Beaton, fotograf Picassa, Grety Garbo i królowej Elżbiety, zabiegał o sesję zdjęciową.

19 lutego, w dzień, kiedy mieli się spotkać, Cecil przemierzał swój japoński apartament w hotelu Ambassador. Od tygodni ścigał Marilyn – czy ten niepochwytny blond motyl kiedykolwiek się pojawi? Jego asystent Ed Pfizenmaier wciąż pamięta moment, kiedy Marilyn stanęła w drzwiach: godzinę spóźniona, z przewieszoną przez ramię torbą, w której miała dwie czarne sukienki i mnóstwo kosmetyków. „Weszła do środka – mówił Ed – i pierwsze, co zrobiła, to zrzuciła buty, a ja nie mogłem w to uwierzyć. Natychmiast spojrzeliśmy po sobie z Cecilem oczami wielkimi jak spodki i z jakiegoś powodu wiedzieliśmy, że to będzie dobry dzień. Uwielbiam ludzi, którzy zrzucają buty i od razu zabierają się do dzieła. To znaczyło, że jest gotowa do pracy”.

„Zaczęliśmy bardzo grzecznie, z nóżkami na bok i w ogóle – wspominał Ed. – A potem nagle rozpętało się piekło. Marilyn zaczęła robić swoje. Wyginała się, dokazywała i rzucała dokoła. W końcu wylądowała na wpół na podłodze, a na wpół na sofie. Oboje z Cecilem wylili ze śmiechu”.

Po raz trzeci w tym roku Marilyn trafiła na fotografa, który naprawdę ją wyczuł. Cecil zachwyił się jej dziecięcą aurą, delektując się paradoksem jej niefrasobliwej wspaniałości. Dla niego była „córą Renu”, „niewinną somnambuliczką”, „szalonym chochlikiem”, „podnieconym dzieckiem, które woła na dół, że chce herbaty”. W swoim dzienniku zapisał: „Byłem pod takim wrażeniem jej wesołości i bogactwa stanów ducha, że chciałem je tylko uchwycić (...). Zorientowałem się, że czuję do niej tak wielką sympatię, że jestem tak rozbawiony i zachwycony, że mogę tylko pstrykać, podążając jej śladem”.

Godziny mijały, a oni nie robili żadnej przerwy. Marilyn wygłupiała się i swawoliła, zaciągała się margerytką, jakby to był papieros, bawiła plastikowym ptaszkiem, popijała piwo imbirowe ze staromodnego kieliszka do szampana. W trakcie jednej sesji – bez zmiany kostiumu – zademonstrowała imponujący wachlarz możliwości aktorskich. Potrafiła zagrać najbardziej ponętnego wampa, a potem szybko zamienić się z powrotem w uroczego jelonka z małym ptaszkiem przy policzku. („Dostojewski wiedział, co robi – stwierdził Beaton. – I Marilyn też wiedziała. Byłaby dobrą Gruszeńką”). Dzięki diecie opartej na krwistych stekach i szampanie wzmocniła się i – zdaniem Amy – była szczupła jak „niteczka”. Zimowe przechadzki po mieście sprawiły, że jej cera wyglądała zdrowo, a oczy

nabrały blasku. Nigdy nie wyglądała równie wytwornie i eterycznie.

„Robiła wszystko, czego od niej chciał – wspominał Ed. – Leżała na łóżku owinięta w pościel, a on stał nad nią i pstrykał zdjęcia. W owym czasie mieliśmy na suficie żarówkę o mocy 10 tysięcy watów (...) i ona w ich świetle była jak pomrukująca lwica. Nie wiem, czy to był jeden z jej lepszych dni, po prostu dobry czy co – wiadomo, człowiek słyszy tyle złych rzeczy, cała ta pogoń za sensacją – ja jednak z całą pewnością mogę stwierdzić, że niczego takiego nie widziałem. I myślę, że te fotografie, fotografie Beatona, to właśnie pokazują. Że człowiek nie wie, dopóki sam się nie przekona. Kiedy się na nie patrzy, wszyscy dostrzegają, że wygląda na szczęśliwą, radosną, zdrową i w ogóle. W przeciwieństwie do tego, co mówią, że była trudna i ciężko się z nią pracowało, ja byłem zachwycony. W ogóle nie była trudna, nie wiem, skąd ludzie to biorą – to był wspianiały czas”.

To poczucie było wzajemne. Marilyn ogromnie podobała się sesja – jedno ze zdjęć Beatona, na którym leży na plecach na łóżku z szeroko otwartymi oczami i rozchyłonymi ustami, trzymając różowy goździk – było jej ulubionym. Kilka miesięcy później Cecil napisał na jego temat artykuł i wysłał Marilyn kopię razem z fotografią. Oprawiła je i przez resztę życia trzymała przy łóżku.

O d samego początku celem Marilyn było uzyskanie możliwości zatwierdzania reżysera. Teraz, gdy udało jej się to osiągnąć, kogo powinna wybrać do *Przystanku autobusowego*? „Razem z Miltonem i Marilyn stworzyliśmy listę dwunastu potencjalnych reżyserów – mówiła Amy, która również brała udział w podejmowaniu decyzji. – Jasno dała do zrozumienia, że nie będzie więcej pracować z ludźmi, którzy poza samą obecnością w studiu nie mieli nic więcej do zaproponowania”.

„Jednym z reżyserów na liście był Charlie Chaplin – opowiadała Amy – który oczywiście wszystkich w Twentieth przyprowadziłby o palpacje. Ale rzecz w tym, że Chaplin zawsze świetnie sobie radził z Marilyn – i vice versa. Tak samo zresztą jak Milton, który zawsze widział ją na absolutnych wyżynach i mierzył znacznie wyżej niż ona w swych najbardziej szalonych snach. To, o czym dla niej marzył, było poza jej zasięgiem”. W końcu zdecydowali się na Josha Logana, jednego z niewielu hollywoodzkich reżyserów, którzy znali i szanowali Metodę. Logan uczył się w teatrze moskiewskim u Stanisławskiego, nieobca mu też była bezsenność i hospitalizacje. Tolerował nawet Paulę, która stanowiła teraz część pakietu i doradzała Marilyn na planie. Co najważniejsze jednak, Josh reżyserował także na Broadwayu – ostatnio *Picnic* i *South Pacific*. „Nie wolno zapominać, że w owym czasie Marilyn była zakochana w Nowym Jorku, w nowojorskich teatrach, a Logan był tam megagwiazdą – wyjaśniała Amy. – Znow więc zaczęła od: «Nie dam rady, on nie zechce na mnie spojrzeć, dlaczego miałby ze mną pracować itp.». Wtedy jednak Milton zorganizował spotkanie z Joshem, wytwornym dżentelmenem z południa. A Josh był zachwycony, że to Marilyn chce rozmawiać z nim”.

Logan był pod wrażeniem Marilyn od samego początku. „Nie miałem żadnych problemów, żeby się z nią dogadać, zrozumieć ją czy przekazać jej to, co chciałem” – mówił. A ponieważ sam pracował i w Hollywood, i w Nowym Jorku, natychmiast zrozumiał powody jej frustracji. „Żartowali z niej, wyśmiewali i drażnili delikatne, inteligentne zwierzę. Nie chcieli dostrzec, że nie jest tępą i nie jest zwierzęciem, tylko artystką z ogromną intuicją.

Wszyscy myślą, że Marilyn jest głupia, tymczasem wcale tak nie jest. Ma umysł dużo tęższy niż zwykły człowiek i rozwinęła wrodzone zdolności znacznie bardziej niż większość osób z formalnym wykształceniem”.

Pomimo całego tego zimowego podniecenia Marilyn nadal miała czas dla Szóstki Monroe. Gdy zbliżały się urodziny Jimmy’ego Haspiela, chłopcy wręczyli jej kartkę z życzeniami w zaadresowanej kopercie ze znaczkiem. „Mazzie, ty musisz ją tylko podpisać – wyjaśnili – i wrzucić do skrzynki. To dla Jimmy’ego, ma w przyszłym tygodniu urodziny”<sup>[133]</sup>.

Marilyn była troskliwa i hojna, ale nie była mistrzynią zwyczajności – podpis na kartce jej nie wystarczał. Zamiast wysłać Jimmy’emu bezosobowe życzenia, zaprosiła go na przejażdżkę taksówką. „Samochód zatrzymał się przy krawężniku na Pięćdziesiątej Ósmej i nadszedł ten moment. Pamiętam, że popatrzyłem na nią i powiedziałem: «Na razie», a potem dodałem: «Normo Jean». Odwróciłem się i ogarnęło mnie niespodziewane wzruszenie. Nie mogłem na nią spojrzeć! Zdążyłem otworzyć drzwiczki, żeby uciec, właściwie już wychodziłem, kiedy usłyszałem: «Jimmy», wypowiedziane szeptem za moimi plecami. I wtedy moje ciało, które już opuszczało samochód, zawróciło. Usiadłem, a Marilyn objęła mnie i bardzo mocno przytuliła, szepcząc do ucha: «Wszystkiego najlepszego, Jimmy». A potem mnie pocałowała”<sup>[134]</sup>.

Kilka dekad później Jimmy Haspiel tak to widział: „Zamiast robić coś pod dyktando, jak z tą kartką od Szóstki, chciała zrobić coś, co faktycznie wyszło od niej. Inaczej to by nie było dla niej prawdziwe”<sup>[135]</sup>. Taka była Marilyn – impulsywna, urocza i zawsze autentyczna – jak słodkie i gorące „wszystkiego najlepszego” wyszeptane prosto do ucha.

**P**rzez ostatni tydzień lutego Marilyn przygotowywała się na pożegnanie z Nowym Jorkiem. Praca nad *Przystankiem autobusowym* miała się rozpocząć na początku marca. Hollywood – z jego planami filmowymi, basenami i trudnymi wspomnieniami – nieuchronnie wzywało. Tym razem nie mogła się opierać.

Była spokojna o swoje nowe projekty. Praca z Laurence’em Olivierem czy znakomita rola Kim Stanley w broadwayowskiej wersji *Przystanku autobusowego* przestały w niej budzić obawy. „W ogóle się tym nie martwię – powiedziała Pete’owi Martinowi. – To będą dwie zupełnie inne interpretacje dwóch całkowicie różnych osób. Nie mogę się wręcz doczekać. Może to dlatego, że wewnątrz jestem starsza. Pamiętaj, wewnątrz, nie na zewnątrz. Lubię myśleć, że moje życie właśnie się zaczęło. Ktoś mnie ostatnio zapytał, kiedy się urodziłam, a ja powiedziałam: «Całkiem niedawno, w Nowym Jorku»”.

Kilka dni przed wyjazdem odwiedziła projektanta Johna Moore’a. „Wróć – obiecała – kiedy tylko skończą się zdjęcia. Nowy Jork jest teraz moim domem. Hollywood to tylko miejsce pracy”<sup>[136]</sup>.

22 lutego Marilyn spotkała się z Elsą Maxwell na lunchu w Waldorf Towers. To była specjalna okazja – coś w rodzaju pożegnającego wywiadu – i Elsa ustawiła białe kalie na czarnym lakierowanym stole, zamówiła ostrygi, kawior i kilka butelek Dom Pérignon. Komuś udało się zwiertzyć, że ma do niej wpaść Marilyn, i Elsa przez cały ranek odbierała telefony i barykadowała drzwi przed natrętnymi panami. „Jeden po drugim dochodzili do wniosku, że muszą się ze mną zobaczyć w pilnej sprawie – mówiła ze śmiechem. – W ogóle

nie byli ciekawi, po prostu akurat mieli czas w środku dnia. Zgodnie ze zwyczajem Marilyn zjawiała się godzinę spóźniona. Miała na sobie ten sam nieodpowiedni strój co na konferencji prasowej z Olivierem, głęboko wyciętą czarną aksamitną marynarkę i sukienkę na cienkich ramiączkach, wiszące klipsy i rozwiane blond włosy (...). Miałam ochotę powiedzieć: Och, Marilyn, skarbie, ten strój! Czegoś takiego nie nosi się w południe!”

Siedemdziesięcioletnia Elsa Maxwell, „niska, tłusta i przysadzista”, jak sama o sobie mówiła, tylko na pozór miała z Marilyn niewiele wspólnego. Jej motto: „Śmieję się z siebie, zanim zrobi to ktoś inny”, było jakby żywcem wyjęte ze zbioru zasad Marilyn. Bezczelna, wytworna i ekstrawagancka kobieta Elsa tak jak Marilyn gromadziła buteleczki Joy. (Włączyła się nawet po polach Grasse z samym Jeanem Patou i ochrzciła Joy mianem „najkosztowniejszych perfum świata”). Tak jak Marilyn pochodziła z biednej rodziny i tak jak w Marilyn myśl o małżeństwie budziła w niej niepokój – uważała, że „należy do świata”. Marilyn uwielbiała ekscentryczność Elsy, jej skunksy i różowe prosięta, które trzymała w domu, książki o etykiecie, w których można było znaleźć porady w rodzaju: „Podaj kolację, zaczynając od deseru, zrób cokolwiek – byle coś dziwnego”.

Elsa od samego początku dopingowała Marilyn. Zawsze lojalna, nie znosiła jej rywalki Jayne Mansfield niemal tak samo jak Elvisa Presleya i Nikity Chruszczowa. Podziwiała sposób, w jaki Marilyn walczyła ze swoimi lękami, i nie mogła się doczekać, żeby obwieścić jej triumf: „Ona jest taka fascynująca, bo choć znalazła w sobie dość odwagi, żeby postawić wszystko na jedną kartę niczym agresywne rekiny biznesu, wciąż jest nieśmiała i niepewna siebie (...). W dzisiejszych czasach za mało jest fascynujących osób. Każdy pragnie bezpieczeństwa, każdy chce dostać jak najwięcej jak najmniejszym kosztem. Dobrze jest spotkać kogoś gotowego porwać się na walkę z wiatrakami – albo tytanami przemysłu filmowego – gotowego raczej zaryzykować wszystko, niż dać się ponieść złotej fali”. Dwa „śmiertelnie poważne” błazny dające odpór złotemu przybojowi.

Następnego dnia Norma Jean Baker oficjalnie zmieniła nazwisko, stając się Marilyn Monroe.

**Z**anim opuściła Nowy Jork, udzieliła jeszcze ostatniego wywiadu staremu przyjacielowi Earlowi Wilsonowi. Chciała, żeby go przeprowadził w sypialni – mógł z nią rozmawiać, kiedy się pakowała. W czarnych spodniach capri i białym tenisowym swetrze była istnym wulkanem energii, biegała boso, pokazując Earlowi nowe sukienki, odbierała telefony albo sprawdzała coś w książce. Ganiała wśród chaosu, krzesel zarzuconych futrami, scenariuszami i halkami. Nie mając gdzie usiąść, Earl wyciągnął się w butach na łóżku przykrytym różową taftową kapą.

Pod tą musującą swawolnością kryła się kobieta znająca swoją wartość. Gdy Earl pogratulował jej zwycięstwa nad Foxem, Marilyn poprawiła go i nazwała swoją wygraną kompromisem.

„Kompromis? – Earl był zaskoczony. – Nie doceniasz tego, co osiągnęłaś? Nie rozumiesz? Nie widzisz, że odniosłaś wielki triumf?”

„To był kompromis dla obu stron – odparła Marilyn. – Wprawdzie nie zatwierdzam fabuły, ale to ja decyduję o reżyserze. To ważne. Jest kilku reżyserów, z którymi chcę pracować, którym ufam i zrobię wszystko, czego ode mnie zażądam. Wiem, że nie pozwolą

mi zagrać w niczym kiepskim. Bo wiesz, można mieć świetną fabułę, ale marnego reżysera i zrobić sobie krzywdę”. Wspomniała o Johnie Hustonie i Billym Wilderze, którzy kierowali nią przy kręceniu *Asfaltowej dżungli* i *Słomianego wdowca*.

„Uwielbiam też George’a Stevensa i Kazana, choć z nimi jeszcze nie pracowałam!”. – Odrzuciła włosy, uśmiechając się kokieteryjnie.

Co dalej? Chciała podróżować – Londyn, Paryż, Rzym, nawet Rosja. Szybko zapewniła Earla, że Nowy Jork ciągle będzie jej prawdziwym domem. Miała nadzieję, że kupi mieszkanie „gdzieś w okolicach Sześćdziesiątej Ulicy... albo Siedemdziesiątej... albo Osiemdziesiątej... albo jeszcze gdzie indziej”.

„Ta dziewczyna walczyła niesamowicie dzielnie – podsumował Earl – i to mimo niewielkich szans, żeby osiągnąć obecną pozycję w kinie (...). W karierze znalazła odpowiedź, choć niekompletną, na swoje lęki”.

**W** wieczór przed odlotem do Los Angeles Marilyn i Milton siedzieli przy Sutton Place, robiąc to, co lubili najbardziej, to znaczy pijąc, chichocząc, spiskując i bawiąc się w przebieranki. Marilyn przymierzała jedwabne bluzki ze stójką, czarne kapelusze z opadającym rondem i dopasowaną brązową garsonkę (wciąż w szpilkach), wybierając strój na jutrzejszy lot. Milton przyglądał się temu, siedząc na krześle z koktajlem w dłoni i nogami przerzuconymi przez poręcz.

Gawędzili o *Przystanku autobusowym*, przyszłości MMP i o tym, co może oznaczać powrót do Hollywood. Ich wspólny rok w Nowym Jorku kończył się tak, jak się zaczął – oto Marilyn i Milton, Milton i Marilyn.

Tego wieczoru Jimmy Haspiel i John Reilly, jeden z Szóstki Monroe, wpadli, żeby pożegnać się ze swoją Mazzie. Przynieśli siedem błyszczących odbitek z prośbą o autograf – to niezwykle zdjęcie John zrobił 7 stycznia 1955 roku podczas pierwszego „oficjalnego” wieczoru Marilyn w Nowym Jorku. Stoi oparta o ścianę windy w domu, w którym mieszkała Marlene Dietrich, usta ma zamknięte, w oczach błyszczą ledwo widoczne łzy. Marilyn poszła do sypialni po pióro, a Jimmy i John gawędzili z Miltonem.

„Dziękuję, że byłeś taki lojalny” – napisała na jednej odbitce, „dziękuję Ci za lojalność” – na drugiej, „dziękuję, że zachowywałeś się zawsze lojalnie” – na kolejnej, odmieniając na sześć sposobów słowo, które znaczyło dla niej wszystko. Tylko Jimmy’emu napisała co innego: „Jimmy’emu w podziękowaniu za przyjaźń i oddanie – Marilyn”<sup>[137]</sup>. Zachwycony tym wyróżnieniem, wsunął fotografię do kieszeni płaszcza i przeszedł pieszo dwadzieścia przecznic do domu przy Zachodniej Trzydziestej, całą drogę się uśmiechając.

O świcie limuzyna zawiozła Marilyn i Milтона na lotnisko. Marilyn miała na sobie nowojorską czerń i sztuczne kremowe perły, Milton na spotkanie z Hollywood włożył okulary przeciwsłoneczne i lekki garnitur w kolorze taupe. Marilyn była podekscytowana i wychyliła się przez okno, żeby pomachać Jimmy’emu i Szóstce Monroe, którzy jechali za nimi taksówką.

„Na lotnisku – wspominał Jimmy – byłem czymś na kształt słupa dla fotoreporterów. Gdy robiłem jej zdjęcia, a ona pozowała specjalnie dla mnie, prasa wykorzystywała okazję”<sup>[138]</sup>. Następnego dnia całe wydanie „New York Sunday News” było pełne fotografii Marilyn uśmiechającej się do swoich nastoletnich wielbicieli, promieniejącej ciepłem

i wdzięcznością. W zimowej aurze Wschodniego Wybrzeża Marilyn, błyszcząca, z jasnym spojrzeniem, emanowała opanowaniem. Oczarowała nieprzejednanego sir Laurence'a Oliviera. Zdobyła wymarzoną rolę Cherie w *Przystanku autobusowym*. Miała za sobą Strasbergów i warsztaty w Actors Studio. I wygrała z szefostwem Foxa, które zaledwie dziesięć miesięcy wcześniej obrażało ją i dyskredytowało. Jakimś cudem po czternastu miesiącach w mieście marzeń odnalazła swoje centrum – odnalazła siebie.



*Siedemnascie*  
**Powrót**



„Marilyn udało się wyciągnąć z biedy małą Normę Jean i zdobyć miłość milionów fanów –  
jedyną, w którą naprawdę wierzyła”.

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES



**W** Los Angeles w terminalu American Airlines roilo się od paparazzich i dziennikarzy chcących uchwycić triumfalny powrót Marilyn. W błyszczącej nowej garsonce i czarnych skórzanych rękawiczkach przemaszerowała przed obiektywami aparatów z gracją i opanowaniem. Olśniła prasę i pozostawiła z dręczącym pytaniem: „Co się stało w Nowym Jorku?”. Wyraźnie było widać, że wróciła silna, pewna siebie. Na czym jednak polegała ta przedziwna przemiana, co się zmieniło i czy była to zmiana na lepsze?

Czekało ją wiele zmagień – w rubrykach plotkarskich zaczęły się pojawiać pogłoski dotyczące jej związku z Millerem, a dziennikarz Walter Winchell właśnie okrzyknął ją „ulubienicą intelektualistów”. Choć w Hollywood uznawano jej zwycięstwo, robiono to niechętnie, tamtejszy mainstream wciąż był urażony jej „artystowskimi pretensjami”. Nawet reżyserzy, którzy ją uwielbiali – tacy jak Billy Wilder i John Huston – machnięciem ręki zbywali Metodę i plany grania trudnych ról. Czy nie oddaliła się zbyt od swoich wielbicieli? Czy była gotowa znów rozpocząć pracę przy filmie? Jak przywita ją wytwórnia?

Produkcja *Przystanku autobusowego* miała się rozpocząć za dwa dni i wiele rzeczy budziło obawy. Po roku przerwy Marilyn znów miała zostać wrzucona na plan – chłopcy na posyłki i gońcy biegający w tę i z powrotem z wiadomościami, scenariuszami i odbitkami próbnymi. Fryzjerzy, masażystki i zawsze obecni ludzie od reklamy. Nieposłane łóżka w hotelu Chateau Marmont, awantury o kostiumy i zmiany scenariusza wprowadzane w ostatniej chwili.

Na szczęście Marilyn nie musiała stawiać temu czoła sama. Milton wynajął dom w Westwood i zamieszkał tam razem z Amy, małym Joshem, Marilyn, a także Kitty i Clyde'em Owensami. „Atmosfera była nerwowa, ale całkiem miła” – wspominała Kitty. Wstawali o szóstej, pracowali cały dzień nad kopią roboczą, a potem wracali taksówką na kolację, którą przygotowywała dla nich Kitty. Marilyn błagała o krokiety z jajecznicą i kaparami. „Przestań – prosił Milton. – Musisz być szczupła, szczupła, szczupła!”.

Tego rodzaju pracę Milton uwielbiał – eksperymenty z oświetleniem, zdjęciami i kostiumami. Jako nieoficjalny reżyser obrazu zajął się charakteryzacją Marilyn – jak zwykle trybiki w jego głowie już pracowały. Cherie, podobnie jak Marilyn, spała w dzień, powinna więc być blada, tymczasem nawet najjaśniejszy podkład Maxa Factora nie zapewniał tej anemicznej bieli, której szukał. Dlatego obsypał Marilyn pudrem dla dzieci – nie tylko twarz, ale też szyję, klatkę piersiową i ręce. Widząc swoje pobielone odbicie, Marilyn się zawahała. *Przystanek autobusowy* to miał być jej powrót na ekran. Czy taki swój obraz chciała pokazać światu: pobladły, ziemisty i oprószony mąką?

Wkrótce jednak zaczęła rozumieć, że ten wizerunek w stylu „aspiryna plus czarna kawa” znakomicie pasował do nocnej ćmy, saloonowej girlsy takiej jak Cherie. Reżyser John Logan był pod wrażeniem. Wiedział, pod jaką presją znajduje się Marilyn, szeptało, że zrazi do siebie męską publiczność. „Wykazała się wielką odwagą, jeśli chodzi o charakteryzację i kostium – chwalił ją. – Naprawdę ogromną. Oto powszechnie uznana gwiazda była gotowa zaryzykować swoją pozycję, godząc się na makijaż, który wiele gwiazd uznałoby po prostu

za brzydki. Codziennie dostawaliśmy wiadomość od Buddy'ego Adlera albo kogoś innego, żeby zmienić tę charakterystykę. Wciąż powtarzałem, że jej ufam. A Marilyn się nie bała. Nigdy nie boi się zaangażować w coś, co uważa za słuszne”.

Ku wielkiej ucieście Marilyn garderoba Cherie stwarzała ogromne możliwości twórcze. Dlatego zaczęła z nią eksperymentować: miejsce drętwych sukni w stylu piosenkarki rewiowej – które nosiła w filmie *Mężczyźni wolą blondynki*, i śmiesznych, dziwacznych strojów z *Nie ma jak show* (gdzie wyglądała trochę jak striptizerka, a trochę jak tropikalny ptak) – zajęły podarte kabaretki i znoszone tanie płaszcze obszyte małym futerkiem. Przeczesywała sklepy z używaną odzieżą w poszukiwaniu podniszczonych gorsetów i bluzek, idealnych dla szansonistki z podrzędnej knajpy śpiewającej *That Old Black Magic* na stole w zajeździe obok przystanku autobusowego. Kostium, który William Travilla zaprojektował do występów w nocnym klubie, Marilyn podarła i zacerowała naprędce – tak jak zrobiłaby to Cherie. Poodrywała cekiny i nieporadnie przyszyła je z powrotem. Doczepiła też skrawki czarnej siateczki, żeby przyciemnić stanik. Idealny strój dla „dziewczyny po przejściach, która wie, czego chce”.

Josh, na którym inicjatywa Marilyn zrobiła duże wrażenie, zachęcał ją, by brała udział w rozwijaniu swojej postaci. Zapraszał ją na spotkania z Buddym Adlerem i George'em Axelrodem, podczas których urządzali burzę mózgów przy kawie albo lunchu. Wkrótce nawet sceptyczny Axelrod zaczął uważać, gdy Marilyn się odzywała. „Musimy to włączyć do filmu” – mówił do Josha po spotkaniu; albo: „musimy mieć ten jej ruch”.

„Ważne jest, by zdać sobie sprawę, że Marilyn sama stworzyła koncepcję Cherie – oświadczył Josh wiele lat później. – Ja tylko pomogłem jej ją skryzalizować i zrealizować. To koncepcja niewykształconej dziewczyny z akcentem z Ozark i fantastycznym, szalonym marzeniem. W porządku, to wszystko jest w sztuce Billy'ego Inge'a i było w scenariuszu George'a Axelroda, ale Marilyn uczyniła z Cherie postać z krwi i kości, postać z sercem. Oddała jej własne ciało i sprawiła, że jej kiczowatość, tragizm i uczciwość stały się tak wiarygodne”.

Podczas jednego z pierwszych spotkań wykorzystali chwyt Stanisławskiego, który polegał na tym, żeby ująć fabułę w jednym zdaniu: „Czy ta dziewczyna, która pragnie szacunku, kiedykolwiek go zdobędzie?”. To właśnie wtedy Logan zaczął rozumieć, że Marilyn nie jest tylko aktorką grającą rolę Cherie: „Kryzys w stosunkach z Foxem, przenosiny na drugi koniec kraju, nawet romans z Arthurem – to była historia jej życia”.

**D**zięki życzliwemu reżyserowi, roli, która miała głębszy sens, i wsparciu Milona wszystko wyglądało obiecująco. Gdy jednak zdjęcia przeniosły się do Phoenix, z wielką mocą powrócił lęk. Po czternastu miesiącach zaglądania we własne wnętrze – książki, terapia, Lee Strasberg i Malin Studios – Marilyn znów została wrzucona w świat ostrych światła, dusznych przyczep i nieustannego czekania na ujęcie. Minęło piętnaście miesięcy, odkąd ostatni raz stała przed kamerą, i teraz zalewała ją fala niepewności. Jej partner Don Murray był za młody – czy przy jego dziecinniej twarzy nie będzie wyglądała jak stara wiedźma? Włosy Hope Lange były za jasne – będzie musiała je przyciemnić, żeby nie skraść Marilyn blasku. A wszystko to przy akompaniamencie szumu w mediach i w piekielnym arizońskim upale.

Tym razem jednak Marilyn otaczała grupa wsparcia. Milton pilnował świateł i zdjęć, pudrując jej ramiona pomiędzy ujęciami. Amy nocą pomagała powtarzać kwestie. Josh Logan zawsze był troskliwy i miły. „Josh ją uwielbiał – twierdziła Amy. – Nigdy nie podniósłby na nią głosu”. Świetnie zdając sobie sprawę z tego, jak jest krucha, pilnował jej na planie i dbał o jej relacje z resztą obsady. „Za każdym razem, kiedy Marilyn i ja znaleźliśmy się sam na sam – mówił jej partner Don Murray – Josh zaraz był obok i słuchał naszej rozmowy. Bardzo mu zależało, żebyśmy się dogadywali, a gdyby miało dojść do jakiejś sprzeczki, chciał być na miejscu, żeby wkroczyć i ją powstrzymać”.

W Loganie Marilyn znalazła niezłomnego sojusznika. Josh nie tylko troszczył się o nią, ale też całkowicie zaangażował się w ich projekt. Rozumiał słabości Marilyn, co ważniejsze jednak, dostrzegał także jej mocne strony. „Jest coś, w czym nikt nie może się dziś z Marilyn równać – mówił. – Kiedy kamera zaczyna pracować, ona gra, dopóki nie powiem jej, żeby przestała. Jest też coraz lepsza, zawsze mówi z akcentem z Ozark. Podczas produkcji *Przystanku autobusowego* nauczyłem się, żeby stale kierować na nią kamerę, nie krzyczeć: cięcie!, nie przerywać jej, kiedy zaczyna wypuszczać emocje. Rozpoczynaliśmy scenę, a wtedy ona zatrzymywała się, jakby zapomniała kwestii. My jednak nie wyłączaliśmy kamery, tylko asystent podpowiadał Marilyn tekst, ja podawałem jej rekwizyt czy mierzwiłem włosy i ona szła dalej. Nie wytrącałem jej z równowagi, zaczynając wszystko od nowa. Kiedy krzyczysz: cięcie!, operator chce coś przy niej poprawić i nastrój pryska”.

Josh tak jak Marilyn nie bał się łamać zasad. Chciał dużych zbliżeń, żeby uchwycić emocje: kilka centymetrów ponad brodą, żeby pokazać przemykający po twarzy lęk, to miejsce między brwiami, gdzie można było dostrzec subtelny znak tęsknoty. Ale ówczesna technologia jeszcze na to nie pozwalała. Przy zwykłym sześciocalowym obiektywie CinemaScope nie można było filmować z odległości mniejszej niż dwa metry. Dlatego namówił operatora, żeby wypróbował obiektyw trzycalowy, który zwykle wykorzystywano do filmowania filizanek czy wizytówek w zbliżeniu. Zadziałało, a Marilyn była zachwycona, że miała swój udział w zastosowaniu tak nowatorskiej techniki. Joshowi nie przeszkadzało, że w ten sposób było widać meszek na jej ramionach, puder na twarzy czy żyłki na gałkach ocznych. Jej zresztą też.

Gdy w końcu udało mu się zdobyć jej zaufanie, Marilyn zaczęła się rozluźniać, a nawet dobrze bawić. Kowboje, rodeo, pizzerie, neony, góry w tle – była w tym pewna kiczowata magia, która wyzwalała jej spontaniczność. Skakała podczas fajerwerków albo wdrapywała się Donowi na ramiona, żeby przedostać się przez zaimprovizowaną paradę. Promieniejąc ojcowskim zachwytem, Josh przyglądał się, jak Marilyn biega po planie niczym podekscytowany szczeniak. „Wpadała w podniecenie, zanim skończyłem mówić – opowiadał – i rozentuzjasmowana pędziła, żeby wypróbować nowy pomysł, aż musiałem wołać: «Marilyn, poczekaj, jeszcze nie skończyłem!»”.

Logan, zawsze tolerancyjny, usprawiedliwiał chroniczne spóźnienia aktorki, twierdząc, że ma „odmienne poczucie czasu”. „To nie zarozumiałość – powtarzał. – Ona wcale nie chce irytować ani zdręzczać ludzi. Po prostu myśli o scenie i się w tym zatracza. Pewnego dnia w Phoenix czekaliśmy na «magiczną godzinę» – tak w filmie określa się tę porę dnia, kiedy słońce zachodzi, a zarazem na niebie jest dość światła, żeby było widać odległość i stworzyć efekt nocy. Trwa to może pięć minut. Marilyn była w garderobie. Wysłaliśmy po nią asystenta reżysera siedem minut wcześniej. Czas mijał, a ja wciąż pytałem: «Gdzie jest

Marilyn, gdzie jest Marilyn?». Ani śladu. Milton Krasner, operator, zaczął przeklinać: «Zaraz wszystko przepadnie, zaraz przepadnie!». W końcu zostały już tylko dwie minuty, popędziłem więc do jej garderoby, a ona siedziała tam przed lustrem. Złapałem ją i zawołałem: «Biegnij!», i razem pobiegliśmy na plan. «Wprawdzie mam na imię Joshua – powiedziałem jej – ale nie potrafię zatrzymać słońca». Kiedy następnym razem czekaliśmy na «magiczną godzinę», Marilyn zjawiała się dwa kwadransy wcześniej”.

Nie wszystkim podobały się wygłupy Marilyn. Nawet Josh przyznawał, że kiedy wpadała w trans – czy też, jak mówił, melancholię – nie zwracała uwagi na kolegów na planie. Gdy nadszedł czas filmowania sceny w sypialni, uparła się, żeby zagrać ją nago i zjawiała się w szlafroku frotté, który ściągnęła pod kołdrę. Udawała, że śpi, a Don miał się położyć obok i delikatnie potrząsnąć nią, żeby ją obudzić. „Wstawaj, Cherie, już dziewiąta, nic dziwnego, że jesteś taka blada!”. Tylko że się pomylił i powiedział *scaly* [pokryta łuskami] zamiast *pale* [blada]. Trzeba było zmienić taśmę w kamerze, a Don leżał na łóżku zawstydzony, czekając na reakcję Marilyn. Przynęła się do niego i wyszeptwała: „Don, to była freudowska pomyłka. Powiedziałeś *scaly* zamiast *pale*. I bardzo dobrze. To znaczy, że nieświadomie przejąłeś emocje Bo. Myślałeś o węzach – wiesz, co to jest symbol falliczny?”.

„Pewnie – mruknął Don. – Mam własny!”.

Nawet Don jednak musiał przyznać, że Marilyn była w formie. „Według ludzi, którzy z nią pracowali, *Przystanek autobusowy* to był film, przy którym zachowywała się najlepiej – przyznał po latach. – Mówili, że częściej niż kiedykolwiek zjawiała się na planie o czasie. Miała ze sobą Milтона, który był bardzo pomocny. Miała subtelnie przekonującego Josha (...). Zdaje się, że pod względem psychologicznym to był wspaniały okres w jej życiu”.

Tym razem nie szaczuwano jej, tylko szanowano, a co ważniejsze, stała się głównym elementem procesu kreacji. „Marilyn sama stworzyła podstawowy zrab swojej postaci – powiedział Josh Logan. – Ja tylko pomogłem jej przenieść go do filmu. Jej emocjonalne podejście do Cherie było dla nas wszystkich kluczem do muzyki, którą zagraliśmy. Wszystkich nas stymulowała, wszystkich inspirowała. Zachęcała, żebyśmy lepiej wykonywali swoją pracę”.

**Z** Phoenix przenieśli się w nowy plener – góry Idaho z ośnieżonymi szczytami i temperaturami poniżej zera. Kilka osób z obsady złapało grypę, łącznie z Marilyn, która w końcu z ostrym zapaleniem oskrzeli trafiła do szpitala, przez co trzeba było zawiesić produkcję na tydzień. Tymczasem Arthur wylądował w Reno, gdzie miał pozostać przez dwa miesiące konieczne, by przyspieszyć rozwód. „Nie dam rady – dzwoniła do niego ze szpitala Marilyn. – Nie potrafię w ten sposób pracować. Och, Papo, nie dam rady”. Płakała do słuchawki, uskarżając się na brak treningu aktorskiego lub niezdolność do „udawania”. „Znam tylko prawdę! Nie potrafię robić czegoś, co nie jest prawdziwe”<sup>[139]</sup>.

Ale Logan, uczeń Stanisławskiego, wiedział wszystko na temat prawdy. Zdawał sobie sprawę, że Marilyn musiała utrzymywać stały kontakt ze swoją postacią, delikatną więź, która mogła ulec zerwaniu, gdy czekała, aż elektrycy na nowo oświetlą plan albo garderobiana naprawi jej kostium. Czasami odchodziła na bok, kiedy dawał jej wskazówki albo przekazywał uwagi. Zamiast się na nią wściekać, rozumiał, że pomysł musi zakiełkować, że teraz Marilyn potrzebuje czasu i przestrzeni, żeby go przeanalizować. Gdy

więc w środku sceny pytała: „Czy mogę chwilę pomyśleć?”, pozwalając jej „szukać prawdy ukrytej za kwestiami”.

Najtrudniejsza była scena z Hope Lang, w której o zmierzchu Marilyn szeptała o swoich lękach i smutnej przeszłości. Josh widział, jak walczy z długimi partiami tekstu, milknie z twarzą skrzywioną, jakby miała zwymiotować. „Wszyscy technicy na planie myśleli, że to fuszerka, że zaraz wybuchnie – mówił – tymczasem ona zmagająca się z emocjami. Doskonale znała swoje kwestie, ale w jej głowie oprócz aktorki siedzieli też krytyk i cenzor – jeśli nie spełniała ich oczekiwań, zatrzymywała się, wyglądając, jakby się jej zbierało na wymioty. Ale to tylko dlatego, że była o krok od zagrania tego dobrze. To wcale nie znaczyło, że zapomniała kwestii albo schrzaniła scenę, i będę musiał powiedzieć: Zróbmy to jeszcze raz. Nigdy nie zatrzymywałem kamery – zużyliśmy dziesięć razy więcej filmu niż zwykle, ale pozwoliliśmy jej to robić w ten sposób”.

Ściśnięta obok Hope w rozklekotanym autobusie trzęsła się w tanim płaszczku z rękoma czerwonymi od zimna. Opowiadała o cichych okropieństwach, których zaznała w Ozark, o groźnym papie i o tym, że zaczęła się „spotykać z chłopcami”, kiedy miała dwanaście lat. Mówiła, że Bo to pierwszy chłopak, który chce się z nią ożenić – poza kuzynem Malcolmem, który „okazał się naprawdę okropny”. Nie była pewna, czym rzeczywiście jest miłość, ale tęskniła za mężczyzną, którego mogłaby podziwiać. „Ten, kogo poślubię, poza tym, że musiałby mnie kochać – powiedziała z westchnieniem, a mgielka melancholii zasnuła jej oczy – musiałby przede wszystkim naprawdę szanować”. Być może miała na myśli Joego albo Arthura.

Marilyn podeszła do roli Cherie z całym bagażem Metody. „Była wzruszająca, kiczowata, niewydarzona, żaloszna – mówił Johny – ale nie budziła litości. Przydała temu wszystkiemu subtelny rys komediowy – a mimo to człowiek się z niej nie śmiał. Udało jej się oddać całe to zmęczenie – znużenie życiem drugorzędnej śpiewaczki, jej smutek, gdy śpiewa swoją nędzną piosenkę, *That Old Black Magic*, i nikt jej nie słucha”.

W ostatniej scenie filmu Cherie osuwa się na kontuar i leży z policzkiem przyciśniętym do blatu. Bo pochyla się nad nią, wtulając podbródek w zagłębienie jej szyi. „Lubię cię taką, jaka jesteś, co mnie obchodzi, co było kiedyś”. Gdy Marilyn podnosi głowę, nitka śliny odrywa się jej od ust – coś, co zwykle retuszuje się przy montażu. Josh uparł się, żeby to zachować. „Stwierdziłem, że ta ślina to element emocji – otwarte usta, ręka przy wargach. Dla mnie to jeden z najwspanialszych znaków intymności i uczucia w historii kina”. Marilyn się zgodziła.

*Przystanek autobusowy* był pierwszym filmem Marilyn zrealizowanym w ramach nowego kontraktu z Foxem, pierwszym po tym, jak uczyła się Metody pod okiem Lee, i być może w nim właśnie zagrała najbardziej satysfakcjonującą rolę w życiu. Nie było łatwo – onieśmielający scenariusz, zmienna pogoda, zapalenie oskrzeli i opłucnej, na które zapadli z Donem. A mimo to udało im się, skończyli przed czasem i nawet wydatki okazały się mniejsze niż zakładany budżet. Marilyn i Milton byli idealnie zgrani – żadnych tabletek, zero alkoholu. „W tamtym czasie oboje byli zupełnie czysti – tłumaczyła Amy – bo kochali to, co robili. Budzili się i nie mogli się doczekać, żeby pobiec do studia. To były szczęśliwe dni”<sup>[140]</sup>.

Josh Logan nazywał je później złotym okresem Marilyn – i miał rację. „Wraz z deklaracją

niepodległości w 1955 roku Marilyn stała się inną osobą – zauważył Zolotow. – Zagrała Cherie, utrzymując się w tym delikatnym obszarze pomiędzy komedią a tragedią. A to najtrudniejsze, co można zrobić. Bardzo niewiele gwiazd kina to potrafi. Chaplin to umie. Garbo. I wiecie co? Myślę, że Marilyn ma w sobie coś z nich obojga – to pierwsza w pełni świadoma i autentyczna aktorka od czasów Garbo. Marilyn to kino w czystej postaci”.

**N**areszcie zgodziło się z tym również Hollywood. „Trzymajcie się krzesel – pisał krytyk Bosley Crowther na łamach «New York Times'a» – przygotujcie się na niespodziankę pierwszej klasy. Marilyn Monroe w *Przystanku autobusowym* nareszcie pokazała, na co ją stać”.

„A skoro mowa o artystach – wtórował mu Arthur Knight w «The Saturday Review» – wygląda na to, że prawdziwą artystkę mamy wśród nas (...). Marilyn Monroe raz na zawsze rozprawiła się z przekonaniem, że jest tylko atrakcyjną kobietą, kształtnym ciałem o drżących ustach i błękitnych oczach, które wołają: «podejdź bliżej!» (...). Panna Monroe dokonała rzeczy w kinie niewątpliwie najtrudniejszej. Udało jej się tak całkowicie stopić z rolą, że próżno szukać na ekranie śladów dawnej ślicznotki z kalendarza”.

Josh cieszył się z sukcesu w imieniu Marilyn: „W pewnym sensie udało jej się wyrównać rachunki z sadystycznymi półgłówkami, którzy poniżali ją w początkowych latach kariery”. Nawet najsurowsi krytycy podziwiali jej gwiazdorski występ. Gdy szefowie Foxa marginalizowali te pochwały, przypisując jej zasługi mężczyźnie, Josh protestował: „Ludzie mówią: «Josh, udało ci się wydobyć z niej coś, czego nie udało się wydobyć nikomu innemu». A ja im na to odpowiadam, że nie wydobyłem niczego, czego by tam już nie było”.

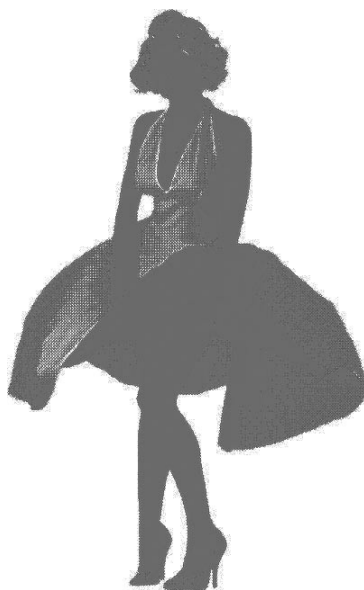
Czas spędzony w Nowym Jorku się opłacił. Marilyn stworzyła najlepszą kreację w swoim życiu.





Marilyn z mężem Arthurem Millerem i Miltonem Greene'em w drodze do Connecticut,  
początek lipca 1956 roku.

FOT. PAUL SCHUTZER/KOLEKCJA ZDJĘĆ MAGAZYNU LIFE/GETTY IMAGES



Nudzą mnie ludzie, którzy mają psychologiczne wyjaśnienie na wszystko.

*Elsa Maxwell*

**3** czerwca Marilyn wróciła do Nowego Jorku, żeby poślubić Arthura. Ale relacje, które nawiązała na Manhattanie, były skomplikowane. Czy Strasbergowie wykorzystywali jej sławę? Czy psychoanaliza nie przywoływała zbyt wielu ponurych wspomnień. Czy Laurence Olivier uważał ją za partnerkę, czy tylko chciał się z nią przespać? (Chciał się z nią przespać). Czy jej stosunki z Greene'ami się nie popsują i czy MMP nadal będzie prężnie działać? Kim był Arthur, ten chudy, powściągliwy pisarz, i czy jego szlachetne wsparcie i dyskretna opieka nadal będą trwały?

**Ś**lub odbył się 1 lipca 1956 roku w Katonah w hrabstwie Westchester. „Arthur nie miał czarnego garnituru – wspominała Amy, która pomagała Marilyn w przygotowaniach. – Nie sądzę, żeby w ogóle miał jakikolwiek. Milton wykonał stosowny telefon, przyniósł do pracowni sześć garniturów i ubrał Arthura od stóp do głów. Marilyn oczywiście chciała wystąpić na biało, z kalamitami i długim białym trenem. Przekonałam ją do beżu, w końcu nie dało się ukryć, że to jej trzecie małżeństwo. Wybrałam jej jak zwykle buty Dalco, na bardzo wysokim obcasie, z czubkiem, do tego pończochy w kolorze pergaminu. Tylko u Bendela takie mieli, więc ją tam wysłałam”.

Kitty przygotowała wymyślny tort z białymi zdobieniami z lukru, na szczycie umieściła stroik ze ślubu Amy i Milтона sprzed trzech lat. Amy włożyła beżowy koronkowy top z narzutką z białej organzy, a Hedda rozkloszowaną jasnopiaskową sukienkę. Suknię Marilyn z szyfonu w kolorze szampana zaprojektował Norell – żeby dopasować do niej ślubny welon Amy, trzeba go było zafarbować herbatą. Lee Strasberg miał oddać pannę młodą małżonkowi.

„Lee, Milton i ja siedzieliśmy z nią na łóżku – wyjawiała po latach Amy – a ona odwróciła się do Milтона: «Powiedz mi, że robię błąd i nie chcesz, żebym to zrobiła, a posłucham». Milton oczywiście odparł: «Marilyn, nie mogę. Sama musisz podjąć decyzję»”.

„Możecie zamknąć drzwi? – poprosiła błagalnym głosem. – Muszę porozmawiać z Miltonem na osobności”.

„Spędziłem z nią dobrych piętnaście minut, jeśli nie dłużej – wspominał Milton. – Chodziłem pod oknem, a ona siedziała na łóżku ze łzami w oczach. «Milton, powinnam za niego wyjść?» – spytała. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Jeśli powiem: «nie», będzie źle, jeśli powiem: «tak», będzie źle. Byłem tam dla niej – obiecałem, że zawsze będę się o nią troszczył. Kiedy poprosiła, żebym z nią został w tym pokoju, to był bardzo ważny moment dla nas obojga. Jej uczucia były silniejsze niż moje – «Tak, wyjdę za ciebie. Jemu powiem: 'nie', i wyjdę za ciebie». Tak, myślę, że by to zrobiła. Sądzę, że mogło się tak stać”.

Wreszcie drzwi się otworzyły. „Lee i ja staliśmy bardzo cicho – mówiła Amy. – W końcu Lee spytał: «Tak czy nie?». Wtedy ona spojrzała na całą naszą trójkę, wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się bardzo cynicznie i powiedziała: «A do diabła, nie możemy zawieść gości». Wzięła mnie za rękę i poprosiła, żebym wyszła zapalić świece i powiedziała wszystkim, że już idzie.

Milton położył kieliszek przy nodze Arthura, wszyscy wykrzyknęli: „Mazeł tow!”, Arthur zaś podniósł welon i pocałował pannę młodą.

Kieliszek jednak rozgniół nie Arthur, tylko Milton, który na niego nadepnął. „Przekłęci – szepnęła Amy do zaszokowanego Lee – i to zanim złożyli przysięgę”.

**D**wanaście dni po ślubie Marilyn wsiadła na pokład samolotu lecącego do Londynu, by rozpocząć pracę nad *Księżciem i aktoreczką*. Film w reżyserii Laurence’a Oliviera – i z jego udziałem – miał być pierwszym obrazem wyprodukowanym przez MMP i największym osiągnięciem Marilyn i Milтона. Równie poważne nadzieje wiązał z nim Olivier. Zamierzał podczepić się pod amerykańską gwiazdę i całkiem jawnie planował „szaleńczo” się w niej zakochać.

Na horyzoncie jednak już majaczyły problemy, z których wcale nie najmniejszy stanowił niechętny stosunek Oliviera do Metody. („Całe to gadanie o Metodzie! – jęczał. – O jakiej Metodzie?! Myślałem, że każdy z nas ma własną metodę”). Laurence był zupełnie nieprzygotowany na ten nowy, intuicyjny styl pracy. Tymczasem Lee Strasberg przekonywał Marilyn, by mu nie ufała, kwestionowała jego wskazówki i polegała na pomocy Pauli.

Olivier jako reżyser stanowił całkowite przeciwieństwo ciepłego, otwartego Josha Logana, który pozwolił wyobraźni Marilyn szaleć i godził się na liczne kosztowne powtórki. Co najważniejsze zaś, słuchał jej i bronił także po zakończeniu zdjęć. Od wielu miesięcy pisał do Oliviera, ostrzegając go, że Marilyn chadza własnymi ścieżkami: „Nie jest zwierzęciem domowym, tylko dzikim, nieoswojonym”. Olivier jednak nie akceptował nieokiełzanych wyskoków bez względu na to, jak bardzo utalentowane było zwierzę. Oczekiwał, że Marilyn dostosuje się do ożywionej, rzeczowej i bardzo angielskiej atmosfery panującej na jego planie.

„Od samego początku było widać – wspomina fotosista Jack Cardiff – że Marilyn będzie dla Larry’ego problemem (...). Miała koszmarną obsesję na punkcie Metody i zawsze we wszystkim szukała jakiegoś głębszego sensu, tymczasem Larry tłumaczył tylko najprostsze fakty”.

Marilyn lubiła nawiązywać więź z postacią, skradała się do niej jak lwica osaczająca ofiarę. Olivier natomiast nie wierzył w zgłębianie charakteru, w odkrywanie wewnętrznych motywów i tajemnic. Potrafił pogardliwie zbyć usiłowania Marilyn, jednego dnia głaszcząc ją po głowie jak dziecko, a drugiego mówiąc szyderczo: „Po prostu bądź seksowna”.

„Straszliwie się męczyła z Larrym, który był dla niej jak wrzód na dupie – twierdził Jack Cardiff. – Nigdy mu nie wybaczyła, że powiedział: «Staraj się i bądź seksowna». Myślę, że żywiła do niego urazę. Nazywała go pan Sir, bo niedawno nadano mu tytuł szlachecki”.

Uciekając przed Olivierem, Marilyn coraz bardziej chowała się za swoim buforem – Paulą. Oliviera zdumiewały tajemnicze podpowiedzi Pauli („Myśl o Franku Sinatrze i coca-coli!” albo: „Bardziej jak ptak, Marilyn, bardziej jak ptak!”), zdarzało się też, że Paula godzinami przygotowywała swoją podopieczną, ale do złej sceny. Kiedy zaś nie monopolizowała Marilyn, nękała Oliviera, uprzejmie informując go, że jego występ był „sztuczny”. W końcu kazał dwóm strażnikom usunąć ją z planu.

Co ciekawe, Milton zaczął podziwiał Strasbergów: „Paula miała własną metodę tak samo jak Lee: «To nie obraz olejny, tylko akwarela». Można to rozumieć na dziesięć różnych

sposobów”.

Podobnie jak Strasbergowie on też miał swoją metodę pracy z Marilyn, na przykład puszczał muzykę, żeby wywołać u niej łzy. „Nie użyłaby gliceryny. To zawsze były prawdziwe łzy. Wibracje muzyki sprawiały, że płakała. Dlatego szedłem do Larry’ego i mówiłem: «Podgłośnij Bacha». Chciał mnie zabić. «Reżyser jest tylko jeden» – oświadczał”.

Pod koniec pracy nad filmem reżyser i aktoreczka byli już w stanie pełnowymiarowej wojny. Olivier miał dość tego wszystkiego – dość szaleńczego trzęsienia rękami na rozgrzewkę, środków uspokajających i załamań nerwowych, pustego spojrzenia, gdy zapominała swojej kwestii, dość drżących warg za każdym razem, kiedy ją krytykował. Irytowało go, że zamiast zadowolić się sokiem jabłkowym i zabarwionymi na czarno kulkami chleba, których zwykle używali, Marilyn żądała prawdziwego kawioru i szampana. Dwa dni powtórek sceny kolacji kosztowały go kilka butelek musującego trunku i mnóstwo jajeczek białugi, za które w Fortnum and Mason płacił po 10 dolarów za słoik. Stwierdził, że tu wcale nie chodzi o żadną autentyczność, tylko Marilyn po prostu go torturuje. Nawet jej problemy żołądkowe uważał za element „wojny psychologicznej”.

Miller również sprawiał kłopoty. Nigdy dotąd nie mieszkali z Marilyn, a teraz nagle znaleźli się razem, pod presją, i w efekcie rysy na ich małżeństwie stały się aż nazbyt widoczne. Od samego początku Arthur izolował żonę od reszty ekipy, namawiał ją, żeby odrzucała wszelkie zaproszenia – „Daily Mail” przytaczał jego słowa: „Dzięki, Anglio. Dzięki, że zostawiłaś nas w spokoju”.

„Zaczął się pojawiać codziennie w garderobie i przeszkadzał – wściekała się Amy Greene. – Bez względu na to, co Larry kazał robić Marilyn, Arthur miał na ten temat własne zdanie. Wreszcie któregoś razu Larry powiedział mu, żeby spierdalał, bo inaczej go wyrzuci (...). Kurczę, co on tam w ogóle robił?! Ja chodziłam po sklepach ze starociami albo po muzeach, starałam się nie siedzieć Miltonowi na głowie. A on poszedł do jej garderoby, zamknął drzwi i nadał się na resztę dnia”.

Arthur nie tylko uniemożliwiał Marilyn nawiązanie stosunków z ekipą, ale też z rozmysłem wbijał klin między żonę a Milтона. Zawsze był o niego zazdrosny i ta zazdrość pogłębiała się, w miarę jak między nim a Marilyn narastała obcość. Robił pod adresem Milтона drobne przytyki, sugerując, że wydaje pieniądze MMP na starocie albo trwoni cenny czas zdjęciowy.

„Arthur mącił wodę – skarżyła się Amy – bo wiedział, że ich małżeństwo to katastrofa, i walczył, żeby się utrzymać na powierzchni. Zorientował się, że wszelkie nadzieje, jakie wiązał z tym związkiem, nigdy się nie spełnią, a Marilyn przewidywała to samo. Czuła się okropnie nieszczęśliwa, bo to była kolejna porażka w jej życiu”.

Równocześnie łykała więcej tabletek niż kiedykolwiek wcześniej. Zwiększyła dawkę środków nasennych do tego stopnia, że potrzebowała czegoś, żeby się obudzić. Nigdy dotąd nie brała amfetaminy, dlatego Milton namawiał ją na mniej uzależniające i wolniej działające specyfiki. Marilyn jednak domagała się silnego i dającego natychmiastowego kopa dexamyłu, po którym często była tak podenerwowana, że musiała łykać barbiturany. Zaczęła też dolewać sobie dżinu do porannej herbaty i prosiła przyjaciela, żeby miał na planie termos „z prądem”. „Martwiłem się, że pije za dużo – mówił Milton. – Razem z Olivierem mieliśmy zasadę, że nigdy nie tykamy alkoholu przed szóstą. Dlatego

dolewałem mniej, niż prosiła. Nie sędzę, żeby Miller o tym wiedział. Nic nie było po niej widać”.

„Kiedy miała problem – wspominał Milton – ja go rozwiązywałem. Spędzała weekend z Arthurem i wszystko było do kitu, całkowita dezorganizacja. Zjawiała się w poniedziałek wyczerpana, opuchnięta i nieprzytomna. Kiedy była zmęczona, robiłem jej zastrzyk z witaminy B. W tajemnicy kazałem uszyć dwa kostiumy, bo gdy przychodziła w poniedziałek, była opuchnięta, a potem w środę znowu szczupła. Nigdy się nie zorientowała. Tak dobrze ją znałem”. Mimo tych wysiłków Milton jednak tracił MMP, a co gorsza, także najlepszą przyjaciółkę.

W tym stanie skołowacenia – gdy skutki leczenia jednymi specyfikami próbowała zwalczać innymi – Marilyn z jeszcze większą desperacją chwytiała się Millera. „Nie twoja sprawa” – wypalała, gdy Milton delikatnie pytał, skąd jej nagły wybuch albo łzy. Ubzdurawszy sobie, że Greene „trzyma stronę” Oliviera, bała się, że Arthur jest jej jedyną opoką. Stres związany z produkcją nadwerężył więź łączącą ją z Miltonem i Arthur to wykorzystał.

W połowie pracy nad filmem Milton wyczuł, że Marilyn mu się wymyka i wszystko, do czego dążyli, w ciągu zaledwie kilku tygodni zaczęło się w spektakularny sposób rozpadać. Dlatego rzucił się ratować jedyną rzecz, jaką mógł, to znaczy film. Ze względu na Marilyn był serdeczny i przyjacielski wobec Oliviera, ze względu na Marilyn ignorował jętrzenie Millera. Jako dramaturg Arthur nie rozumiał zasad produkcji filmowej, choć myślał, że jest inaczej. Gdy Marilyn się niepokoiła, że przekroczą budżet, Arthur lekceważąco machał ręką, wygłaszając absurdalne stwierdzenia: „Co cię to obchodzi? To pieniądze Warner Brothers”. Milton, który w towarzystwie Arthura zwykle gryził się w język, w końcu nie wytrzymał: „Co za palant! To nasze pieniądze!”.

Jeśli istniała jeszcze jakaś nadzieja dla Miliona i Marilyn, wtedy właśnie się rozwiła. To był początek końca MMP.

Był to także koniec współpracy Oliviera i Monroe. W oboju górę wzięły kompleksy. Do czasu zakończenia zdjęć Olivier zdążył się zamienić w tyrańca i przejął całkowitą kontrolę nad montażem. Ukochany projekt Marilyn przestał do niej należeć – zamienił się w nieznośne brzemień, które trzeba było dźwigać dzień po dniu. Olivier też czuł się fatalnie. Później opowiadał, że za sprawą Marilyn postarzał się o piętnaście lat. Długo po jej śmierci wciąż prywatnie nazywał ją tą suką.

„Stawiam 94-58-94 do jednego, że nigdy więcej nie nakręcą razem żadnego filmu” – dworował sobie dziennikarz „The Sun”. Tego dnia Marilyn spakowała walizki, wsiadła na pokład samolotu i już nigdy nie wróciła do Europy.

**P**o zakończeniu zdjęć do *Księcia i aktoreczki* Arthur nie przestawał wtrącać się w sprawy MMP. Przyjaciele nie mogli się nadziwić, widząc go przy biurku, jak starannie wkleja do albumu wycinki z gazet, zamiast pracować. Albo jak z Marilyn i jej krawcową naradza się, jaką satynę wybrać – turkusową, zieloną, w kolorze szampana czy burgunda. To było szokujące – człowiek, który pogardzał modą i splendorem, zaniedbywał własną pracę, żeby debatować nad sukniemi. Oczywiście Arthur świetnie zdawał sobie sprawę, że w ten sposób zostawia niewiele miejsca dla Miliona – o to właśnie chodziło. Do stycznia 1957 roku udało

mu się skutecznie poróżnić przyjaciół. Współpraca Milтона i Marilyn dobiegła końca.

„Przechodziłem przez to razem z nimi – mówił John Eula – i to była tragedia. Milton nie wierzył, że Marilyn kiedykolwiek się na to zdobędzie, siedział więc cicho i nie kiwnął nawet palcem. Nie wierzył, że mogłaby go zostawić, bo przecież był jej światłem przewodnim, żywicielem i opoką. Ten cholerny głupek nie rozumiał, że mąż już dawno mu ją zabrał. Kto by chciał, żeby jego żona w czterdziestu dziewięciu procentach należała do kogoś innego?”<sup>[141]</sup>

„Słyszałam, jak Milton rozmawia przez telefon, oboje płakali – pisała Amy, która była świadkiem straszliwego rozstania. – Tych dwoje powinno być ze sobą na dobre i na złe. I nic, absolutnie nic nie powinno ich było rozłączyć”<sup>[142]</sup>.

17 lutego 1957 roku Milton Greene spotkał się z Marilyn, żeby ustalić warunki rozwiązania swojej umowy z MMP. Arthur stał obok niczym strażnik i w otoczeniu prawników gotował się do bitwy. Milton jednak chciał dostać tylko połowę zainwestowanej kwoty: sto tysięcy dolarów. – To wszystko? – spytał Arthur. – Weź więcej – wyszeptała Marilyn łamiącym się głosem.

– Nie – odparł stanowczo Milton, spoglądając jej w oczy. – Pozwól, że będę tą jedną osobą w twoim życiu, która nigdy nie będzie chciała więcej<sup>[143]</sup>.

Wtedy widziała go po raz ostatni.

**M**agiczny okres, który zaczął się pod koniec 1954 roku, dobiegł końca. W przeciwieństwie do *Przystanku autobusowego* film *Księżę i aktoreczka* zebrał mieszane recenzje i nie odniósł kasowego sukcesu. MMP padło. Z dała od Milтона Marilyn szybko zaczęła się pograżać w mroku, z którego nigdy w pełni nie udało jej się wydobyć.

Po fiasku ostatniego projektu zrobiła sobie przerwę w karierze, koncentrując się na małżeństwie i rodzinie. Inercja jednak okazała się dużo bardziej szkodliwa niż stres związany z pracą na planie. Razem z Arthurem wrócili do Sutton Place i kupili mieszkanie przy Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej 444. Były tam windy wykładane drewnianymi panelami i odźwierni w białych rękawiczkach, lecz to nawiedzone i ponure wnętrza zadziwiająco przypominało hotel. Marilyn zabrała ze sobą mały biały fortepian, książki i płyty ukochanego Sinatry. Lodówkę wypełniła buteleczkami szampana Piper-Heidsieck. Ale sypialnia ziała pustką i przypominała celę – poza ogromnym materacem znajdował się tam tylko szary zdezelowany stolik nocny i czarny bakelitowy telefon na podłodze. W mieszkaniu była również smutna, prawie nieużywana wnęka jadalna, ogromne zniszczone lustro oparte o sofę modułowe i jasna wykładzina poplamiona przez psa. Na ścianach w kolorze spłowiałej bieli nie wisiało nic, nie było żadnych obrazów z kwiatami i bykami. Nie było też widoku na 59th Street Bridge – tylko ponure budynki za oknem. Choć i tak nie miało to znaczenia: Marilyn zasłoniła wszystkie okna nieprzepuszczającymi światła kotarami, których nigdy nie rozsuwała.

Jej świat się skurczył – z każdym dniem stawała się coraz bardziej samotna. Nieszczęśliwe, pozbawione ram godziny upływały jej w oparach koktajli, które piła na śniadanie, przepływały przez palce wśród rozmów telefonicznych i ataków złości. Budziła się koło południa, krzycząc: „Nie! Nie rób tego!”, gdy pokojówka próbowała odsłonić okno, po czym słodkim głosem prosiła o Krwawą Mary. Całe dni spędzała w łóżku, puszczać

płyty Sinatry i wydzwaniając do Joego DiMaggio. Rok po ślubie z Arthurem płakała za Joem, miała na jego punkcie obsesję („Joe zabierał mnie do najlepszych włoskich restauracji”) – prosiła służącą, żeby zrobiła jej lazanie, jakby ricotta i pomidory mogły go przywrócić. Arthur rzadko jadał z nią kolację, nie wstawała więc z łóżka, plamiąc pościel sosem.

Miller siedział zamknięty w swojej pracowni. Gdy stamtąd wychodził, bardziej interesowały go pogawędki z kucharką lub sekretarką niż z własną żoną. To było żałosne – kiedy proponował, żeby poszli do kina albo na przyjęcie, Marilyn podskakiwała, jakby to była Gwiazdka, po czym podekscytowana zaczynała obmyślać makijaż i strój. W połowie przypadków jednak Arthur wycofywał się z pomysłu – wolał spędzić kolejny ponury wieczór, unikając żony i zmagając się ze sztuką, której nie mógł napisać. Następne cztery lata upłynęły pod znakiem poronień, przedawkowań i okresów oziębłego milczenia, nim w 1961 roku rozwód w Meksyku położył wreszcie kres ich małżeństwu.

Uwolniwszy się od męża i idei domu, Marilyn musiała wskrzesić swą karierę, a to niestety oznaczało przeprowadzkę do Los Angeles. Kupiła nieruchomość w Brentwood i do drzwi wejściowych przybiła tabliczkę z napisem *Cursum perficio*, co po łacinie znaczy „Moja podróż kończy się tutaj”. Marilyn zawsze twierdziła, że Hollywood to „jedynie miejsce pracy”, ale ta hiszpańska hacjenda była w stu procentach hollywoodzka – od „pokoju telefonicznego” aż po basen w kształcie nerki, z którego ani razu nie skorzystała. Poleciała do Meksyku po oryginalne rękodzieło – wełniane pledy, zdobione drewniane ławy, płytki ceramiczne do kuchni – większość z tego pozostała w kartonach. Kupowała obrazy, których później nie wieszala – stały oparte o gołe ściany w sypialni obok toreb z Saksa pełnych ubrań z metkami. Hacjenda, ale nie dom – wpółumeblowana, zamieszкана, żywa.

Według Eunice, pokojówki Marilyn, wyjazd z Nowego Jorku był fatalnym błędem. Gdyby pozostała na Manhattanie – twierdziła niezmiennie Eunice – wciąż by żyła. Z dala od twórczego kokonu, który tam sobie stworzyła, pewność siebie Marilyn się rozwiła. Przyjaciele ze Wschodniego Wybrzeża nigdy jej nie opuścili. Rostenowie i Shawowie przysyłali pocztówki i prezenty. Dzwonili co tydzień albo nawet codziennie, czuwając nad nią aż do końca. Dla Marilyn to jednak było za mało. Ataki woreczka żółciowego, infekcje zatok, bezsenność i coraz bardziej dokuczliwa endometrioza wpędzały ją w uzależnienie od barbituranów i środków przeciwbólowych. Z dala od jedynych przyjaciół, którzy ją rozumieli, pogrążyła się w samotności.

„Szedłem przez restaurację La Scala w Beverly Hills – wspomina Jack Garfein, jej kolega z Actors Studio – i zobaczyłem Marilyn siedzącą ze swoją sekretarką Pat Newcomb. Powiedziałem: «Marilyn, jest sobota wieczór, a ty tu siedzisz z sekretarką?». Ona na to: «Ale jak to, Jack, co niby miałabym robić?». «Dobrze wiesz – powinnaś się przeprowadzić do Paryża – urządziliby ci tam paradę na Champs Elysées». Dowcip, humor i nutka realizmu – spytała: «Jack, a zostawiłbyś żonę, żeby ze mną pojechać?». Oczywiście na to nie zareagowałem, ale było po mnie widać, że tego bym nie zrobił. Wtedy ona powiedziała: «Pamiętasz, Jack, jak poszliśmy razem na zakupy? Byłam w przymierzalni, a ty mi pomagałeś – powiedziałeś wtedy coś, co sobie zapamiętałam na całe życie. I wiesz, podczas trudnych chwil z Arthurem nieraz to sobie przypominałam. Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś?». Oczywiście nie miałem pojęcia – wielu mężczyzn pod wrażeniem kobiety mówi różne rzeczy (...). Ale odparłem: «Tak, pamiętam». Spojrzała na mnie i powiedziała: «Kłamiesz, Jack, wcale nie pamiętasz». Widocznie zainspirowany jej obecnością

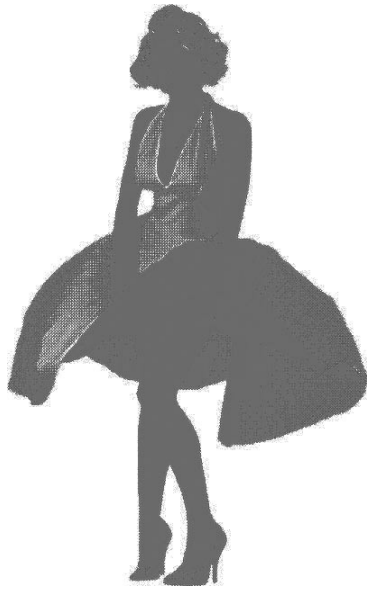


napomknąłem mimochodem coś, co okazało się dla niej ważne – w końcu jednak zorientowała się, że byłem tylko mężczyzną i jakkolwiek brzmiały te słowa, chlapnąłem je od niechcienia i najwyraźniej o tym zapomniałem. Wracalem akurat statkiem z Europy, gdy usłyszałem o jej śmierci. I pierwszą rzeczą, jaką pomyślałem, było: «Co ja jej wtedy, do diabła, powiedziałem?».



## Epilog

„«Myślcie o mnie dobrze» – szeptała, wślizgując się w futro z norek. W tej chwili każde wsparcie było dla niej na wagę złota”, Nowy Jork, marzec, 1955 rok.  
FOT. ED FEINGERSH/ARCHIWUM MICHAELA OCHSA/GETTY IMAGES



W lipcu 1962 roku Amy Greene obudziła się z wyjątkowo koszmarne snu. Odwróciła się do Milтона:

– Marilyn cię potrzebuje.

– O czym ty mówisz?

– Śniło mi się, że jest sama i nie ma nikogo, komu mogłaby zaufać. Wysłała mi sygnały, żeby ci powiedzieć, że powinieneś lecieć do Los Angeles.

– Wiesz, że za trzy dni mamy być z Sally Kirkland na pokazach mody w Paryżu. Nie mogę tego zrobić.

– Milton, przynajmniej raz w życiu mnie posłuchaj. Ona potrzebuje pomocy. Łap samolot i nie bierz tego zlecenia. Leć jej pomóc.

Tak więc Milton wziął słuchawkę i zadzwonił do Marilyn po raz pierwszy od pięciu lat.

– Wiesz – powiedziała – jestem dokładnie w tym samym miejscu co przed MMP. Dają mi najgorsze role. Tak jakby ostatnie dziesięć lat w ogóle się nie wydarzyło. Jestem właśnie tam, gdzie nie chciałam być.

– To nie bądź – odparł Milton. – Jeśli chcesz, żebym przyjechał, złapię samolot jeszcze dziś<sup>[144]</sup>.

Marilyn oczywiście zapewniła Milтона, że nic jej nie będzie, on musi lecieć do Paryża na pokazy, a ona zadzwoni do niego w ciągu kilku tygodni i spotkają się wszyscy na obiad albo drinka w La Scali lub Mocambo. Milton ocalił ją osiem lat temu i mimo tego, co się wydarzyło, był gotów zrobić to znowu.

Tylko że Marilyn nigdy nie zadzwoniła. Może miała wyrzuty sumienia w związku z tym, jak go potraktowała. Może czuła się skrępowana – swoim lękiem, potrzebami, niezdolnością do stworzenia trwałego związku. Może wstydziła się, że w wieku trzydziestu sześciu lat znów jest zabawką Zanucka. Dlatego schowała głęboko swój ból. Udzielała promiennych wywiadów, pozowała do zdjęć na plaży i napomykała o nowych projektach zawodowych. W niedzielę 5 sierpnia zmarła samotnie w łóżku pełnym fenobarbitalu i wodzianu chlorału, ściskając słuchawkę telefonu w dłoni.

Milton nie wierzył, że popełniła samobójstwo – tak jak żaden z jej prawdziwych przyjaciół. „Wzięła tabletki nasenne – mówił – popiła szampanem, a potem zapomniała, ile połknęła”. Pod koniec życia jednak zaczął podejrzewać, że to wcale nie był wypadek, że były w to zamieszane inne osoby, ale nie wiedział kto. Wypadek? Morderstwo? Czy mógł do tego nie dopuścić?

„Miałaś rację – powtarzał wciąż Amy. – Powiniennem być lecieć”<sup>[145]</sup>.

Domagaliśmy się tylko prawa, by błyszczeć.

*Marilyn Monroe*

## Bibliografia

- Arnold Eve, *Marilyn Monroe*, Harry N. Abrams, New York 1987.
- Banner Lois, *Marilyn: The Passion and the Paradox*, Bloomsbury, London 2012.
- Berle Milton, *Milton Berle: An Autobiography*, Applause Books, New York 2002.
- Bolstad Helen, *Marilyn in the house*, „Photoplay”, wrzesień 1955.
- Buchthal Stanley, Comment Bernard, *Fragments*, Farrar, Straus and Giroux, New York 2010; wyd. polskie: *Marilyn Monroe. Fragmenty, wiersze, zapiski intymne, listy*, przeł. Agata Kozak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.
- Capote Truman, *Piękne dziecko*, [w:] tenże, *Portrety i obserwacje. Eseje*, przeł. Rafał Lisowski, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2012.
- Carpozi George, *Marilyn Monroe: Her Own Story*, Belmont Books, New York 1961.
- Dundy Elaine, *Life Itself!*, Virago Press, New York 2012 [edycja elektroniczna].
- Garrison Malloy Rita, *Marilyn, Oh, Marilyn*, „Motion Picture”, listopad 1954.
- Gazzara Ben, *In the Moment: My Life as an Actor*, Carroll & Graf Publishers, New York 2004.
- Gilmore John, *Inside Marilyn Monroe: A Memoir*, Amok Books, Los Angeles 2007 [edycja elektroniczna].
- Goode James, *The Making of the Misfits*, Limelight Editions, New York 1963.
- Greene Joshua, *Milton's Marilyn*, Schirmer/Mosel, Munich 1994.
- Grissom James, *Follies of God: Tennessee Williams and the Women of the Fog*, Vintage, New York 2016 [edycja elektroniczna]; wyd. polskie: *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły*, przeł. Michał Szczubińska, Wydawnictwo Czarne, Warszawa 2016.
- Guiles Fred Lawrence, *Norma Jean*, McGraw-Hill, New York 1969.
- Hanks Tara, *The Last Misfit*, [tarahanks.com](http://tarahanks.com)
- Harding Les, *They Knew Marilyn Monroe: Famous Persons in the Life of the Hollywood Icon*, McFarland & Company, Jefferson, NC, 2012 [edycja elektroniczna].
- Haspiel James, *Marilyn: The Ultimate Look at the Legend*, Henry Holt & Co., New York 1991.
- Kazan Elia, *Elia Kazan: A Life*, Alfred A. Knopf, New York 2011 [edycja elektroniczna].
- Leaming Barbara, *Marilyn Monroe*, Three Rivers Press, New York 2000.
- Martin Pete, *Will Acting Spoil Marilyn Monroe?*, Doubleday, New York 1956.
- Miller Arthur, *Timebends: A Life*, Grove Press, New York 2013 [edycja elektroniczna]; wyd. polskie: *Zakręty czasu. Jedno życie*, przeł. Jolanta Mach, PIW, Warszawa 1994.

Monroe Marilyn, Hecht Ben, *My Story*, Taylor Trade Publishing, Boulder, CO 2006.

Morgan Michelle, *Marilyn Monroe: Private and Confidential*, Skyhorse, New York 2012 [edycja elektroniczna].

Nickens Christopher, Zeno George, *Marilyn in Fashion: The Enduring Influence of Marilyn Monroe*, Running Press, Philadelphia 2012 [edycja elektroniczna].

Rollyson Carl, *Marilyn Monroe: A Life of the Actress*, University Press of Mississippi, Jackson, MS 2014.

Rollyson Carl, *Marilyn Monroe Day By Day: A Timeline of People, Places, and Events*, Rowman & Littlefield, Boulder, CO 2014 [edycja elektroniczna].

Rosten Norman, *Marilyn: An Untold Story*, Signet, New York 1973.

Shaw Sam, *The Joy of Marilyn: In the Camera Eye*, Exeter Books, New York 1979.

Shaw Sam, Rosten Norman, *Marilyn Among Friends*, Henry Holt & Co., New York 1988.

Shevey Sandra, *The Marilyn Scandal: Her True Life Revealed By Those Who Knew Her*, Berkeley Publishing Group, Berkeley, CA 1990.

Spoto Donald, *Marilyn Monroe: The Biography*, Cooper Square Press, New York 2001.

Stapleton Maureen, *A Hell of a Life*, Simon & Schuster, New York 1995.

Stein Robert, *Do you want to see her?*, „American Heritage Magazine”, listopad/grudzień 2005.

Steinem Gloria, *Marilyn*, Henry Holt & Co., New York 1986.

Strasberg John, *Accidentally on Purpose: Reflections on Life, Acting, and the Nine Natural Laws of Creativity*, Applause Books, New York 2000 [edycja elektroniczna].

Strasberg Susan, *Marilyn and Me: Sisters, Rivals, Friends*, Time Warner Books, New York 1992.

Summers Anthony, *Goddess: The Secret Lives of Marilyn Monroe*, Open Road Media, New York 2012 [edycja elektroniczna].

Wallach Eli, *The Good, the Bad, and Me: In My Anecdote*, Harcourt, New York 2005 [edycja elektroniczna].

Winters Shelley, *Shelley II: The Middle of My Century*, Simon & Schuster, New York 1989.

Zolotow Maurice, *Marilyn Monroe*, HarperCollins, New York 1990.

## Podziękowania

Za rozmowy, dostęp do dokumentów i korespondencji dziękuję: Kathleen Gray, Darrylowi Rooneyowi, Gregowi Schreinerowi, Scottowi Feinbergowi, Joshui Greene'owi, Carlowi Rollysonowi, Melissie Stevens i Anne Orteig. Za dostęp do zbiorów Normana Mailera i Maurice'a Zolotowa dziękuję Elizabeth Graver i Richardowi Watsonowi z Harry Ransom Center. Książka *Marilyn and Me* Susan Strasberg była dla mnie podstawowym źródłem podczas pisania tego tekstu, pomocne okazały się także publikacje: *Marilyn Monroe* Eve Arnold, *Inside Marilyn Monroe* Johna Gilmore'a, *Marilyn: An Untold Story* Normana Rostena, *Shelley II* Shelley Winters i *Marilyn: The Ultimate Look at the Legend* Jamesa Haspiela. Równie ważne były wywiady, między innymi rozmowa Scotta Feinberga z Amy Greene i Kim Morgan z Jackiem Garfeinem. Wiele cennych informacji znalazłam na stronie [everlasting-star.net](http://everlasting-star.net).

Mnóstwo szczegółów zawdzięczam wiernym fotografom Marilyn, którzy zostawili olśniewający zapis roku, jaki spędziła w Nowym Jorku.

Z ogromną przyjemnością dziękuję mojemu agentowi Davidowi Kuhnowi, a także Sarah Levitt, Nicole Tourtelot, Williamowi Lo Turco, Kate Mack, Jessie Borkan i Nate'owi Muscato. Wyrazy wdzięczności niech zechcą przyjąć ode mnie wszyscy z Flatiron Books, a zwłaszcza Colin Dickerman, Whitney Frick, James Melia i Amelia Possanza. Szczere podziękowania za cierpliwość przy opracowywaniu przypisów i przy redakcji kieruję do Boba Ickesa i Davida Lotta, a Henry'emu Kaufmanowi jestem wdzięczna za lekturę tekstu pod kątem prawnym.

Na koniec pragnę podziękować rodzinie za jej niezmiennie życzliwe wsparcie.



## Przypisy

- [1] Joshua Greene, *Milton's Marilyn*, Munich 1994, s. 25.
- [2] Shelley Winters, *Shelley II: The Middle of My Century*, New York 1989, s. 28.
- [3] Tamże, s. 29.
- [4] J. Greene, *Milton's Marilyn*, s. 17.
- [5] Marilyn Monroe, Ben Hecht, *My Story*, Boulder, CO 2006, s. 175.
- [6] Rita Garrison Malloy, *Marilyn, Oh, Marilyn*, „Motion Picture”, listopad 1954, s. 63.
- [7] Tamże.
- [8] Amy Greene w rozmowie ze Scottem Feinbergiem.
- [9] Maurice Zolotow, *Marilyn Monroe*, New York 1990, s. 57.
- [10] Pete Martin, *Will Acting Spoil Marilyn Monroe?*, New York 1956, s. 100.
- [11] Helen Bolstad, *Marilyn in the house*, „Photoplay”, wrzesień 1955.
- [12] Christopher Nickens, George Zeno, *Marilyn in Fashion: The Enduring Influence of Marilyn Monroe*, Philadelphia 2012 [edycja elektroniczna].
- [13] J. Greene, *Milton's Marilyn*, s. 37.
- [14] Anthony Summers, *Goddess: The Secret Lives of Marilyn Monroe*, New York 2012 [edycja elektroniczna].
- [15] Tamże.
- [16] Tamże.
- [17] Eli Wallach, *The Good, the Bad, and Me: In My Anecdote*, New York 2005 [edycja elektroniczna].
- [18] Ben Gazzara, *In the Moment: My Life as an Actor*, New York 2004, s. 72.
- [19] Milton Berle, *Milton Berle: An Autobiography*, New York 2002, s. 266.
- [20] J. Greene, *Milton's Marilyn*.
- [21] George Carpozi, *Marilyn Monroe: Her Own Story*, New York 1961, s. 8.
- [22] J. Greene, *Milton's Marilyn*, s. 44.
- [23] Truman Capote, *Piękne dziecko*, [w:] tenże, *Portrety i obserwacje. Eseje*, przeł. Rafał

Lisowski, Warszawa 2012, s. 551.

[24] Tamże, s. 552.

[25] P. Martin, *Will Acting Spoil Marilyn Monroe?*, s. 58.

[26] Tamże, s. 67.

[27] Tamże, s. 14.

[28] Sam Shaw, Norman Rosten, *Marilyn Among Friends*, New York 1988, s. 107.

[29] Robert Stein, *Do you want to see her?*, „American Heritage Magazine”, listopad/grudzień 2005.

[30] Elaine Dundy, *Life Itself!*, New York 2012 [edycja elektroniczna].

[31] John Gilmore, *Inside Marilyn Monroe: A Memoir*, Los Angeles 2007 [edycja elektroniczna].

[32] Tamże.

[33] Les Harding, *They Knew Marilyn Monroe: Famous Persons in the Life of the Hollywood Icon*, Jefferson, NC, 2012 [edycja elektroniczna].

[34] Tamże.

[35] Stanley Buchthal, Bernard Comment, *Marilyn Monroe. Fragmenty, wiersze, zapiski intymne, listy*, przeł. Agata Kozak, Kraków 2011, s. 177.

[36] Tamże, s. 104.

[37] J. Gilmore, *Inside Marilyn Monroe...*

[38] Tamże.

[39] Michelle Morgan, *Marilyn Monroe: Private and Confidential*, New York 2012 [edycja elektroniczna].

[40] B. Gazzara, *In the Moment...*, s. 89.

[41] Tamże, s. 245.

[42] James Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look at the Legend*, New York 1991, s. 66.

[43] Norman Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, New York 1973, s. 55.

[44] Tamże.

[45] Tamże.

[46] S. Buchthal, B. Comment, *Marilyn Monroe...*, s. 93 [cytat zmodyfikowany].

[47] Tamże, s. 116.

[48] Tamże, s. 79–81 [cytat zmodyfikowany].

- [49] Tamże, s. 75–77.
- [50] Tamże, s. 81.
- [51] Tamże, s. 104
- [52] Tamże, s. 79.
- [53] Tamże, s. 101.
- [54] Tamże, s. 75.
- [55] S. Shaw, N. Rosten, *Marilyn Among Friends*, s. 87.
- [56] Tamże, s. 107.
- [57] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 63.
- [58] N. Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, s. 15.
- [59] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 65.
- [60] M. Morgan, *Marilyn Monroe: Private and Confidential*.
- [61] S. Buchthal, B. Comment, *Marilyn Monroe*, s. 104.
- [62] Elia Kazan, *Elia Kazan: A Life*, New York 2011 [edycja elektroniczna].
- [63] Arthur Miller, *Zakręty czasu. Jedno życie*, przeł. Jolanta Mach, Warszawa 1994, s. 330.
- [64] Tamże, s. 325.
- [65] Tamże, s. 324.
- [66] Tamże, s. 388.
- [67] Tamże, s. 383.
- [68] Arthur Miller, *Timebends: A Life*, New York 2013 [edycja elektroniczna]. [cytowanego fragmentu nie udało się odnaleźć w polskim przekładzie].
- [69] A. Miller, *Zakręty czasu. Jedno życie*, s. 396 [przekład zmodyfikowany].
- [70] Tamże, s. 395.
- [71] John Strasberg, *Accidentally on Purpose: Reflections on Life, Acting, and the Nine Natural Laws of Creativity*, New York 2000 [edycja elektroniczna].
- [72] Tamże.
- [73] Tamże.
- [74] N. Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, s. 16.
- [75] S. Shaw, N. Rosten, *Marilyn Among Friends*, s. 18.

- [76] Tamże, s. 15.
- [77] S. Shaw, N. Rosten, *Marilyn Among Friends*, s. 162.
- [78] Eve Arnold, *Marilyn Monroe*, New York 1987, s. 40.
- [79] Tamże.
- [80] N. Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, s. 17.
- [81] Tamże.
- [82] James Joyce, *Ulysses*, przeł. Maciej Słomczyński, Kraków 2000, s. 583.
- [83] E. Arnold, *Marilyn Monroe*, s. 41.
- [84] Tamże, s. 46.
- [85] Tamże, s. 47.
- [86] Tamże, s. 49.
- [87] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 109.
- [88] N. Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, s. 24.
- [89] Sandra Shevey, *The Marilyn Scandal: Her True Life Revealed by Those Who Knew Her*, Berkeley, CA 1990, s. 238.
- [90] James Goode, *The Making of the Misfits*, New York 1963, s. 69.
- [91] M. Morgan, *Marilyn Monroe: Private and Confidential*.
- [92] N. Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, s. 26.
- [93] Tamże, s. 28.
- [94] S. Shaw, N. Rosten, *Marilyn Among Friends*, s. 158.
- [95] Tamże.
- [96] N. Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, s. 32.
- [97] S. Shaw, N. Rosten, *Marilyn Among Friends*, s. 192.
- [98] N. Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, s. 28.
- [99] S. Shaw, N. Rosten, *Marilyn Among Friends*, s. 146.
- [100] S. Shevey, *The Marilyn Scandal*, s. 312.
- [101] N. Rosten, *Marilyn: An Untold Story*, s. 52.
- [102] A. Miller, *Timebends: A Life* [cytowanego fragmentu nie udało się odnaleźć w polskim przekładzie].

- [103] A. Miller, *Zakręty czasu. Jedno życie*, s. 301.
- [104] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 97.
- [105] J. Gilmore, *Inside Marilyn Monroe*.
- [106] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 65.
- [107] A. Miller, *Zakręty czasu. Jedno życie*, s. 11.
- [108] Tamże, s. 261.
- [109] Barbara Leaming, *Marilyn Monroe*, New York 2000, s. 174.
- [110] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 92.
- [111] Tamże, s. 93.
- [112] Tamże.
- [113] T. Capote, *Piękne dziecko*, s. 558.
- [114] J. Greene, *Milton's Marilyn*, s. 54.
- [115] Tamże, s. 72.
- [116] Tamże, s. 74.
- [117] S. Buchthal, B. Comment, *Marilyn Monroe...*, s. 95.
- [118] Tamże, s. 120–121.
- [119] Tamże, s. 97–99.
- [120] J. Strasberg, *Accidentally on Purpose...*
- [121] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 117.
- [122] James Grissom, *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły*, przeł. Michał Szczubiałka, Warszawa 2016, s. 50.
- [123] Tamże.
- [124] J. Gilmore, *Inside Marilyn Monroe...*
- [125] J. Grissom, *Szaleństwa Boga...*, s. 50.
- [126] A. Miller, *Timebends: A Life* [cytowanego fragmentu nie udało się odnaleźć w polskim przekładzie].
- [127] J. Greene, *Milton's Marilyn*, s. 58.
- [128] Tamże.
- [129] P. Martin, *Will Acting Spoil Marilyn Monroe?*, s. 110.

- [130] Tamże, s. 111.
- [131] Tamże.
- [132] Tamże, s. 122.
- [133] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 111.
- [134] Tamże, s. 112.
- [135] Tamże.
- [136] P. Martin, *Will Acting Spoil Marilyn Monroe?*, s. 128.
- [137] J. Haspiel, *Marilyn: The Ultimate Look...*, s. 124.
- [138] Tamże, s. 125.
- [139] A. Miller, *Zakręty czasu. Jedno życie*, s. 407.
- [140] J. Greene, *Milton's Marilyn*, s. 72.
- [141] Tamże, s. 86.
- [142] Tamże, s. 88.
- [143] Tamże, s. 86.
- [144] Tamże, s. 91.
- [145] Tamże, s. 92.

[1\*] *Method Acting* (ang.) – stworzony na podstawie systemu Konstantina Stanisławskiego zespół technik aktorskich, opracowanych i rozwijanych na gruncie amerykańskim przez twórców teatralnych, w tym Polaka, Ryszarda Bolesławskiego, jego ucznia Lee Strasberga oraz Stellę Adler i Stanforda Meisnera (wszystkie przypisy oznaczone gwiazdką pochodzą od tłumaczki; przypisy oznaczone cyfrą znajdują się na [s. 325–329](#)).

[2\*] W wolnym tłumaczeniu: Śliczne panienki, jasne panienki, któreście w życia rozkwicie / Strzeżcie się, strzeżcie swojego ogrodu, co po nim z chłopcem chodzicie / Kobieta gałęzią, wysmukłym drzewem – mężczyzna bluszczem, co ją oplata / I z jej gałęzi beztróska bierze, co chce, furda zapłata, co chce, furda zapłata.

[3\*] W wolnym tłumaczeniu „pustak”, „ktoś, kto ma siano w głowie”. Taki tytuł nosi także sztuka o Marilyn Monroe autorstwa Normana Mailera i Richarda Hannuma.

[4\*] Prestiżowa wyższa uczelnia, pierwszy college dla kobiet otwarty w Stanach Zjednoczonych.

[5\*] Nowojorski dziennikarz tropiący patologię w aparacie władzy; nagłośnił między innymi problem korupcji w samorządach lokalnych.

[6\*] Część dzieciństwa Marilyn Monroe upłynęła pod znakiem surowej, sekciarskiej religijności. Jej charakter przybliża sytuacja opisana przez Arthura Millera: „Miała zaledwie pięć czy sześć lat, kiedy fundamentalści – sekta, do której należała jej przybrana rodzina – zorganizowali wielką uroczystość religijną na świeżym powietrzu. Szeregi jednakowo ubranych dzieci (...) otoczyły ogromny naturalny amfiteatr w górach, niedaleko Los Angeles. Każda dziewczynka miała dwustronną, białoczerwoną pelerynkę, którą nosiła czerwoną stroną na wierzch. W czasie hymnu Zmartwychwstania na dany znak trzeba było obrócić pelerynkę na drugą stronę, z grzesznej czerwieni na czystą biel zbawienia. W czarodziejski sposób stok góry zajaśniał więc białą przy odpowiednim wersecie hymnu – tylko na środku widniała jedna czerwona plama. (...) [Marilyn] dostała (...) lanie, popełniła bowiem rzecz nie do naprawienia, rozgniewała, jak mówiono, samego Pana Jezusa – Bóg był nieprzejednany. «Podobno Pan Jezus jest miłosierny, wszystko przebacza, ale oni nigdy o tym nie mówili», Arthur Miller, *Zakręty czasu. Jedno życie*, przeł. Jolanta Mach, Warszawa 1994, s. 401–402.

[7\*] Chodzi o nowojorski klub nocny Copacabana.

[8\*] Musical w reżyserii Josepha L. Mankiewicza z udziałem Marlona Brando i Franka Sinatry. Rolę Adelaide, o którą ubiegała się Marilyn Monroe, dostała Vivian Blaine.

[9\*] Chodzi o El Morocco, nocny klub na Manhattanie, przeżywający okres świetności w latach 30., w latach 50. zaś powoli chyłący się ku upadkowi.

[10\*] Amerykańska dziennikarka prasowa i telewizyjna, autorka m.in. kolumny „Voice of Broadway” w „New York Journal-American”.

[11\*] Właśc. Carol Grace, amerykańska aktorka i pisarka, uchodziła za pierwowzór Holly Golightly, bohaterki powieści *Śniadanie u Tiffany'ego* Trumana Capote.

[12\*] Właśc. Marie Norton Harriman, kolekcjonerka sztuki, wówczas żona gubernatora stanu Nowy Jork.

[13\*] Prywatny klub w Nowym Jorku, słynący z niecenzuralnych roastów.

[14\*] Chodzi o komików Deana Martina i Jerry'ego Lewisa.

[15\*] Właśc. *Dove è Pete Panto?* – wł. „Gdzie jest Pete Panto?”.

[16\*] W Stanach Zjednoczonych Święto Pracy jest obchodzone w pierwszy poniedziałek września.

[17\*] Dziewiętnastowieczna kamienica w Upper West Side.

[18\*] W latach 40. i 50. była to Pięćdziesiąta Druga Ulica.

[19\*] W przekładzie Stanisława Barańczaka.

[20\*] Ang. osoba, która rozbija rodzinę.

[21\*] Paula Strasberg znalazła się na czarnej liście McCarthy'ego ze względu na członkostwo w Amerykańskiej Partii Komunistycznej.